

SŁAWOMIR KOPER

# ALKOHOL I MUZY

*Wódka w życiu polskich artystów*



ALKOHOL I MUZY  
Wódka w życiu polskich artystów



Sławomir Koper

Warszawa 2013

Copyright © Sławomir Koper, Czerwone i Czarne

Projekt graficzny  
FRYCZ IWICHA

Zdjęcie na okładce Reprodukacja:  
Marek SKORUPSKI/FORUM

Redakcja  
Witold Grzechnik

Redaktor prowadząca  
Katarzyna Litwińczuk

Korekta  
Katarzyna Szol

Skład  
Tomasz Erbel

Wydawca  
Czerwone i Czarne Sp. z o.o. S.K.A.  
Rynek Starego Miasta 5/7 m.  
5 00-272 Warszawa

Druk i oprawa  
Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” Sp. z o.o.  
ul. Gen. Sowińskiego 2/4 87-100 Toruń

Wyłączny dystrybutor  
Firma Księgarska Olesiejuk  
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.  
ul. Poznańska 91 05-850 Ożarów Mazowiecki

ISBN 978-83-7700-136-3

Warszawa 2013

## Od autora

Pierwsza wersja książki, którą mają Państwo przed sobą, powstała kilka lat temu. Od tego czasu wiele się jednak zmieniło - część gotowego już tekstu wykorzystałem w innych swoich publikacjach, a w zamian wprowadziłem do niego nowe fragmenty. Poza tym prawie dziesięć lat w życiu autora to bardzo dużo czasu - piszę teraz zupełnie inaczej, dlatego książka uległa gruntownemu przeredagowaniu.

Tak się ostatnio składa, że we wstępach do swoich kolejnych książek tłumaczę się głównie z doboru tematów i bohaterów. Jako autor z pewnym już dorobkiem o wielu sprawach pisałem już wcześniej, a przecież nie chciałbym się powtarzać. Czasami jednak, kiedy jest to nieuniknione, staram się wykorzystać materiały wcześniej niepublikowane. I tak właśnie postąpiłem, pisząc w tej książce o Witkacym i Jaraczu. Nie sposób bowiem ukazać obrazu międzywojennego Zakopanego, pomijając postać Witkiewicza, albo pisać o alkoholu w środowisku aktorskim, nie wspominając o Jaraczu. W innych przypadkach nie było takich problemów. Kazimierz Wierzyński był jedynym ze skamandrytów, którym bliżej się nie zajmowałem, natomiast Konstanty Ildefons Gałczyński, Stanisław Przybyszewski i Ireneusz Iredyński w ogóle nie zaistnieli w moich wcześniejszych książkach.

Oddzielną sprawą jest lista nieobecnych w tej książce. Z rozmysłem pomiąłem Władysława Broniewskiego i Marka Hłaskę. Przeznaczam dla nich miejsce w jednej ze swoich następnych książek - *Skandaliści PRL*. Podobnie jest w przypadku Jana Himilbscha i Zdzisława Maklakiewicza. Co prawda wszyscy czterej panowie idealnie pasowaliby do książki o roli alkoholu w dziejach polskiej kultury, jednak ze względu na szczupłość miejsca, jakie mógłbym im w tej pracy poświęcić, zostaliby przedstawieni skrótowo. A zasługują przecież na

znacznie więcej. Dokonałem zatem pewnego wyboru i mam nadzieję, że Czytelnicy wykażą zrozumienie.

O alkoholu w dziejach polskiej kultury można pisać bez końca. Wódka oraz inne trunki zawsze były obecne w życiu artystów i tak już chyba zostanie. To kwestia pewnej wrażliwości, sposobu życia. Zapewne nie bez powodu związki rodzinne artystów z reguły należały do wyjątkowo skomplikowanych, a życie pod jednym dachem z geniuszem nigdy nie było łatwe. Inna sprawa, że pikantne historie z życia prywatnego zawsze pobudzały ciekawość, stając się tematem licznych plotek w biurach i kawiarniach. Do niedawna nie było przecież tabloidów.

W naszym społeczeństwie panuje dziwna am- biwalencja postaw. Z jednej strony z zainteresowaniem (czasami niezdrowym) śledzimy skandale obyczajowe z udziałem artystów i prominentów (również te alkoholowe), a z drugiej mamy skłonność do stawiania spiżowych pomników i do tworzenia papierowych bohaterów. A kiedy jest mowa o zmarłych, to należy o nich mówić dobrze i tylko dobrze, aż do znużenia. I tak oto podczas pogrzebu Stanisława Przybyszewskiego jeden z dostojników państwowych wygłosił nad trumną pisarza całą serię konwencjonalnych pochwał, po czym, opuszczając już cmentarz, powiedział do swojego otoczenia, że Przybyszewski był demoralizatorem społeczeństwa. Ale oficjalnie, na pokaz wszystko odbyło się tak, „jak Pan Bóg przykazał”.

Gdy jeden z polskich emigrantów paryskich wspomniał pewne wesele, na którym Adam Mickiewicz nadużył alkoholu i śpiewał nieprzyzwoite piosenki, natychmiast napadła na niego córka wieszczka, zarzucając mu „kalanie pamięci poety”.

Przytaczanie niewygodnych faktów jest zajęciem ryzykownym, o czym przekonałem się na własnej skórze.

Gdy przypomniałem, że Józef Piłsudski miał dwie nieślubne córki, posypała się na mnie lawina oskarżeń. A przecież to prawda, która dla historyków nigdy nie była tajemnicą. Wanda i Jadwiga urodziły się w związku pozamałżeńskim, a marszałek poślubił ich matkę dopiero po śmierci swojej pierwszej żony.

Od razu jednak dał im swoje nazwisko, a nieprawie pochodzenie w niczym nie odbierało dziewczynkom miłości ojca. Stosunki międzyludzkie bywają bowiem o wiele bardziej skomplikowane, niż chcieliby domorośli autorzy moralizatorskich książeczek.

Oddzielny problem dla badaczy stanowią dzieci występujące w charakterze biografów swoich rodziców. Co prawda posiadają one materiały, do których inni nie mają dostępu, jednak bardzo często dokonują ich cenzury. Rekordy na tym polu pobił Władysław Mickiewicz, który większość życia poświęcił na tropienie i niszczenie dokumentów przedstawiających ojca w złym świetle. W efekcie dzisiejsi badacze biografii wieszczą zamieniają się w detektywów, a rekonstrukcja życia Adama Mickiewicza przypomina pracę specjalistów od kryminalistyki.

Kira Gałczyńska nie niszczyła wprawdzie dokumentów, ale z premedytacją pomijała lub naginała fakty z życia Konstantego Ildefonsa. Jako córka miała do tego prawo, natomiast jako badaczka - nie. A przecież Gałczyński opisany bez żadnej cenzury może tylko zyskać, bo zostaje ukazany w pełni swojego człowieczeństwa. Dotyczy to również jego największych ekscesów alkoholowych. Równie barwnej postaci próżno by szukać w dziejach naszej literatury, z czego już jego współcześni zdawali sobie sprawę. Rysownik Zdzisław Czermański po raz pierwszy zetknął się z pijanym Gałczyńskim na warszawskim Powiślu i spotkanie to nie wywarło na nim najlepszego wrażenia. Wziął go za „tamtejszego człowieka”, za przedstawiciela miejscowego lumpenproletariatu. I dlatego nie potrafił ukryć zdumienia, gdy kilka dni później zobaczył na Mazowieckiej „tego morusa znad Wisły” idącego pod rękę z Tuwimem. Czy w tej anegdocie nie ma więcej prawdy o czasach i ludziach niż w pewnej teorii, według której permanentny stan upojenia Gałczyńskiego był spowodowany jego niespotykane niską odpornością na działanie alkoholu?

„U innych narodów, nie obciążonych naszymi niedolami - pisał Tadeusz Boy-Zeleński - ta część krytyki literackiej przybrała od dawna charakter bardziej, można by powiedzieć,

przyrodniczy. Obchodzi się i okrąża, bada i opisuje wielkiego pisarza jak np. lwa albo tygrysa. Naukowa bezinteresowność spojrzenia - też, oczywiście, o ile polityka nie zrobi swoich spustoszeń. Chowają geniusza w Panteonie, ale nie darują mu żadnej słabostki. Profanacja? Nie sędzę. Raczej poczucie, że tajemnica geniuszu tkwi w czym innym niż w konwencjonalnej doskonałości. Że to »ziemskie, arcyziemskie«, z którego rodzi się boskie, to jest najbardziej wzruszające misterium: schwytać na gorącym uczynku owo skraplanie się geniuszu jest najpiękniejszym zadaniem krytyki. Ta pasja ducha łamiącego się, przedzierającego się przez ciemności, potykającego się w drodze, wybuchającego dziełami często ponad jego własną miarę - to najdziwniejsze, najciekawsze zjawisko. Żywot pisarza to księga, która zawsze działa budująco, ale niekoniecznie przez same swoje cnoty”<sup>1</sup>.

Z całego serca podpisuję się pod tym stwierdzeniem Boya. Do ludzi obdarzonych niezwykłym talentem, dotkniętych palcem Boga, należy przykładać inną miarę. A prawdziwy geniusz krytyk i tak się nie boi...

Sławomir Koper

# **Rozdział 1.**

## **Zamiast wstępu**

### **PIWO, WINO I OKOWITA**

Alkohol zawsze towarzyszył ludzkości i nic w tej kwestii nie zmieniło się przez tysiąclecia. Zdarzały się kultury które nie wynalazły koła, lecz bez problemu opanowały proces fermentacji alkoholowej. Badacze odnajdywali w głębi Amazonii plemiona, które nigdy wcześniej nie widziały białego człowieka, ale wytwarzały na własne potrzeby wysokoprocentowe trunki.

Nie można sobie wyobrazić dziejów kultury polskiej bez alkoholu. Nie wiadomo, co piali Gall Anonim, Wincenty Kadłubek czy Jan Długosz, ale na pewno mieli do dyspozycji piwo, wino i miód. Najpopularniejsze było piwo, a że zawierało znacznie mniej alkoholu niż jego dzisiejszy odpowiednik, to wypijano go ogromne ilości. Wielbiono je ponad wszelką miarę, a książe krakowski Leszek Biały z powodu tej miłości został nawet zwolniony z udziału w krucjacie do Ziemi Świętej. Wyjaśnił bowiem papieżowi, że nie może walczyć z niewiernymi na Bliskim Wschodzie, albowiem tam nie ma piwa, a bez tego napoju nie potrafi funkcjonować. Papież okazał wyrozumiałość i zezwolił Leszkowi na zorganizowanie wyprawy na ziemie nadbałtyckich Prusów. Tam piwa nie brakowało.

Inny piastowski wielbiciel tego trunku, książe śląski Władysław, był scholastykiem wrocławskim.

Kiedy wybrano go na biskupa w Pasawie, nie przyjął tej godności, ponieważ uważał, że tamtejsze piwo jest podłej jakości. Podobny problem pojawił się, gdy mianowano go arcybiskupem Salzburga. Przez dwa lata nie objął swojej stolicy - oficjalnie z powodu oczekiwania na osiągnięcie wymaganych trzydziestu lat - aż wreszcie dał się przekonać. Z radością jednak przyjął dodatkową funkcję administratora rodzimej



diecezji, tam bowiem mógł do woli raczyć się ulubionym trunkiem.

Dla ludzi epoki średniowiecza sporym problemem był okres Wielkiego Postu, gdy przez czterdzieści dni nie jedzono mięsa i ściśle przestrzegano zakazu spożywania alkoholu. Podczas śniadania wielkanocnego starano się sobie to powetować - nie inaczej postąpił książę legnicki Bolesław III Rozrzutny, który zjadł trzynaście kurczaków, popił je ogromną ilością piwa i wina, a następnie wyzionął ducha.

Upodobanie do okazałych dawek alkoholu nie przeszkadzało Bolesławowi Chrobremu w odnoszeniu sukcesów politycznych. Czasami jednak władca zapominał się na polu walki i potrafił nawet wydać ucztę, podczas której przyglądał się oblężeniu wrogiego grodu. Z podobnego powodu o mało nie doszło do tragedii w czeskiej Pradze, bo nasz władca, zajęty zakrapianą zabawą, zignorował meldunki o idących na miasto nieprzyjacielskich wojskach. Niemiecki kronikarz Thietmar nazywał Chrobrego „opojem”, a Nestor z Rusi dodawał, że Bolesław był tak otyły, iż „ledwo na koniu mógł usiedzieć, ale umysłu bystrego”.

Alkohol nie przeszkadzał Kazimierzowi Wielkiemu w jego politycznym i gospodarczym dziele, jednak pośrednio przyczynił się do jego śmierci. Król nie zachował bowiem abstynencji, gdy wieziono go do Krakowa ze złamaną na polowaniu nogą. Lekarze ostrzegali, władca to zignorował, a wszystko zakończyło się wysoką gorączką, zapaleniem płuc i zgonem.

Konsekwentnym alkoholikiem był następca Kazimierza, Ludwik Węgierski, który z reguły pijał w samotności. Natomiast Władysław Jagiełło w ogóle nie brał alkoholu do ust. Przeworny Litwin tak bardzo bał się otrucia, że pijał tylko wodę. Wiedział bowiem, że w wysokoprocentowych trunkach łatwo jest zamaskować obecność trucizny. Żył wprawdzie wyjątkowo długo jak na ówczesne standardy (84 lata), ale za to nie zaznał szczęścia w życiu prywatnym.

Skłonność do napojów wysokowych skróciła panowanie Piastów na Mazowszu. Dwaj ostatni przedstawiciele tej linii rodu (Stanisław i Janusz III) prowadzili wesołe życie i zmarli

wyjatkowo młodo (w wieku 24 i 25 lat). W przypadku Janusza III podejrzewano wprawdzie otrucie, ale bardziej prawdopodobna jest informacja podana przez jednego z kronikarzy, że książe po prostu zapił się na śmierć.

Alkohol był również dużym problemem w pomorskiej dynastii Gryfitów. Wśród tamtejszych książąt nie brakowało regularnych alkoholików, a Kazimierz, syn Bogusława X, poniósł śmierć, gdy w stanie nietrzeźwym spadł z drabiny.

Polskie piwo w tamtych czasach musiało być wyjątkowo dobrej jakości, bardzo zachwycali się nim cudzoziemcy. Szczególną reklamę naszemu piwu zrobił papież Klemens VIII, który w latach 1588-1589 przebywał w Polsce jako nuncjusz apostolski. Upodobał sobie wówczas piwo z browaru w Warce. Uważał, że „było wyborne, szczypiące, z koloru i smaku do wina podobne”. A gdy już będąc głową Kościoła, poważnie zachorował, w gorączce przypomniał sobie o zimnym napoju z Polski i wyszeptał: *sanctapiva di Polonia* (święte piwo z Polski). Otaczający go duchowni uznali, że papież odwołuje się do nieznannej im patronki znad Wisły, wobec czego ukłękli i zaczęli się modlić o wstawiennictwo do świętej Piwy...

Najstarsze wzmianki zawierające słowo „wódka” pochodzą z początku XV wieku. Początkowo używano go do określenia lekarstw i kosmetyków, a następnie, wymiennie ze słowem „gorzałka”, nazywano nim wysokoprocentowy napój alkoholowy. Natomiast staropolska nazwa „okowita” wzięła się od łacińskiego zwrotu *aqua vitae*, czyli „woda życia”. „Wódka” jest zresztą typowo polskim określeniem i zostało przejęte z naszego języka przez inne narody.

Początkowo gorzałka była uważana za trunek plebejski i dopiero z czasem trafiła do szlacheckich dworów. Zapotrzebowanie było duże, więc gorzelnictwo rozwijało się intensywnie, a zachowane dokumenty podatkowe świadczą o prężnym eksporcie. Mieszkańcy Rosji zapoznali się z wódką dzięki polskim wyrobom, albowiem kupcy moskiewscy nabywali je w naszym kraju w niemal hurtowych ilościach. Znakomicie rozwijał się również polski eksport na Śląsk i do Czech. Niestety, upodobanie do okowity przyczyniło się do co

najmniej dwóch katastrof militarnych Rzeczypospolitej. W maju 1648 roku armia kozacko-tatarska rozbiła pod Korsuniem wojska koronne, a głównymi winowajcami klęski okazali się polscy dowódcy.

„Więcej radził o kieliszkach i szklanicach - opisywał zachowanie hetmana Mikołaja Potockiego pamiętnikarz Joachim Jerlicz - niżeli o dobru Rzecz[yl] p[ospo]litej i całości onej; jakoż w nocy radził o pannach albo dziewczkach młodych, i nadobnych żonkach, będąc sam w starości lat podeszłych, nie znosząc się ani radząc kolegi swego, Marcina Kalinowskiego Hetmana Polnego, ani innych pułkowników i rotmistrzów, tak też Towarzystwa. Z powodu pijaństwa ustawicznego i wielkiego wszeteczeństwa zatracił wojsko, uczynił hańbę i niesławę wieczną koronie Polskiej, potracił synów koronnych, żołnierzy starych i czeladzi niemało”<sup>1</sup>.

Mikołaj Potocki nadużywał alkoholu nawet podczas bitwy, a jego zastępca hetman polny Marcin Kalinowski, mający poważną wadę wzroku, wydawał absurdalne rozkazy.

Cztery miesiące później alkohol stał się jedną z przyczyn kolejnej klęski armii polskiej. Pod Piławcami zdemoralizowane oddziały pod wodzą nietrzeźwych dowódców rozbiegły się na samą wieść o przybyciu Tatarów.

„[...] starszyzna, bez ujawniania komukolwiek tego zamiaru, potajemnie rzuciła się do ucieczki - zanotował książę Albrycht Radziwiłł - wszyscy rozbiegli się: wozy, żywność, uzbrojenie, łupy zostawiono pierwszemu, któremu posłuży szczęście... Działo się to w takim przerażeniu i pośpiechu, że niektórzy do obiadu ubiegli 18 mil [ponad 100 kilometrów - S.K.]. Uciekali więc, przez nikogo nie ścigani, niepomini na szlachectwo, na wstyd, na to, w jakim stanie pozostaje Rzeczypospolita”<sup>2</sup>.

Najgorsze były psychologiczne skutki tych porażek. Nikt na Ukrainie nie czuł już respektu przed Rzeczypospolitą.

„Już minęły te czasy, kiedy nas siodłali Lachy - mówił pół roku później niejaki pułkownik Jaszewski. - [...] Teper się ich nie boimy. Doznaliśmy my pod Piławcami: nie oni to Lachowie, co przedtem bywali i bijali Turki, Moskwę, Tatary, Niemce. Nie Zamojscy, Żółkiewscy, Chodkiewiczowie, Chmielecscy, Koniec-

polscy; ale Tchorzewscy, Zajączkowski, detynie [dzieci - S.K.] w żelazu poubierane. Pomerli od strachu, skoro nas ujrzeni, i pouciekali, choć Tatar więcej nie było z razu we środę, tylko 3000. Kiedy by, och, byli do piątku poczekali i jeden by był do Lwowa żyw nie uszedł”<sup>3</sup>.

Symbolem alkoholizmu elit Rzeczypospolitej Obojga Narodów są czasy saskie, ale wcześniej też nie było wiele lepiej. Wystarczy przypomnieć sobie obyczaje z dworu Jana III Sobieskiego w Jaworowie. Pod wpływem alkoholu dochodziło tam do najróżniejszych ekscesów, co pozwala stwierdzić, że był to sarmatyzm w najgorszym wydaniu. Oto kilka relacji pochodzących z zapisków posła francuskiego:

„W czasie wesela którejś z dworek królowej, podczas gdy król tańczył, dworzanin wojewody ruskiego ciął drugiego szablą w głowę”<sup>4</sup>.

„Wojewoda Jabłonowski i marszałek dworu Sieniawski nawymyślali sobie przy królu i omal się nie pobili; poszło o jakiegoś dworzanina wojewody, który jakoby obraził marszałka. Nazajutrz przy uczcie, podczas gdy król siedział przy stole, marszałek dworu widząc tego dworzanina, wyrznął go w łeb maczugą”<sup>5</sup>.

Jan III Sobieski przejawiał czasami specyficzne poczucie humoru i pewnego dnia polecił przebudować mostki nad pobliskimi kanałami na huštawki. Potem, stojąc w oknie rezydencji, zaśmiewał się do łez, kiedy wszyscy, bez względu na wiek, stan czy płeć, niespodziewanie wpadali do wody. Zapewne nie był wówczas specjalnie trzeźwy...

## ALKOHOL, MIŁOŚĆ I POEZJA

Artyści, a szczególnie poeci, zawsze mieli skłonność do trunków. Znakomitym tego przykładem jest fraszka Jana Kochanowskiego *O doktorze Hiszpanie*, dokumentująca radosną atmosferę na dworze ostatnich Jagiellonów. Wesoła kompania, budząca w nocy lekarza, przyniosła ze sobą alkohol w dzbanie, wyłamała drzwi („Doktor nie puścił, ale drzwi

puściły”), a w końcu z jednego dzbana wina zrobiło się dziewięć. W finale nieszczęsny Hiszpan konstatuje, że poszedł „spać trzeźwo, a wstanie pijany”.

Wydawać by się mogło, że literaci epoki romantyzmu powinni być bardziej odporni na alkoholowe pokusy. W rzeczywistości jednak niczym nie różnili się od Kochanowskiego i jego kompanów. Nawet filomaci, owi młodzieńcy wielbiący cnotę i „estetyczne” uczucia, w swoim własnym, wąskim gronie wcale nie spożywali bułek z masłem, do czego tak zachęcali innych. Być może decydujący wpływ na ich postawę życiową miały nieustanne braki finansowe. Jak nie ma pieniędzy, to nie ma zabawy. Potwierdza to list Jana Czeczota do Onufrego Pietraszkiewicza, w którym opisuje swoje przygody w jakimś podejrzanym zajeździe w Warszawie.

„Byłem w wannie. Po korytarzu hałasują i skaczą wszeteczne. Wytrzymałem najspokojniej pokuszenie [...] aż przychodzi Francuz rajfur [...] rekomenduje [...] wdowy, panny, rozwódki, mężatki. Cena najniższa dukat. Wymoralizowałem Francuza (może bym, mówiąc między nami, i dopuścił się winy za tańsze pieniądze)”<sup>6</sup>.

Wygląda na to, że cnotę pocziwego Czeczota ocaliła wyłącznie pusta sakiewka...

Zachowały się dokładne informacje na temat liczby lokali z wyszynkiem w Wilnie w czasach Adama Mickiewicza. Na 20 tysięcy mieszkańców przypadało ich ponad 800 (!), a wśród nich 29 zajazdów, 45 jadalni, 19 restauracji, 61 kawiarni, 35 piwiarni i 614 szynków. A Wilno nie było wcale wyjątkowym miejscem, bo właśnie tak wyglądały w tym czasie polskie miasta.

Głównym wodzirejem filomatów był Onufry Pietraszkiewicz. Zawsze wiedział, gdzie w Wilnie można najtaniej zakupić alkohol (miał wyjątkowo mocną głowę) albo jakie zioła należy zażyć po wieczornym pijaństwie. Doskonale orientował się w topografii miasta - znał miejsca, w których można niedrogo i dobrze zjeść, wiedział, które domy uciech seksualnych są dostępne dla studenckiej kieszeni. Podobno sprowadził na złą drogę niewinnego Czeczota, pan Janek miewał bowiem po

wypadach z Onufrym poważne wyrzuty sumienia („proszę mi więcej, na miłość braterską, trunkiem rozumu nie durzyć”).

Z powodów finansowych imprezy alkoholowe odbywały się jednak rzadko i praktycznie tylko imieniny lub urodziny któregoś z filomatów były okazją do ich organizowania. Odbywały się w warunkach domowych lub na łonie natury. Spożywano wówczas najtańsze wino muszkatołowe (osiemdziesiąt kopiejek za garniec, czyli około trzech litrów) i faktycznie hucznie świętowano. Pod wpływem trunków rozluźniała się atmosfera, a Tomasz Zan tańczył z Pietraszkiewiczem. Recytowano wiersze bardziej swobodne niż zwykle, nie szczczędając sobie żartobliwych docinków. Nawet poważny Zan z przyjemnością wspominał wesołe chwile spędzone przy kielichu na imieninach Pietraszkiewicza:

*„Ach, długo pamiętam: Owe  
Onufrowie.  
Pod stół wyskakują korki,  
Z szyjek butlicy wychodzi para,  
Pijane na wierzchu skaczą paciorki”<sup>7</sup>.*

Kilka lat później powstała słynna *Pieśń filaretów* pozostająca do dzisiaj symbolem młodzieńczej bez troski i swobody. Nie bez powodu wykorzystano ją w ekranizacji „Lalki” Bolesława Prusa - studenci wynajmujący pokój w kamienicy Wokulskiego tak oto drażnili głośnym śpiewem baronową Krzeszowską:

*„Hej, użyjmy żywota!  
Wszak żyjem tylko raz;  
Niechaj ta czara złota  
Nie próżno wabi nas”<sup>8</sup>.*

Nieoceniony Jan Czeczot, nawet na imprezach okolicznościowych filomatów notował improwizacje Adama Mickiewicza, których ten nie szczędził swoim przyjaciółom, podekscytowany atmosferą i winem.

*„Rysunki, wina daliście łaskawie;  
Ja cóż wam przydam jeszcze?..  
Co mam, to wystawię,  
Oczy wytrzeszczę,  
Gębę rozdziawię”.*

*„Słuchajcie! Adam zaczyna,  
Bo się dobrze napił wina,  
I coś wam powie...  
Wiwat, Towarzystwa zdrowie!  
Niech się mu tak szczęście uśmiecha  
I tak ciągle płynie,  
Jak, wąż umoczywszy w winie,  
Adam wychylił kielicha”<sup>9</sup>.*

Mickiewicz powoli stawał się pierwszym autorem stowarzyszenia i nawet Tomasz Zan zorientował się, że nie dorównuje mu talentem. Nie protestował też, kiedy przyszły wieszcz żartobliwie dawał mu odczuć swoją przewagę:

*„Natura między nami  
Wielką położyła miedzę,  
Zan trzeźwy pisze wierszami,  
A ja cedzę, a ja cedzę.  
Lecz gdy winem leb naleję,  
Wiersz się składny wtenczas kupi...  
Zan milczy tak jak głupi,  
Adam jak wulkan ziej!”<sup>10</sup>.*

Pan Tomasz nigdy nie przekroczył przeciętnego poziomu twórczości, natomiast Adam dawał dowody talentu zarówno na trzeźwo, jak i pod wpływem alkoholu.

Mickiewicz improwizował po alkoholu również w późniejszych latach. Zachował się zapis jednego z takich jego popisów w Moskwie, a tym razem wieszcz nie był specjalnie subtelny:

*„Lejcie do szklanki!  
Bijcie w kieliszki!  
Wszyscy mężczyźni  
Moi braciszki,  
Wszyscy mężczyźni  
Każdy mój bliźni,  
Wszystkie kobiety  
Moje kochanki  
Bijcie w kieliszki!  
Lejcie do szklanki!*

*Wśród szczęśliwości  
Nie masz zazdrości,  
Porzućmy plotki,  
Śmieszki, zgryzotki,  
Kto tam gdzie szlocha,  
Kto się gdzie kocha,  
Wszystkie tam gaszki,  
Wszystko to fraszki!  
Smutki porzućmy,  
Tu się nie smućmy,  
Wśród szczęśliwości  
Nie ma zazdrości,  
Wszystko to fraszki,  
Dalej do flaszki!”<sup>11</sup>.*

Nie unikała alkoholu również polska emigracja romantyczna. Czasami trunków nadużywał nawet subtelny Fryderyk Chopin, a wówczas stawał się największą atrakcją wieczoru. Zachowała się relacja z jednego ze spotkań emigrantów, które początkowo przebiegało według utartego szablonu. Pojawił się Mickiewicz, zajrzał na chwilę Słowacki, podobno było bardzo nudno. Ale około północy „upił się Chopin i zaczął prześlicznie improwizować na fortepiano”.

Wydawać by się mogło, że muzycy powinni szczególnie uważać na alkohol, który osłabia sprawność manualną. I rzeczywiście, większość pianistów pijała tylko okazjonalnie, a



Ignacy Jan Paderewski, ćwiczący od kilku do kilkunastu godzin na dobę, w ogóle nie miał na to czasu. Ale był też jeden ważny wyjątek. Artur Rubinstein czasami w ogóle nie otwierał wieka fortepianu, twierdząc, że życie jest zbyt ciekawe, aby tracić je na ćwiczenia muzyczne. Był wielbicielem dobrego szampana (w dużych ilościach) oraz najlepszych cygar. Upodobania te nie przeszkodziły mu w zrobieniu oszałamiającej kariery.

Natomiast Paderewski znalazł inny sposób na psychiczne podbudowanie się podczas monottonnych ćwiczeń. Temu człowiekowi potrzebna była publiczność, a nie alkohol. Z *tournée* po Australii przywieziono zatem papugę, którą nauczono kilku słów po polsku. Gdy Paderewski grał, ptak siadał w pobliżu, a zaraz po zakończeniu utworu krzyczał przeraźliwie: „Brawo, mistrzu! Bosko, bis!”, ewentualnie pochylał głowę i szeptał: „O Boże! Jakie to piękne!”.

## KRÓL ŻYCIA

Rubinstein osiągnął sukces finansowy dopiero podczas I wojny światowej. Wcześniej, przez ponad dwadzieścia lat żył na koszt bogatych przyjaciół, a nie zwykł sobie niczego odmawiać. To była zresztą charakterystyczna cecha artystów *la belle époque*. Wprawdzie minęły już czasy literatów czy muzyków dworskich, jednak większość twórców z przełomu XIX i XX wieku zarabiała zbyt mało, aby samodzielnie utrzymać się przy życiu. Ale od czego byli bogaci sponsorzy i przyjaciele?

„Dzień rozpoczynał się późno - wspominał Rubinstein. - Śniadanie złożone z kawy, rogalików i miodu zjadałem zwykle w łóżku, czytając »Le Gaulois« [...] w południe, jeszcze w szlafroku, ledwie znajdowałem trochę czasu, by zagrać kilka pasaży na pley- elu, a już trzeba się było ubierać i iść na obiad [który] jadaliśmy zazwyczaj na miejscu, chyba że dla odmiany mieliśmy ochotę iść do prawdziwej restauracji. Popołudnia spędzaliśmy na wyścigach, jeśli akurat tego dnia się odbywały, lub hazardując się w którymś z paryskich klubów, albo też na prywatnej partyjce pokera - była to jedyna pora dnia, kiedy

mogłem czasami być sam i ćwiczyć lub czytać. O zachodzie słońca nowe spotkanie w barze wytyczało program na resztę wieczoru, a zwłaszcza na noc. Mieliśmy słabość do music-halli, do francuskich *café-concerts* w dolnej części Pól Elizejskich, przeważnie na świeżym powietrzu. [...] Po spektaklu oczywiście kolacja, zwykle u »Maxima«, gdzie mieliśmy zarezerwowany najlepszy, narożny stolik. Noc kończyliśmy najczęściej na Montmartrze, w którymś z kabaretów - szczególnie *en vogue*. Przez całą noc piło się wyłącznie szampana, rzadko też trafiałem do łóżka przed czwartą rano!”<sup>12</sup>.

W bardzo interesujący sposób potoczyła się znajomość Rubinsteina z Fiodorem Szalapinem. Rosyjski bas znany był z tego, że nie oszczędzał gardła zarówno na scenie, jak i przy stole. Panowie mieli sposobność poznać się bliżej przy okazji festiwalu d’Orange na południu Francji. Śpiewak polubił pianistę, który doskonale mówił po rosyjsku. Po latach Rubinstein wspominał dni spędzone z Szalapinem jako „najburzliwsze w życiu”.

„Szalapin przekraczał wszelkie granice przyzwoitości; każda niewiasta, zmysłowo obiecująca, padała ofiarą jego niezaspokojonego erotyzmu - i to najczęściej z zadowoleniem. Mimo to Mefistofelesa śpiewał znakomicie. Kiedy w przyćmionym, niebieskawym świetle wylaniał się z niszy w środku muru, pozornie nagi i z domalowaną muskulaturą, by w swój niezrównany sposób zaintonować długi *Prolog*, publiczność, podobnie jak w Paryżu, szalała z entuzjazmu. Jego triumfy czciliśmy w sposób tradycyjny. Inny przyjaciel śpiewaka, także mieszkający w naszej willi, miał szczególny dryg do wynajdowania atrakcyjnych kobiet w stosownym momencie. I dzięki temu stał się nad wyraz użyteczny. Tej nocy udało mu się sprowadzić cztery uroczę stworzenia ze środowiska teatralnego. Bohater wieczoru, wzmocniony się kilkoma wódkami, zapragnął wszystkich czterech dla siebie, ostatecznie pozostał jednak przy dwóch, resztę pozostawiając dla nas. Ta skromna orgia stała się pierwowzorem naszego codziennego programu i wyznać muszę, że była naprawdę

cudowna”<sup>13</sup>.

Jednym z wielbicieli talentu śpiewaka był sponsor Rubinsteina, Józef Jaroszyński. Zamożny ziemianin z kresów poprosił o przedstawienie go Szalapi- nowi, a pianista zaaranżował spotkanie. Zapowiedział przyjaciela jako studenta z Kijowa i panowie zjawili się u śpiewaka. Podwieczorek zakończył się jednak katastrofą.

„Stół nakryty był do podwieczorku w stylu rosyjskim z wódką, wędzonymi śledziami, sardynkami i zimnym mięsiwem - opisywał spotkanie Rubinstein. - Po paru wódkach wielki śpiewak oznajmił uroczyście:

- Otrzymałem list od mojego przyjaciela Gorkiego wraz z rękopisem jego ostatniego opowiadania. Jest przepiękne, koniecznie muszę je wam przeczytać - po czym wyszedł z pokoju, aby przynieść list.

Józef nie odezwał się dotąd ani słowem, opanowało go wzruszenie, spotęgowane jeszcze upałem i wódką. Szalapin z plikiem kartek w rękę usiadł i zabrał się do czytania. Potężny głos niósł się po całym pokoju, wypełniając go długimi, rozwlekłymi zdaniami Gorkiego o stepach, lasach i rzekach matuszki-Rosji, o głodzie, chorobach i nędzy. Długo słuchaliśmy w skupieniu, gdy nagle ku swemu przerażeniu zauważyłem, że Józef rozpaczliwie walczy ze snem. Daremnie otwierał szeroko oczy, na koniec zupełnie stracił panowanie nad sobą, głowa opadła mu na piersi i niebawem rozległo się chrapanie. Fiodor zerwał się z miejsca z morderczym błyskiem w oku. - Paszoł won! Paszoł won! - ryknął. - Ty sukinsynu, żebym cię tu nigdy więcej nie oglądał!

Zaciągnąłem nieszczęsnego przyjaciela, jeszcze oszołomionego i ze łzami w oczach, do hotelu, gdzie przesiedział, niepokieszony, cały dzień, a wkrótce potem wyjechał na rodzinne Podole”<sup>14</sup>.

W Warszawie Rubinstein poznał rosyjskiego kupca Żizina, nazywanego „królem kawioru”. Handlowiec zaprosił go do siebie na koncert do Astrachania, twierdząc, że dopiero tam naprawdę można się zabawić. Żizin znał Szalapina, ale uważał, że jego imprezy „to tylko żarty”. Rubinstein nie byłby sobą,

gdyby nie skorzystał z zaproszenia, nie przeraziła go nawet długa podróż koleją. Koncert w Astrachaniu zakończył się sukcesem, a następnie odbyła się uroczysta kolacja na cześć muzyka.

„Zaprowadził mnie do ogromnej sali hotelu, w którym się zatrzymałem - wspominał po latach pianista. - Stał tam olbrzymi stół, nakryty na jakieś trzydzieści osób, w środku leżał potężny, wydrążony blok lodu, wypełniony po brzegi świeżym, niesolonym kawiozem. Był to najznakomitszy kawior, jaki w życiu jadłem. Nim zdążyłem się zorientować, już wychyliłem dwie czy trzy wódki”<sup>15</sup>.

Czego i kogo tam nie było! Chór Tatarów śpiewający *a capella* poloneza „Wojskowego” A-dur Chopina i piękne, rozneglizowane kobiety. Jednak największe wrażenie zrobiły na nim miejscowe tancerki.

„Tureckie czy też perskie tancerki tańczyły taniec brzucha, szybkim ruchem to podrzucając obnażone łona, to obracając nimi wolno. Od czasu do czasu odwracały się i dla odmiany, ku wielkiej ucieście wszystkich widzów, wykonywały podobne ćwiczenia pośladkami”<sup>16</sup>.

Impreza trwała całą noc, Rubinstein dostał nawet ataku torsji, ale zaraz powrócił na salę. I dotrwał do końca orgii.

„Wczesny ranek na nowo ożywił przyjęcie. Podano królewskie śniadanie, zaczynające się od świeżej porcji kawioru wraz z nieodłączną wódką; po nim szły jaja, zimne mięsiwo, kielbaski, sery, a na koniec gorąca kawa i przeróżne rodzaje bułeczek, chleba, ciast, miodu i dżemu. Wszystko to trwało do południa, tak, że ledwie zdążyłem się spakować i złapać pociąg”<sup>17</sup>.

Rubinstein idealnie odnalazł się również w szalonych latach dwudziestych. Był już wówczas człowiekiem zamożnym, a pomimo przekroczonej trzydziestki wciąż lubił się zabawić. Nad Sekwaną wprowadzał w życie towarzyskie znacznie młodszego od siebie skrzypka, Jaszę Heifetza. Obaj muzycy wzięli kiedyś udział w corocznym balu studentów Akademii Sztuk Pięknych.

„[Widziałem ich] w paryskiej restauracji [...] w noc słynnego balu *Quat'z'Arts* - relacjonował ze zgrozą szwagier skrzypka

Samuel Chotzinoff. - Tej nocy [...] wszystkie narzucone cywilizacyjne więzy zostały zrzucone, uczestnicy zabawy pozwalali sobie na swobodę normalnie zakazaną lub potępianą. Rubinstein (w towarzystwie Jaschy Heifetza) miał na sobie cudaczną, długą do ziemi szatę bez rękawów, pod którą można było dostrzec błysk jego białej skóry. Równie nieodziane lub rozebrane osoby wpa- radowały do środka, pozornie nieświadome swojego dziwnego wyglądu. Niezgodne z przyjętymi normami zachowanie [...] gości na balu stało się tematem porannych gazet”<sup>18</sup>.

Bardziej szczegółową relację można znaleźć w pamiętnikach Rubinsteina. Jest ona drastyczna, albowiem nad Sekwaną w latach 20. bawiono się nie gorzej niż w Astrachaniu.

„Cała ogromna sala była zatłoczona. Pośrodku znajdowała się okrągła estrada. Dziewczęta, przeważnie modelki, miały na sobie lekkie tuniki korzystnie uwydatniające ich nagie ciała. [...] W miarę upływu czasu następowało coraz większe rozpasanie. Wiele tunik porzucono w loży na galerii będącej zaimprovizowaną garderobą. Taniec zamienił się w inny rodzaj zabawy doprowadzanej artystycznie do końca. Była to rzymska orgia, w porządku, jednakże wyobraźnia paryskich studentów według mnie znacznie przewyższyła wyobraźnię starożytnych Rzymian, z którymi chcieli rywalizować. Heifetz, lekko przerażony, patrzył na wszystko szeroko otwartymi oczami. Ujrzawszy śliczną modelkę gwałconą na estradzie przez dwóch przedsiębiorczych studentów [...], chciał już iść do domu w obawie, że za chwilę zjawi się policja, by aresztować »zbrodniarzy«. Uspokoilem go i zabrałem do garderoby, gdzie można było także wypić czarną kawę, tam jednak natknęliśmy się na osobliwą scenę - niemłoda już kobieta pilnująca garderoby chętnie pozwalała nastawać na swoją cnotę kilku nader ochoczym *amateurs*. Bardzo mnie to ubawiło, ale Jascha z wrażenia omal nie zemdlął”<sup>19</sup>.

Wracając rano z imprezy, obaj muzycy odwiedzili jeszcze lokal na Montmartre. Usunęli z estrady miejscowego skrzypka i pianistę i ku zachwytowi właściciela i gości grali przez kilka godzin.

## PROBLEMY NOBLISTY

„Jestem za absolutną prohibicją - pisał Witkacy w *Narkotykach* - ale muszę przyznać, że czasami, mimo że można by się ostatecznie bez niego obejść, alkohol załatwia mnóstwo nieporozumień, tak wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Według mnie powinien jedynie być dozwolony, do czasu, artystom i literatom, którzy wiedzą z absolutną pewnością, że w krótkim czasie mogą się »wyprztykać« i że bezwzględnie bez pomocy alkoholu nic by wartościowego nie stworzyli”<sup>20</sup>.

Naturalnym środowiskiem literata jest kawiarnia, a jak wiadomo, w tych lokalach pije się nie tylko kawę. I chociaż pisarze drugiej połowy XIX stulecia byli przepojeni ideami pracy organicznej i pracy u podstaw, to jednak znalazł się wśród nich jeden znaczący wyjątek. Władysław Reymont nie pasował do obiegowych opinii na temat literatów tej epoki, a o jego Nagrodzie Nobla pośrednio zadecydowało fałszerstwo medyczne.

Syn organisty z Tuszyna zawiódł bowiem nadzieje rodziny i prowadził mało budujący tryb życia. Od młodości uwielbiał kawiarnie, teatr i alkohol, w efekcie został wydalony z miejscowej szkoły. Dwukrotnie zniknął na dłuższy czas, przyłączając się do wędrownych trup aktorskich, planował też wstąpienie do nowicjatu paulinów na Jasnej Górze.

Na początku 1890 roku odwiedził w Częstochowie znajomego nauczyciela gimnazjalnego i zapalonego spirytystę o nazwisku Push (Puszow, Puschow?). Była to przełomowa chwila w jego życiu.

„Wchodzę - salon obszerny, osób ze trzydzieści kilka - pisał w liście do brata - wszyscy z jakimiś dziwnie nastroszonymi twarzami mnie przyjmują, powstając z miejsc. Pan Push zbliża się do mnie i, schylając głowę szeptem, »Bądź pozdrowiony«. Jestem zdumiony i mówię kilka słów usprawiedliwienia do pana Pusha, ten usuwa się w głąb salonu i całe zgromadzone

towarzystwo przechodzi przede mną, chyląc głowy i szepcząc: »Bądź pozdrowiony«. Wyobraź sobie moje zdziwienie. Dopiero po jakimś czasie dowiaduję się, że znalazłem się w kółku tak zwanych spirytystów i widzę przed sobą najwybitniejszych przedstawicieli tej mrzonki czy nauki w Europie”<sup>21</sup>.

Obecni nie bez powodu zebrali się w tym miejscu. Objawiono im bowiem, że 10 lutego 1890 roku o siódmej wieczorem pojawi się osobnik „wybrany do głoszenia i zwyciężania głosem materii”. Wobec tego zapewnili Reymontowi utrzymanie oraz pomoc naukową i od tej chwili losy przyszłego noblisty miały się potoczyć zupełnie inaczej.

Razem z grupą ezoteryków podróżował po Europie jako medium, a po powrocie do kraju napisał znakomicie przyjęty reportaż z pielgrzymki na Jasną Górę (tam też trafił). Niebawem pojawiła się jego pierwsza powieść (*Fermenty*) i tak z medium astralnego narodził się pisarz.

Wprawdzie otrzymywał godziwe honoraria i mógł wybierać w ofertach wydawniczych, jednak z reguły nie miał pieniędzy. Uwielbiał bowiem podróże, długie wizyty w kawiarniach i drogie alkohole. W ten sposób były czeladnik krawiecki i niedoszły organista brał odwet za swoje ubogie lata. Ale na to potrzebne były środki, bo wesołe życie w żadnej epoce nie jest tanie.

Z pomocą przyszedł mu wypadek kolejowy, przy którego okazji Reymont wykazał się kompletnym brakiem skrupułów. Trzynastego lipca 1900 roku pociąg, którym podróżował, wpadł na inny skład w okolicach stacji Włochy pod Warszawą. Zginęły dwie osoby, było wielu rannych, wśród nich właśnie Reymont.

Miał złamane dwa żebra, ale doktor Jan Roch Raum sfalszował diagnozę lekarską, podając liczbę dwunastu złamanych żeber. A co ważniejsze, dodał jeszcze orzeczenie, że z powodu wypadku ucierpi sprawność umysłowa pisarza, zatem zostanie on pozbawiony swojego warsztatu pracy. Dzięki temu Reymont dostał bardzo wysokie odszkodowanie (38,5 tysiąca rubli srebrem), które zapewniło mu niezależność finansową.

Od tej pory mógł prowadzić życie, jakie naprawdę lubił.

Podróżował, pisał i regularnie wprowadzał do organizmu duże dawki alkoholu. Powstało wówczas dzieło, które miało mu przynieść Nagrodę Nobla, czyli powieść *Chłopi*. Zgódźmy się co do tego, że rzadko kiedy pieniądze wydane przez kolej przynoszą tak dobroczynne efekty.

W Krakowie Reymont był osobą popularną w kręgach miejscowej bohemy, bo bez przerwy przesiadywał w kawiarniach, a mając gest, chętnie płacił rachunki za tutejszych artystów.

„Więc gdy przybył znów nazajutrz - wspominał Alfred Wysocki - powitaliśmy go hałaśliwie i serdecznie. [...] Reymont na razie leczył się zapamiętałe - na koszt dyrekcji kolei - w sanatorium nie pił i nie palił, za to u Schmidta stawiał sobie i nam gęste kolejki i opowiadał o swoim życiu”<sup>22</sup>.

Najlepiej pisało mu się jednak w Paryżu - twierdził, że tam godziny pracy są święte i nikt nie odwiedza go bez zapowiedzi. A popołudniami mógł włączyć się po knajpach, gdzie zwykle przesiadywał do późnej nocy. Na nic się zdały protesty żony - pisarz po prostu nie wyobrażał sobie innego życia.

Obyczajów nie zmienił również po powrocie do kraju. Osiadł w Poznańskiem i planował przekształcenie zakupionego dworu w Kołaczkowie na schronisko dla emerytowanych literatów. A że dobrze wiedział, co pisarzom jest najbardziej potrzebne, za-wczasu przygotowywał dla nich piwniczkę z dobrym winem. Chciał tylko, żeby po jego śmierci od czasu do czasu wypijano za niego kolejkę.

Nic z tego jednak nie wyszło. Reymont nie pozostawił testamentu, sądząc, że ustne polecenie wystarczy. Wdowa po nim miała jednak inne zdanie i sprzedała majątek. Ponownie wyszła za mąż, a wola zmarłego nie miała dla niej żadnego znaczenia. Starzejący się koledzy po fachu musieli poszukać sobie innego azylu, tylko że tam nikt nie myślał już o suto zaopatrzonej piwnicze...



## **Rozdział 2.**

### **W kręgu Przybyszewskiego**

#### MŁODA POLSKA POD WAWELEM

[...] gdy teraz patrzę na tę rozpitą bandę »Młodej Polski« (och!!!) z p.janem] Przybyszewskim zaślinionym, pijanym na czele, wstret mnie ogarnia - pisała w październiku 1898 roku Gabriela Zapolska. - To ani artystyczne, ani piękne. Przeciwnie, to robi wrażenie bandy pijanych pluskiew<sup>1</sup>.

Czy jednak można wyobrazić sobie Młodą Polskę bez postaci Stanisława Przybyszewskiego? A jego samego bez potężnych dawek alkoholu? I bez podążającej za mistrzem gromadki wyznawców?

„Czym był pierwszy okres pobytu Przybyszewskiego w Polsce dla nas wszystkich, którzyśmy mieli szczęście przeżyć go w najbliższym obcowaniu ze »Stachem«, trudno dać wyobrażenie w kilku słowach... trudno byłoby może dać je i w wielu słowach... - wspominał Tadeusz Boy-Żeleński. - Co on z nami robił, ten cudowny hipnotyzer dusz - nie wiem; na czym polegał ten magnetyczny wpływ, dobroczynny dla jednych, zabójczy dla drugich, ale tak mocny, że nikt nie mógł zostać nań obojętny? To pewna, że nie był to wpływ czysto literacki; Przybyszewski był jednym z tych artystów, którzy lubują się w kształtowaniu samego życia<sup>2</sup>.”

Przybyszewski okazał się doskonałym katalizatorem przemian. Jego twórczość nie przetrwała próby czasu, ale jego wpływ na współczesnych był wręcz nieprawdopodobny. Pojawił się w Krakowie we wrześniu 1898 roku, mając opinię człowieka, który oczarował niemiecką cyganerię artystyczną, oraz genialnego pisarza, z którego rodacy powinni być dumni. W kraju nic nie wiedziano o jego tragicznym życiu osobistym, o samobójstwie jednej z partnerek i o gromadce nieślubnych

dzieci. Toteż kiedy zawitał pod Wawel, potraktowano go jak bohatera narodowego.

„Na samym wstępie zastanowił mnie jeden człowiek - wspominał Przybyszewski - przystojny, starannie ubrany - przystanął nagle przede mną i powiedział jednym tchem: - Byłbym szczęśliwy, gdybym był cielakiem, z którego skóry pańskie buty wyprawione.

Przez chwilę cośkolwiek zgłupiałem, ale nie przeczę, że byłem wzruszony tą przemową.

[...] zaledwie włożyłem papierosa do ust, już znalazło się jakby na wyścigi kilka zapalek, nie zdążyłem jeszcze zawołać na kelnera, a już zjawiał się z całą tacą wódek i przekąsek - zapytałem, gdzie mogę mój czek zrealizować, a w tej chwili wypłacono mi zawartość tego czeku i to w samych pięcioguldenówkach, aby suma pokaźniej wyglądała. Okazało się, że ten pan, który wygłosił do mnie tę dziwną przemowę, był właścicielem fabryki fortepianów »Zdzisław Gabryelski« mieszczącej się na pierwszym piętrze narożnej kamienicy w Rynku: Krzysztofory - naprzeciw Kościoła Mariackiego»<sup>3</sup>.

Kraków był niewielkim, prowincjonalnym miastem na krańcach monarchii Habsburgów. Nie pełnił nawet roli stolicy Galicji, władze administracyjne urzędowały bowiem we Lwowie. Pod Wawelem rząd dusz nadal sprawowali konserwatyści, a ich organ prasowy, dziennik „Czas”, kształtował gusty kulturalne. I w tej zatęchłej atmosferze pojawił się Przybyszewski, który do „szklanki herbaty lał trzy czwarte koniaku” i twierdził, że „na początku była chuć”...

„Świt, filująca lampa dogasa, okno balkonu otwarte na ogród, z którego wnika chłód poranka i ćwierkanie ptaszków - opowiadał Boy. - Stach śpi głęboko w fotelu, cała jego gromadka, z zielonkawymi twarzami, kipi porozkładana, gdzie tam któremu padło, a w środku, pod stołem, leży młody medyk Szyszka, muzykalny jak Cygan, i rżnie może od godziny na skrzypcach *Znaszli ten kraj* Moniuszki. Gra, leżąc z głową wspartą o pustą flaszkę i raz po raz trąca smyczkiem o blat stołu, co oryginalnie rwie na strzępy tę płynną melodię, bogacąc ją kaprysem niespodzianek. Obok mnie Ludwik

Janikowski, ze swoją genialną trupią czaszką, zanosi się od płaczu, siedząc na podłodze. Zdaje się, że popłakujemy wszyscy, ale on szlocha, ryczy... A Szyszka gra i gra, aż wreszcie zmęczona ręka grajka wypuściła smyczek, zrobiło się cicho, Janikowski siorbał tylko nosem, i tylko ćwierkanie ptaszków, i chrapanie Stacha...<sup>4</sup>.

Przybyszewski nie potrafił żyć bez alkoholu, muzyki i towarzystwa. Wprawdzie twórcy o uznanych nazwiskach szybko się do Stacha zrażali, za to lgnęli do niego początkujący artyści, których nikt jeszcze nie znał. Z nich to właśnie rekrutowała się jego przypominająca sektę kompania, której członkowie wypełniali każde polecenie bezgranicznie uwielbianego mistrza.

„Zawsze kochałem obłąkanych, psychopatów, degeneratów, wykolejeńców - przyznawał Przybyszewski - ludzi niedociągniętych, spaczonych, takich, którzy śmierci szukają, a ta ich unika, jednym słowem: biednych, wydziedziczonych, dzieci Szatana, i oni mnie nawzajem kochali”<sup>5</sup>.

Gdyby nie Przybyszewski i jego demoniczna, obficie podlewana alkoholem osobowość, losy wielu krakowskich artystów zapewne potoczyłyby się zupełnie inaczej. Być może nigdy nie powstałby Zielony Balonik, a Tadeusz Żeleński pozostałby praktykującym lekarzem, lubiącym w wolnej chwili poczytać Balzaka. Inna sprawa, że losy części satelitów Przybyszewskiego okazały się wyjątkowo tragiczne, a większość z nich nie zrobiła karier, do których była predysponowana. Niektórzy zresztą zdawali sobie sprawę z własnych ograniczeń. Z pewnością należał do nich malarz Stanisław Czajkowski, który w chwilach upojenia alkoholowego tłukł głową o podłogę, krzycząc: „Boże, dałeś mi talent, ale mały...”

## WĄGROWIEC

„Jestem tylko meteorem, który na chwilę zabłyśnie - pisał o sobie Przybyszewski - na chwilę ludzkość straszy i przeraża, a potem nagle niknie - a szczęśliwy jestem, że tym

przeświadczeniem żyję. Droga meteorom wyznaczona jest miliard razy dłuższa aniżeli zwykłym gwiazdom (...). Być meteorom, to istotna moja tęsknota: zniszczyć na swej drodze kilka światów, roztopić je w sobie, wzbogacić się nimi i po miliardach lat znowu powrócić, stokroć gorętszym blaskiem rozplonąć, wieść nowe przemiany i wywody i znowu zniknąć - to, co w moich najkosztowniejszych snach przeżywam...

Niech zgasnę, czym prędzej zgasnę, bym mógł tylko we wzmożonej potędze powrócić”<sup>6</sup>.

Stanisław Przybyszewski urodził się na Kujawach. Był dwunastym dzieckiem wiejskiego nauczyciela z Łojewa koło Inowrocławia. Władze pruskie nieźle płaciły nauczycielom, toteż rodzina posiadała stabilne podstawy materialne. Dzięki temu chłopak mógł pobierać prywatne lekcje niemieckiego, które miały mu zagwarantować dobry start w gimnazjum w Toruniu. Ówczesny nauczyciel Przybyszewskiego Roman Żeromski odegrał w jego życiu ogromną rolę.

„Człowiek bardzo inteligentny, o wysokich aspiracjach artystycznych [...] chorzał namiętną manią, by zostać aktorem. W wolnych chwilach biegał po dużym ogrodzie [...] i deklamował - z pamięci - rolę Romea i Hamleta z takim zapalem, że nie zważał na to, iż chłopstwo obsadziło sztachety odgraniczające ogród od drogi prowadzącej przez wieś; zdaje się, że go to jeszcze więcej zapalało, bo grał swoją rolę z takbezpamiętnym zacietrzewieniem, że wkrótce cała wieś okrzyczyła go za wariata”<sup>7</sup>.

Żeromski kariery aktorskiej nigdy nie zrobił (ostatecznie został suflerem w prowincjonalnym teatrze), ale rozbudził wrażliwość młodego Przybyszewskiego na twórczość Szekspira. I już niebawem dwunastoletni uczeń gimnazjum mógł znajomością jego utworów imponować swoim niemieckim nauczycielom. Poza tym nie przykładał się jednak specjalnie do nauki, toteż na polecenie ojca przeniesiono go do gimnazjum w Wągrowcu. Tam kontrolowali go mieszkający w okolicy krewni, dzięki czemu bez większych problemów uzyskał świadectwo dojrzałości. Wtedy też poznał rodzinę Foerderów, z którą w dramatyczny sposób miało się spleść jego życie.

Jedną z pasji życiowych Przybyszewskiego była muzyka i w związku z tym chłopak został zaangażowany w charakterze nauczyciela gry na fortepianie w domu kupca bławatnego, Józefa Foerdera. Miał uczyć dwie z jego pięciu córek, Różę i Martę, które - zdaniem ich ojca - były najbardziej utalentowane muzycznie.

Przybyszewski wielkich sukcesów pedagogicznych nie odniósł, za to zawrócił obu dziewczynom w głowie. Sam zainteresował się starszą z nich, Różą, a młodszej Marcie przypadła rola przyzwoitki. Niezbyt sumiennej zresztą, bo Marta często ukrywała przed rodzicami nieobecność siostry albo też wychodziła z nią i Stanisławem na spacer, a potem pozostawiała ich samych. Jej czas w życiu Przybyszewskiego miał dopiero nadejść - wtedy nie wiedziała jeszcze, że nauczyciel muzyki będzie największą miłością jej życia i największym jej życia nieszczęściem...

## TRAGEDIA W BERLINIE

W kwietniu 1889 roku Przybyszewski pojawił się w stolicy Niemiec, gdzie rozpoczął studia na wydziale architektury miejscowej politechniki. Jego przewodnikiem nad Sprewą był starszy kolega z gimnazjum, Tomasz Pajzderski. Zamożny panicz był już zadomowiony w Berlinie i wprowadzał przyjaciela w życie studenckiego półświatka. A Przybyszewski okazał się bardzo pojętym uczniem.

Na pewno nie przejmował się specjalnie studiami. Z architektury przeniósł się na medycynę, po czym powrócił na poprzedni kierunek. W efekcie żadnego z nich nie ukończył, rozpoczął natomiast współpracę z „Gazetą Robotniczą”. W tym czasie w Berlinie pojawiła się Róża Foerder, ale jej uczucie do Przybyszewskiego należało do przeszłości. Dziewczyna związała się z rzeźbiarzem Franciszkiem Flaumem i nie chciała mieć już nic wspólnego ze Stanisławem.

O Przybyszewskim nie zapomniała natomiast jej młodsza siostra. W dniu imienin Stanisława, w maju 1891 roku,

pojawiła się niespodziewanie w berlińskim mieszkaniu Przybyszewskiego i została tam już na stałe.

Marta Foerder miała wówczas dziewiętnaście lat, była brzydka, bardzo chuda i zezowata, ale braki w urodzie nadrabiała miłym usposobieniem. Dziesięć miesięcy później na świat przyszło ich pierwsze dziecko, syn Bolesław. Przybyszewski nie myślał jednak o małżeństwie, nie uznał nawet swojego syna. Mimo to nadal mieszkali razem, a gdy w maju Stanisław objął redakcję „Gazety Robotniczej”, przeprowadzili się do mieszkania jego starszego brata. Przy tej okazji należy zauważyć, że w gronie berlińskich przyjaciół Przybyszewskiego w modzie było instrumentalne traktowanie kobiet. Nie poszukiwano partnerek intelektualnych, a żony i kochanki miały swoje ściśle określone miejsce.

„Były to szwaczki, które im ostatni grosz oddawały - tłumaczył Przybyszewski - a nie było wypadku, by artysta jej zaufanie zawiódł. Dawał jej swoje nazwisko, dzieci adoptował [...], bywały wypadki, że artysta nawet i prostytutkę wyzwolił spod straszliwego jarzma nadzoru policyjnego, a to chyba dosyć! W umysłowym życiu artysty kobieta niemiecka przeważnie żadnego udziału nie brała, brać nie mogła, a na jej plus-konto zapisać by można, że nie miała żadnych pretensyj, by jakąś rolę w życiu swego męża odgrywać.

Była trzykrotnym »K« - tym właśnie, czego Wilhelm II od kobiety wymagał: *Kind, Küche, Kirchel*<sup>78</sup>.

Partnerka życiowa Przybyszewskiego była w znacznie gorszej sytuacji niż jej niemieckie koleżanki. Ale Stanisław nie widział w tym nic złego.

„Historyk literatury niemieckiej z tego czasu nie będzie miał kłopotu z »kobietami«, które jakąś rolę odgrywały w życiu ówczesnych artystów: kucharki, szwaczki, co najwyżej nauczycielki szkół ludowych - i to bardzo rzadko - parę prostitutek, które nigdy nimi nie były, bo i w prostytucji może kobieta zachować najwyższą czystość, a swoją drogą nigdy nie zatraciła tego w trzykrotnym »K« wyrażonego ideału kobiety niemieckiej<sup>79</sup>.

Rok później Marta urodziła Stachowi kolejne dziecko, córkę

Mieczysławę, a wraz z powiększeniem się rodziny jej warunki życiowe znacznie się pogorszyły. W redakcji „Gazety Robotniczej” Przybyszewski zarabiał niewiele i praktycznie żył z pożyczek zaciąganych u przyjaciół. Jednak na wizytę w kawiarni pieniądze miał zawsze, choć trzeba przyznać, że za alkohol z reguły płacili inni.

„Poznałem ją jako bardzo prostą, wyraźnie zabiedzoną młodą niewiastę - wspominał Martę przyjaciół Przybyszewskiego, Franz Servaes - która nie odznaczała się ani urodą, ani inteligencją, lecz budziła sympatię przez swoje przywiązanie i swoją potulną cierpliwość, z jaką znosiła swój z pewnością nielekki los. Spędziliśmy parę godzin w beztrudnej komitywie, a uścisk dłoni, który późną nocą wymieniła na progu mieszkania z nowym przyjacielem, był tym razem gorętszy i więcej mówiący niż kiedy indziej”<sup>10</sup>.

Marta miała zapewnić Stachowi pełną obsługę - prac, gotować, zaspokoić seksualnie, cieszyć się, gdy przyniósł do domu pieniądze lub kupił coś do jedzenia. A w zamian nie dostawała praktycznie nic, tym bardziej że sama zbyt wiele nie chciała. Ze wszystkich kobiet Przybyszewskiego to właśnie ona była mu najbardziej oddana i najmocniej go kochała.

W tym czasie jej mężczyzna coraz bardziej angażował się w życie cyganerii berlińskiej. Zdobył uznanie jako autor rozprawy *Zur Psychologie des Individuums: Chopin und Nietzsche*, poznał Olę Hanssona i Augusta Strindberga. Dużą rolę w jego życiu odgrywała również przyjaźń z poetą Richardem Dehmelem. A przy okazji pił coraz więcej.

„Na stole znalazła się flaszka whisky i koniaku - opisywał spotkanie u Hanssona - służąca wniosła samowar - nalewało się do szklanek trzy ćwiertki wody wrzącej, a resztę whisky albo koniaku (napój ten zowie się w języku skandynawskim *toddy*) - rozpoczęła się pogawędka; oglądano nieznanego przybysza, którym byłem ja, trochę mnie zagadywano, pobłaźliwie po ramieniu klepano, boć już książczyzna moja *Chopin und Nietzsche* była znaną [...]”<sup>11</sup>.

Gdy mocno zmęczony Przybyszewski ostatnim pociągiem powrócił tej nocy do domu, na stole ujrzał dwadzieścia trzy

zapalone świece. Kochająca Marta pamiętała o jego kolejnych urodzinach i uczęściła je zgodnie z miejscowym obyczajem...

Stanisław pisał nie tylko rozprawy filozoficzne, ale zajmował się również poezją. I to z dobrymi rezultatami.

„[...] Dehmel - a było to już nad ranem po ciężkiej i parnej nocy letniej [...] - odczytał w gronie dwa razy już pijanych i dwa razy już całkiem wytrzeźwionych artystów mój poemat: *Wniebowstąpienie*. Pomnę tę głuchą ciszę, która potem zaległa, niespokojny i zdumiony obrzut oczu wszystkich obecnych: było to coś tak dla nich niebywałego, że zdawało się wszystkim, iż posłyszeli dzikie jakieś melodie z domu obłąkanych”<sup>12</sup>.

W marcu 1893 roku Stanisław poznał Norweżkę Dagny Juel i zakochał się w niej bez pamięci. Fascynacja była obopólna, Dagny dla Polaka porzuciła bowiem Strindberga. Podobno Przybyszewski poinformował ją o istnieniu Marty, a ona to zaakceptowała. Jak było naprawdę, tego zapewne nigdy się nie dowiemy.

Pół roku później Stanisław stracił posadę redaktora „Gazety Robotniczej”, przełożeni uznali bowiem, że jego sytuacja osobista uniemożliwia mu dalszą pracę. W raporcie do centrali PPS w Londynie stwierdzono, że pan redaktor prowadzi niemoralne życie, że z powodu żony (tzn. Marty) „pije, zajmuje się okultyzmem i dekadencją”. Nie wiadomo jeszcze, że w sierpniu Przybyszewski poślubił Dagny Juel.

Nie wiedziała o tym również Marta. Jej niewierny kochanek pojawiał się co pewien czas w domu i ponownie znikał. W tym czasie podróżował z Dagny, z którą odwiedził jej rodzinny kraj. A dla Marty jak zwykle nie miał pieniędzy, nie interesował się również losem dzieci. Utrzymywał z nią jednak intymne stosunki, toteż półtora roku po ślubie Przybyszewskiego z Dagny Marta urodziła mu trzecie dziecko. Niebawem ponownie zaszła w ciążę, ale to było dla niej zbyt wiele. 9 czerwca 1896 roku cierpienia Marty Foerder dobiegły końca, popełniła samobójstwo.

Przybyszewskiego oskarżono o współudział w tragedii i na dwa tygodnie wtrącono go do więzienia. Dagny zabiegała o



uwolnienie swojego legalnego małżonka będącego jednocześnie ojcem jej syna, Zenona Przybyszewskiego, który urodził się kilka miesięcy przed śmiercią Marty Foerder.

Przybyszewski kompletnie zignorował swoje dzieci ze związku z Martą. Bolesławem ostatecznie zajęli się jego krewni, natomiast Mieczysławę adoptowała zamożna rodzina. Tragiczny los spotkał najmłodszą córkę Janinę. Dziewczynka błąkała się po przytułkach, aż wreszcie zakończyła życie w zakładzie psychiatrycznym.

## DAGNY JUEL

„[...] była kobietą wprost oszałamiającą, w której zakochiwali się wszyscy mężczyźni i którą uwielbiały wszystkie kobiety - opisywał Dagny Franz Servaes.

- Była wysoka i szczupła, przy tym wężowato gibka, nosiła włosy luźno sfalowane, pnące się dookoła skroni i policzków, słowem, była w pewnym znaczeniu prototypem najbardziej uwielbianego rodzaju kobiety nowoczesnej. [...] Również intelektualnie była na poziomie zupełnie »modern« w każdym calu, a przez to jakby powołaną przez los do tego, żeby być żoną Przybyszewskiego, obrazoburcy w świecie literackim”<sup>13</sup>.

Stanisław po raz pierwszy w życiu spotkał kogoś tak niezwykłego. Dagny nie była cichą i oddaną szwaczką czy też krawcową, ale osobą będącą dla niego równorzędnym partnerem, a do tego jeszcze kobietą wyjątkowo urodziwą. Wszystko mu się w niej podobało - uczesanie, rysy twarzy i nienoszenie gorsetu. Poza tym odebrał ją Strind- bergowi, a to zwycięstwo musiało mieć dla Przybyszewskiego zupełnie wyjątkowy smak. Stosunki pomiędzy artystami uległy gwałtownemu pogorszeniu, natomiast Przybyszewski zachował dobre kontakty z innym byłym mężczyzną Dagny, Edwardem Munchem.

Dagny Juel była córką zamożnego lekarza z Kongsvinger, studiowała grę na fortepianie w Chrystianii (Oslo) i w Berlinie. W chwili poznania Przybyszewskiego miała dwadzieścia sześć

lat (była od niego o rok starsza) i kilka poważnych związków za sobą.

„Rzadko widziało się dwoje ludzi, którzy by przynależeli do siebie tak ściśle, przynajmniej wówczas! - kontynuował Servaes. - Widziało się ich zawsze razem, w nastrojach i zapatrywaniach harmonizowali najcudowniej i stanowili przez to pewną potęgę, przez jednych uwielbianą, u drugich zaś z powodu ich duchowej przewagi budzącą wręcz panikę. Nie mieli przy tym łatwego życia, bo bieda, a często głód, prawie nigdy ich nie opuszczały”<sup>14</sup>.

Otoczenie nie mogło się nadziwić, z jak naturalnym wdziękiem ta rozpieszczona mieszczańska córka znosiła biedę w Berlinie. Ciężkie warunki bytowe przyjmowała wręcz z entuzjazmem, z ochotą wchodząc w rolę muzy Przybyszewskiego. Bez większych oporów pożyczala pieniądze dla męża, nie unikała też udziału w jego libacjach alkoholowych.

Stałą bazą berlińskiej cyganerii była oberża (czy też winiarnia) Pod Czarnym Prosiakiem, gdzie prowadzono niekończące się dyskusje na temat sztuki.

„Pośrodku królował zazwyczaj Strindberg lub Dehmel, ale głównym koryfeuszem dyskusji był Przybyszewski dopóty, dopóki pijacki bełkot nie unieruchomił mu języka. Dostarczyć go do domu przy bladym brzasku dnia nie było rzeczą łatwą, przy czym Ducha [Dagny - S.K.] i ja lub ktoś inny utrudziliśmy się niezgorzej. W naszym podopiecznym tkwiły zuchwałe podstępny: już to taczając się próbował nam czmychnąć, już to zaczynał zaczepiać zuchwale - obraźliwymi słowami - spokojnych przechodniów lub nawet policjantów, już to starał się przeszkodzić nam jakimś innym niespodziewanym kawałem. Pośród zadyszeń, przekleństw i coraz to nowych wybuchów śmiechu udawało nam się w końcu przywlec uparciucha do jego mieszkania”<sup>15</sup>.

Każda rodzina musi z czegoś żyć, jednak Dagny nie była specjalnie wymagająca. Żyli z Przybyszewskim z dnia na dzień, odporni na wszelkie pokusy finansowe tego świata.

„Oboje, Stachu i Ducha, mieli bezdenną pogardę dla

jakiegokolwiek porządku - wspominała Ida Auerbach, żona Richarda Dehmela. - Wszelką myśl o jutrze uważali za coś śmiesznie niepotrzebnego. Pieniądzy nie mieli nigdy; wiosną szły zimowe suknie Duchy do lombardu, skąd je zabierała dopiero jesienią, gdy przyniosła w zastaw suknie letnie. Zawsze wypadły jej z torebki, kiedy była ze mną, kwity lombardowe, naturalnie, niezupełnie bez celu i z wdziękiem dziecka między jednym a drugim kąskiem potrafiła wykrzyknąć: »Prawda, Frau Isi, zanim odejdę, podaruję mi pani dwadzieścia marek!?»<sup>16</sup>.

Alkohol towarzyszył Przybyszewskim stale i praktycznie nie było dnia bez jego obecności. Na szczęście nie zawsze kończyło się równie drastycznie jak w oberży Pod Czarnym Prosiakiem. Czasami były to tylko mocno zakrapiane dyskusje, jak bowiem przystało na prawdziwych przedstawicieli cyganerii, Przybyszewscy mogli nie mieć pieniędzy najedzenie czy ubrania, ale na alkohol potrafili zawsze je znaleźć.

„Był to wielki ciemny pokój - wspominał wizytę u Dagny i Stacha Johannes Schlaf. - Zapadł już późny wieczór niedzielny. Na stole stały flaszki wina i koniaku. W szybkach dwóch pustych flaszek tkwiły płonące świece. Nadawało to wnętrzu coś z rembrandtowskiego półmierzchu. Gdy świece dopaliły się, nie było innych. Dehmel zerwał się i krzyknął, że chociaż jest niedziela, wszystkie sklepy zamknięte i pora tak spóźniona, postara się o nowe. Istotnie, wrócił wkrótce i przyniósł ich parę. Dagny grała na fortepianie porywająco. Potem przyszedł Stach, który był przed chwilą z jakąś wizytą. Wszyscy cieszyliśmy się z jego przybycia. Lidforss objął go i podniósł z radości do góry. Czytałem swój utwór pt. *Półcień*, który wszedł następnie do *Wiosny*. Zostaliśmy wszyscy do późnej nocy»<sup>17</sup>.

Pozostaje tylko zadać pytanie, skąd powrócił Przybyszewski w niedzielę wieczorem? Czy od Marty Foerder i jej dzieci? Jest to całkiem prawdopodobne.

## SKANDYNAWIA

Jednak nie tylko alkohol i bieda przysparzały kłopotów. Przybyszewski był bowiem człowiekiem lubiącym znęcać się psychicznie nad bliźnimi, a poza tym nie potrafił zapomnieć partnerce jej związku ze Strindbergiem. Chociaż Szwed wkrótce po zerwaniu z Dagny ożenił się, to problem pozostał aktualny. Toteż gdy na jednej z wystaw Stanisław dostrzegł popiersie Strindberga, nie mógł sobie odmówić przyjemności po znęcania się nad sobą i nad żoną.

„Zaprosiłam ich kiedyś do obejrzenia wystawy - opowiadała Ida Auerbach. - Gdy weszliśmy do małego wnętrza, stało pośrodku popiersie Strindberga. Strindberg był wówczas dla Stacha czerwoną chustą [...]. Przystąpił więc tuż do rzeźby i z uśmiechem pełnym bólu, a mimo to i przymilania się, zapytał: »Jest bardzo podobny? Czy bardzo działa na ciebie ten nowy widok jego twarzy? Czy jest to wyraz, który w nim lubiłaś?«. Każdym słowem - było to widoczne - wbijał sobie miecz w ranę, która prawdopodobnie była urojona”<sup>18</sup>.

Z drugiej strony Strindberg obsesyjnie nienawidził Przybyszewskiego. Nigdy nie zapomniał Stachowi, że ten odebrał mu kobietę. Publicznie opowiadał też o najbardziej intymnych epizodach związku z Dagny - o brudnych pokojach hotelowych, rozrzuconych ubraniach, śladach pudru na sofie, szpilkach do włosów leżących dookoła. I oczywiście o wyrzuceniu kochanki z pokoju. A w zamian Dagny twierdziła, że August nie sprawdził się jako mężczyzna...

„[...] Strindberg zwariował - skarżył się Przybyszewski - i wciąż mu się zdaje, że go współ z Munchem chce telepatycznie zamordować. Straszne rzeczy, co on o mnie w Paryżu opowiadał. Włosy mi na głowie stały, jak mi to wszystko opowiadano.

»Od powietrza, głodu, ognia i - Szwedów wybaw nas, Panie!«. Tak po dziś dzień śpiewa lud na Kujawach suplikacje”<sup>19</sup>.

Obraz Dagny w ramionach Strindberga prześladował Przybyszewskiego, który zadawał sobie pytanie, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby Szwed stanął jednak na wysokości zadania. Co gorsza, chyba sam zaczynał wierzyć w

swoje wizje. Poza tym lubił zadrećcać siebie i innych. Potrafił wmówić przyjacielowi, że Dagny jest w nim zakochana, po czym zostawiał ich we dwoje, a sam włóczył się po ulicach, rozmyślając, co teraz dzieje się w jego mieszkaniu. Tkwiła w nim dziwna potrzeba samoudręczenia i wciągał w tę grę kobiety, które go kochały.

Jednocześnie były to dla Przybyszewskiego czasy owocnej pracy pisarskiej - jeszcze w 1893 roku pojawił się jego poemat prozą *Totenmesse* (msza żałobna, w Polsce wydany jako *Requiem aeternam*), a rok później *Vigilien* (*Z cyklu Wigilii*). W kolejnych latach ukazywały się: *De Profundis*, *Im Malstrom* i *Satanskinder* (*Dzieci Szatana*). Utwory Przybyszewskiego cieszyły się ogromnym powodzeniem w kręgach miejscowej bohemy i wywarły duży wpływ na berliński ruch modernistyczny. Stach zdobył popularność i uznanie, pieniędzy jednak nadal mu brakowało.

Dagny stosunkowo często wyjeżdżała do rodzinnego kraju - możliwe, że w ten sposób odreagowywała nędzę i trudy życia w Berlinie. Czasami towarzyszył jej mąż, który podczas jednej z podróży poznał Henryka Ibsena i zrobił na nim dobre wrażenie. Natomiast w czasie pobytów w Norwegii nie mógł się nadziwić miejscowym obyczajom.

„To kraj bardzo dziwny - pisał w jednym z listów. - Nie wie tu nikt, co to znaczy zbierać majątek, każdy prowadzi dom jak u nas pan trzech wsi, pieniędzy gotówką nie ma, ale za to wspaniałe życie. Wątpię, czy mój teść mógłby w każdej chwili rozporządzać tysiącem koron, ale w domu są trzy służące i Zenona piastunka”<sup>20</sup>.

Przebywając u teściów, Stanisław jadał dużo ryb (nie znał nawet ich polskich nazw), smakowało mu mięso renifera, ale najbardziej przypadły mu do gustu potrawy z niedźwiedzia. Narzekał natomiast na brak owoców i białe noce, które utrudniały mu pisanie i wypoczynek. Ale miał u boku Dagny, a to w tej chwili było dla niego najważniejsze. I chyba nie pił wówczas zbyt wiele, bo nie zachowały się na ten temat żadne relacje.

„Jeszcze o jednym muszę wspomnieć: o harmonii głosów

obojga w rozmowie - opowiadała Ida Auerbach. - Stachu mówił łamaną, miękką niemieczyzną. Ducha umiała po niemiecku równie mało jak po polsku, lecz gdy tych dwoje ze sobą rozmawiało, brzmiało to jak najpiękniejszy dwugłos, rzekłbyś – mistrzowsko opanowana altówka i najsubtelniej do niej dostrojone skrzypce. Na wieki zostanie mi w uszach stapanie się tych jakby surdyną przygłuszonych tonów.

Kto znał Przybyszewskiego, kto tych dwoje - Stacha i Duchę - przyjął do serca, tego pamięć wzbogaciła się czymś takim, co tylko raz istnieje<sup>21</sup>.

### ZAPROSZENIE Z KRAKOWA

„[Przybyszewski] jakkolwiek Polak - pisał na łamach »Przeglądu Tygodniowego« Maciej Szukiewicz - włada językiem niemieckim przedziwnie. Odjął mu ciężkość niemieckiej prozy, nadał mu harmonię taką i taki rytm, że słusznie wyraził się o nim jeden z poetów niemieckich: on rozszopenizował nasz język. Główną też wartość jego stanowi, podług nas, nie filozofia jego, ale nadzwyczajny talent poetycki. Na popularność on liczyć [jednak] nie może, [...] krytyka, mająca na oku dobro społeczne, obrzuciła go i obrzuca interdylem za to, że jednostki mniej odporne i wrażliwe może rozstroić i ubezwładnić; kto jednak nosi w sobie iskry z ducha Za- rathustry, ten może i powinien zapoznać się z poetą, pełnym [...] piękności”<sup>22</sup>.

Opinia Szukiewicza znakomicie wyjaśnia fenomen Przybyszewskiego. Stach potrafił pisać po niemiecku inaczej niż rodowici autorzy znad Laby. I co ciekawsze, już w niedalekiej przyszłości miało się okazać, że jego niemieckie powieści tracą swoje walory po przełożeniu na język polski. Znikało to, co było w nich najistotniejsze - specyficzny język autora.

Tymczasem przebywając w Norwegii, Przybyszewski zapoznawał się z literaturą tego kraju i wyrabiał sobie o niej jak najgorsze zdanie. Uznał, że jest „najnędniejsza i najgłupsza w

Europie”, a powód tego, że to „świństwo pod osłoną Ibsena znajduje w ogóle” uznanie, leży wyłącznie w „zdumiewającej głupocie Niemców”. W czerwcu 1897 roku pozostawił spodziewającą się drugiego dziecka żonę w Kongsvinger i powrócił do Berlina, aby objąć redakcję czasopisma „Metaphysische Rundschau”. Miał nadzieję, że nowa posada zapewni mu oczekiwaną stabilizację finansową.

Nic z tych rzeczy, właściciele tytułu okazali się bowiem bezczelnymi oszustami, a nowe czasopismo zwykłym szalbierstwem. W efekcie Przybyszewski „rzucił to do diabła, a wydawcę spoliczkował”. Jego sytuacja na pewno się nie poprawiła - nadal był bez pieniędzy i nie miał ich nawet na to, by wyjechać do Dagny. Tymczasem żona po urodzeniu córki była w ciężkim stanie, poród okazał się bowiem wyjątkowo trudny i zagrażający życiu. Zdesperowany Stach usiłował sprzedać obraz Muncha i dwie rzeźby Gustava Vigelanda, jednak bez efektów.

„Muszę widzieć żonę, umarłą czy żywą - pisał do Alfreda Momberta - muszę ją widzieć, chociażbym miał popełnić przestępstwo, by to uskutecznić. To jest ta wielka wola, która mi nie pozwala pójść do domu obłąkanych”<sup>23</sup>.

Nie udało mu się uzyskać pożyczki, bo znajomi już dobrze wiedzieli, że nigdy nie zwraca długów. Na szczęście Dagny doszła do siebie i w połowie grudnia przyjechała do Berlina.

W tym czasie trwała już ożywiona korespondencja Przybyszewskiego z grupą krakowskich literatów, którzy za wszelką cenę chcieli ściągnąć go pod Wawel, bo dopiero teraz zorientowano się, że nowa gwiazda literatury niemieckiej, człowiek, którym zachwycali się krytycy, jest Polakiem.

„O nazwisku i egzystencji Przybyszewskiego dowiedzieliśmy się po raz pierwszy z wiedeńskiego tygodnika secesyjnego »Wiener Rundschau« z recenzji jego utworów *Zur Psychologie des Individuums*, *Vigilien* i *Am Meer*- wspominał wiele lat później Adolf Nowaczyński.

- Recenzja była pióra Franza Servaesa, który miał u nas pełny kredyt i rodzaj kultu. W recenzji zaznaczone było wyraźnie »ein Pole...« gra Chopina... demonolog! Wobec czego... od razu

wszystko sprawdzać galopem, co napisał!... Równocześnie zaś napisałem do Przybyszewskiego dwa listy olbrzymich rozmiarów [...] kładące mu pod stopy laur od całego Kółka Literackiego, wzywające go do powrotu na »ojczyzny łono« i ofiarowujące buławę hetmańską pierwszej awangardy Młodej Polski”<sup>24</sup>.

Przybyszewski odpowiedział po kilku tygodniach, co wprawiło jego krakowskich wielbicieli w prawdziwą ekstazę. Zapowiedział swój przyjazd, przesłał również wspólną fotografię z Dagny.

„Na nadzwyczajnym, walnym, uroczystym, specjalnym posiedzeniu Kółka Literackiego w knajpie Leszina - kontynuował Nowaczyński - orędzie »Przybysza« zostało przeze mnie wśród frenetycznych wiwatów, drżącym od wzruszenia i alkoholiów głosem najgłośniejszym, jak to możliwe, odczytane, po czym wśród okrzyków admiracji fotografia puszczona w obieg. [...] I dość secesji i minoderii, i miłostek!. [...] »Na początku była chuć!... Na scenę wchodzi Androgyne! Musimy być wszyscy »dziećmi Szatana«, i to za każdą cenę! [...] Trzeba się szybko włączyć we wszelkie arkania okultyzmu i priapizmu [...], włączyć nieco w kabałę i prostować ścieżki pańskie, mościć drogi przed przybyciem Najśamszego! Czarne msze nas czekają, przy których będziemy ministrantami i akolitami”<sup>25</sup>.

Przybyszewski idealnie trafił w swój czas i w potrzeby młodego pokolenia. A na marginesie zauważyć wypada, że dość oryginalne poglądy prezentował wówczas Adolf Nowaczyński - późniejszy ideolog „Myśli Narodowej” i publicysta katolickiej „Tęczy”...

## EUROPA

Przybyszewscy rozważali już przeprowadzkę do Krakowa, ale na razie wyjechali do Hiszpanii na zaproszenie Wincentego Lutosławskiego. Słynny filozof i mesjanista planował przeprowadzić studia etyczne na dwóch kochających się parach



i w tym celu zaprosił do siebie Tadeusza Micińskiego z narzeczoną oraz Stacha z Dagny. Przesłał nawet do Berlina dziesięć funtów (dwieście marek), aby Przybyszewscy mogli bez problemów dotrzeć do Playa de Mera w prowincji A Coruña, gdzie filozof osiadł ze swoją hiszpańską żoną. Można przypuszczać, że sam Lutosławski do końca nie wiedział, jaki materiał wybrał sobie do badań...

Przybyszewscy dotarli na miejsce pociągiem, a Lutosławski niebawem przekonał się, że Stach nie ma nic wspólnego z etyką czy moralnością. Uznał go za „bardzo nie doksztalconego, zarozumiałego samouka, który miał dosyć mętne wyobrażenie o filozofii i pewne pretensje do okultyzmu”. Dostało się również Dagny, która była tak „ślepo uległa każdej zachciance swego nieroztropnego i nieobliczalnego kochanka”, że wydawała się „raczej manekinem niż osobą godną miłości”. Osobnym natomiast problemem w domu filozofa stał się alkoholizm jego gościa.

„W Mera na próżno usiłował zdobyć sobie silniejszy napój niż wino krajowe, którym go przy posiłkach kornie częstowałem - skarżył się Lutosławski.

- Ostrzegłem sąsiadów, że w razie gdyby się upił, dostałby ataku morderczej furii i wszystkich nas pozabijał - więc jego usiłowania w tym kierunku były bezowocne i wyrzucał mi, że go narażam na piekielne katusze. Ale stanowczo broniłem go od nałogu i musiał wytrzymać”<sup>26</sup>.

Wytrzymał aż dwa miesiące, po czym zbuntował się i razem z żoną wyjechał. Lutosławski wspaniałomyślnie zaopatrzył ich w pieniądze na podróż, chociaż Przybyszewski już wcześniej zorganizował sobie pożyczkę od szwagra. Dzięki temu mogli odwiedzić Madryt i Toledo, by podziwiać tam malarstwo Goi i El Greco. Z Hiszpanii pojechali do Paryża, gdzie niespodziewanie dostali szczerą zapomogę od Ignacego Paderewskiego. Słynny wirtuoz zawsze miał gest wobec rodaków będących w potrzebie, toteż po otrzymaniu informacji o „ubogim geniuszu literackim” przekazał do Paryża aż pięć tysięcy franków. Była to największa suma, jaką Przybyszewski w życiu posiadał. Umożliwiła mu ona spłacenie długów, a także

wspomożenie rodziców w kraju. Stach bowiem nigdy nie był skąpy, tylko z reguły nie miał gotówki, a zresztą „każdy nie przepity pieniądz wydawał mu się zmarnowany”...

„Żyjemy w Paryżu bardzo samotnie w malutkim hotelu, lecz z okien naszych widać cudowne niebo i wielki ogród kasztanów - pisał w jednym z listów. Niewypowiedzianie piękne i człowiek zapomina o wszystkim, o Berlinie i wydawcach, i samym Paryżu”<sup>27</sup>.

W tych dniach Przybyszewski faktycznie starał się zapomnieć o interesach, albowiem otrzymał informację o bankructwie swojego berlińskiego wydawcy. Wiadomość ta zapewne wywarła wpływ na decyzję o przenosinach do Krakowa. Ustalili, że na początku Stanisław pojedzie bez rodziny, a dopiero po zainstalowaniu się na miejscu ściągnie do siebie Dagny z dziećmi. Tak też się stało i Przybyszewski we wrześniu 1898 roku pojawił się pod Wawelem.

## KRAKÓW

„Przybył w momencie, można rzec, opatrnościowym - wspominał Tadeusz Boy-Żeleński. - Był to okres nowej wiosny we wszystkich gałęziach sztuki. Teatr z Pawlikowskim, Szkoła Sztuk Pięknych z plejadą nowych i świetnych nauczycieli, młode czasopismo »Życie« [...] wszystko puszczalo pędy, ale wszystko dławilo się po trosze w dusznej atmosferze małego Krakowa”<sup>28</sup>.

Już następnego dnia po przyjeździe Przybyszewski odwiedził siedzibę „Życia”, w którym miał objąć stanowisko redaktora naczelnego. Podczas wizyty zachowywał się tak, jak można się było spodziewać.

„[...] z rozrzewnienia patriotycznego tak się urzynał - wspominał Adam Grzymała-Siedlecki - że już tylko bełkotem wypowiedzieć mógł powitalny dla »Życia« komplement: »Przychodzę z tym - jakże mu tam - czolobiciem dla prapolskiego organu literackiego i jego potężnych kierowników - dajcie mi, rany boskie, trochę czarnej kawy, rodacy!« - po

czym się rozszłochał i zapewnił nas, że jest wielkim grzesznikiem, »którego nie ominą ognie piekielne, i jakbyście do kawy mieli trochę koniaku - to i koniaku«<sup>29</sup>.

Przyjazd Przybyszewskiego wywołał w Krakowie ogromne zainteresowanie. Xawery Dunikowski twierdził nawet, że gdyby Przybyszewski szedł po ulicy obok Chrystusa, praktycznie nikt nie zwróciłby uwagi na Zbawiciela, za to wszyscy interesowałiby się Przybyszewskim.

Stach nie byłby jednak sobą, gdyby potrafił dojść do porozumienia z literatami starszego pokolenia. Wprawdzie złożył oficjalną wizytę dotychczasowemu redaktorowi naczelnemu „Życia” Ignacemu Sewerowi-Maciejowskiemu, jednak już niebawem ich stosunki się skomplikowały.

„[Przybyszewski] pospieszył oczywiście na Batorego z homagialną wizytą - kontynuował Grzymała-Siedlecki - i zapewnił autora *Matki*, że widzi w nim polski prañ i okadził go wszystkimi swoimi wysokimi »c« stylistycznymi, ale przy pierwszym podchmileniu zaczął już do starego mówić per »ty« i per »robaczku«, co nie w smak było sandomierskiemu kasztelanowi; aż wreszcie któregoś dnia, tego już zalany, zainteresował go: »Słuchaj, Sewer, czy to prawda, co mówią, że w Dębicy sprzedałeś na jarmarku komuś konia z przyprawionym ogonem?«. Autor *Bajecznie kolorowej* nie mógł się nie obrazić, ofuknął »smarkacza« i stosunki mocno się nadwerężyły»<sup>30</sup>.

Przybyszewski w ogóle nie potrafił rozmawiać ze starszymi od siebie twórcami. Gdy pojawił się u niego Henryk Sienkiewicz (autor *Trylogii* lubił kokietować młodych pisarzy), długo nie mogli znaleźć wspólnego tematu do rozmowy. Wreszcie inicjatywę przejął Przybyszewski i zagłębując Sienkiewiczowi głęboko w oczy, zaproponował uroczyście: „Panie Henryku, napijmy się wódki”.

Z młodszyymi, traktującymi serio swoje pisarstwo, też nie było lepiej. Tym bardziej że Przybyszewski często nie pamiętał, co robił po alkoholu. Doświadczył tego nieco później, już w Warszawie, krytyk literacki Jan Lorentowicz, którego Stach zaprosił do siebie „na zajęczka”. I oczywiście nazajutrz, po

obudzeniu się, niczego nie pamiętał.

„[Lorentowicz] ubrał się, jak przystoi, w żakiet i przybył punktualnie. Stach powitał go z pewnym zakłopotaniem; coś mu widocznie świtało w głowie; przez dobrą godzinę zabawiał gościa, jak gdyby oczekując cudu, aż w końcu z nagłą determinacją pochylił się do jego ucha i rzekł: »Zajączka jakoś nie ma, ale pożycz pan rubla, to pošlę po wódkę«”<sup>31</sup>.

Nie było natomiast problemu z poetami rówieśnikami, którzy mieli pozytywny stosunek do napojów wysokokowych. Legendą obrosło pierwsze, krakowskie spotkanie z Janem Kasprowiczem, podczas którego obaj artyści przekroczyli wszelkie cywilizowane normy spożycia alkoholu.

„[Przybyszewski] koniecznie chciał czymś go obdarować - opowiadał Zdzisław Dębicki - że jednak nie miał nic pod ręką, przeto zrzucił z siebie surdut, zdjął kamizelkę kolorową w kwiatki, najcenniejszy przedmiot, jaki w garderobie swojej posiadał, i tę kamizelkę gwałtem mu na pamiątkę ofiarowywał”<sup>32</sup>.

Kasprowicz tak się rozczulił, że po zamianie kamizelek chciał, by zamienili się również portfelami, ale na szczęście został powstrzymany. Przybyszewski przecież, jak zawsze, nie miał pieniędzy.

Jednak alkoholowe ekscesy to tylko jedna strona działalności Stacha w Krakowie. Pełnię swoich możliwości pokazał, redagując „Życie”. Zamieszczał tam tłumaczenia własnych utworów, drukował w całości *Warszawiankę* i *Kłatwę* Wyspiańskiego, a także utwory młodych, nieznanych jeszcze twórców. Znalazło się oczywiście miejsce dla najlepszych nazwisk europejskiej moderny, a za stronę graficzną pisma odpowiadał Wyspiański. „Życie” było czasopismem na wysokim, międzynarodowym poziomie.

## UCZNIOWIE CZARNOKSIĘŻNIKA

Przybyszewski nie potrafił żyć bez muzyki, oboje z Dagny byli zresztą dobrymi pianistami. Żona grała głównie Griega,

Schumanna i norweskie melodie ludowe, natomiast Stach specjalizował się w interpretacjach Chopina. O jego grze krążyły sprzeczne opinie - byli tacy, co wynosili ją pod niebiosa, natomiast inni w ogóle odmawiali jej jakichkolwiek wartości artystycznych.

„Dziwnie czytało się w różnych relacjach sądy o jego grze - przyznawał Tadeusz Boy-Żeleński. - Jedni pisali o niej poematy, gdy inni traktowali ją jako fuszerkę. Różnica w kącie widzenia: tak jakby poetę, który cudownie mówi wiersze, sądzić z punktu techniki deklamacyjnej. Nam nie przeszkadzały jego niedomagania techniczne; wszystkie przypadkowe fałsze czy brutalności, nieoczekiwane fortissima i wściekle kaprysy rytmiki, wszystko to służyło razem w jakąś tragiczną pieśń, która duszę wywlekała z człowieka. Może to były wariacje alkoholu na temat Szopena - transkrypcja Spirytus-Chopin jak jest Busoni-Bach - ale transkrypcja nieporównana. A do tego sam Stach przy fortepianie! - kto go widział, ten go nie zapomni”<sup>33</sup>.

Gdy zmęczony Przybyszewski odchodził od instrumentu, zastępował go Stanisław Sierosławski (Stasinek). Stawiano „przy nim kielich wódki, niby szklanek wody przy prelegencji” i chłopak grał polskie melodie ludowe. Przybyszewski słuchał, prosił o więcej, aż wreszcie „spędzał Stasinka i rzucał się na instrument, i bestwił się nad nim jeszcze w polonezie Szopena”. Po czym całkowicie wyczerpany zasypiał.

W kompanii Przybyszewskiego Sierosławski pełnił wyjątkową rolę. Był bowiem kimś w rodzaju „honorowego marszałka dworu”, a jego obowiązki obejmowały: „niańczenie dzieci, przepisywanie i tłumaczenie rękopisów, chodzenie po wódkę” oraz zdobywanie pieniędzy na utrzymanie domu, co w praktyce oznaczało poszukiwanie nowych sponsorów lub pożyczkodawców.

„Nie dotrzeźwieni Przybyszewscy rano chrapią jeszcze w łózkach, a Stasinek już tu jest! - relacjonował Grzymała-Siedlecki. - Już konferuje z kucharką Katarzyną, rozsyła gońców (właściwie siebie samego) do zamożniejszych wielbicieli wodza, by wycygnąć od nich z 5 guldenów na

dzisiejsze potrzeby aprowizacji, uspokaja, nasycą obietnicami nadchodzących sklepikarzy-wierzyteli, myje czteroletniego Zenonka [...], utaja przed panią domu listy adoratek Stacha, kołysze Yvi, roczną córeczkę mistrza, a równocześnie (dosłownie równocześnie) przekłada na język polski *Satanskinder*”.<sup>34</sup>

W otoczeniu Przybyszewskiego nigdy nie brakowało ciekawych postaci. Malarz Stanisław Czajkowski (ten od małego talentu i walenia głową w podłogę) zawsze miał pod ręką koncepcję udowadniającą, że inni są bardziej pijani od niego. Krążąc kiedyś nocą po dworcu kolejowym w Krakowie (najdłużej czynny lokal z wódką w tym mieście), tłumaczył kompanom, że wszyscy przyszli tam po prostu pić, tylko „kufarki hycle dla niepoznaki pobrały”. A następnie wbił zęby w wargi przerażonego, czeskiego konduktora, krzyżąc: „Usta mi twoje daj, chcę kąsać twoje usta!”.

Czajkowski ożenił się z pewną ekscentryczną hrabianką, która miała zwyczaj regularnie wypominać mężowi różnicę urodzenia. Skarżył się, że gdy „rano mył zęby kalodontem”, to małżonka wrywała mu pastę: „A dziadu jeden, woła, czyś ty wiedział przed tym, co to kalodont?”.

Ale nie tylko Czajkowski zawarł dziwne małżeństwo. Jeszcze bardziej niekonwencjonalny był związek geologa Józefa Grzybowskiego.

„Ukończył nie wiadomo czemu prawo, którego nie znośli, studiując jednocześnie umiłowaną geologię - opowiadał Boy. - Skończywszy prawo, oddał się wreszcie geologii, której później miał zostać profesorem. Miał cudowny węch do wykrywania nafty, wciąż wzywano go na eksperta, co mu dawało duże zarobki. Był opatrnością finansową Stacha, którego uwielbiał. Tenże Grzybowski, zakochawszy się w młodej paninie, ożenił się, też nie bardzo wiadomo czemu, na złość paninie, z jej ciotką, starszą od niego o jakie lat trzydzieści. Była to zresztą sympatyczna osoba, piła z nami wszystkimi bruderszaft, mówiliśmy jej »wiedźmo«, co przyjmowała do brodu, mimo że w istocie, w chwilach pijaństwa, wnosila lekki zapaszek Łysej Góry. Geolog również skłonny był pić obficie,

przy czym kiwał w milczeniu głową nad swoim zwichniętym życiem”.<sup>35</sup>

„Kogóż by jeszcze wspomnieć? - zastanawiał się Boy. - »Szczep« [Jan Szczepkowski - S.K.], rzeźbiarz, dziś europejski laureat, wówczas przez całe dni modelował z gliny potężne *phallusy* i polichromował je niczym Stare Miasto; mieszkał zaś - dla kontrastu - z wstydliwym jak panienka i rumieniącym się muzykiem Kaziem Krzyształowiczem”<sup>36</sup>.

Ciekawy sposób na rozwiązanie problemów uczuciowych znalazł inny z satelitów Przybyszewskiego, krytyk Konrad Rakowski. Zakochał się w pewnej dziewczynie, która pozostawała odporna na jego zabiegi. Zdesperowany napisał do niej gorący list miłosny, który był przepisany co do słowa fragmentem jednej z powieści Stacha. Cel swój osiągnął: „panna natychmiast padła mu w objęcia i pobrali się”.

## TADEUSZ ŻELEŃSKI

Pobył w Krakowie okazał się dla Dagny prawdziwą szkołą przetrwania. Do znanych już wcześniej problemów - alkoholizmu męża i ciągłego braku pieniędzy - doszła jeszcze bariera językowa. Wprawdzie wszyscy przyjaciele Stacha mówili po niemiecku, ale zakrapiane, nocne rozmowy prowadzili wyłącznie w swoim ojczystym języku. Wówczas pani Przybyszewska spokojnie kładła się na paltach zalegających sofę i zasypiała. Z dużym spokojem, wręcz z królewską dystynkcją nosiła też stare, używane suknie i „ze wzgardliwym nieco wdziękiem” przywoziła pijanego do nieprzytomności męża do domu.

Najbliższym powiernikiem Dagny stał się Tadeusz Żeleński. Studiował wówczas medycynę, której nie znosił, hazardowo grał w karty i - podobnie jak reszta otoczenia Przybyszewskiego - wlewał w siebie hektolitry alkoholu.

Małomówny i zamknięty w sobie Tadeusz świetnie się czuł przy Norweżce. Grali razem w bilard, on tłumaczył jej na niemiecki utwory Wyspiańskiego. Pieniądze wygrywane

czasem przy karcianym stoliku przeznaczał na jej potrzeby: kwiaty, drobne prezenty albo też zapłacenie „zapóźnionego rachunku”. Często widywano go, jak rano robił zakupy i odnosił je do mieszkania Przybyszewskich. Zdobył się również na gest, który jednoznacznie świadczył o jego miłości do Dagny, a przy okazji o przywiązaniu do Przybyszewskiego.

„Wiecznie deficytowego autora *Confiteor* przycisnęło któregoś dnia ponad zwykłą miarę - relacjonował Grzymała-Siedlecki - i bez 2000 guldenów, które z nieba chyba nie spadną, dalsza egzystencja nie była możliwa. Tu na widownię wkracza Boy: dowiedział się, że ck ministerstwo marynarki wojennej rozdaje stypendia w wysokości 2000 guldenów studentom medycyny, którzy po uzyskaniu doktoratu muszą za to odsłużyć trzy lata na jednym z okrętów w charakterze lekarza okrętowego. Więc można mieć 2000 guldenów dla Przybysza! Tak, ale trzeba jeszcze przynajmniej dwa lata studiować antypatyczną naukę, potem poddać się męczeństwu egzaminów (przy jego inklinacjach - męczeństwo bez przenośni) - i wreszcie skazać się, tak jest! - skazać się dobrowolnie na trzy lata nudy, oglupiania się, włóczenia się na Adriatyku z jakiegoś Zadam do jakiegoś Dubrownika czy Skutari w towarzystwie brutalnych na morzu, a pijanych na lądzie marynarzy”<sup>37</sup>.

Ale do czego nie jest zdolny zakochany mężczyzna? Boy bez wahania podpisał cyrograf i wręczył Przybyszewskim pieniądze. Wiele one w życiu Stacha nie zmieniły, ale ten czyn chyba najlepiej świadczy o sile uczucia Żeleńskiego.

Nigdy nie ustalono, jak daleko zaszły sprawy pomiędzy Dagny i Tadeuszem. Boy, który bez skrupułów wchodził w życie prywatne Mickiewicza czy Sobieskiego, we własnych sprawach okazał się wyjątkowo dyskretny. Wiadomo jednak, że w pewnym momencie Norweżka zerwała tę znajomość i że Żeleński bardzo cierpiał z tego powodu. Upokorzony powrócił na studia, co nie przeszkadzało mu w upijaniu się wiśniówką w towarzystwie Przybyszewskiego (Dagny w tym czasie przebywała poza Krakowem). O dalszym biegu rzeczy zdecydował przypadek - Żeleński, wracając z kolejnej libacji, zasnął na zaśnieżonych Plantach i nabawił się ciężkiego zapalenia płuc.



Chorował przez ponad dwa miesiące, a kiedy powrócił do zdrowia, Przybyszewskiego nie było już pod Wawelem. Natomiast wyplątanie się z lekkomyślnego zobowiązania wobec austriackiej marynarki kosztować go miało w przyszłości wiele trudu.

## ANIELA I JADWIGA

Przybyszewski regularnie występował z odczytami, których tematy rzucają ciekawe światło na jego osobowość (*Magia czarna i satanizm, Mistyka a Maeterlinck* oraz seria prelekcji o Chopinie). Odczyty cieszyły się ogromnym zainteresowaniem, a prelegent potrafił rzucić na słuchaczy wręcz hipnotyczny urok. Jego charyzmie poddawali się nawet ludzie mający dość krytyczne spojrzenie na niego.

„Odczyt Przybyszewskiego [był] dziwny, ale nadzwyczaj zajmujący - pisała Helena Pawlikowska. - Nie dziwię się, że młodym głowy przewraca, bo i mnie ciągle po głowie chodzi to, co on mówił, a w głosie jego, sposobie wygłaszania jest jakiś dziwny hipnotyzm, mimo że ruchy jego, mowa, głos są pełne prostoty i spokoju”<sup>38</sup>.

Magnetyzmowi osobowości Stacha ulegały również aktorki, które brały udział w krakowskich inscenizacjach jego utworów. Wprawdzie z reguły uważały go za degenerata i hochsztaplera, ale w bezpośrednim kontakcie często zmieniały zdanie. Tak stało się z Ireną Pomian (później znaną jako Irena Solska), z którą Przybyszewski umówił się, aby porozmawiać o interpretacji roli Olgi w dramacie *Dla szczęścia*:

„Usiadłam na kanapie za stołem, na którym leżały święte obrazki. Niańka wniosła do pokoju malutką Iwkę i posadziła ją na stole. Iwka rączynami nieco brudnymi zaczęła się bawić obrazkami. Przybysz kochał dzieciaczynę bardzo. O każdym świętym i świętej opowiadał malutkiej niestworzone banialuki - całe szczęście, że dziecko nic nie rozumiało. A ja czekałam i czekałam, kiedy zacznie analizować, wyjaśniać małe zrozumiałą dla mnie Olgę. Przybysz poczęstował mnie piwem.

Kiedy odmówiłam, sam się zaczął zatruwać wódką. Mówił, ale nie o Oldze, lecz o Dagny. To były zwierzenia bardzo interesujące, ale dla mnie krępujące, niemiłe. - Robaczku, uważasz... - Zrezygnowałam z uzyskania jakichkolwiek wyjaśnień, podniosłam się, oświadczyłam, że muszę już iść, bo późno. Przybysz, zatopiony w myślach o pięknej, niezwyklej Dagny, wyszedł wraz ze mną. Już na ulicy bardzo pięknie mówił o Hiszpanii, obcym, nie znanym mi kraju. Och, to nie była noc stracona; słuchając, patrząc, nauczyłam się bardzo wiele”<sup>39</sup>.

„Niezwykła Dagny” miała już jednak dosyć życia w Krakowie i wyjechała do Zakopanego. Nie chciała być świadkiem kolejnych ekscesów męża i nachodzenia domu przez hordy wierzycieli. To, co wydawało się jej ciekawe w Berlinie, teraz stało się codziennym koszmarem.

Osamotniony Stach pojechał na kilka dni z odczytami do Lwowa i poznał tam dwie kobiety, z którymi jednocześnie (!) nawiązał romans. Oba te związki miały mieć swoje daleko idące konsekwencje.

„Mieszkam u Jasia Kasprowicza, który nawiasem mówiąc, zrobił się abstynentem - pisał do Dagny.

- Żona jego jest najśłodszyim stworzeniem, jakie pomyśleć można, i bardzo subtelna, bardzo filigranowa, bardzo piękna. Oboje kochają mnie bezgranicznie”<sup>40</sup>.

Kasprowicz również nie był wzorowym mężem. Podczas pobytu Przybyszewskiego faktycznie już nie pił, ale wcześniej nie wylewał za kołnierz. Regularnie brał udział w libacjach w lwowskich kawiarniach i restauracjach, zdarzyło mu się również spędzić w ulubionym *Atlasie* na Rynku trzydzieści sześć godzin bez przerwy (podobno pod koniec tego seansu pisał na ścianach bardzo nieprzyzwoite rzeczy). Nie przejmował się specjalnie żoną, a gdy zachodziła taka potrzeba, wyjeżdżał na wiele tygodni, by zbierać w tym czasie wrażenia poetyckie. I z tego to właśnie powodu nie było go przy żonie, gdy na świat przyszła ich druga córeczka.

Był jednak o Jadwigę zazdrosny, więc gdy dowiedział się, że adoruje ją prawnik Tadeusz Dwernicki, to podczas pewnego

bankietu „porwał butelkę piwa ze stołu i trzasnął nią w łeb adwokata”.

Trudno określić, co Jadwigę urzekło w Przybyszewskim. Nie znosiła przecież alkoholu, a Stach na męża nadawał się jeszcze mniej niż Kasprowicz. Uczucia nie należą jednak do spraw, które można rozpatrywać w logiczny sposób.

Przybyszewski nie ograniczył się do oczarowania samej Jadwigi. Podczas tych ośmiu dni pobytu we Lwowie zdążył jeszcze nawiązać romans z malarką, Anielą Pająkową, która straciła dla niego głowę i nawet poprosiła jednego ze swoich krakowskich przyjaciół, aby ten dyskretnie obserwował Stacha.

A Przybyszewski nad Pełtwią nie marnował czasu. Poza uwodzeniem kobiet wygłosił ciepło przyjęty odczyt i wziął udział w kilku mocno zakrapianych bankietach.

„Prof. Pawlikowski miał odczyt o *Królu Duchu* Słowackiego, koreferentem miał być Przybyszewski. [...] Po świetnym referacie Pawlikowskiego Przybyszewski jednak nie przemawiał, gdyż był »urzęnięty«. Bardzo późno wszedł na salę, przystanął, chwiejąc się, przy drzwiach, po chwili usiadł na najbliższym krześle, poczerń doszedł chwiejnie do Kasprowicza, prosząc, by go zastąpił. Nieprzygotowany koreferat Kasprowicza był pierwszorzędny”<sup>41</sup>.

Tego wieczora przemawiał również Stanisław Korab-Brzozowski. Warto zapamiętać to nazwisko...

Sprawa z referatem nie była jedyną ekstrawagancją Przybyszewskiego. Do kolejnego skandalu doszło podczas obiadu wydanego na jego cześć.

„Przemawiał rektor ówczesny uniwersytetu, Abraham, i mówił coś, co się Przybyszewskiemu, siedzącemu obok, nie podobało - wspominał Boy. - Najspokojniej Przybysz ujął magnificusa za głowę, wsadził ją sobie pod pachę i gładząc ją pieszczotliwie, szeptał: »Abramku, robaczku, przysłuchaj się, co inni mówią, ale sam, robaczku, nie szcękaj, nie szcękaj!«. Sam rektor przyjął to z pogodą, a nawet z rozczuleniem”<sup>42</sup>.

## ŚMIERĆ W TYFLISIE

Dagny nie chciała wracać z Zakopanego i ostatecznie to Przybyszewski spędził u niej kilka tygodni.

Wreszcie przez Lwów i Pragę wyjechała do rodzinnego kraju, a w podróży towarzyszył jej wspomniany już „przyboczny” Stacha, Stanisław Korab-Brzozowski.

Mąż zapewniał ją o swoim uczuciu, a jednocześnie prowadził czułą korespondencję z Jadwigą i Anielą. Dyskretnie spotykał się z obiema paniami (Pająkówna nawet opiekowała się Iwi), a one chyba rzeczywiście wzajemnie nic o sobie nie wiedziały. Natomiast o romansie żony dowiedział się Kasprowicz, ale postanowił robić dobrą minę do złej gry.

Przybyszewski powoli likwidował swoje krakowskie interesy, gdyż z powodu długów „ziemia paliła mu się pod stopami”. Zmienił mieszkanie na mniejsze, dużo czasu spędzał też w rozjazdach (Lwów, Warszawa). I cały czas próbował odzyskać Dagny.

Jego zabiegi okazały się skuteczne, w kwietniu żona przyjechała do niego do Warszawy. Natomiast pod koniec miesiąca samobójstwo popełnił dwudziestopięcioletni Korab-Brzozowski, który towarzyszył Dagny w Zakopanem i w Norwegii. Młody poeta odszedł zgodnie z zasadami epoki.

„[...] sprzedał resztę szczupłego dobytku i zaprosił na kolację paru przyjaciół - relacjonował Boy. - Wiedzieli - czy raczej czuli - że ta kolacja jest dla niego ostatnią. Nad ranem wstał od stołu, pożegnał się spokojnie i wyszedł. W jakiś czas potem biesiadnicy zakradli się pod drzwi jego pokoju i zajrzeli przez dziurkę od klucza. Leżał na podłodze martwy”<sup>43</sup>.

Co pchnęło tego nieszczęsnego chłopaka w objęcia śmierci? Do dzisiaj właściwie nie wiadomo. W kręgach cyganerii krążyły pogłoski o zawiedzionej miłości i wzajemnych ślubach samobójczych. Korab-Brzozowski miał bowiem nieprzytomnie kochać Dagny, tak samo zresztą jak dwudziestodwuletni Władysław Emeryk. Młodzieńcy mieli przysiąc sobie wzajemnie śmierć, a przy okazji pociągnąć za sobą obiekt swojej miłości...

Dwa tygodnie po śmierci Brzozowskiego Dagny wyjechała z synem na wakacje do Tyflisu (Tbilisi). Mąż miał dojechać później, a tymczasem pani Przybyszewskiej towarzyszył Władysław Emeryk. Ta urlopową eskapada zakończyła się kolejną tragedią.

3 czerwca 1901 roku Emeryk napisał dwa listy. W jednym z nich, adresowanym do Przybyszewskiego, wyjaśniał, że „zrobi to, co on [Przybyszewski] powinien zrobić”. Wyznawał swoją miłość do Dagny, twierdząc, że musi ją zabić dla jej własnego dobra. Napisał też do małego Zenona, zastrzegając, by list oddano adresatowi, gdy ten ukończy dwadzieścia lat. W liście tym bełkotliwie tłumaczył się z motywów zabójstwa jego matki. Morderca nie zapomniał również o dyspozycjach w sprawie pogrzebu ich dwojga, napisał je zresztą kilka dni wcześniej.

Piątego czerwca Władysław odprowadził małego Zenona do innego pokoju, po czym wszedł do śpiącej Dagny i strzelił jej w tył głowy. Chwilę później popełnił samobójstwo.

Przybyszewski nie przyjechał na pogrzeb żony, podobno nie miał pieniędzy na podróż. Dwa tygodnie później Jadwiga Kasproiczowa odeszła od męża i przeniosła się do swojego kochanka. Natomiast w październiku Aniela Pająkówna urodziła Przybyszewskiemu córkę, której nadała imię Stanisława na cześć ojca.

## ZIELONY BALONIK

„Przybyszewski to zwykła szuja - pisał Ignacy Sewer-Maciejowski do Tadeusza Micińskiego - i najzwyklejszy szubrawiec, który wszystko za gotówkę sprzeda, a nawet swoją ubóstwianą Dagnę. Od razu go poznałem w Berlinie - nie zmieniam do dziś dnia zdania, ani na włos. Forma i fantazja ładna - więcej nic... nic... nic... wszystko inne kradzione!... kradzione, kradzione - najwięcej jego meta-muzyka... która jest błagą tak jak i on...”<sup>44</sup>.

Słowa te, pisane na dwa lata przed tragedią w Tyflisie, dobrze oddają atmosferę, jaka panowała wokół Przybyszewskiego w

Krakowie. Po pierwszym zachwycie przyszło otrzeźwienie, szczególnie wśród przedstawicieli starszego pokolenia. I chociaż już zawsze miał tam mieć swoich zagorzałych wielbicieli, to jednak po śmierci Dagny, po odejściu Jadwigi od Kasprowicza i po narodzinach Stanisławy nie miał już czego szukać pod Wawelem.

Nikt nie mógł zaprzeczyć, że jego osobowość odcisnęła piętno na krakowskim środowisku artystycznym. To, co inni dyskretnie szeptali w kawiarniach, on oficjalnie pisał i mówił (nieważne, czy na trzeźwo, czy po pijanemu). Wywarł zauważalny wpływ nawet na Wyspiańskiego, chociaż obaj artyści nie przepadali za sobą. Wyspiański był bowiem typem pracocholika, a na dodatek prawie nie pił wódki. Zwykł zresztą mawiać, że „fantazję to ma zawsze, a od wódki boli go głowa”.

Pod Wawelem pozostała jednak drużyna wodza, a o niektórych jej członkach miało być jeszcze głośno. Należał do nich niezniszczalny Stanisław Czajkowski, który właśnie znalazł sobie nową obsesję - gdy w stanie zamroczenia alkoholowego chodził po Plantach, chciał koniecznie podtrzymywać drzewa, aby się nie chwiały.

Członków kompanii Przybyszewskiego nie mogło oczywiście zabraknąć w zespole słynnego Zielonego Balonika. W obsadzie kabaretu znaleźli się: Żeleński, bracia Czajkowscy (Stanisław i Józef), „Stasinek” Sierosławski, Jan Szczepkowski. A zachowywali się tam tak, jak zwykle.

„[...] kompletnie pijany ślania się na nogach - opisywał Boy kolejny wyczyn Stanisława Czajkowskiego. - Układają go w kącie na kupie paltotów, aby się przespał. Ale elektryzują go dochodzące dźwięki muzyki; zrywa się ze słowami: »Ja chcę brać udział«, i - dostaje ataku typowej morskiej choroby. Przychodzi chłopiec, zasypuje ten »udział« trocinami, sprząta, Staś śpi. Budzi go nowa fala muzyki, gwaru; znów się zrywa: »Ja chcę bra-ać u-udział«. I znów trociny, sprzątanie, sen itd. Termin »brać udział« stał się przysłowiowym określeniem. Kiedy, później nieco, Staś wstąpił we wspomniany poprzednio arystokratyczny związek, »Zielony Balonik« przesłał na ucztę weselną następującą depezę:

*Dziś, kiedy dłoń kapłana złączyła dwa światy,  
Krakowską cyganerię z polskimi magnatą,  
W tym święcie, radośniejszym niżli sam lajkonik,  
Serdeczny bierze udział Zielony Balonik*<sup>45</sup>.

Wieczory kabaretu zainaugurowano w październiku 1905 roku. Była to impreza elitarna (obowiązywały zaproszenia), improwizowana, mająca w sobie coś z ducha Przybyszewskiego.

„[...] na razie była tylko nazwa - wspominał Boy.

- Co ma być poza tym, nie bardzo było wiadomo. Wiedziano - ten i ów powąchał Paryża - że musi być *conférencier*, słyszano piąte przez dziesiąte o Salisie, o Bruancie. Podjął się tej funkcji sam Jan August [Kisielewski - S.K.], resztę zdano na wolę bożą. [...]

W pamiętny wieczór znalazł się *conférencier* na estradzie, we fraku, w białych getrach, i zaczął przemowę pół po polsku, pół po francusku. Wymyślał publiczności od bydłat, jak przystało artyście w obliczu filistrów. Co prawda tych filistrów trzeba by ze świecą szukać na sali, wypełnionej szczelnie artystyczną bracją; niebawem zresztą okazało się, że *conférencier jest* gruntownie »wstawiony«, i to nie żadnym szlachetnym winem, ale po prostu wódką. Od słowa przeszedł do czynów i rzucił się z gołymi rękami na »sytych burżujów«, których uosobienie ujrzał w pysznym grubasie, malarzu Stanisławskim. Olbrzym ten dobrotliwie rozbroił napastnika, którego ułożono do spoczynku, ale młody kabaret został bez widomej głowy. Resztę [wieczoru] wypełniły jakieś improwizacje, chóralne kurde- sze, no i pijaństwo<sup>46</sup>.

Wieczory Zielonego Balonika odbywały się w jednej z sal Cukierni Lwowskiej Jana Apolinarego Michalika. Pomieszczenie było niewielkie, w spotkaniach mogło uczestniczyć niewiele ponad sto osób. Początkowo imprezy organizowano w każdą sobotę po premierze teatralnej, później jednak odbywały się znacznie rzadziej.

Artyści przynieśli sławę lokalowi i w całym Krakowie

opowiadano o ich „orgiach” na Floriańskiej. Było w tym dużo przesady, choć - owszem - zdarzyło się, że „żona przyszłego dyrektora departamentu kultury omal, na jednym z wieczorów »Balonika«, nie urodziła w lokalu dziecka”, ale spotkania z reguły kończyły się „tylko” na solidnym pijaństwie. Zamknięty charakter imprez robił jednak swoje, bo tajemnica zawsze wzbudza ciekawość, a wokół artystów nieustannie rodzą się plotki.

Opinia publiczna wiedziała swoje, toteż w prasie pojawiały się określenia: „kultura Michalikowa”, „pachołki Michalikowe”, „jaskinia Michalikowa”. Wzbudzało to zamęt w umyśle właściciela lokalu, gdyż sam Jan Apolinary Michalik był poważnym restauratorem i człowiekiem jak najbardziej serio. Odmówił nawet kiedyś Wyspiańskiemu, który chciał pomalować ściany w całej cukierni w zamian za zwrot kosztów farb. Michalik uważał bowiem, że porządny lokal powinien mieć białe ściany bez żadnych malowideł.

Mimo że Jan Apolinary był człowiekiem z zasadami (choć za czasem artyści nauczyli go pić wódkę), doceniał reklamę i życzliwe zainteresowanie najważniejszych person Krakowa jego przybytkiem. Bo duch Przybyszewskiego na dobre już zagościł w tym mieście, a wieczory Zielonego Balonika wyglądały czasami tak, jakby reżyserował je właśnie Stach.

„Michalik był trzeźwy, akuratny, spokojny, skromny, choć ambitny w swoim zawodzie, brzydził się pijanymi, hałasem, burdą, szanował urzędy i godności. I oto życie nasyciło jego ambicje ponad wszelkie spodziewanie, ale w jakże paradoksalny sposób! Lokal jego gościł figury, o których nie zamarzył nawet we śnie: rektory, redaktory, hrabiowie, hofraty, ba, ekscelencje; i wszystko to zawdzięczał tym pijanicom, których uczynkami się brzydził. Po każdym »kabarecie« chaos ten w głowie Michalika zwiększał się. Tu rozmawiał z nim łaskawie ekscelencja Wodzicki, tu kopnął go w brzuch Boguś Adamowicz: jak ustalić bilans tak spędzonego wieczoru? Wynoszą Xawerego Dunikowskiego, który w powietrzu miota się jak opętany i gdzie może dosięgnąć, rozdaje policzki: ale oto Michalik widzi, że, patrząc na to, rektor uniwersytetu Cybulski



uśmiecha się życzliwie i nie przerywa rozmowy z innym luminarzem nauki. Ktoś strzela z rewolweru w sufit: Michalik, czerwony z furii, rzuca się w tę stronę, ale co ma powiedzieć, kiedy to strzelił sam prokurator P... (dziś prokurator Sądu Najwyższego). Nie pozostało nic, jak tylko uśmiechnąć się przyjemnie. A cóż dopiero, kiedy nad ranem otoczą go kręgiem we wścieklej sarabandzie pomieszani z łąznikami, z aktorkami, profesorowie, radcy, sędziowie, wywijając mu nogami pod sam nos i wznosząc okrzyki na jego cześć<sup>47</sup>.

W świetle tego wszystkiego wydaje się pewne, że bez pobytu Przybyszewskiego w Krakowie i bez wpływu, jaki wywarł on na swoich współczesnych, integracja artystów ze środowiskiem mieszczańskim przebiegałaby znacznie wolniej. Ale czy współcześni zdawali sobie z tego sprawę?

## WARSZAWA

„Dziwną intuicję miałem co do Warszawy - pisał Przybyszewski do Jadwigi Kasproviczowej. - Jest wstrętna, obrzydliwa, tak! Obrzydliwa. Nie pozostałbym tu długo za nic w świecie”<sup>48</sup>.

Wyboru jednak wielkiego nie miał, bo ze względów obyczajowych nie mógł dalej mieszkać w Krakowie czy we Lwowie. Pozostawała tylko Warszawa. Panowały tu jednak odmienne obyczaje niż w Galicji. Przybyszewski nie był tutaj intrygującym przedstawicielem moderny literackiej, tylko zwykłym skandalistą.

„Śród wielu błędów, jakie Przybyszewski stale popełniał - zauważył Jan Lorentowicz - najcięższym był może jego przyjazd do Warszawy. [...] Stał się na pewien czas modnym, czyli dostał się pod opiekę snobów i histeryczek, jak pierwszy lepszy histrion. Takie czysto warszawskie powodzenie posiada w sobie jaskrawość, która ostrzega silnego artystę przed niebezpieczeństwem. Niestety, Przybyszewski nie wyrobił w sobie siły samotnika. W Krakowie plwał ze szczerą wyniosłością na praktyczny zmysł - mydlarza, w Warszawie zaś

ulegał hołdom tychże samych mydlarzy, aż do upojenia, do omdlenia”<sup>49</sup>.

Stanisław musiał jednak zarabiać na życie, tym bardziej że u jego boku była Jadwiga. Pani Kasprowiczowa szybko zrozumiała, że popełniła fatalny błąd, porzucając męża i dzieci, ale drogę powrotu miała już zamkniętą. Postanowiła więc, że za wszelką cenę utrzyma się u boku Przybyszewskiego, a jego samego zmusi do regularnej pracy literackiej i do walki z nałogiem.

Osiągnęła nawet poważne sukcesy, nigdy wcześniej Przybyszewski nie pisał tak dużo jak w stolicy. Niemal taśmowo powstawały nowe dramaty, i - co więcej - były one wystawiane z dużymi sukcesami. Tantiemy zasilają konto autora (nad którym kontrolę sprawowała partnerka), a w promocji *Złotego runa* pomógł kolejny skandal. Oprotestowano inscenizację we Lwowie, gdzie bez problemu zidentyfikowano pierwowzory postaci dramatu. Autor przedstawił bowiem historię uwiedzenia towarzyszkii życiowej dyrektora szpitala Rembowskiego przez literata Przesławskiego. Aluzje do Kasprowicza i Przybyszewskiego były wyjątkowo czytelne...

W Warszawie *Złote runo* również wzbudzało kontrowersje, ale nikt nie zamierzał ściągać przedstawienia z afisza, a polemiki na łamach prasy tylko zwiększały zainteresowanie.

„[...] wysiedziałem od pierwszej do ostatniej sceny i wyznaję, że byłem oburzony na autora - irytował się po premierze Bolesław Prus. - Prawie tam nie ma sceny, która nie zrobiłaby mi przykrości. Słuchając i patrząc, miałem wrażenie, że mnie ktoś szczypie, kole, depcze po nogach, szarpie za włosy albo dla odmiany wylewa za kołnierz szklankę wody”<sup>50</sup>.

Natomiast Jan Niemojowski na łamach „Głosu” podjął się analizy fenomenu powodzenia twórczości Przybyszewskiego wśród damskiej części widowni. Obecne bowiem na premierze panie zgotowały autorowi potężną owację.

„Mężczyźni do tego stopnia obawiają się zdrady małżeńskiej, że nawet nie lubią, gdy im się ukaże niewierną żonę - na obrazku. Uczynił to Stanisław Przybyszewski. W ramach obrazku *Rozmaitości* pokazał warszawskim Katonom istny

huragan zrad, nieprawych stosunków, konwulsyjnych miotań, zakończonych strzałem z rewolweru. [...] Kobiety na premierze zasypały autora kwiatami, a mężczyźni nie posiadali się z oburzenia”<sup>51</sup>.

Podobno wielbicielek autorowi przyniosły mu do domu olbrzymi wieniec, dla którego „nawet głowa legendarnego Atlasa byłaby zbyt mała”...

W warszawskim Teatrze Rozmaitości *Złote runo* grano pięćdziesiąt siedem razy, a dobre wyniki osiągnęły też inscenizacje w Przemyślu, Stanisławowie i Tarnowie. Z powodzeniem wystawiano również inne sztuki Przybyszewskiego: *Śnieg*, *Matkę* i *Gości*.

Dobrą reklamę autorowi zrobił Henryk Sienkiewicz, który określił jego twórczość mianem „rui i po- rubstwa”. Przybyszewski polemizował z nim na łamach prasy, a przy okazji starał się prowadzić bardziej zorganizowany tryb życia. Pod wpływem Jadwigi narzucił sobieienne normy pracy i starał się również więcej sypiać. Chciał w ten sposób ograniczyć czas, kiedy był już zbyt zmęczony, aby pisać, ale dalej był narażony na pokusę sięgnięcia po alkohol. Oczywiście, gdy tylko miał taką możliwość, powracał do dawnych przyzwyczajęń. A okazje zawsze się znajdują, szczególnie na wyjazdowych premierach.

„Wiedziałem, że się coś na scenie działo - wspominał Przybyszewski inscenizację w Łodzi - grano mój dramat *Dla szczęścia* - wytrzeszczyłem oczy, ale nic nie widziałem, a jednak czułem, że się tam coś zdumiewającego dokonywa - nie trwało pięciu minut, a byłem trzeź- wiuteńki, jak gdybym w ogóle kieliszka wódki nie miał przez cały dzień w ustach, a przecież piłem od samego rana do wieczora. Stał się cud: Edward Olszewski grał rolę Żdzarskiego w *Dla szczęścia*. Tak mi jej nikt nie zagra”<sup>52</sup>.

W Warszawie pojawiły się plotki, że pisarza zamknięto w Tworkach, ale on oficjalnie dementował te pogłoski na łamach prasy. Pani Kasproiczowa trzymała go jednak twardą ręką i nie zamierzała podzielić losu swoich poprzedniczek. Nie była ani cichą i uległą Martą Foerder, ani rozmarzoną Dagny Juel.

Przybyszewski miał jej zapewnić byt, a ona musiała tego dopilnować. Wprawdzie partner prowadził podwójną buchalterię i za jej plecami otrzymywał pewne sumy od wydawców i dyrektorów teatrów, ale finansami domowymi zajmowała się Jadwiga.

Znalazła zresztą znakomity sposób na zmuszenie Przybyszewskiego do posłuszeństwa.

[...] na najmniejszy nawet sprzeciw odpowiadała szantażem samobójstwa - opowiadał Grzymała-Siedlecki. - I nie były to czcze pogroźki. Pewnego razu tknięta szalem z powodu jakiegoś jego nieposłuszeństwa - a było to zimową porą - wybiegła w nocy na podwórze nie odziana w nic poza nocną koszulą - i tu, głucha na wszelkie Przybyszewskiego prośby i błagania, przesiadła na mrozie koło pięciu godzin, by się nabawić śmiertelnego zapalenia płuc i umrzeć. Nie umarła. Nawet nie zachorowała”<sup>53</sup>.

Nie dostała nawet kataru. Pani Kasprowiczowa najwyraźniej była zbudowana z twardszego materiału niż dotychczasowe partnerki Przybyszewskiego. W efekcie Stach skarżył się w liście do Anieli Pająkówny:

„Zagościł w mym domu piekielny szatan, kobieta zła, przewrotna i ordynarna, która mnie doszczętnie zniszczyła i tak zeskandalizowała, że się wszyscy ode mnie odwrócili. [...] Rozpiłem się z rozpacz i wstrętu przed samym sobą, że muszę z taką kobietą żyć. Miałem dwa ciężkie deliria, które mi porządnie mózg nadszarpnęły -jestem całkiem opuszczony, niezdolen do pracy - i tylko jedna, maniacka myśl, wyrwać się z tego ohydnych bagna, ale na to potrzeba też pieniędzy. A nie wiem, kiedy mi je jakiś cud do rąk da”<sup>54</sup>.

Bezczelności Przybyszewskiemu na pewno nie brakowało. Oskarżał Jadwigę o swój alkoholizm (!), a do tego znalazł sobie powierniczkę w kobiecie, którą pozostawił z dzieckiem na ręku. Stanisław nie przejawiał już nawet odrobiny zdrowego rozsądku, a może po prostu zdążył przepić odpowiedzialny za to fragment mózgu?

## DRAMAT ANIELI PAJĄKÓWNY

„Daję Ci w obecności Rakowskiego najświętsze słowo honoru - pisał Przybyszewski do Anieli Pająkównej - że uważam dziecko za moje i jak tylko uporam się z strasznie przykrymi rzeczami życiowymi, co niedługo nastąpi, załatwię wszystko”<sup>55</sup>.

Tylko ile było warte słowo Przybyszewskiego? Wprawdzie dał Stanisławie swoje nazwisko, ale dopiero po kilkunastu latach, nigdy też nie wspomagał finansowo jej matki. Udało mu się natomiast przez pewien czas ukryć istnienie córki przed Jadwigą, a poza tym za jej plecami korespondował z byłą kochanką. A Pająkówna chyba nigdy nie przestała go kochać.

Początkowo Przybyszewski potrafił od czasu do czasu przeciwstawić się Kasprowiczowej i odwiedzał małego Zenona, syna swojego z Dagny. Chłopiec przebywał w Arkadii pod Łowiczem, gdzie opiekowała się nim aktorka Laura Pytlińska, córka Marii Konopnickiej.

Rok po śmierci Dagny do Polski przyjechały matka i siostra zmarłej z zamiarem zabrania Iwi i Zenona do Norwegii. Przybyszewski gwałtownie opierał się temu, wykrzykując, że nie pozwoli, aby Zenon został „Germaninem”. Nie miał jednak pieniędzy na wychowanie dzieci, więc w końcu się poddał. Rodzeństwo wyjechało z kraju, a w Norwegii adoptował je szwagier Dagny, Wilhelm Westrup. Zenon (używał nazwiska Westrup-Przybyszewski) został później szwedzkim dyplomata, natomiast Iwi poślubiła barona Fryderyka Benneta.

Stach, dopingowany przez Jadwigę, pisał coraz więcej, ograniczając jednocześnie spożycie alkoholu. Potwierdziła to sama Kasprowiczowa, natomiast Lorentowicz po wizycie u nich zauważył ironicznie, że „tym razem zajaczka nie było”. Względnie zadowolona z partnera Jadwiga wyraziła nawet zgodę na jego wyjazd z zespołem aktorskim do Petersburga, gdzie odniósł duży sukces artystyczny. Gorzej było z finansami, pisarz złorzeczył też na warunki socjalne. Organizator trasy ograniczył bowiem komfort pisarza do marnych hoteli, kieliszka wódki i jednokonnej bryczki.

Zdecydowanie lepsze efekty przyniosła trasa po miastach

południowej Rosji. Tym razem Stach i Jadwiga pojechali razem, a przed rozpoczęciem tournée spędzili cztery miesiące w okolicach Kijowa, korzystając z zaproszenia państwa Otwinowskich. Przybyszewski dużo pracował, a w liście do znajomego chwalił się, że ograniczył spożycie alkoholu i „o pół flaszki mniej pije”. Prawdopodobnie miał na myśli normę dzienną, i to zapewne nie wina, lecz wódki...

Mimo to alkohol cały czas miał nad nim władzę, o czym świadczą wspomnienia Eweliny Wołk-Łaniewskiej z Chersonia: „Wygląd Przybyszewskiego był przykry i wzbudzający litość: Przybyszewski był rozczochrany, brudny, w zaplamionym, zniszczonym ubraniu, z trzęsącymi się rękami, zaczerwienionymi oczyma, napełniającymi się łzami, zakatarzony, wycierający co chwila twarz i oczy chusteczką. Widocznym było, że Przybyszewski był w stanie nietrzeźwym, siedział biernie - apatycznie”<sup>56</sup>.

Nie lepiej prezentowała się Kasprowiczowa („bardzo zaniedbana”), która swoim wyglądem najwyraźniej potrafiła dostosować się do partnera.

Stach mógł osiągać sukcesy artystyczne za granicą, ale w kraju nadal uznawano go za zagrożenie dla moralności społeczeństwa. Na łamach „Biesiady Literackiej” w obronie domowego ogniska i chrześcijańskich wartości wystąpił Adam Krechowiecki:

„[...] takie w końcu pozostaje zamącenie pojęć i odczuć, że się na serio mówi o »estetycznej« tendencji *Złoty run*, a na widowisku, w którym kobieta - matka i żona - z czci odarta, jedno tylko chyba na swe usprawiedliwienie przytoczyć może, że ona upaść musiała i upadać musi, bo to jej przeznaczenie - na takim widowisku dłonie młodziutkich dziewczątek nie szczędzą oklasków i autora zarzucają kwiatami!... Cóż dziwnego, że tą drogą wkrada się w ogniska domowe rozstrój, zniechęcenie, a na tym gruncie ów »nieukojonny żal«, nierozwiewna tęsknota, wreszcie strach, groza przed ślepym przeznaczeniem... Cóż dziwnego, że w młodych sercach stygną szlachetne zapały, a zrywają się wichry, niekarne, zuchwałe, obalające ze świstem szyderczego cynizmu wszelkie zasady, na

których opiera się rodzina chrześcijańska i nasze polskie społeczeństwo”<sup>57</sup>.

Nieustanne ataki prasowe spowodowały, że Stanisław i Jadwiga zdecydowali się na opuszczenie Warszawy. Postanowili przeprowadzić się na ziemie zaboru pruskiego, a kierunek ten wybrali z powodu tamtejszego prawodawstwa dopuszczającego śluby i rozwody cywilne. Ale zanim przenieśli się do Torunia i zalegalizowali swój związek, Stach spędził pewien czas w Zakopanem. Pod Giewontem poddał się kuracji odwykowej i osiągnął dobre rezultaty. Skarżył się jednak na uciążliwość leczenia.

„[...] przeraził mnie lęk strasznych cierpień podczas odzwyczajania się od alkoholu. Otóż ten, jak mi się teraz zdaje, najtrudniejszy okres w całej chorobie alkoholycznej szczęśliwie przebyłem. Po ostatnim (czwartym) delirium przestałem pić. Pięć miesięcy upłynęło, odkąd wódki nie miałem w ustach, najmniejszego pociągu do alkoholu nie mam i mam pewność zupełnego wyleczenia”<sup>58</sup>.

Były to jednak nieco zbyt optymistyczne prognozy. Do alkoholu Przybyszewski miał bowiem jeszcze wielokrotnie wracać, chociaż nie powtarzały się już jego wcześniejsze ekscesy. Pani Kasprowiczowa czuwała...

W kwietniu 1905 roku Stanisław i Jadwiga pobrali się w Inowrocławiu, a w październiku zamieszkali w Toruniu. Przybyszewski w tajemnicy przed żoną nadal korespondował z Anielą Pająkową i przyznawał się nawet do krzywd, jakie jej wyrządził. Oczywiście całą winą obciążał Jadwigę:

„[...] ja bym rozkrzyczał na cały świat, że to moje dziecko, gdyby nie to, że ta obłąkana kobieta, z którą jestem związany, nas wszystkich mogłaby wtrącić w najstraszniejsze nieszczęście”<sup>59</sup>.

W tej sytuacji trudno nie zapytać, dlaczego się z nią ożenił. Czy naprawdę jego psychika nie wytrzymałaby kolejnej śmierci kobiety z nim związanej? Wobec Anieli nie miał przecież żadnych skrupułów, gdy zostawiał ją z dzieckiem na rękę.

Narzekał na żonę straszliwie, ale w korespondencji do niej tytułował ją „najdroższą”. Pogrążał się zresztą coraz bardziej -

w jednym z listów napisał nawet, że wszystkie utwory, które powstały w czasach jego związku z Dagny, były plagiatami! Stwierdził, że wcześniej spisywał z dzieł innych autorów, a pełnię jego talentu wydobyła dopiero Jadwiga...

Pani Przybyszewska zachowała wyznania męża i w przyszłości nie zawahała się szantażować go nimi. A Stanisław w wywiadach i artykułach posłusznie tłumaczył, że swoje berlińskie powieści pisał w natchnieniu czerpanym z oczekiwania na tę jedną, jedyną, właściwą kobietę...

„[...] Przybyszewski nie miał prawie poczucia rzeczywistości - tłumaczył po latach Boy. - Życie było dla niego snem, wizją. Fakt był zawsze tylko materiałem uczuciowym. »Dla duszy dwa razy dwa może być milion«. Kiedy żyłem z nim blisko, nieraz słyszałem, jak opowiadał to samo zdarzenie - nigdy dwa razy tak samo. Dlatego nie dziwny się, że w rzeczy, która go tak silnie uczuciowo obchodziła, musiał dojść do coraz wyraźniejszego przekształcania faktów”<sup>60</sup>.

Dodajmy do tego jeszcze wpływ alkoholu na funkcjonowanie jego umysłu, pamiętając przy tym, że nie chodzi tu o okresowe pijaństwa, tylko o wieloletnią, ciężką chorobę alkoholową. Nawet dzisiaj trudno ze spokojem czytać wynurzenia Przybyszewskiego na temat *Epitafium* napisanego po śmierci Dagny:

„[...] to, co w moim *Epitaphium* po jej śmierci napisałem, zrobiłem jedynie i wyłącznie dla jej dzieci, by je uchronić przed konsekwencjami błędów matki, w tym mniemaniu, że będą w polskim społeczeństwie chowane. I to tłumaczy całą tę nieszczerą, przesadną i w błąd wprowadzającą frazeologię, jakiej użyłem w tym pośmiertnym homagium...”<sup>61</sup>.

W 1906 roku Przybyszewscy przenieśli się do Monachium, a Stach dyskretnie spotykał się z Pająkową. Malarka nadal darzyła go uczuciem i nie przeszkadzało jej nawet to, że nigdy (!) nie dał jej pieniędzy na dziecko. Gładko też przyjmowała jego tłumaczenia i fantastyczne plany ucieczki z domu.

Pająkowa sfinansowała nawet wyjazd Przybyszewskiego na kurację do Gries w Tyrolu. Tymczasem Jadwiga usłyszała, że pieniądze na leczenie przekazał przyjaciel Stacha, węgierski



malarz Simon Hollósy. I chyba nawet w to uwierzyła. Jednak gdy wreszcie dowiedziała się o istnieniu nieślubnej córki męża, doszło do karczemnej awantury.

„Uciekałem, kryłem się - pisał Przybyszewski do Anieli - ale zabrakło mi pieniędzy, a policja wyśledziła mnie i nagle dostałem ją [Jadwigę - S.K.] znowu na kark. Teraz jestem osaczony z wszystkich stron przez szpiegów, a na dobitkę ma w ręku Kasproviczowa listy, które mogłyby mnie zniszczyć. Cały dzień przeszukuję cały dom, by je odnaleźć, ale choćby mi przyszło spalić całą chałupę, to te listy zgładzić muszę”<sup>62</sup>.

Nic nie znalazł i nic nie zniszczył, Jadwiga dobrze bowiem wiedziała, że dopóki ma w ręku przyznanie się Stacha do plagiatu, to będzie jej we wszystkim posłuszny. I taki właśnie był - przestał odwiedzać Anielę i córkę, nie spotkał się z nimi nawet podczas pobytu w Paryżu, do którego pojechał z odczytami. Choć wiedział, że obie mieszkają nad Sekwaną, to nawet tam bał się przebywającej w Monachium żony.

Anieli nie było dane zbyt długo zamartwiać się z powodu Przybyszewskiego. W kwietniu 1912 roku zmarła na zapalenie płuc, a dzieckiem zajął się lekarz Wacław Moraczewski. Następnie dziewczynka przeszła pod opiekę siostry Anieli, Heleny Barlińskiej, a jej edukację sfinansowali Pawlikowscy.

## NA DNIE

„Przybyszewski wiódł w Monachium wcale barwny okres życia swojej cyganerii artystycznej - wspominał Michał Asanka-Japołł. - Pił ulubiony koniaczek, rzeczywistość szarej przędzy zmieniał w zgoła cudowne eskapady, ale jedno zachowywał: tradycję, niemal z dziecinną rozkoszą nurzając się we wspomnieniach młodości, jaka u niego była - jak mi sam mówił - więcej chmurną aniżeli górną. [...] [Gości] zresztą nie potrzebował spraszać, gdyż i bez tego każdy wpadał do jego domu, aby zobaczyć »Przybysza«. A już posłuchać jego improwizacji [...] fortepianowych, bo autor *Na drogach duszy* przemawiał do głębi duszy ludzkiej. Umiał jedno - wytwarzać

nastrój. W tym był niezrównanym”<sup>63</sup>.

Z relacji jego znajomych wynika, że nie ograniczał się tylko do „ulubionego koniaczku” i czasami „pastwił się nad alkoholem więcej niż kiedykolwiek”. W to ostatnie jednak trudno uwierzyć - najwyraźniej świadkowie nie znali jego wcześniejszych wyczynów. Poza tym ze strachu przed żoną starał się nad sobą panować, bo pani Jadwiga nigdy nie pozwoliłaby na jawną niesubordynację.

W tym czasie sytuacja finansowa Przybyszewskich się poprawiła, pisarz podpisał korzystną umowę z wydawnictwem Gebethnera i Wolffa. Małżonkowie mogli elegancko umeblować mieszkanie, a nawet pozwolić sobie na wyjazdy wypoczynkowe. Dobry humor Stacha psuły jedynie zamieszczane w krajowej prasie artykuły, z powodu których wchodził czasami w ostre polemiki. Sam zresztą też nie był bez winy, szczególnie gdy chodziło o kontrowersje wokół osoby Dagny. Podjudzany przez Jadwigę, potrafił wypisywać na temat tragicznie zmarłej żony rzeczy wyjątkowo obrzydliwe.

W 1911 roku Antoni Godziemba-Wysocki i Gabriela Zapolska zaplanowali wystawienie w Zakopanem dramatu Dagny, *Krucze gniazdo*. Przybyszewski ostro zaprotestował, a jego list do Zapolskiej można zaliczyć do kanonu epistolograficznej ohydy:

„Nazwalają pani *grande amoureuse* - straszliwie się pani pomyliła. To nie była odważna *amoureuse*, która całemu światu rękawicę pod nogi rzuca, ale ta mała dusza, która się wszystkimi siłami swego męża czepia i puścić go nie chce, by zachować pozory i mieć parawan, za którym razem z wszystkimi kochankami wygodnie ukryć się można. O, nie! szanowna pani - tego za wiele, by się na cześć takiej pani wieczorki z moją wiedzą i pozwoleniem odbywały”<sup>64</sup>.

Przybyszewski ponownie okazał się słabym, sterroryzowanym przez własną żonę człowiekiem. I o ile jego list do Zapolskiej był obrzydliwy, to wyjaśnienia przesłane Godziembiemu-Wysockiemu były po prostu żałosne:

„Obecna moja żona jest wprost obłąkana, gdy chodzi o zmarłą. Zdaje jej się, że nikt nie uważa jej za moją żonę, że

tylko tamta istnieje i że wciąż tamtą tylko kocham. To ją doprowadziło do tego stanu, który już z obłędem graniczy, i aby ją z tego ratować, piszę listy tego rodzaju, jak do Zapolskiej, wysyłam zakazy i na każdym kroku gotuję sobie tysiące nieporozumień i przykrości”<sup>65</sup>.

Oczywiście ten list (w odróżnieniu od poprzedniego) Przybyszewski wysłał w tajemnicy przez Jadwigę...

Dwa lata później ukazał się utwór Franza Junga *Dagne*, będący zbeletryzowaną biografią pierwszej żony Stacha. Autor mieszkał w Monachium i był częstym gościem u Przybyszewskich, a w swoim utworze wykorzystał pewne zasłyszane od nich informacje. Jadwiga oczywiście zmusiła męża do repliki, a tekst Przybyszewskiego ukazał się w berlińskim tygodniku „Die Aktion”. Z jego treści największe wrażenie robi podsumowanie wydarzeń w Tyflisie. Pan Stanisław napisał bowiem, że cała ta tragedia to „wiele hałasu o nic”...

Przybyszewski nie ograniczał się do ataków na autorów publikacji o Dagny. Zwracał się również przeciwko własnym przyjaciółom, którzy pozwolili sobie na pochlebne wzmianki o zmarłej. Najwyraźniej Jadwiga cenzurowała korespondencję męża, a ten robił wszystko, aby ją zadowolić.

„Kiedy jej kochanek wysłał ją z Paryża do ojczyzny - pisał Przybyszewski o zmarłej żonie do Franza Servaesa - a jej rodzina, mając jej dość, odesłała ją z chłopcem do Polski, przyjąłem ją, a przecież podczas mojej nieobecności w Warszawie postarała się o nowy romans, który zakończył się nową katastrofą, naprawdę niepiękną, jak mi Bóg miły.

W końcu byłem zmuszony milczeć przez całe lata, ażeby oboje dzieci ustrzec od hańby, którą je okryła”<sup>66</sup>.

Jadwiga Przybyszewska miała koszmarny charakter, ale warto zwrócić na pewną rzecz uwagę. Była jedyną kobietą, która potrafiła okiełznać alkoholizm Przybyszewskiego i zmusić go do solidnej, regularnej pracy. Z cygana alkoholika umiała zrobić kasowego pisarza i to właśnie dzięki niej Przybyszewski nie zapisał się na śmierć w jakimś rysztołku...

## SPRAWA PEWNEGO GARNITURU

Przez większość swojego życia Stach żył na kredyt i nie miał zwyczaju oddawać długów. Spotkał jednak na swej drodze wyjątkowo upartego wierzyciela, z którym pozostawał w sporze przez ponad dwadzieścia lat.

W 1897 roku, przed wyjazdem do Kongsvin-ger, Przybyszewski zamówił odzież u pracującego w Berlinie polskiego krawca Władysława Berkana. Zapłacił za nią osiemdziesiąt marek, a na pozostałą sumę podpisał dwa weksle. Nie wzbudziło to podejrzeń rzemieślnika, jego klient nieraz już tak robił. Rok później, wybierając się do Hiszpanii, Stach zamówił jeszcze garnitur, a przy odbiorze zapomniał zapłacić. Potem przez jakiś czas skutecznie unikał Berkana, a następnie przeniósł się do Krakowa. Wierzyciel bywał jednak w kraju i czasami odwiedzał pisarza, prosząc go o uregulowanie rachunku. Przybyszewski zawsze przyjaźnie z nim rozmawiał, ale na temat zaległości płatniczych milczał jak zakłęty.

Po jedenastu latach (!!!) wierzyciel uznał jednak, że przyzwoitość nakazuje spłatę długu (około dwustu pięćdziesięciu marek) i oficjalnie zażądał pieniędzy. Przybyszewski wymówił się biedą i nie zapłacił, a cała sprawa stała się głośna w kręgach berlińskiej Polonii. W szopkach śpiewano o tym złośliwe piosenki, a w kawiarniach opowiadano dowcipy o głupocie krawca.

Mimo to Berkan nie składał bronii, w związku z czym w 1911 roku komornik zajął w domu Przybyszewskich meble i perski dywan. Uderzenie było mocne, ale niecelne. Właścicielką sprzętów okazała się bowiem Jadwiga, toteż zajęte wyposażenie wkrótce powróciło do mieszkania. Pisarz został jednak zmuszony do oficjalnego przedstawienia swojego majątku. Wykazał oczywiście, że właściwie niczego nie posiada, a przy okazji dał wyraz temu, co sądzi o upartym krawcu i całym polskim społeczeństwie.

„To, co pan ze mną wyrabia - pisał do Berkana - to już przechodzi pojęcie ludzkie. W oczach komornika Niemca,

którego mi pan ustawicznie nasyła, czytam po prostu zdumienie. Co on ma fantować, może pierścionek ślubny albo lichy zegarek stalowy? [...] Po śmierci artysty to takiego biedaka wieziecie na Skalkę i głupią hecę pogrzebanym urządzacie, a za życia dla głupich dwustu czy trzystu marek artystę polskiego na ciężki wstyd wobec niemieckich komorników wystawiacie”<sup>67</sup>.

Krawiec pozostał jednak nieubłagany i odpisując Przybyszewskiemu, zauważył, że nie grozi mu pochówek na Skalce, albowiem „duchy leżących tam mężów takiego towarzystwa by nie przyjęły”.

Wydaje się to wręcz nieprawdopodobne, ale słowa Berkana przyniosły lepszy efekt niż działania komornika. Co prawda nie wiadomo, czy Przybyszewski na poważnie myślał o Skalce, ale dług spłacać zaczął. Przesyłał co miesiąc dziesięć marek, a chociaż na przekazach pisał, że „od ust sobie odejmuje”, to jednak płacił w miarę regularnie. Po wybuchu I wojny światowej zaprzestał jednak spłacania wierzyciela.

Zawaliło się cesarstwo Hohenzollernów, zdążyła powstać niepodległa Polska, a uparty krawiec dalej dochodził swoich należności. Sprawa zakończyła się ostatecznie w 1920 roku w Poznaniu, dwadzieścia trzy lata od chwili złożenia nieszczęsnego zamówienia. A Berkan zapisał się w historii jako bodaj jedyny człowiek, któremu udało się wyegzekwować spłatę długu od Przybyszewskiego. Inni nie mieli ani tyle cierpliwości, ani szczęścia...

## OJCIEC I DZIECI

W latach 1908-1914 Przybyszewski napisał dla Gebethnera i Wolffa siedem powieści. Regularność była imponująca, ale jakość znacznie gorsza. Pisał w pośpiechu, a poza tym nie był w takiej formie jak dawniej. Na domiar złego czasami wpadał w moralizatorski ton albo ozdabiał swoje teksty scenami erotycznymi na poziomie marzeń dorastających chłopców.

Niestety, właśnie te utwory miały najlepszą reklamę i teraz, po

latach, dają fałszywy obraz twórczości Przybyszewskiego. Sam autor zresztą nie był przekonany do ich jakości i nie pomagał tu nawet entuzjazm żony, która wmawiała mu, że są to jego szczytowe osiągnięcia.

Zachwyceni nie byli również wydawcy, którzy pod koniec 1913 roku odrzucili dramat *Miasto*, a następnie rozwiązali umowę. Przybyszewski stracił cennego płatnika, a po wybuchu wojny w ogóle przestał otrzymywać tantiemy z Warszawy.

Ratował się współpracą z pismami niemieckimi i austriackimi, a także - jak zwykle - wygłaszał odczyty. Zaangażował się również w działalność dwóch periodyków poznańskich: „Zdrój” i „Bunt”. Ważna z punktu widzenia interesów polskiej kultury okazała się jego współpraca z lwowskim wydawnictwem Lektor. Przybyszewski pełnił tam rolę korespondencyjnego doradcy (nadal mieszkał w Monachium), a przy okazji wydawał własne utwory. Zdarzało mu się jednak wprowadzać wydawcę w błąd - w 1918 roku sprzedał powieść *Krzyk*, twierdząc, że nigdy dotąd nie była publikowana. Było to ewidentne kłamstwo, ponieważ utwór ten drukowano już w odcinkach na łamach „Kurieria Poznańskiego”.

Po nieudanej próbie osiedlenia się w Pradze, Przybyszewscy przenieśli się do Poznania. I tutaj pisarz ze zdziwieniem zauważył, że nie jest już postrzegany jako groźny demoralizator, tylko jako szanowany literat. Otrzymał mieszkanie w gmachu Dyrekcji Poczty, zatrudniono go również jako zawiadowcę biura tłumaczeń. Poznańscy literaci protestowali wprawdzie przeciwko degradacji pisarza (!), ale sam Przybyszewski był zadowolony ze stałej pracy i regularnych dochodów. A przy okazji przyjmował hołdy poznaniaków oraz przynoszony przez nich alkohol i morfinę, co oczywiście spotykało się z ostrymi reakcjami pani Jadwigi.

W Poznaniu Przybyszewski poznał wreszcie bliżej swoją córkę ze związku z Anielą Pająkową. Dziewiętnastoletnia dziewczyna okazała się inteligentną i ambitną osobą, a stary pisarz całkowicie uległ jej urokowi.

Pod jej wpływem Przybyszewski pozwalał sobie na rażące

niesubordynacje wobec żony. Wymyślał się niepostrzeżenie z domu, wciągnął Stanisławę w miejscowe środowisko literackie, a do tego kompletnie ignorował zalecenia Jadwigi. Po kolejnej awanturze opuścił wspólne mieszkanie i przeniósł się do przyjaciół, a cztery dni później wyruszył z córką do Gostynia. Oczywiście bez wiedzy i aprobaty małżonki.

Chociaż w liście do żony wskazał fałszywy kierunek, to jednak był zbyt znaną osobą, by można było ukryć jego pobyt w niewielkim miasteczku. Po kilku dniach zjawiała się tam pani Jadwiga, spakowała męża i zaciągnęła go z powrotem do Poznania. Pomimo to stary pisarz zachował resztkę niezależności - za plecami żony sprzedał za znaczną sumę wyłączne prawa do *Krzyku*, a uzyskane w ten sposób pieniądze przekazał córce. Przynajmniej raz w życiu zachował się porządnie.

Przybyszewski zaczął rozliczać się z przeszłością. Nawiązał korespondencję z dziećmi Dagny, a Iwi odwiedziła go nawet w kraju. Wymieniał również listy z mieszkającym w Moskwie synem Marty Foerder, Bolesławem. I chyba wreszcie przestał zwracać uwagę na fochy żony.

„Rany boskie, jak mnie ta kobieta nienawidzi, to strach - pisała Stanisława Przybyszewska. - Toteż życzę sobie naglej a niespodziewanej śmierci, ile razy idę do niej. Ale jakoś Pan Bóg głuchy na moje wezwanie. Tym mi głupiej, że ją tak doskonale rozumiem i mam do niej niewytłumaczoną sympatię, bo to cały, żyjący człowiek, a nie wskrzeszona książka”<sup>68</sup>.

Stanisława była osobą bardzo tolerancyjną, a przy okazji dość spostrzegawczą. Zauważyła bowiem, że Jadwiga jest „pierwszorzędną żoną, szczególnie dla słabego mężczyzny”. I ta opinia chyba najlepiej wyjaśnia tajemnicę małżeństwa Przybyszewskich.

W październiku 1920 roku Stanisław otrzymał etat w bibliotece Dyrekcji Kolei w Gdańsku, co oznaczało przeprowadzkę nad Bałtyk. Był już wówczas człowiekiem schorowanym, szczególnie mocno dokuczało mu serce. Niemal zupełnie zrezygnował z alkoholu, od którego dodatkowo odstraszała go wysoka cena. Pisał z melancholią, że „picie jest

teraz niemożliwe”, gdyż musiałby „pięć razy tyle zarabiać, ile zarabia, by móc pić”. Podobno nie odczuwał nawet „zbytnej potrzeby picia, jeżeli w domu jest spokój i harmonia”. I szczerze przyznawał, że „picie mu istotnie szkodzi”.

Życie nie znosi jednak próżni i w życiu Przybyszewskiego pojawiła się morfina - środek jeszcze droższy niż alkohol, a na dodatek trudniejszy do zdobycia.

„Wciąż jeszcze ciężko walczę z brakiem morfiny. Robota idzie jak z kamienia, czasem nad jednym zdaniem i 10 minut myślę, ale się trzymam - żołądek się poprawił - mlekiem, którego dziennie pół litra wypijam. Z domu na krok się nie ruszam i nikogo u mnie nie było, z czego jestem mocno rad, bo dużo, dużo spokoju potrzebuję”<sup>69</sup>.

W listopadzie 1924 roku pisarz otrzymał angaż w Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Z etatem wiązało się prawo do służbowego mieszkania, w związku z czym Przybyszewscy dostali lokal w Pałacu pod Blachą. Niegdysiejszy wróg publiczny i satanista zamieszkał teraz w bezpośredniej bliskości Zamku Królewskiego.

W tym czasie fetowano go powszechnie jako znakomitego autora, a on sam nawet nie zauważył, kiedy stał się chlubą ojczyzny. Inna sprawa, że jego powieści z okresu berlińskiego mocno się zestarzały i w nowych czasach nikogo już nie szokowały.

„W miarę jak zanikała [jego] twórczość i wpływ istotny - pisał Boy - rosło oficjalne uznanie. Urządzano mu kłamliwe jubileusze, przy czym teatry łamały sobie głowę, którą z jego sztuk można by wznowić, nie wywołując uśmiechu zamiast zgrozy. Darzono go półlitosnym poklaskiem”<sup>70</sup>.

Przybyszewski chyba do końca nie zdawał sobie sprawy z faktu, że w nowej epoce nie ma już czego szukać. Twierdził, że właśnie pracuje nad swoimi najbardziej dojrzałymi utworami, ale nikogo to już nie interesowało. Polska miała nowych idoli, a klasykiem Przybyszewski nigdy się nie stał. Doczekał się wprawdzie ekranizacji *Dla szczęścia* (w reżyserii Aleksandra Hertza), ale film nie cieszył się popularnością.

„[...] zastanawiałem się, w jakiej fizjognomii on się utrwali dla



potomnych - rozważał Boy. - Czy jako ten, którego znali wszyscy: potulny, zahukany staruszek, przykładny mąż, gorliwy Polak i obywatel, wciąż kajający się i uwielbiający, czy jako ów »uczeń szatana«, jakim go pamiętają niektórzy, rzucający zuchwale wyzwanie życiu i śmierci, stwarzający dokoła siebie wir potępieńczy?»<sup>71</sup>.

Stanisław Przybyszewski zmarł 23 listopada 1927 roku w Jarontach pod Inowrocławiem. W uroczystym pogrzebie uczestniczyły delegacje państwowe i samorządowe, obecne były Jadwiga, Iwi i Stanisława. Pisarza pochowano z wielką pompą na miejscowym cmentarzu, a nad grobem wygłaszano długie oracje. I pomyśleć, że ćwierć wieku wcześniej zapewne odmówiono by mu pochówku w poświęconej ziemi...

Był słabym człowiekiem, którego zniszczył alkohol i namiętności. Pośrednio przyczynił się do śmierci trzech kochających go kobiet, okazał się również najgorszym z możliwych ojców. Jednak choć trudno dziś znaleźć osobę znającą jego utwory, to nadal funkcjonuje termin „przybyszewszczyzna”. A jest to rzecz bez precedensu w dziejach polskiej kultury - dzieło przepadło, ale pozostało żywe wspomnienie osobowości autora. Charyzmatycznego alkoholika, który kreował się na wysłannika piekiel...

## **Rozdział 3.** **Bachanalia pod Giewontem**

### AMOR POD TATRAMI

Podobno w biznesie najważniejsze są dobry pomysł i właściwa reklama. Ta maksyma znakomicie tłumaczy karierę Zakopanego, które w ciągu kilkudziesięciu lat z zapomnianej przez Boga i ludzi osady awansowało do rangi zimowej stolicy Polski. A co jeszcze ważniejsze, stało się siedzibą elity kulturalnej kraju. W Zakopanem należało bowiem bywać, w Zakopanem należało mieszkać. W efekcie za czasów II Rzeczypospolitej stolica Tatr przewyższała pod względem liczby sławnych nazwisk na kilometr kwadratowy wszystkie polskie miasta z Warszawą łącznie.

Spotkać tam było można przedstawicieli całego polskiego środowiska artystycznego - malarzy, architektów, rzeźbiarzy, pisarzy, poetów, kompozytorów i muzyków. Właściwie trudno byłoby wskazać osobę znaczącą dla kultury polskiej, która nie spędziła pod Tatrami choć części swojego życia. Witkacy, Stryjeńscy, Zamoyski, Samozwaniec, Pawlikowska-Jasnorzewska, Kossak, Szymanowski, Rubinstein, Kochański, Nałkowska, Makuszyński, Słonimski, Tuwim, Iwaszkiewicz, Czermański, Leśmian, Wierzyński, Boy, Krzywicka. Przyjeżdżał tu nawet Bruno Schulz, który tak bardzo nie lubił opuszczać swojego rodzinnego Drohobycza.

„Z Zakopanego zawsze wyjeżdżałem z jakimś wierszem albo przynajmniej jego zarodkiem - wspominał Kazimierz Wierzyński. - Oficjalne sezony zakopiańskie, lato i zima, wydawały mi się mniej pociągające niż wiosna i jesień, i radzę moim słuchaczom wziąć ten osąd pod uwagę. Co za radość przynosi wiosenna odwilż z krokusami w śniegu, ile uroku mają wędnące lasy, wśród których wznoszą się modrzewie jak

złote słupy. Umiarkowana surowość klimatu odpowiadała mi najbardziej w tych dwu niedocenianych porach roku, nawet z ich kapryсами”<sup>1</sup>.

Niezwykła kariera Zakopanego była zasługą Tytusa Chałubińskiego i jego talentu w dziedzinie promocji. Ów lekarz z zawodu, a przyrodnik z zamiłowania, w drugiej połowie XIX wieku odkrył tę miejscowość i potrafił ją umiejętnie zareklamować. Jego zdaniem miejscowy klimat był idealny dla chorych na płuca, natomiast dzika tatrzańska przyroda miała przyciągnąć wielbicieli turystyki górskiej. W kwestii przyrody Chałubiński miał rację, natomiast w przypadku klimatu zdania były podzielone.

„[...] zrobił reklamę, jakiej Sol Hurok nie powstydziliby się dla najwspanialszej gwiazdy - uważał malarz Rafał Malczewski. - Bez wątpienia kiedyś później otwarłby ktoś dostęp do Tatr - nigdy jednak nie wymyśliłby podlejszego miejsca niż Zakopane. Poza tym Chałubiński potrafił wmówić w polskie społeczeństwo, jakoby podgiewontowe osiedle było krynicą zdrowia dla suchotników, stawiając na nogi niczym tetramycyna czy inny antybiotyk, a właściwie nie miało żadnych danych na to. Zmienna aura Zakopanego kładła zdrowego w bety, halny wiatr wytracał chorych na płuca, z silniejszych robił alkoholików”<sup>2</sup>.

Osada stała się jednak modna i pod Giewont zaczęli ściągać gruźlicy z całego kraju. Oderwani od rodzin i codziennego życia, szukali rozrywek na miejscu. Malczewski miał jasne zdanie na ten temat:

„Z wielu przedsiębiorstw stworzonych przez ludzi z dołów, czyli dolskich [przyjezdnych - S.K.], jedno tylko było góralskie, które zasłynęło: Zakład Wodolecznicy dra Jerzego Chramca. [...] Iluż ludziom pomogło to byczenie się w tym zakładzie w towarzystwie pięknych kobiet i także chłopów, te wodolecznicze zabiegi, kąpiele słoneczne na gólkę, gdzie płcie były przegrodzone płotem z wybitymi sękami. Owe noce zabaw i reunionów, noce halnych wiatrów, gdy nikt nie trafiał do swoich pokojów, noce igrów i dnie leniwych spoczynków”<sup>3</sup>.

Atmosfera Zakopanego zawsze była przesycona erotyzmem,

co być może brało się stąd, że gruźlica często potęguje potrzeby seksualne. Zresztą dla ludzi stojących u progu śmierci normy obyczajowe mają zazwyczaj niewielkie znaczenie. A wśród chorych młodszego pokolenia chęć używania życia bywa szczególnie widoczna.

„Gościa z wykończonymi płucami - kontynuował Malczewski - posyłano do sanatorium dra Hawranka. Stamtąd wychodziło się tylko w pozycji leżącej, w trumience, chyłkiem, po nocy, w chwilach, gdy inni suchotnicy grali w karty lub gzili się międzyplciowo”<sup>4</sup>.

Swoboda erotyczna nie ograniczała się wyłącznie do kuracjuszy zakładów przeciwgruźliczych. Pod Giewontem praktykowali ją chyba wszyscy: starsi i młodszy, zdrowi i chorzy, bogaci i biedni. Jednak wraz z rozwojem kurortu, w Zakopanem przestała się pojawiać arystokracja, ponieważ „możność grzeszenia bardziej finezyjnie spadła pod Giewontem do zera”. Natomiast ci arystokraci, którzy nadal regularnie tam bywali („paru hrabiów i jeden książę”), oddawali się innego rodzaju rozrywkom, to znaczy „chlali tak, jakby należeli do plemienia góralskiego”.

Miejscowa ludność zawsze miała skłonności do napojów wysokowych, a przyjezdni szybko przystosowali się do panujących tam obyczajów. Zakopane stało się modne wśród „wszelkiego gatunku i zamiłowań narkomanów”, którzy z całej Polski trafiali „wprost pod Giewont”. Alkohol, seks i wolny czas tworzyły wyjątkowo niebezpieczne połączenie.

„[...] w Zakopanem rozpylony był wówczas - wspominała Magdalena Samozwaniec - jakiś niebezpieczny bakcyl »kocha - nie kocha«, jakiś wybujały erotyzm, który rozkazywał kochającym i uczciwym żonom porzucać nagle swojego dozgonnego towarzysza i rzucać się w objęcia innego »pięknoducha«. Granitowe kolosy, patrzące z wyższością na brzydką, małą osadę i na szkaradne w każdej epoce Krupówki, oglądały co roku różne cuda i dziwy, które wyczyniały tak zwane cepry. Piękna, kochająca swego męża pani Petri [żona holenderskiego pianisty Egona Petri - S.K.] po kilku latach pobytu w Zakopanem zakochała się nagle w brzydkim od

urodzenia i niemłodym malarzu Brzozowskim i przez dłuższy czas stanowili nierozłączną parę”<sup>5</sup>.

Atmosfera Zakopanego przesiąknięta erotyzmem tak rozluźniała obyczaje kuracjuszy, że pod Giewontem przez długie lata nie funkcjonowała zawodowa prostytutka. Płatna miłość pojawiła dopiero w połowie lat 30. wraz z rozwojem masowej turystyki. Wcześniej natomiast proceder ten w ogóle nie był znany.

„Przedtem nikt by nawet nie spojrział w stronę [...] ladacznic, mając taki wybór pań po zakopiańskich pensjonatach i hotelach - twierdził Malczewski. - Nie w ciemną bita śmietanka polskiej urody zjawiała się pod Giewontem, jakaś niezła odrobina swojskiego chowu dołączała do tego bukietu piękności, sprytu i dzielności. Nikomu nie przyszło do głowy dopytywać się o zawodowe siły, skoro setki - ba, tysiące (zależało od sezonu) - dam umiało dać poznać: *it is my hobby*”<sup>6</sup>.

## PLASTYCY I TRUNKI

„Wydaje mi się, że artystów-alkoholików (i artystów - potencjalnych kandydatów na alkoholików - twierdził karykaturzysta Zdzisław Czermański - trzeba przyjąć z całym ich obciążeniem. Bo ile i jak pijacka mania w ich twórczości nabroila i broi, w tym się nikt nie rozezna”<sup>7</sup>.

Postrachem Zakopanego był duet artystów - Kamil Witkowski i Kazimierz Grus (mąż Mai Berezowskiej). Dobrze znali ich bywalcy knajp na terenie całego kraju, a jeszcze lepiej znały ich służby porządkowe. W Warszawie Witkowski miał zwyczaj przychodzić do kawiarni Kresy z kaczką Leokadią, z czasem zamienił kaczkę na indyczkę, a Kresy na cukiernię Bli-klego. Tam też po raz pierwszy zobaczył go Zdzisław Czermański.

„[...] od razu mogłem przekonać się, że to nie byle jaki typ pijaka, bo Witkowski wszedł do cukierni z indyczką, którą prowadził na długiej, kolorowej wstążce. Usiadł przy stole (z

wyglądu przypominał Indianina, jakiegoś Siuksa czy Komańcza), posadził indyczkę na krześle i zamówił dwa razy po pół czarnej. Indyczka wydawała z siebie głośne dźwięki.

- Marianno - mówił Witkowski - ja cię rozumiem, ale nie denerwuj się. Ci, co tu siedzą wkoło nas, też są ludzie. Brzydcy, bo brzydcy, i hałaśliwi, ale ludzie.

Bądź grzeczna i wypij kawę, bo inaczej nie dostaniesz wódki”<sup>8</sup>.

Alkoholizowanie się w towarzystwie drobiu nie było największym skandalem związanym z Witkowskim. Afera wydarzyła się w stołecznej restauracji Lijewskie-go - jej ozdobą było „olbrzymie akwarium, które służyło za bazę przeznaczonych na patelnię szczupaków, karpia i sandacza”. Pewnego dnia (albo może raczej wieczora) znajdujący się „pod mocnym gazem” malarz rozebrał się w lokalu do naga i odbył kąpiel w akwarium. A następnie odmówił rozmowy z wezwanym policjantem, twierdząc, że wylegitymować go może wyłącznie funkcjonariusz jednostki rzecznej...

„Witkowski miał [oryginalne] pijackie zwyczaje - opowiadał Czermański. - Wracając do domu nad ranem, krzyczał na schodach z całego gardła:

- Rodacy! Na Boga! Do broni! Do korda!

Ci mieszkańcy, którzy go jeszcze nie znali, przerażeni otwierali drzwi i pytali:

- Co się stało?!

- Stała się rzecz straszna! Wróg u bram miasta! Do broni!

Wytoczono wreszcie Witkowskiemu sprawę sądową za zakłócanie spokoju.

- Dlaczego pan budzi po nocach swoich sąsiadów? - pytał sędzia.

- Budzę ich, bo czuвам nad tym - odpowiedział Witkowski - żeby rany rodakom nie zablizniły się błoną podłóści, jak powiedział nasz wódz duchowy, Stefan Żeromski!”<sup>9</sup>.

Sędzia nie podzielał jednak patriotycznych uniesień Witkowskiego i ukarał go grzywną. Zdenerwowany malarz pił przez resztę dnia, aż wreszcie nad ranem odwiedził swojego przyjaciela Kazimierza Grusa. Obudził go i wyznał, że został skazany za swój gorący patriotyzm.

„Grus wyskoczył z łóżka, rozwarł drzwi i na cały dom krzyknął:

- Ziemianie województwa warszawskiego! Stała się straszna niesprawiedliwość! Postronnego człowieka tyrański urzędnik pognębił! Rodacy! Mury Rzeczypospolitej rysują się! Precz z *absolutum dominium!* Do broni!”<sup>10</sup>.

Grus nie różnił się specjalnie od swojego kumpla. Ten człowiek posiadał dziwną moc przyciągania zupełnie nieznanym sobie ludzi, którzy całymi dniami włóczyli się z nim po lokalach i stawiali mu alkohol. A Grus niezmordowanie pił i przemawiał, a mówcą był znakomitym. Gorzej, że nie istniały dla niego tematy tabu, w efekcie naraził się policji i właścicielom lokali w całym niemal kraju. Zdesperowany pojechał do teścia, do Nowego na Pomorzu, gdzie oczywiście doszło do kolejnej afery.

„Któregoś dnia, wałęsając się po miasteczku w poszukiwaniu rozrywki, zajrzał na plebanię i nie zastawszy proboszcza, upił przyniesioną flaszką wódki młodego kleryka. Na samo wspomnienie tego, co się potem działo, skóra cierpła mieszkańcom Nowego. Obaj wyszli na rynek. Młody kleryk krzyczał:

- Piwa!

- Dobrze - powiedział Grus - będziemy pić piwo, ale deszcz pada. Wróćmy więc na plebanię po parasol.

Zamiast na plebanię weszli do kościoła, a po chwili wyszli pod baldachimem. I zataczając się, przeszli przez rynek do piwiarni. A stamtąd do domu trumniarza. Grus upił trumniarza do nieprzytomności i ułożywszy go w trumnie, wystawił w oknie przy zapalonych gromnicach. Tego samego wieczora, ścigany przez policję i lud miejscowy, uciekł z Nowego i długo nie mógł się tam pokazać”<sup>11</sup>.

Nic więc dziwnego, że ten duet stał się postrachem Zakopanego. Witkowski wzbudzał powszechne zainteresowanie swoją indiańską twarzą, zadziwiając jednocześnie typowo słowiańskimi upodobaniami. O jego pijackich ekstrawagancjach pod Giewontem opowiadano różne historie, wiadomo jednak było, że jego gardło ciągle potrzebowało nowych porcji

„wody ognistej”.

„Gdy znudziło się mu pić na pluszowej kanapce w lokalu Trzaski - wspominał Rafał Malczewski - zamieszkiwał podłogę pod nią i tam kazał sobie podawać kielichy alkoholu. Stamtąd wybieraliśmy go sztywnego jak deska i odnosiliśmy do domu, śpiewając psalmy. Skoro tylko chcieliśmy go złożyć na werandzie willi przyjaciół, u których mieszkał, zrywał się jak nakłuty zatrutą strzałą, zrzucił ubranie i bieliznę, i na bosaka, i na goło starał się wkraść do rodzinnego »teepee«. Uciekaliśmy w popłochu, z naprzeciwka widzieliśmy, jak stał zawstydzony, złapany w drzwiach przez panią domu”<sup>12</sup>.

W tyle nie pozostawał jego wierny druh, który do swoich tatrzańskich praktyk wykorzystywał destylaty przygotowywane przez małżonkę. Maja Berezowska „fabrykowała tak mocny jablecznik”, że nawet Grus nie wytrzymał „potężnych garnców tego napoju” i po jego spożyciu długo biegał „zalany w dechę”. A co gorsza, przy okazji „tak podbił oko Uniłowskiemu”, że pisarz zamknął się na swojej kwaterze i w „samotności pił przez tydzień”.

Zakopane i Podhale przyciągały dziesiątki artystów, wśród których panowała zajadła konkurencja. A niektórych pomysłów na rozwiązanie problemu rywalizacji nie można inaczej wyjaśnić, jak tylko długotrwałym nadużywaniem wysoko-procentowych napojów. Oto bowiem Stanisław Gałek (specjalizujący się w pejzażach Morskiego Oka) przedstawił na posiedzeniu miejscowego Związku Plastyków swój nowatorski projekt podziału plenerów pomiędzy poszczególnych artystów.

„[...] zażądał, żeby Związek Plastyków przydzielił poszczególnym malarzom części Tatr do malowania - wyjaśniał Malczewski - z tym że nikomu innemu nie wolno malować nad tym lub owym jeziorem bez pozwolenia posiadacza pisemnego prawa jazdy pędzlem po płótnie w danej okolicy. Gałek dybał na Morskie Oko i chciał wysiudać stamtąd Hannemana, który z uporem maniaka malował to stawiszcze, po większej części stojąc lub siedząc na ścieżce okalającej przedmiot żądzdy Gałka”<sup>13</sup>.

Uparty artysta zaproponował sztywny podział, a niestosujący



się do niego plastycy mieli dostać całkowity zakaz wystawiania swoich prac. I to nawet we własnych domach!

„[...] Zefiryn Ćwikliński mógłby swoje owce malować w Dolinie Stawów Gąsienicowych, Hannemanowi dać Pięć Stawów plus Siklawa, może Wodogrzmoty, »Cyryl« Terlecki [...] objąłby regle, Czarny Staw Gąsienicowy, może, jeśli da radę, Kasprowy i okolice. Kłosowski nie maluje w górach, Kotarbiński snuje dziwne fantazje na papierze, Gentil-Tippenhauerowa niech maluje, gdzie chce, z wyjątkiem jezior i wierchów, ale lepiej byłoby gdyby trzymała się Zachodnich Tatr [...]. »Lewicowców«, jak Malczewski, Witkiewicz i kto tam jeszcze, nie powinno się uwzględniać”<sup>14</sup>.

Dyskusja była burzliwa, wniosek ostatecznie upadł, ale najwyraźniej nie tylko Gałek nadużywał trunków, albowiem cały projekt odesłano do władz nadrzędnych w Krakowie. Odpowiedź nie nadeszła jednak nigdy - najwyraźniej zarząd krakowskiego Związku Plastyków nie potrafił zrozumieć ambicjonalno-alkoholowych problemów artystów spod Giewontu.

## RZEŹBA, ROWER I TRUNKI

„August Zamoyski, rzeźbiarz i oszalały narciarz - wspominał Malczewski - biega po Skibówkach, gdzie wówczas posiadał własny domek, w łowickich portkach. Z daleka widać go, zziąjanego i rozkrzyczanego, gdy pędzi z pagóra pasiasty jak pomarańczowo-zielona liszka, lub wcina »Wiener Schnitzel« u Karpowicza, przerykując jazgot orkiestry, szum potoku i śpiewy pijanych woźniców. Do miasta, czyli do Trzaski, gdzie zbierał się tak zwany świat artystyczny, chodzi, podpierając się zielono pomalowanym kosturem”<sup>15</sup>.

Faktycznie, na początku lat 20. w Zakopanem były już nie tylko sanatoria i pensjonaty, ale również liczne knajpy. Turystyka rozwijała się bujnie i niebawem kuracjusze znaleźli się w mniejszości. Ludzi z zaawansowaną gruźlicą izolowano w sanatoriach, ponieważ w sezonie „zjeżdżało pod Giewont co

najzdrowsze w Polsce i nie chciało się mieszać z chorymi”. Turyści chcieli się bawić, a nie przebywać w towarzystwie gruźlików, zresztą sytuacja gospodarcza kraju sprzyjała hucznym zabawom. Szalała bowiem hiperinflacja i każdy usiłował wydać jak najszybciej wszystko, co zarobił.

„Pieniądza, zwłaszcza nie niewartego, jest nadmiar - wspominał Malczewski - tak samo jak ochoty do »wyżycia« się na pełny gaz. Zakopanemu już nie potrzeba gości, raczej pokoi, by ich pomieścić. Każdy nowy sezon nabrzmiewa ich zalewem. Każdy gość posiada marki zarobione wczoraj i musi je wydać dzisiaj, by nie zostać dziadem jutro. Więc Zakopane dygoce od tempa »wyżywiania« się, w kawiarniach tańczy się bez opamiętania, tak samo pije. W pensjonatach kwitnie miłość po pokojach, na schodach i pod schodami. Państwo młode, nie ma jeszcze skonsolidowanej elity, także nieuctwo jest w rozproszeniu, a chamstwo uchodzi, za co powinno”<sup>16</sup>.

August Zamoyski pochodził z bocznej linii zasłużonego dla Polski rodu, od dzieciństwa wykazywał zdolności plastyczne, w karierze malarskiej przeszkodziła mu jednak wrodzona wada wzroku (był daltonistą). W efekcie zajął się rzeźbą, i to ze znakomitym efektem.

Przebywał głównie we Francji, jednak każdego roku na kilka miesięcy przyjeżdżał do Zakopanego, gdzie miał pracownię. Poza sztuką i alkoholem pasjonował się sportem, a w 1925 roku przebył na rowerze trasę z Paryża do Zakopanego! Liczyła ona blisko trzy tysiące kilometrów, prowadziła przez Szwajcarię, Włochy, Karyntię, dolinę Wagu i Poprad. Dzielnemu cyklicście zajęło to trzy tygodnie (dziennie pokonywał około 130 kilometrów), a pod Giewontem przyjęto go jak bohatera.

„Nastrój oczekiwania rósł - opisywał Malczewski. - Oczy widzów wbiły się w perspektywę górnych Krupówek. Naraz ukazał się wyścigowy rower i półgoły rzeźbiarz przepasany szarfą. Reporterzy opadli mistrza dłuta, znajomi i żona tulili go do łona. Guccio był spocony co niemiara. Wyglądał jak zawodnik słynnych zawodów Tour de France, rower miał opatrzony w bidon i półmetrowy smoczek, by móc ssać ożywczy płyn podczas jazdy”<sup>17</sup>.

Jaki był to płyn, tego Malczewski nie napisał, można jednak podejrzewać, że nie była to zwykła woda.

Zamoyski uchodził bowiem za wyjątkowego wielbiciela trunków, a o jego wybrykach krążyły prawdziwe legendy. Najczęściej pijał w towarzystwie Witkacego, na którego ślubie był zresztą świadkiem. I już w czasie zaręczyn przeraził przyszlą pannę młodą, gdy będąc na gazie, skakał w śnieg z balkonu pierwszego piętra. Oczywiście nic mu się nie stało, podobnie jak Tomaszowi Zanowi (prawnukowi lidera filomatów), który towarzyszył mu w tych akrobacjach.

„Poznałem Gucia gdzieś tam - ale zaraz spotkaliśmy się w Zakopanem - opowiadał Iwaszkiewicz.

- Mieszkał sam na Skibówkach i brał udział w licznych »orgiach« zakopiańskich [...] i urządzał takie »orgie« u siebie. Były to zabawy składkowe, nic więc go to nie kosztowało. A bawił się świetnie razem z Karolem Szymanowskim, Karolem Stryjeńskim, Rytardami [...] Obrochtami, Wawrytkami, z nami i z Witkacym [...]”<sup>18</sup>.

W Zakopanem często przebywała pierwsza żona rzeźbiarza, tancerka Rita Sacchetto. Artystka sama już wówczas nie tańczyła (była starsza od męża o trzynaście lat), ale prowadziła zespół, który spod Giewontu ruszał na zagraniczne tournée. Jedną z podopiecznych Sacchetto była młodziutka Wally Konchinsky, późniejsza żona Jana Gwalberta Pawlikowskiego.

Iwaszkiewicz twierdził, że zakopiańskie „orgie” były całkiem niewinne, jednak chyba nie do końca miał rację. Wprawdzie nie uprawiano na nich seksu grupowego, ale nadmiar trunków wywoływał czasami groźne awantury.

„W domku Gucia na Skibówkach spotykał się tak zwany świat artystyczny - opowiadał Malczewski. - Karol Szymanowski, malarz Gilewski, Karol Stryjeński, Jaś Pawlikowski, Witkacy itd. Witkiewicz uprawiał wówczas system pojawiania się z wybraną parą ludzi, nieznaną gospodarzom. Tym razem przybył z Madame Flakonik i Bobim, jej lubusiem. Nikt nie znał ich prawdziwego nazwiska. Nie wypada pisać, co się działo potem w tym domu. Wiadomo tylko, że Bobi użarł w policzek Stryjeńskiego, że Gilewski i gościnnie gospodarz wylali na

spółkę Bobiego na śnieg, że nikt nie mógł utulić płaczu Flakonikowej. Działo się to nad ranem, mroźną nocą. Mimo to, Bobi zaczął się w zaśnieżonym rowie i gdy kawalkada gości wracała o świcie, do *down town* Zakopanego, wypadł z lagą z przekopy i lunął przez plecy siedzącą w sankach Stanisławę Szymanowską, śpiewaczkę i siostrę Karola. Na drugi dzień ten i ów zerkał na Boziewicza. Nie było jednak żadnego pojedynku. Tylko tyle, że Bobi zniknął z Zakopanego, a Madame Flakonik poczęła »chodzić« z kimś innym<sup>19</sup>.

Podobno Rita Sacchetto była wyjątkowo zazdrosna o męża i chyba miała do tego powody. Zamoyski, jak na rzeźbiarza przystało, miał słabość do proporcjonalnie zbudowanych modelek, nie ograniczał się zresztą wyłącznie do pozujących mu dziewcząt. Gdy przez pewien czas mieszkał w Warszawie, wynajął specjalną garsonierę za miastem, aby bez skrepowania przyjmować damskie wizyty.

„Owo »za miastem« okazało się być w gęsto zamieszkałym domu przy ulicy Polnej - wyjaśnił Iwaskiewicz - gdzie mieszkała pani Świerczyńska ze swoimi licznymi synami, moimi kolegami. Idąc kiedyś do nich, natknąłem się na zawołaną damę, która wysiadła z konnej karety (!) i śpieszyła do owego tajemniczego pokoju. Bez trudności rozpoznałem w tej damie jedną z bardzo znanych piękności z warszawskiego »towarzystwa«. Równie łatwo, przyciśnięty do muru, Gucio przyznał się, że dama śpieszyła do niego<sup>20</sup>.

Zamoyski pozostawał pod dużym wpływem Witkacego, nie tylko zresztą w sferze towarzyskiej. Podobnie jak on należał do formistów, ufał również przyjacielowi w sprawach literackich. Nienawidził w ogóle koterii autorskich, grup i ich programów.

„[...] był posłuszny gustom, a raczej smakowi, rozsądkowi i głębokiemu znawstwu Witkacego, który był jego przewodnikiem i najbliższym przyjacielem - przyznawał Iwaskiewicz. - Z Witkacym spędzał długie noce na niesamowitych, metafizycznych rozmowach. Niemal przy tym niszczyli alkoholu<sup>21</sup>.

August był lojalnym przyjacielem, więc nie mógł darować ani skamandrytom lekceważenia pisarstwa Witkacego, ani

Mieczysławowi Grydzewskiemu ignorowania go w „Wiadomościach Literackich”.

W 1926 roku Zamoyski miał poważny wypadek samochodowy, co zmusiło go do wycofania się ze sportu. Rozstał się z żoną, wyjechał na stałe do Paryża i związał ze śpiewaczką, Manetą Radwan. Poświęcił się rzeźbie, ale nadal chętnie udzielał się towarzysko, szczególnie wtedy, gdy nad Sekwanę przyjeżdżali goście z Polski. Jedno z takich spotkań wyjątkowo mocno utkwilo Iwaszkiewiczowi w pamięci.

„Właśnie kiedyś z Romanem Jasińskim we trójkę spędziliśmy typowo »paryską noc«, taką trochę z kiepskich ówczesnych powieści. [...] Jednym słowem, pamiętam jedną z naszych *tournée des grands ducs* - jak się wówczas jeszcze mówiło.

Nie pamiętam, od czego się zaczęło, ale w środku nocy znaleźliśmy się w trójkę: Zamoyski, Jasiński i ja, w jakiejś specyficznej nocnej knajpie, w której widocznie nie było napisu *champagne obligatoire*, bo środki nasze były wówczas bardzo skromne. Do naszego stolika przysiadł się prześliczny chłopiec, który powiedział, iż nazywa się Boris i że jest rosyjskim emigrantem, choć podejrzewałem go, że jest czystej krwi Francuzem. Działał na sentyment. Opowiedział nam tragiczną historię swego życia [...] Nie zabraliśmy go »na górę«, jak proponował, ale poczęstowaliśmy przy stoliku, czym tam chciał, i Guccio oddał mu resztę posiadanych franków. Widać nie był taki skąpy, jak się mówiło”<sup>22</sup>.

Eskapada zakończyła się w klasyczny sposób. Nad ranem znaleźli się w paryskich halach, gdzie oglądali „wprawne dzielenie byczych tusz” i skonsumowali zapiekana zupę cebulową. Nie byli zresztą jedynymi biesiadnikami, którzy kończyli libację w tym miejscu, bo -jak wspomina Iwaszkiewicz - „mieszanina ciężko i usilnie pracujących robotników z paniami w wieczorowych toaletach i panami w smokingach stanowiła widok niesamowity”.

W 1935 roku zmarł ojciec Zamoyskiego, a syn odziedziczył po nim posiadłość w Jabłoniu na Lubelszczyźnie. Zapraszał tam przyjaciół, a chociaż czasami okazywał „klasyczne skąpstwo Zamoyskich”, to jednak nigdy nie żałował pieniędzy na alkohol.

Szczególną renomą cieszyły się organizowane w Jabłoniu dożynki.

„Honory domu pełniła jego wiejska modelka, »gospodyni« Franka, miła, energiczna i zaradna osoba. Tu [Gucio] miał okazję okazać gospodarczą staropolską serdeczność, być naprawdę uroczym gospodarzem - pijącym na cześć swoich »ludzi«, którzy byli jego prawdziwymi przyjaciółmi, i na cześć kamienia, którego szukał wszędzie i którego w wielkiej oficynie było mnóstwo, obrobionego i nie obrobionego. [...] Było dużo wódki, orkiestra żydowska z Parczewa czy Lubartowa i tańce do białego rana, wszystko na gospodarskim podwórku w Jabłoni”<sup>23</sup>.

Zamoyski pozostał jednak dziwakiem, bo chociaż miał niedawno ukończony i wyposażony pałac, to zajmował niewygodną oficynę, a rodowa siedziba stała pusta. Inna sprawa, że uroda posiadłości była sprawą mocno dyskusyjną, możliwe zatem, iż rzeźbiarz nie chciał w niej zamieszkać właśnie z powodów estetycznych. Nie zmieniało to jednak faktu, że musiał patrzeć na ten pałac każdego dnia.

Latem 1939 roku Zamoyski przebywał w Paryżu, do kraju powrócił już po wybuchu wojny. Towarzyszyła mu Frania, która do cudzego paszportu wkleiła podobno zdjęcie swojej podobizny wykutej przez Zamoyskiego (jej paszport był nieważny, a nie było czasu na fotografa). Zamoyski miał wyruszyć samochodem z Paryża trzeciego września i - omijając Niemcy, Austrię, Czechy i Słowację - dotrzeć do Jabłonia przed oddziałami Wehrmachtu. Jeśli to prawda, to Zamoyski faktycznie był znakomitym kierowcą.

Natomiast pewne jest, że zatopił w dworskim stawie swoje rzeźby, które dzięki temu przetrwały wojnę. Po latach większość z nich trafiła za jego zgodą do Muzeum Narodowego w Warszawie.

Zabezpieczywszy swoje dzieła, Guccio nie czekał na Niemców, tylko udał się na emigrację. Przez piętnaście lat przebywał w Brazylii, spotkał tam wówczas innego wygnańca, Rafała Malczewskiego. Ich pierwszy kontakt był zupełnie przypadkowy. W straszliwy upał, spacerując po Flamengo w

Rio de Janeiro, Malczewski natknął się na Zamoyskiego, który pędził na rowerze w towarzystwie umieszczonego w koszyku pieska.

Zamoyski jest autorem jednego z najpiękniejszych pomników Chopina - monumentu, do którego pozował mu w Rio znajomy Iwaskiewicz, Jerzy Szablewski. W tym niezwykłym studium męskiej urody Zamoyski „pokazał zwykłego tancerza, pokazał życie wewnętrzne w jego ruchu i jednocześnie stworzył Chopina wyidealizowanego a prawdziwego. Zamoyski był poetą”<sup>24</sup>.

Ostatnie lata życia spędził we Francji, ale pojawiał się również w Polsce, gdzie spotykał się z młodymi polskimi rzeźbiarzami, których zapraszał na stypendia do Francji. Odwiedził też Iwaskiewicza w Stawisku, widywał się z nim zresztą podczas wizyt pisarza nad Sekwaną.

U schyłku życia Zamoyski zamieszkał w klasztorze i „stał się równie zapalonym mistykiem, jak w młodości był formistą”. Zmarł w 1970 roku.

„Ale ja go widzę po swojemu - pisał Iwaskiewicz - na tle lubelskich lasów Jabłoni albo na tle starego Trocadéro w Paryżu, na rowerze, z gołymi muskularnymi nogami, w małym czerwonym amilkarze, owiniętego w domorosłe szale, z nieodłącznym psem na rękę, krzyczącego mocnym głosem: każdy idiota wie, co to jest forma”<sup>25</sup>.

## HARNASIE

„Kogoż to nie spotykano na ulicach Zakopanego - wspominał Rafał Malczewski. - Od Stanisława Przybyszewskiego począwszy po Pawelka Hertza. Nie mówiąc już o urodzonych lub »volkszakopiartczykach«, jak Kazio Brzozowski, na którego zawsze czekała przy bufecie angiela »czystej«, lub Tymon Niesiołowski, który dopiero na drugi dzień był pijany, skoro wlał w siebie sporo wody poprzedniego wieczora. Wymieniłem już kopę malarzy autochtonów, choć mnożyli się chyba przez pączkowanie: to Śliwka, to Gąsienica-Szostak, to Janusz

Kotarbiński, Birula-Białynicki itd. Nocami można było zobaczyć poetę Władka Broniewskiego, stojącego na głowie w Sali Morskiego Oka przez niepokojąco długi czas. Tu mignęła w sankach piękna głowa Juliana Tuwima z siostrą Irką, tam zapieniony Kazimierz Grus ścigał ofiary, żądne wytchnienia od jego ozora”<sup>26</sup>.

Karol Szymanowski po raz pierwszy pojawił się w Zakopanem jeszcze przed wybuchem I wojny światowej, ale regularnie zaczął tam przyjeżdżać dopiero w czasach wolnej Polski. Oczarował go urok „kulturalnej stolicy” kraju, a w szczególności miejscowy folklor. Początkowo zatrzymywał się w pensjonacie Stamary, potem przez kolejne pięć lat w willi Limba. Miał tam zresztą doskonałe towarzystwo - Kornel Makuszyński twierdził, że z gości tego domu „można by utworzyć ze dwie akademie”.

„Spotkaliśmy się wszyscy u Karola - opowiadała Anna Iwaszkiewicz. - Guccio Zamoyski pokazywał bardzo zabawne sztuki, a potem poszliśmy wszyscy na przesliczny spacer wzdłuż potoku do regli. [...] Wróciliśmy wieczór strasznie głodni i bez ceremonii zabraliśmy się do jedzenia podwieczorku na ławce przed Karpowiczem! Gilewski i Karol zjedli z pół metra kielbasy. Karol był znów na jakimś weselu góralskim; opowiadał mi o tym z zachwytem, a w szczególności unosił się nad widokiem bójki górali na łączce przed domem; podobno niesłychanie wprost wyglądała ta skłębiona paczka z białymi spodniami, wymachująca ciupagami na tle zielonej łąki i gór oświetlonych księżycem”<sup>27</sup>.

Miejscowi górale zaakceptowali kompozytora, a on drużbował na ich weselach i bywał na lokalnych imprezach. Szczególnie cenili go zakopiańscy muzykanci, w których grę często i chętnie się wsłuchiwał.

Wypada tutaj podkreślić, że góralskie imprezy miały swoją specyfikę, co jednak Szymanowski w pełni akceptował.

„Goście z dołów - komentował Malczewski - porwani wdziękiem towarzyskim i jurnością górali, marli ze strachu, widząc, jak na weselach lub chrzcinach potrafią się prac, aż nieraz parę trupów zakończy uroczystość. Ziemia dudniła od



przytupywać stóp obutych w kierpce, w dzikich tańcach, uszy puchły od ryku zapijaczonych gardzieli, świat się kolebał i dymił potem i gorzałą. Tęgie łydki dygotały w »drobnym«, furczały ciupagi w »zbójnickim«. Po zapłociach i w cieniach smreków okalających chaty, obłapiały się ciała piękne i spalone żądzą.

I tak potrafił trwać takowy dur przez szereg dni i nocy - sanki i fury rozjeżdżały się tam i sam, wożąc zdziczałą młodź, podczas gdy w chałupie odchodziło żarcie, gżenie się i taniec<sup>28</sup>.

Jednym z najważniejszych wydarzeń towarzyskich Zakopanego był ślub pisarza Jerzego Rytarda z góralką Heleną Rojówną. Na weselu pojawili się Iwaszkiewiczowie i Grydzewski, stawiła się w komplecie cała zakopiańska bohema ze Stryjeńskimi, Zamoyskim i Witkacym na czele. Nie zabrakło również Szymanowskiego, który został drużbą pana młodego. Uczestnikom wesela impreza kojarzyła się ze słynnym bronowickim ślubem Lucjana Rydla.

„Wesele było wspaniałe, z zachowaniem wszystkich obyczajów góralskich - entuzjazmowała się Anna Iwaszkiewicz. - Dopiero teraz widzę, jak wielki jest realizm w *Weselu*, szczególnie kiedy zmęczona już siedziałam sama w jednej z izb nieurządzonych na przyjęcie, odczuwałam, jaki musiał być nastrój wtedy na weselu Rydla. Taka sama dziwna noc pełna żaru, a zarazem czegoś nierealnego. Ciemne zakamarki sieni i izb, gdzie wciąż się przesuwają jakieś pary, po dwie, po trzy osoby wchodzą, zamieniają parę zdań, znikają, wracają tam do izby tanecznej, skąd słychać dźwięki muzyki dziwnej, jednostajnej, a podniecającej muzyki góralskiej. Helka wyglądała uroczo, w ogóle oni byli oboje także wymarzoną parą państwa młodych na Weselu<sup>29</sup>.

Jarosław Iwaszkiewicz usiłował namówić Szymanowskiego, aby zrezygnował z komponowania baletu o tatrzańskich zbójnikach i na nowo zmierzył się z tematem podjętym przed laty przez Wyspiańskiego. Jednak Szymanowski, chociaż pisał nieźle, pamiętał przecież, że jest przede wszystkim kompozytorem, i nie dał się odwieść od własnego projektu. W efekcie Iwaszkiewiczowi pozostało tylko kontemplowanie

góralskiej imprezy.

„Muzyka grała, druźbowie śpiewali, nie obeszło się bez bitki, gdyż nawet sama panna młoda powiadała, że »rada widzę bitkę na weselu«, a oszołomione cepry kręciły się jak spłoszone ptactwo pomiędzy barwnym góralskim korowodem”<sup>30</sup>.

Szymanowski nie mógł wyprawiać się w góry, cierpiał bowiem na gruźlicę kości i mocno utykał. Ale lubił alkohol i huczne zabawy. Chociaż zdrowie mu nie dopisywało, to w Zakopanem regularnie nadużywał wysokoprocentowych trunków.

„Pamiętam także wielką orgię w jego mieszkaniu [Gucia Zamoyskiego - S.K.] u Krzeptowskich - wspominał Iwaskiewicz - w czasie naszej poślubnej podróży. Karol upił się wtedy bardzo; siadłszy w kątku obok mojej żony, wziął ją za rękę i powtarzał w kółko: »Moja Haniu, ja byłem przeciwny małżeństwu Jarosława, ja byłem bardzo przeciwny małżeństwu Jarosława! Ale teraz, to ja się z tego tak cieszę! Ty jesteś taka nadzwyczajna kobieta«. I znowu zaczynał od początku: »Haniu, ja byłem przeciwny małżeństwu Jarosława, ale ty jesteś taka nadzwyczajna kobieta...«. Śmialiśmy się potem z tego bardzo”<sup>31</sup>.

Kompozytor szczególnie dużo pił w czasie, gdy kończył partyturę *Króla Rogera*. Otoczenie podziwiała jego kondycję, gdyż „wytrzymał znaczne ilości alkoholu, nie przespane noce i częste powtórki »orgii« zakopiańskich”. I jego tajemnicą pozostawało „że zawsze, pomimo nie przespanych nocy, co rano spędzał kilka godzin przy fortepianie, komponując”. Ale gdy już zapisał dzienną normę nut, to resztę dnia z ulgą „poświęcał kawiarni, wizytom, klubowi zakopiańskiemu, spacerom i zabawom”.

Wiele napisano o ubóstwie Szymanowskiego, jednak w rzeczywistości kompozytor sam ponosił odpowiedzialność za taki stan rzeczy. Do końca życia pozostał wielkim panem z ukraińskiej Tymoszwówki, który nie liczył się z pieniędzmi. Po rewolucji bolszewickiej i utracie rodzinnego majątku sytuacja się zmieniła, ale Szymanowski nie potrafił przystosować się do nowych warunków.

„Gdy Karol Szymanowski budował sobie nową ojczyznę na

Podtatrzu - opowiadał Malczewski - i pojawiał się coraz częściej, przybywali do niego ludzie z dalekich łądów. Pojawiały się kobiety, pragnące usidlić twórcę *Fontanny Aretuzy*. Pojawiali się i inni, którzy umieli poza koniakiem wydebić od niego forszę. Nie należy przypuszczać, że Karol Szymanowski potrafił żyć oszczędnie. Lubił dobrobyt (któż go nie lubi) i nie miał zamiaru się go wyrzekać. Co prawda można uprzeć się przy dobrobycie i umrzeć z głodu. Szymanowskiemu potrzebne było do życia niezbyt dokładne liczenie się z pieniędzmi. Lubił wino, i to dobre, koniak, ubranie dobrze skrojone, palił »egipskiego«, i to przedniego, a nie płaskiego czy cienkiego. [...] Toteż cały ów okres życia, począwszy od rewolucji aż do śmierci, jest szukaniem pieniędzy dla siebie i dla rodziny. Utrzymuje matkę sparaliżowaną, pomaga siostram i bratu Feliksowi, gdy złośliwy artretyzm uczynił go kaleką”<sup>32</sup>.

W związku z tym dochodziło czasem do zabawnych sytuacji. Zdarzyło się bowiem, że kompozytor pożyczył od zamożnych znajomych pieniądze na bilet kolejowy do Warszawy. Na dworcu okazało się, że owi zamożni przyjaciele też wybierają się do stolicy. Tylko że oni wsiedli do wagonu drugiej klasy, natomiast Szymanowski do sypialnej salonki...

Kompozytor był zdeklarowanym homoseksualistą, toteż sfery artystyczne zelektryzowała wiadomość o jego planowanym ślubie z Zofią Nałkowską. „Messalina polskiej literatury” faktycznie zakochała się w Karolu, on jednak pozostał wierny swoim preferencjom seksualnym.

„Zadawano sobie tylko w naszych kołach pytanie - pisała Irena Krzywicka - czy jawna miłość Nałki (tak ją nazywali przyjaciele) jest wzajemna, no i czy po prostu śpią ze sobą. Niestety, z tego, co wiem o Karolu, jego niewątpliwy pociąg do Zofii zatrzymywał się w pewnym punkcie, bo Szymanowski naprawdę był wrażliwy tylko na uroki chłopców. Musiała to być ciężka sprawa dla Nałkowskiej: obcować blisko z tak uroczym mężczyzną i - nic? Choć znów niektórzy przysięgali, że zrobił dla niej wyjątek. Kto to może wiedzieć. W każdym razie jest faktem, że tych dwoje niezwykłych ludzi przeżyło razem piękne chwile, jeżeli nie miłości, to przyjaźni zabarwionej miłością”<sup>33</sup>.

Ostatecznie Nałkowska znalazła pocieszenie w ramionach innego gruźlika, Michała Choromańskiego.

O jego względy stoczyła zresztą walkę z inną wielbicieleką młodego pisarza, Marią Kasprowiczową. Obie panie częstowały się złośliwościami, wzajemnie wypominając sobie swój wiek, a jednocześnie zupełnie nie zwracając uwagi na fakt, że Choromański mógłby być synem każdej z nich.

W 1930 roku Szymanowski wynajął willę Atma, którą zaczął uważać za swój dom. Trybu życia jednak nie zmienił - pracował rano po śniadaniu, resztę dnia poświęcając na kontakty towarzyskie. Pewnego razu, idąc z Kornelem Makuszyńskim po Krupówkach, spotkał Mirę Zimińską. Panowie zaprosili aktorkę na kolację do Karpowicza, gwiazda Qui pro Quo nie odmówiła i wesołe towarzystwo, chcąc uniknąć spojrzeń ciekawskich, zasiadło w „gabiniecie” restauracji. I wybierając to miejsce, bardzo dobrze zrobiło...

„Zabawa była wyśmienita - wspominała Zimińska. - Podczas tej kolacji Karol Szymanowski zwierzał się nam: »Wiecie, męczę się teraz z tym moim nowym baletem, przegram wam kawałek«. I zaczął grać, a ja wskoczyłam na stół i potańcowałam ten balet - tak jak umiałam - po góralsku. I tak odbyła się prapremiera *Harnasi* wielkiego Karola Szymanowskiego w gabinecie u Karpowicza”<sup>34</sup>.

Kompozytor był człowiekiem o dużej kulturze osobistej, co w codziennym życiu przysparzało mu wielu kłopotów. Nie potrafił odmawiać różnego rodzaju nudziarzom i cierpliwie męczył się, gdy „byle bydlak myślał, że »mistrzuni« przeżywa rozkosz z powodu jego obecności”. Szymanowski naprawdę był kresowym, polskim ziemianinem w najlepszym wydaniu.

„Pamiętam jakąś posadkę u »Jędrusia«. Radio zaczęło huczeć marszami z »Nazilandu«. Czuło się w powietrzu łopoczące sztandary. *Die Braunen Batalionen w Gaense Marszu*. Ileż taktu potrzebował Karol Szymanowski, by łagodnie, prawie ze wstydem się tłumaczyć przed dostojnikiem państwowym, byłym legionem [legionistą - S.K.], dlaczego nie tworzy podobnych kawałków. »Polsce są potrzebne bojowe marsze, sztuka sztuka, narodowi trzeba dać zastrzyk tężyzny. Polska

spodziewa się po mistrzu...«. Świeżo nalane kieliszki przerwały rozmowę tych dwóch światów”<sup>35</sup>.

W ostatnich zakopiańskich latach Szymanowskiego jego sytuacja finansowa była już tak zła, że w praktyce utrzymywał się wyłącznie z korespondencyjnego „łańcuszka szczęścia”. Musiał też zrezygnować z wynajmowania Atmy, tym bardziej że gruźlica zaatakowała gardło i klimat Podhala stał się dla niego zabójczy. Wielki sukces *Harnasi* w Paryżu przyszedł dla niego zbyt późno.

Ale nawet u schyłku życia nie zmienił swoich upodobań. Pomimo śmiertelnej choroby nadal palił i pił ponad miarę. A kiedy trafił do jednego z alpejskich sanatoriów, przemycano tam dla niego butelki z alkoholem. Miał jednak problemy z dyskretnym usuwaniem tych opróżnionych, wobec czego wyrzucał je w ogromną zaspę śniegu pod oknem. Ale nawet w Alpach zdarzają się załamania pogody, toteż kiedy przyszła niespodziewana odwilż, musiał się gęsto tłumaczyć przed lekarzami. Sterta pustych butelek pod jego oknem robiła bowiem imponujące wrażenie.

Pod koniec życia powiedział, że chciałby mieć choć niewielką część tych pieniędzy, które państwo polskie wyda na jego pogrzeb. Zauważył z melancholią, że „Polacy nie znoszą żywych ludzi, a ubóstwiają trupy, z którymi mogą robić, co im się podoba”. I miał rację: z wielką pompą pochowano go na Skałce, a na uroczystości wydano ponad pięćdziesiąt tysięcy złotych...

## MAŻ SWOJEJ ŻONY

„[Władysław] Orkan trzymał ukryte przed żoną butelki wódki w kilku sklepach na Krupówkach - relacjonował Zdzisław Czermański. - Najpierw musiał wykraść się z domu (co już było sztuką) i jednym wielkim skokiem odbić się daleko (...), bo od razu miałby żonę na piętach. A czy łatwo człowiekowi niemłodemu, steranemu gnać w szalonym pośpiechu w śniegu, w deszczu, poprzez kałuże i gołoledź - gnać z poczuciem grzechu do grzechu?

Codziennie rano Orkan wpadał na Krupówki. Wypiwszy kilka wódek w zakładzie fotografa, przebiegał naprzeciw do sklepu ramiarza. Od ramiarza biegł na pocztę, do aptekarza i naprzeciw do »magazynu uniwersalnego« i tak przebiegłszy zygzakiem Krupówki, wpadał na Kościeliska, żeby tam zniknąć z oczu. A Orkanowa zachlastana błotem biegła za nim, krzycząc rozpaczliwie »Władek!«. Ładne życie! Zegar kościelny dopiero dziesiątą wskazywał, a Orkan był już pijany”<sup>35</sup>.

Mieszkańcy Zakopanego, przyzwyczajeni już do podobnych widoków, nie zwracali większej uwagi na zachowanie pisarza i jego małżonki. Podobnie jak na kłótnie Zofii i Karola Stryjeńskich, które często wykraczały poza teren ich domu. I nawet gdy uzbrojona w paletę Zofia gonila męża po Krupówkach, to niemal nikt z miejscowych nie podnosił wzroku. Wiadomo było bowiem powszechnie, że jak Stryjeńscy są razem, to musi być awantura.

Genialni artyści z reguły są ludźmi wyjątkowo kłopotliwymi w domowym pożyciu. Jednak Zofii Stryjeńskiej nie można nazwać człowiekiem trudnym, plastyczka była osobą ewidentnie niezrównoważoną psychicznie. Współcześni uważali ją za „utalentowaną półwariatkę” i mieli dużo racji. Już bowiem bezpośrednio po ślubie z Karolem uciekła sprzed ołtarza i, nikomu nic nie mówiąc, pojechała do Zakopanego. Tam przez kilka dni chodziła po górach, podczas gdy przerażony mąż szukał jej po całym Krakowie.

„[...] znakomita malarka, ale zupełnie szalona kobieta - twierdził Iwaszkiewicz. - Poznałem jej charakter w Paryżu, gdzie dopadła kiedyś męża jedzącego spokojnie śniadanie z Augustem Zamoyskim i ze mną w jakimś bistro na Montparnasse, i z rewolwerem w ręku gonila go w kółko na rogu bulwarów Raspail i Montparnasse, a my z Zamoyskim biegaliśmy za nimi, dopóki zmęczona pani Zosia nie oddała swej broni w ręce Gucia i nie zasiadła z nami do stołu”<sup>37</sup>.

W 1922 roku Stryjeński wygrał rządowy konkurs na plan regulacji Zakopanego, objął również stanowisko dyrektora miejscowej Szkoły Przemysłu Drzewnego. Architekt postawił placówkę na niezwykle wysokim poziomie, tocząc bezwzględna

walkę z dominującym tam dotychczas kiczem. Uczniowie go uwielbiali (szczególnie uczennice), doceniali go również przełożeni. A sam pan dyrektor był człowiekiem o dużym uroku osobistym.

„Był to jeden z najmiłszych ludzi, jakich zdarzyło mi się spotkać w Polsce - uważał Iwaszkiewicz. - Wesoly, swobodny i bardzo inteligentny, znakomity kompan, umiał jednocześnie interesująco gawędzić i był naszym codziennym towarzyszem. Spotykaliśmy się zawsze na obiedzie u Karpowicza i przesiadywaliśmy długo razem”<sup>38</sup>.

Pod urokiem Karola pozostawał również inny ze skamandrytów, Kazimierz Wierzyński, który podkreślał jego pozytywny wpływ na sztukę zakopiańską:

„To, że nie mamy swojskiej tyrolszczyzny w zdobnictwie, to, że nie nosimy swojskich kamizelek bawarskich na co dzień, to, że orzeł polski nie lata nad Tatrami w parzenicach - jest zasługą Stryjeńskiego. A niedaleko byliśmy od tych katastrof, niewiele nam brakło do tego przy naszej pontyfikalnej wzniosłości”<sup>39</sup>.

Niestety małżeństwo plastyczki i architekta zupełnie się nie układało. Wprawdzie Zofia odnosiła wspaniałe sukcesy jako artystka, nie potrafiła jednak realizować się w typowo kobiecych sferach życia. Nie przepadała za fizyczną stroną miłości, co nie przeszkadzało jej być zazdrosną o męża. Potrafiła kopnąć nieznaną sobie kobietę, której Karol się uklonił, albo też zwymyślać inną, do której się uśmiechnął. Miała również specyficzne poglądy na kwestię miłości macierzyńskiej.

„W tym czasie, kiedy byliśmy w Zakopanem, urodziły się Stryjeńskim bliźniaki - notował ze zgrozą Iwaszkiewicz. - Pani Zosia, pokłóciwszy się pewnego dnia z mężem, zawinęła bliźniaki w gazetę, zrobiła z nich sporą paczkę i trzymając za sznurek, wyjechała do Krakowa. Bliźniaki zresztą z braku wózka chowały się w dwóch szufladach od komody wysuniętych na pokój”<sup>40</sup>.

Stryjeński miał zawsze pozytywny stosunek do alkoholu, a problemy małżeńskie tę skłonność dodatkowo wzmocniły. Zresztą w Zakopanem pili praktycznie wszyscy i nawet

Iwaskiewicz (potężnie zbudowany mężczyzna!) przyznawał, że ilości alkoholu, jakie tam się „normalnie zużywało, przechodziły jego skromne możliwości”.

„Sylwester. Zaczęto u Karpowicza w sposób raczej bezwzględny - wspominał Rafał Malczewski - tak, że parę godzin po północy Stryjeński poszedł się zdrzemnąć do hoteliku na górę, a reszta towarzystwa podążyła do Trzaski. Tam nie było wiele miejsca, ale skłębiony tłum ludzki dygotał w miejscu, oszalały żądzą zabawy. Kociuś [major Ziętkiewicz - S.K.], trzeźwy na tyle, by spostrzec brak Stryjeńskiego, postanowił go ściągnąć od Karpowicza. Wymknął się i znikł i nikt tego nie zauważył. Po długim czasie na środek dansingu wtargnął major z zarzuconym kocem na plecy. Koc był wypchany. Kociuś strząsnął go jak piórko na stolik i z koca wypełznął goławy dyrektor Szkoły Przemysłu Drzewnego. Zabawa nabrała znowu tempa, czy Karol się ubrał, czy wszyscy się rozebrali - nie pamiętam. Dość, że Sylwester się udał. Kiedyś potem Karpowicz szukał koca i prześcieradła”<sup>41</sup>.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że w relacji Malczewskiego nie ma ani słowa o Zofii. A był to przecież Sylwester i wypadałoby, aby małżonkowie spędzili go razem...

Postać Stryjeńskiego przewija się zresztą w niemal wszystkich alkoholowych wspomnieniach spod Giewontu. Był w dobrych stosunkach z Witkacym (do czasu, bo później nieomal doszło między nimi do pojedynku), a w towarzystwie „demonia Zakopanego” nie można było być abstynentem. I należało brać pod uwagę, że znajomość z Witkiewiczem groziła śmiercią lub kalectwem.

„[...] noc, na dworze siąpi, otwarte okna jakiejś willi [...] na ławce siedzi jakiś pan, do którego po angielsku mówi Witkacy. Na drugiej ławce major Ziętkiewicz dusi Stryjeńskiego już wcale nie na żarty. Stryjeński rzezi. Witkacy tłumaczy przyjezdnemu Anglikowi, który został zaproszony przez wampirowatą gospodynię, że u nas to tak. Właśnie zdecydowano, że na pierwszy ogień pójdzie ten pan z rozwichrzoną czupryną, który już dogorywa, potem zabierzemy się za tego grubego [...] Z kolei zabierzemy się za innych gości.



Taki u nas zwyczaj, tak bawimy się prawie co wieczór. Później, nocą przyjeżdża wóz i zabiera trupy. [...]

Anglik bladł coraz bardziej, Karol jęczał w pazurkach majora. [...] Gość z mglistego Albionu nie czekał już więcej - dał nura w mglistą czerną noc i już więcej nikt go nie widział. Gospodyni twierdziła potem, że to nie był żaden Anglik, tylko malarz z Koprzywnicy. Stryjeński jednak nosił ślady duszenia na szyi przez kilkanaście dni. O co poszło, nikt nie wiedział, zwłaszcza ofiara i napastnik<sup>42</sup>.

Tymczasem alkohol jeszcze bardziej pogarszał sytuację domową Stryjeńskich. Zofia potrafiła powybić szyby w prowadzonej przez męża szkole albo pociąć na kawałki frak, w którym miał on powitać prezydenta Rzeczypospolitej. I to na godzinę przed wizytą głowy państwa! Jednak takie postęпки wydają się niewinnymi drobiazgami, potrafiła też rzucić w męża płonąca lampą naftową.

Karol uciekał w góry, uwielbiał długie wędrówki, a podczas pobytów w Zakopanem często towarzyszył mu Wierzyński:

„Nie byliśmy wielkimi chodzikami, ani ja, ani on, któremu przeszkadzała chora noga. Wybieraliśmy się nie na szczyty, lecz na włóczęgę i chodziliśmy bez planu albo zmienialiśmy plany w drodze. Najczęściej staraliśmy się dotrzeć do jakiejś koliby i tam zanoćować, a tych kolib Karol znał kilka i uważał je za własne przytuliska. Raz pamiętam, jak przespał u wejścia do koliby całe południe i obudził się z dwiema kolorowymi częściami twarzy. Wystawiona na słońce była ciemno płomienista od opalania, ta zaś, na której spał, szara jak jego zwykła cera. Powiedziałem mu, że z jednej strony wygląda jak Indianin, a z drugiej jak Eskimos, i że głosuję za Eskimosem<sup>43</sup>.”

Praca zawodowa, alkohol i górskie wędrówki to było jednak zbyt mało, aby wypełnić życie Stryjeńskiego. Nie potrafił porozumieć się z żoną, a miał swoje potrzeby erotyczne. W jego życiu zaczęły pojawiać się inne kobiety, zresztą zawsze miał u nich powodzenie. Jego uczennice uznawały go za mężczyznę „promieniującego urokiem, wdziękiem, o czarującym sposobie bycia” i podobno „nagminnie się w nim kochały, co on przyjmował z pobłażliwym zrezygnowaniem”. Stryjeński miał

bowiem w sobie to „coś”, co skutecznie działało na panie, i to bez względu na ich wiek, status społeczny czy też sytuację rodzinną. Malczewski twierdził, że „umiał się bawić i czarować kobiety od lat 1 do 100, wszelkiego pochodzenia: góralki, arystokratki, intelektualistki, artystki, sportsmenki, zakonnice, czarownice, święte, wariatki lub zgoła normalne, społecznice, ladacznice, dziewice, półdziewice, mężatki, rozwódki”.

„Cóż to za ciekawy typ, ten Karol - pisała Magdalena Samozwaniec. - Rzeźba grecka przerobiona na umorusanego i zaniedbanego andrusa. Włosy nie strzyżone, twarz najczęściej nie golona, portki nigdy nie prasowane”<sup>44</sup>.

Wielbicielkom Stryjeńskiego nie przeszkadzało nawet to, że architekt był dość dyskusyjnej urody i nie dbał specjalnie o higienę osobistą. A co dziwniejsze, również tę jego abnegację wspominały po latach z dużym rozrzewnieniem.

Zachowała się ciekawa relacja Ireny Krzywickiej o Janinie Konarskiej. Urodziwa plastyczka, przyszła żona Antoniego Słonimskiego, zakochała się w Stryjeńskim bez pamięci, ale Karol nie chciał wykorzystywać uczuć młodej dziewczyny. Możliwe zresztą, że wówczas jeszcze nie zdradzał żony.

„Powiedział jej wręcz - relacjonowała Krzywicka - że jej nie kocha, że mogłaby być dla niego tylko przelotną przygodą, a na to jest za dobra, za uczciwa, za czysta. I tak biedna, śliczna Janka została ze swoją nieodwzajemnioną miłością. Drastyczny szczegół: Karol przy wszystkich swoich intelektualnych i męskich urokach, nie bardzo się mył. I odtąd, jak mówiła niezmiernie schludna Janka, zapach spoconych stóp kojarzył się jej zawsze z biciem serca i rozkosznym wzruszeniem”<sup>45</sup>.

W końcu jednak Stryjeński zaczął regularnie zdradzać żonę i właśnie z tego powodu omal nie doszło do wspomnianego pojedynku z Witkacym. „Demon Zakopanego” okazał się bowiem człowiekiem mało dyskretnym, zbyt dużo mówiąc o romansie przyjaciela z Ireną Domaniewską, żoną znanego zoologa i publicysty. Pani Domaniewska nie była zresztą jedyną kochanką Stryjeńskiego, który najwyraźniej zamierzał powetować sobie abstynencję seksualną u boku żony.

Romansów nie udało się ukryć przed Zofią i domowe

awantury osiągnęły niespotykane (nawet jak na Stryjeńskich) rozmiary. Karol miał jednak dość tej całej sytuacji i postanowił rozwiązać problem. Bez trudu doszedł do porozumienia z lekarzem zdrojowym i komisarzem rządu na Zakopane, bo panowie obracali się w tych samych kręgach towarzyskich i pozostawali w znakomitych stosunkach. Ostatniego dnia sierpnia 1927 roku, po kolejnej awanturze, u Stryjeńskich interweniowała policja i Zofię przewieziono do zakładu psychiatrycznego w Batowicach pod Krakowem.

Środowisko Zakopanego podzieliło się na dwa obozy, przy czym większość miejscowej opinii była po stronie Stryjeńskiego. Wszyscy wiedzieli, do czego zdolna jest Zofia, a Karol był powszechnie lubiany. Konsylium lekarskie uznało jednak zatrzymanie Stryjeńskiej za nieuzasadnione, a lekarz zdrojowy i komisarz rządu musieli pożegnać się ze swoimi posadami. Małżeństwo rozpadło się ostatecznie, ale opiekę nad dziećmi przyznano Karolowi. I ta decyzja sądu daje dużo do myślenia...

Zofia nie zaznała już w życiu szczęścia. Popularność jej sztuki przeminęła, a ona sama żyła w skrajnej biedzie. Zdarzyło się nawet, że komornik zajął jedną z jej wystaw. Niepowodzeniem zakończyło się również jej małżeństwo z aktorem Arturem Sochą. Okazał się on bowiem typowym utracjuszem, który nie tylko okradał żonę, ale też zaraził ją chorobą weneryczną. Zmanierowany i mało inteligentny, przesiadywał głównie po kawiarniach, gdzie „co drugie zdanie zaczynał od słów: »Już Wyspiander powiedział...«”.

Shczęścia nie zaznał również Karol. Po całej aferze musiał opuścić Zakopane, objął katedrę rzeźby monumentalnej na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Czasami spotykał na ulicy swoją byłą żonę - mijali się wówczas jak dwoje obcych sobie ludzi. W 1932 roku został współzałożycielem i pierwszym dyrektorem Instytutu Propagandy Sztuki, ale w tym samym roku zmarł w wyniku wylewu krwi do mózgu. Pochowano go w rodzinnym Krakowie, potem jednak (zgodnie z jego ostatnią wolą) jego ciało przeniesiono do ukochanego Zakopanego, na cmentarz na Pęksowym Brzyzku.

Tragedią zawodową Stryjeńskiego było to, że niewiele jego dzieł przetrwało próbę czasu i dzisiaj jest on znany niemal wyłącznie jako mąż swojej genialnej żony. Nie zrealizowano jego planu regulacji Zakopanego, a z projektów architektonicznych ostały się tylko Wielka Krokiew (oczywiście po wielu modernizacjach) i grobowiec Jana Kasprowicza.

Z tym ostatnim wiąże się zresztą kolejna afera. Przeniesienie zwłok poety do ukończonego monumentu przy Harendzie odbyło się w rok po śmierci Stryjeńskiego, a sama uroczystość zakończyła się tak, jak większość imprez pod Giewontem.

„»Gazeta Polska« wysłała specjalnego korespondenta - wspominał Malczewski. - Ów czarujący przyrodnik i znawca ptaków od rana był zalany w dechę. Dolał w »Harendzie«. Do wdowy po poecie zwracał się uprzejmie: »Pani Nieboszczykowo«, co podobało się nie tylko gościom, ale i twórczyni pamiątek o sobie i poniekąd o Kasprowiczu i rozgrzało atmosferę z początku pseudożałobną. Czytelnicy »Gazety Polskiej« nie ujrzeli nigdy żadnej wzmianki o uroczystości”<sup>46</sup>.

Oto i całe Zakopane. Miało być odświętnie i pompatycznie, a wyszło jak zawsze.

## DEMON ZAKOPANEGO

Jednym z piękniejszych wyczynów Witkacego była pierwsza próba wprowadzenia filmu mówionego - wspominał Antoni Słonimski. - Wiadomo było, że już na świecie są kina dźwiękowe, a u nas za parawanem przygrywała na pianinie anonimowa paniusia. Byliśmy z Guciem Zamoyskim wszyscy trzej lekko pod gazem. Poszliśmy do kina. Witkacy objął w filmie rolę kobiecą i wykrzykiwał piskliwie: »Ryszardzie, czy stłamsisz mnie i porzucisz z dzieckiem?« - »Nigdy - odpowiedziałem basem - nie porzucę cię, póki nie zgnije najdrobniejszy korzonek mego drzewa ginekologicznego«. Prowadziliśmy dłuższą chwilę ten pełen napięcia dialog, gdy wreszcie zrobiła się awantura. Pani z za parawanu oświadczyła:

»Albo ja, albo ci panowie«. Wyproszono nas z kina przy czynnej pomocy miejscowego policjanta. Już przy wyjściu Witkacy nagle postawił sprawę na gruncie towarzyskim: »Pan się nam nie przedstawił«. Policjant stuknął obcasami i oznajmił, że nazywa się Pieniążek. Witkacy mruknął: »Witkiewicz«, Gucio dodał: »Zamoyski«, a ja, by nie obniżyć lotu, przedstawiłem się: »Sienkiewicz«. Policjant był zgorzony i zasmucony: »To panowie mają u nas własne ulice, a nie potrafią się zachować w bioskopie«<sup>47</sup>.

Opisywać bachanalia pod Giewontem i pominąć osobę Witkacego, to mniej więcej tak, jak nie zauważyć wieży Eiffła w Paryżu czy placu św. Marka w Wenecji. Witkacy był bowiem nieprawdopodobnie bogatą postacią, osobą, bez której Zakopane wydawałoby się pustą miściną, a jednocześnie człowiekiem, którego wielu współczesnych uważało za nieudanego syna wielkiego ojca. W istocie Stanisław Witkiewicz senior - malarz, architekt i twórca stylu zakopiańskiego - to postać wybitna, ale z perspektywy czasu widać wyraźnie, że jego syn i imiennik był prawdziwym geniuszem.

„Nie można zaprzeczyć, by Witkacy unikał alkoholu - twierdził Rafał Malczewski. - Potrafił pić i to w wielkich ilościach, szklanką, niczym »Józefinkę« lub »Zubera«. Miał twardy łeb i nie urzynał się tak łatwo. Nigdy nie popadał w chamskie maniery. Często lubił przerwać działanie wódki kokainą, po której trzeźwiał i używszy jej więcej, przenosił się w inny świat. Świat ten musiał być dziwny i ogromnie daleki naszym sprawom. Nie było mowy, by z nim wtedy można było się porozumieć. Milczał ze ściemniałą w onyks żrenicą, tajemniczy i chłodny, gentelman z Saturna może albo i z dalsza»<sup>48</sup>.

Biografia Witkacego obfitowała w dramatyczne wydarzenia - w 1914 roku samobójstwo popełniła narzeczona artysty, Jadwiga Janczewska. Egzaltowana dziewczyna zastrzeliła się w Dolinie Kościeliskiej, a przyczyną samobójstwa było podobno to, że zaszła w ciążę z Karolem Szymanowskim (kompozytor był wówczas biseksualny). Witkiewicz, chcąc zapomnieć o tragedii, wyjechał z Bronisławem Malinowskim na antypody,

ale w Australii doszło do rozstania przyjaciół. Niewykluczone, że etnograf wykorzystał seksualnie Witkacego, który znajdował się pod wpływem narkotyków...

Stanisław powrócił do Europy i zaciągnął się do Pawłowskiego Pułku Lejbgwardii (mimo że był bliskim kuzynem zdeklarowanego wroga Rosji, Piłsudskiego!). Po rosyjskiej stronie walczył nad Stochodem z II Brygadą Legionów, został ranny, a w uznaniu zasług otrzymał awans na porucznika i Order św. Anny IV klasy.

Miał wątpliwą przyjemność oglądać na własne oczy rewolucję bolszewicką, przedzierał się do Polski przez ogarnięty pożogą kraj, w którym ćwiartowano takich jak on oficerów gwardii. Przeżył, a jako pamiątkę z Rosji przywiózł nienawiść do komunizmu i chorobę weneryczną, z której długo nie mógł się wyleczyć.

Nie potrafił dojść do porozumienia z własnym ojcem, z którym wcześniej był bardzo związany. Witkiewicz senior miał za złe synowi jego romans z Ireną Solską (mężatką), choć sam w tym czasie mieszkał na Istrii z kolekcjonerką sztuki ludowej Marią Dembowską. Tłumaczył, że to tylko przyjaźń i że Dembowska była mu konieczna, aby duchowo „wzlatywać do nieba”. A pozostawiona w kraju żona podobno nie mogła mu tego zagwarantować...

Witkacy spędził większość życia w Zakopanem, stając się „nie mniejszą osobliwością lokalną niż Giewont czy Morskie Oko”. Był człowiekiem o niewyczerpanej fantazji i diabolicznym poczuciu humoru, a jego pomysły cechowała taka oryginalność, że do dzisiaj wzbudzają uznanie.

„[...] otworzył Słonimskiemu drzwi odziany w pizamę sklejoną z gazet - wspominał Czermański.

- Żart na krótką chwilę, a jaki wysilek! Skroić, skleić takie odzienie to jeszcze pół biedy, ale włożyć na siebie, nie podrzeć i w tym przebraniu czekać na zapowiedzianego gościa, to przecież trud nie do wynagrodzenia. Słonimski od pierwszej chwili do końca wizyty udawał, że nic nie widzi. Pochwaliwszy na wstępie zdrowy wygląd Witkacego (co na pewno innym razem zrobiłoby mu dużą przyjemność), wychwalał długo obraz

stojący na sztaludze, mówił o Warszawie, o wspólnych znajomych, o teatrach, o filmach, mówił o byle czym, byle mówić jak najdłużej.

Witkacy słuchał w milczeniu i dopiero przy pożegnaniu przemówił:

- Muszę ci powiedzieć, kochany Antoni, że masz dziwny sposób obcowania. I ta twoja dzisiejsza wizyta z tym wysiłonym i przecudnym monologiem będzie miała swoje konsekwencje.

Na drugi dzień Słonimski dostał od Witkacego list:

»Kochany Antoni! Chcę Cię powiadomić, że w dniu dzisiejszym przesunąłem Cię na liście moich przyjaciół z miejsca trzeciego na miejsce trzydzieste czwarte«<sup>749</sup>.

Witkacy był plastykiem, dramaturgiem i filozofem. Pod względem wszechstronności dorównywał Wyspiańskiemu, ale różniła ich jedna zasadnicza cecha - autor *Wesela* praktycznie nie pił alkoholu, podczas gdy Stanisław Ignacy wlewał w siebie ogromne jego ilości.

„Przyszedłem do Witkacego - wspominał Jerzy Rytard - zaproszony na pierwszą próbę portretowania. Wobec niespodziewanej wizyty pani Żeleńskiej ustalony program przyjął całkiem nieoczekiwany obrót. Gospodarz zakrzętnął się wkrótce po moim przybyciu i na stole zjawiała się butelka żytniówki oraz jakaś przekąska.

Sjesta, w której całkiem czynny udział wzięła pani Zofia [Żeleńska, żona Boya - S.K.], po pewnym czasie przeniosła się do willi »Tatry« na Skibówki, do rzeźbiarza Augusta Zamoyskiego, dokąd poprowadził nas Witkacy, zaopatrzwszy się po drodze jeszcze w dwie butle (litrowe!). Na miejscu zastaliśmy już kilka osób i groźny zapas spirytualiów. Nieprawdopodobny ten wieczór dosłownie przegalopował, niby jakiś oszalały żywioł, przez moją świadomość rozplomioną alkoholem.

Jak to zostało w kilka dni później obliczone, pochłonęliśmy od piątej po południu do jedenastej w nocy... pięć litrów. Brr... I stało się coś, czego potem Witkacy nie mógł absolutnie zrozumieć. Prowadziliśmy go, mianowicie, z panią Zofią pod rękę kompletnie zamroczonego. Jeszcze nigdy w życiu - jak

twierdził - nie upił się tak, nawet w Rosji, w swoim słynnym pułku gwardyjskim”<sup>50</sup>.

Ilości alkoholu wprowadzane do organizmu to jedno, natomiast zachowanie pod ich wpływem to drugie. A Witkiewicz przejawiał wręcz nieograniczoną inwencję i trudno było przewidzieć, jaki zwariowany pomysł przyjdzie mu do głowy.

„Wracając późną nocą z jakiejś »orgii« - relacjonował Malczewski - Witkacy lubił wytarzać jednego z przyjaciół w śniegu, po czym zbudziwszy [sic] ludzi w domku, który najbliżej leżał, żądał pomocy. Twierdził, że co tylko znalazł zmarzniętego na śmierć człowieka, że należy mu udzielić pomocy pod postacią jajecznicy, herbaty i »czystej«. Nie było wypadku, by pani domu nie przejęła się i nie zastawiła stołu, czym mogła, podczas gdy gospodarz otrząpywał ofiarę ze śniegu i lodu, nacierał ręce itd. Podjadłszy sobie, złożywszy stokrotne dzięki za uratowanie życia biedocie, opuszczali przyjazny dom. Biedota ważyła 180 kilo i potrafiła wchłonąć garniec gorzały bez mrugnięcia okiem”<sup>51</sup>.

Nieprzewidywalność Witkacego była tak wielka, że on sam stawał się w pewnym sensie „przewidywalny”.

„Mój przyjaciel Antoni Sobański - wspominał Słonimski - opowiadał mi bardzo zaintrygowany: »Ciekawe, kto to mógł być? Pan o cienkich nóżkach, sporym brzuszku i pięknej głowie, który w łaźni śpiewał kobiecym głosem angielskie piosenki«. »Za łatwe mi zadajesz pytanie - odpowiedziałem. - Oczywiście, to mógł być tylko Witkacy«”<sup>52</sup>.

Witkiewicz był doskonale zorientowany w aktualnych układach towarzyskich pod Giewontem. Gdy do Zakopanego przyjeżdżał Słonimski, dostawał od Witkacego „plan sytuacyjny”, dzięki któremu wiedział, że jeżeli będzie „siedział z Rytardami, to Malczewscy się nie przysiądą. Kopucha nie gra z Kornelem, Tymon nie siada z Pimkiem”. Natomiast sam Witkacy co chwila popadał w konflikty towarzyskie, był bowiem człowiekiem bardzo drażliwym.

Prowadził bogate życie towarzyskie, ale „gości witał raczej niechętnie”. Na drzwiach miał tabliczkę o treści „Gościu, won!”



a obok skomplikowany układ kolorowych kółek wraz z instrukcją obsługi. Jeden kolor kółka oznaczał, że gość ma zakaz pukania, inny - że możliwa jest rozmowa przez zamknięte drzwi, a jeszcze inny - że przybysz może liczyć na zaproszenie do środka.

Podobnie jak większość artystów okresu międzywojennego, Witkiewicz miał problemy finansowe. Jego utwory sceniczne były rzadko grywane, a jeśli już, to nawet najbardziej udane inscenizacje na ogół nie przynosiły dochodów. Powieści nikt nie chciał wydawać, pozostawało zatem malarstwo i to w czysto komercyjnej formie. W 1927 roku założył Firmę Portretową S.I. Witkiewicz, która stała się głównym źródłem jego dochodów.

Podzielił obrazy na kilka kategorii, od realistycznych (tzw. wylizanych) do „dowolnej interpretacji psychologicznej według intencji firmy”. Specjalną kategorię stanowiły natomiast portrety, „których za pieniądze nabyć nie można”. Te zaś wykonywane były tylko dla przyjaciół, gdy artysta znajdował się pod wpływem narkotyków lub alkoholu.

Większość produktów Firmy Portretowej posiadała specjalne adnotacje, które informowały, czego zażywał autor podczas pracy. Sygnatura „Co” oznaczała kokainę, „Et” - eter, „Eu” - eukodal (pochodna morfiny).

Kawa zyskała oznaczenie „Cof”, herbata - „herb”, natomiast skrót „N-” z cyfrą informował o liczbie dni abstynencji alkoholowej („NP” - nikotynowej). Wiele obrazów powstało pod wpływem piwa, niektóre posiadały również dodatkowe oznaczenia. Sygnatura „p.p.c.” wskazywała, że portret powstał prawie po ciemku, a „FBZ”, że artysta palił fajkę bez zaciągania się („FZZ” - z zaciąganiem się). Natomiast zapis „z.z.” dotyczył portretów kobiecych i oznaczał, że obraz powstał... „zamiast zgwałcenia”.

Wielu współczesnych malarzy chwaliło sobie pracę pod wpływem alkoholu (choćby wspomniany wcześniej Kamil Witkowski), natomiast zupełnie nie potrafił tak tworzyć Zdzisław Czermański. Znacomity karykaturzysta i wielbiciel trunków próbował wielokrotnie tej metody i nigdy nie przynosiła ona spodziewanego efektu. A już zupełną klapą

zakończyła się realizacja zlecenia dla kolegi-legionisty. Zgodnie z zamówieniem miał narysować artylerię legionową na pozycji w Karpatach:

„Rysowało mi się zrazu całkiem nieźle, ale przy drugiej armatce przypomniałem sobie niepotrzebnie, że te armatki po wystrzale skaczą, a także to, że dymią czarnym, gęstym dymem. I już druga armatka podskoczyła na papierze prawie ponad głowy artylerzystów. Bardzo mnie to ubawiło i z uciechy wypilem dwie wódki. Ale większą jeszcze niespodziankę zrobiła mi trzecia armatka. Bo pod dotknięciem pędzla z czarną farbą zadymiała po wystrzale takim gęstym dymem, że tą czernią otoczyła całą baterię. Tak mnie ten efekt rozbawił i do dalszej pracy zachęcił, że wypilem jeszcze dwie wódki i zrzuciłem z siebie ubranie, żeby z tym większą swobodą potraktować drzewa na drugim planie i chaty na widnokręgu. Przyszło mi też do głowy, że gdybym drzewom i chatom nadał ukośny, to znaczy przeciwny kierunek do strzelających armat, rysunek by bardzo na ekspresji zyskał”<sup>53</sup>.

Efekt był łatwy do przewidzenia - Czermański zużył dużo farby i papieru, wypił też sporo wódki, a uparte armatki dalej sprawiały problemy. Nad ranem podłoga była zasłana nieudanymi rysunkami, a plastik leżał w łóżku i martwił się, że strasznie nadymił w mieszkaniu tymi wystrzałami armatek na kolejnych szkicach...

Nie wiadomo właściwie, kiedy Witkacy zaczął eksperymentować z narkotykami. Z kokainą miał kontakt już podczas pobytu w Rosji, wtedy też poznał działanie morfiny. W Zakopanem zażywał eter, jednak we wstępie do *Narkotyków* bagatelizował swój narkotykowy problem.

„Dwa razy w życiu zażyłem kokainę na trzeźwo i zaraz postarałem się zapać to świństwo. Inne wypadki zażywania tego drogu (z czym się nigdy nie kryłem, podpisując rysunki robione w tym stanie odpowiednią marką Co) połączone były zawsze z wielkimi »popojkami à la manière russe«. Nigdy nie byłem morfinistą, mając idiosynkrazję do tego specyfiku (raz w życiu miałem zastrzyk minimalny i o mało nie umarłem), ani eteromanem, z powodu jakiegoś braku zaufania do eteru,

mimo że używałem go parę razy w życiu: z wódką i przez wdychanie”<sup>54</sup>.

Prawdą jest, że człowiek uzależniony rzadko przyznaje się do problemu i Witkacy nie był pod tym względem jakimś wyjątkiem. Kokainę zażywał bowiem regularnie i w tym wypadku na większe zaufanie zasługują relacje innych osób. Rafał Malczewski uważał jednak, że Witkiewicz do pewnych granic potrafił kontrolować swoje nałogi.

„Nie od razu Witkiewicz dorwał się do czystej i porządnej kokainy. Z początku używał płynów zawierających jakąś dawkę narkotyku. Zresztą były to doświadczenia człowieka, który szukał dopingu za wszelką cenę. Przerzywał jednak natychmiast, skoro spostrzegł, że dana używka bierze go za łeb. Wtedy się leczył, potrafił nawet jechać do »wód«, słuchać porad lekarzy, przyjaciół, których miał aż zanadto dużo”<sup>55</sup>.

Artysta natomiast całkiem poważnie eksperymentował z meskaliną. Zażywaniu peyotlu nadał charakter badań naukowych odbywających się w obecności innych osób (w tym lekarzy). Zamieszczony w *Narkotykach* opis takiego seansu to dobra lektura dla psychiatrów, i to tych z niemałym stażem...

„Był czas, że takie zebrania meskalinowo-kokainowe odbywały się w domu jednego ze znanych lekarzy zakopiańskich - relacjonował Malczewski. - Tam zastrzyknięto sporą dawkę meskalinę malarzowi Januszowi Kotarbińskiemu. Kotarbiński osłabł oczywiście, zwolnił mu puls, jak być powinno. Co ujrzał w tych wizjach, nikt nie wie. Dość, że zwiął z gościnnego domu i resztę nocy leżał krzyżem pod kościołem parafialnym. Skoro otworzono kościół, to przeniósł się do wnętrza i tam wypierał się czarta. Gdy przeszedł pierwszy zryw nawrócenia, Kotarbiński legiwał już rzadziej pod kościołem”<sup>56</sup>.

Po pewnym czasie malarz odnowił nawet wnętrze kościoła, ale za polichromie wziął od proboszcza normalne wynagrodzenie. Rzadko kiedy seans narkotyczny przynosi tak wymierne rezultaty...

Przy wszystkich swoich uzależnieniach Witkacy był hipochondrykiem. Poza tym niezwykle dbał o higienę. W odróżnieniu od wielu dekadentów „mył się niemiłosiernie,

gdzie popadło i czym się dało”. Jeśli pogłaskał psa, to przy powitaniu ze znajomymi podawał tylko łokieć, dopóki nie umył rąk w łazience.

Alkoholizm i narkomania nie były jedynymi uzależnieniami artysty. Witkiewicz był również erotomanem, a właściwie seksoholikiem. Miał dziesiątki przygód erotycznych, a jego małżeństwo z Jadwigą Unrug było wyłącznie związkim *proforma*. Przyjaźnili się ze sobą, ale prowadzili oddzielne życie. Ona na stałe mieszkała w Warszawie, a on w Zakopanem. Z czasem Jadwiga zaakceptowała Czesławę Oknińską u boku swojego męża, a nawet zdarzało się jej godzić zwaśnioną parę. Oczywiście obecność stałej kochanki nie oznaczała, że Witkacy potrafił być wierny. Ten człowiek również w sprawach seksu zachowywał się niekonwencjonalnie. Poruszałem ten temat w swoich poprzednich książkach - *Życie prywatne elit artystycznych II Rzeczypospolitej* i *Wpływowe kobiety II Rzeczypospolitej*.

Mimo że małżonkowie żyli całkiem osobno, Stanisław prowadził z żoną bogatą korespondencję (pisali do siebie prawie codziennie), a jego listy są znakomitym źródłem szczegółów dotyczących jego biografii. Pisał bowiem o problemach finansowych, o imprezach alkoholowych, o narkotykach i o kłótniach z Oknińską.

Nie oszczędzał żonie drastycznych szczegółów, tłumacząc jej, że musi „przez to przejść, aby zobaczyć, co jest na dnie”. Niebawem zresztą wracał do normalnej dyspozycji i donosił, że „upił się na zjazdowej orgii u Szumana i leżąc w gorącej wannie rzygał na powierzchnię wody i potem była bardzo skomplikowana sytuacja”.

Wprowadzał do organizmu liczne używki, ale najbardziej pozytywny stosunek miał do piwa. Nie ukrywał tego swojego uwielbienia - piwo mógł pić zawsze i wszędzie.

„Pozwalałem sobie w okresach intensywnej pracy (już w czasie NP - [niepalenia - S.K.]) na krótkie (kilkutygodniowe) okresy nałogowego picia piwa. [...] Piwo tylko pite nałogowo (po kilka bomb do kilkunastu nawet dziennie) daje niebanalne wyniki: ożywienie i wzmoczenie wytwórczości (w

przeciwieństwie do senności, którą wywołują małe dawki u początku «piwozy»<sup>57</sup>.

I chociaż żałował, że nie jest „Niemcem, żeby to ciągle chlać”, to jednak wlewał w siebie ogromne ilości złocistego napoju. Przekradał się nawet w nocy do otwartej beczki, nie mogąc doczekać do rana, aby znów zakosztować ulubionego trunku. Kto wie, może właśnie dzięki upodobaniu do piwa „nigdy nie chlał rano wody przy goleniu się”, co zawsze z dumą podkreślał.

„Ostatni raz widziałem go na szosie Morskie Oko-Zakopane - wspominał Rafał Malczewski - czekającego na autobus, tydzień może przed wojną. Szosa była pusta i zachód spływał na lasy i góry. »Wiesz - powiedział - wojna to koniec naszego pokolenia - żadnych złudzeń«. Pamiętam - podjechał autobus i Witkacy wkroczył w jego wnętrze wielki i ponury. I już dla mnie odjechał w wieczność.. .”<sup>58</sup>.

## **Rozdział 4. Procenty i Skamander**

NOWA EPOKA

Znał kto kiedy poetę trzeźwego?” - retorycznie pytał przed wiekami Jan Kochanowski. I sam sobie odpowiadał, że zapewne „nie uczyni taki nic dobrego”. Poeta z Czarnolasu chyba najtrafniej wyraził opinię o konieczności absorbowania procentów przez literatów. A jego następcy w epoce dwudziestolecia międzywojennego gorliwie wypełniali te zalecenia.

W tym czasie zresztą pili praktycznie wszyscy: politycy, oficerowie, urzędnicy, literaci, plastycy. Bardzo trudno znaleźć relację z epoki, w której alkohol nie lałby się strumieniami. Chyba że dotyczyło to Piłsudskiego i jego najbliższych współpracowników. Marszałek był bowiem typem abnegata i ascety, który wprawdzie większość życia spędził w mundurze, jednak podobno tylko raz nadużył trunków. Ale już jego ulubieniec Bolesław Wieniawa-Długoszowski słusznie uchodził za największego bon vivanta epoki.

W gronie wielbicieli alkoholu nie zabrakło poetów spod znaku Skamandra, którzy godnie kultywowali tradycje poprzedników. Regularnie nadużywali trunków, a przy okazji można było zauważyć dziwną zależność między skalą talentu i poczuciem humoru a stosunkiem do napojów wysokowych. Najmniej pijący z tej grupy Iwaszkiewicz był równocześnie najsłabszym poetą, a jego dowcip także pozostawiał wiele do życzenia.

„Tylko Iwaszkiewicz wydawał mi się nie dość dostrojony do tego grona - wspominał karykaturzysta Zdzisław Czermański. - Próbując żartów, bywał drwiący, a nie dowcipny, a przy tym spóźniał się zawsze z reakcją. Dopiero na krótko przed wojną zaczął wykrzykiwać w porę: »Ach, to świetne«<sup>1</sup>.”

Skamandryci trafili na właściwy czas. Polska odzyskała

niepodległość po ponad stuletniej niewoli i poeci mogli się zająć twórczością bez martyrologicznych obciążeń. A czytelnicy z entuzjazmem przyjmowali propozycje, aby „wiosną cieszyć się wiosną” i zrzucić „płaszcz Konrada”.

„Tak równocześnie z wybuchem niepodległości - pisał Kazimierz Koźniewski - rozpoznawali się i poznawali ze sobą młodzi poeci, którzy - zbuntowani przeciwko Młodej Polsce - nagle oswobodzeni od posłannictwa narodowego swej sztuki, oszołomieni urodą życia i witalizmem młodości, namiętnie rozgorączkowani powstającą wokół rzeczywistością, weseli i szczęśliwi, niesłuchanie lekko i szybko wbiegli na poetycki parnas. Od razu bardzo wysoko. Przeskakiwali trzy stopnie naraz. Mieli bowiem talenty wielkie, a - inaczej niż futurystyczna awangarda - zachowali tradycyjne formuły wiersza, szeroko więc mogli być czytani i rozumiani. Czytelnicy mogli więc ich poezją cieszyć się i bawić razem z nimi”<sup>2</sup>.

Młodzi zapaleńcy błyskawicznie zdobyli popularność. Zadbali również o efektowną promocję, wiedząc, że skandal poezji nigdy nie zaszkodzi. Ogromne zainteresowanie wzbudzały wieczory kabaretu literackiego Pod Picadorem, z sympatią oceniano publiczną kontestację premiery *Pani Chorążyny* Krzywoszewskiego w Teatrze Polskim. Złośliwi twierdzili nawet, że piątka poetów założyła „spółdzielnię literacką”, chcąc w ten sposób mieć większą siłę przebicia na rynku wydawniczym. Poeci pozyskali też doskonałego menedżera w osobie Mieczysława Grydzewskiego. Przyszły wydawca „Wiadomości Literackich” przyjaźnił się blisko z Tuwimem, Słonimskim i Lechoniem, znał ich potencjał i dobrze wiedział, czego chce. Toteż zadbał o odsunięcie kilku innych twórców, których zaliczano do grupy w początkowej fazie istnienia kabaretu Pod Picadorem. W ten sposób z ekipą pożegnał się współzałożyciel sceny Tadeusz Raabe (Kruk), co chyba wyszło mu na dobre. Większego talentu poetyckiego bowiem nie posiadał, będąc raczej typem ideologa i animatora kultury. Pocieszył się zresztą udaną karierą prawniczą i małżeństwem z samą Tołą Mankiewiczówną.

Z perspektywy czasu interesujący wydaje się skład

narodowościowy piątki skamandrytów. Jedynym bowiem Polakiem w tym gronie był pochodzący z dalekich Kresów Iwaskiewicz. Grydzewski, Tuwim i Słonimski byli spolonizowanymi Żydami, a Lechoń był pochodzenia ormiańsko-tatarskiego (lub również żydowskiego). Natomiast Kazimierz Wierzyński miał korzenie niemieckie, jego rodzina dopiero na rok przed wybuchem I wojny światowej spolszczyła nazwisko.

## WOJNA I POEZJA

Wierzyński pochodził z niewielkiego Drohobycza we wschodniej Galicji. W pobliskim majątku hrabiego Tarnowskiego (w Śniatynce) przez kilka lat tworzył Artur Grottger, a w samym Drohobyczu urodzili się malarze Maurycy i Leopold Gottliebowie. Rodzinne miasto znakomicie portretował Feliks Lachowicz, a światową sławę Drohobyczowi zapewnił Bruno Schulz.

Najwyraźniej miasto miało też w sobie coś, co sprzyjało rozwojowi talentów militarnych. Schulz uczył się w jednej klasie gimnazjalnej ze Stanisławem Maczkiem, a rok niżej w tej samej szkole pobierał nauki Michał Karaszewicz-Tokarzewski. Natomiast Kazimierz Wierzyński, choć wybrał karierę literacką, również miał w swojej biografii kilka chwalebnych epizodów militarnych.

Przyszły skamandryta był najmłodszym dzieckiem Andrzeja Wirstleina - urzędnika kolejowego, który po przejściu na emeryturę próbował swoich sił w biznesie.

Wierzyński na całe życie zachował sentyment do Drohobycza i wschodniej Galicji.

„Wychowała mnie prowincja - wspominał po latach - jej zawdzięczam, co we mnie ocknęło się dobrego i za jej sprawą powstawały też we mnie niedomagania i defekty. W sumie wzbudziło to we mnie sentyment do Stryja, Drohobycza, Sambora i Chyrowa, do tych małych miast i miasteczek, między którymi krążyłem do 18. roku życia. Jako syn emerytowanego



wówczas urzędnika kolejowego najlepiej czułem się w okolicach dworca, skąd jak mi się zdawało - wylatują drogi w szeroki świat lub nadciągają smutki i tęsknoty”<sup>3</sup>.

Wierzyński uczył się w Drohobyczu, Chyrowie i Stryju i na tle innych uczniów niczym specjalnym raczej się nie wyróżniał. Potwierdzają to wspomnienia jego szkolnego kolegi ze Stryja, Tadeusza Fabiańskiego.

„Syn kolejarza, Kazik Wirstlein (tak brzmiało wówczas nazwisko Wierzyńskiego), w swojej stryjskiej ojczyźnie nie zdradzał zdolności poetyckich. Tylko członkowie jego tajnego kółka wiedzieli, że napisał patriotyczny wierszyk. Przyjacieli całego świata, zawsze w pogodnym nastroju, czyściutko ubrany, zaczesany. Był silnie piegowaty. Koledzy przezywali go z tego powodu »Piegowata Zośka«. Nie obrażał się o to. Traktował swoje przezwisko dobronnie. Za to nie wolno było żartować z jego nazwiska. Wtedy wpadał w złość i dochodziło do bójk. W nauce nie wysuwał się zbytnio ani też nie pozostawał w tyle. Dla nauczycieli był dobrym uczniem, dla nas dobrym kolegą”<sup>4</sup>.

Po uzyskaniu matury Wierzyński przez rok studiował filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim, a następnie przeniósł się do Wiednia. Wybuchła jednak wojna i w efekcie nigdy nie ukończył żadnej wyższej uczelni.

„Miałem wtedy 20 lat - pisał Wierzyński - byłem po 4 semestrach filozofii na uniwersytecie w Krakowie i Wiedniu. Wybierałem się do Legionów, a poszedłem na wojnę jako oficer austriacki. Należałem do tzw. Legionu Wschodniego, który mobilizował ochotników we wschodniej Galicji. Zakładałem pocztę legionową na szlaku Stryj-Sanok-Jasło. Mieliśmy własną służbę łączności, w każdym mieście rozdzielaliśmy odpowiednie funkcje między wybranych ludzi. Zadaniem moim było dotrzeć do Nowego Sącza, ponieważ jednak Rosjanie posuwali się szybko naprzód, skończyłem wyprawę na Jaśle. Gdy powróciłem do Stryja, gdzie kwaterował mój oddział, Legion zaczął się wycofywać na zachód. W końcu tzw. Legion Wschodni rozwiązano. Po nieudanej próbie dotarcia do Legionów Piłsudskiego znalazłem się w wojsku austriackim w

miejsowości Leva, dziś Levice [...] w obecnej Słowacji”<sup>5</sup>.

Kilka miesięcy później pod Kraśnikiem dostał się do rosyjskiej niewoli i trafił do obozu jenieckiego w Riazaniu. Przebywał tam dwa i pół roku. W obozie ponownie zaczął pisać wiersze, czego nie robił od chwili wybuchu wojny. Kilka z nich miało w przyszłości wejść do jego debiutanckiego tomiku *Wiosna i wino*.

## WIENIAWA

W styczniu 1918 roku Wierzyński otrzymał przeniesienie do Kijowa, gdzie miał zostać przekazany „do rozporządzenia tamtejszego okręgu wojennego”. Oznaczało to samotną (bez straży) podróż nad Dniepr, co w ówczesnych rosyjskich realiach nie było bezpiecznym przedsięwzięciem. Po wybuchu rewolucji panował tam bowiem kompletny zamęt - „czerwoni” walczyli z „białymi”, tworzyły się państwa narodowe, wszędzie grasowały bandy dezertarów i zwyczajnych bandytów. Na domiar złego panowała mroźna i wyjątkowo śnieżna zima. Wierzyński jednak dobrze przygotował się do wyprawy.

„Miałem długi, ciepły płaszcz otrzymany poprzednio od Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Miałem czapkę niekoniecznie w stylu rosyjskim, bo nie zakrywała mi uszu, ale innej nie udało mi się zdobyć. Najważniejsze to, że miałem okazały kawał boczku, niebywały specjał na owe czasy, uzyskany po długotrwałych oszczędnościach i zabiegach w głodującym mieście”<sup>6</sup>.

Nie działała już komunikacja osobowa, kursowały wyłącznie pociągi towarowe, nie istniał żaden rozkład jazdy. Wierzyńskiemu udało się jednak dostać do składu jadącego do Moskwy, a stamtąd wyruszył do Kijowa.

„Była to najdziwniejsza podróż na świecie. Pociąg nasz stawał często z powodu braku opału, żołnierze rąbali w lesie drzewo i ruszaliśmy dalej. Kiedy indziej zawiadowca nie chciał nas wpuścić na stację, bo była przeciążona i trzymał nas długie godziny w polu albo na bocznym torze. Wtedy towarzysze

podróży i ochotnicy z innych wagonów chwyтали karabiny, zeskakiwali w śnieg i pokrzykując, szli robić porządek”<sup>7</sup>.

Gdy Wierzyński dotarł nad Dniepr, Kijów właśnie zdobyli bolszewicy. Niebawem miasto podporządkowali sobie zwolennicy Semena Petlury, a potem pojawiły się wojska „białych”. Przez sześć miesięcy Kijów przechodził z rąk do rąk dwanaście razy (!), aż wreszcie na dłużej opanowali go Niemcy.

W Kijowie przebywało wówczas wielu Polaków, prężnie działała też konspiracyjna Polska Organizacja Wojskowa. Wierzyński zgłosił do niej swój akces i skierowano go na kurs podoficerski. Jako były oficer austriacki niewiele nowego mógł się tam nauczyć, za to dużo więcej dały mu bezpośrednie kontakty z polskimi oficerami.

„Ćwiczenia z granatami prowadził niezwykle człowiek, kapitan Leopold Lis-Kula. Był to przybyły z Polski legionista, dwudziestoletni młodzian, ogromnego wzrostu, o pięknej twarzy, w której mieszkał wyraz ascetycznej, onieśmiałającej powagi z prawie dziecinnym wdziękiem. Przyszła za nim sława nieustraszonego żołnierza, ktoś powiedział o nim: nowy Sułkowski”<sup>8</sup>.

Leopold Lis-Kula zrobił wrażenie nie tylko na Wierzyńskim. W Kijowie zakochała się w nim Marta Thomas-Zalewska (późniejsza partnerka życiowa Edwarda Śmigłego-Rydza) i podobno właśnie z tego powodu wstąpiła do Polskiej Organizacji Wojskowej. Tam też poznała przyszłego marszałka i z czasem stała się jego wielką miłością i przekleństwem zarazem...

Podczas pobytu w Kijowie Wierzyński nie zapominał jednak o poezji. Powstawały nowe utwory, a autor starał się o ich publikację. Pomimo niepewnej sytuacji politycznej w mieście ukazywała się polska prasa i drukowano tam nawet utwory o artystycznych ambicjach.

Wierzyńskiemu udało się zamieścić trzy wiersze w pierwszym (i ostatnim) numerze czasopisma „Sztuka i Literatura”. Jeden z egzemplarzy pisma wpadł w ręce mieszkającego w tym czasie w Kijowie Jarosława Iwaszkiewicza, który od razu zwrócił uwagę na utwory podpisane nazwiskiem Kazimierza Wąsowicza.

„Te trzy wiersze [...] dzisiaj nie robią już takiego wrażenia - wspominał po latach Iwaszkiewicz. - Ale wówczas, przeczytane latem 1918 roku w Kijowie, zelektryzowały zarówno mnie, jak i mojego przyjaciela Rytarda. Autor - Kazimierz Wąsowicz - zupełnie nieznany. Musimy go odszukać.

Redakcja »Sztuki i Literatury« mieściła się na Ryłskim Zaułku pod numerem 10. Było to studenckie mieszkanie i trudno tam było kogoś znaleźć. Ale wracałem uparcie. Odkładano moją wizytę z dnia na dzień z dość tajemniczą miną. Nawet dano mi do zrozumienia, że lepiej, abym w tej sprawie nie nalegał<sup>9</sup>.

Nie było w tym nic dziwnego - Kijów okupowały wojska niemieckie i Wierzyński miał obowiązek zameldowania się w macierzystej jednostce. Publikował pod przybranym nazwiskiem, a osoby szukające z nim kontaktu mogły się wydawać podejrzane. Iwaszkiewicz musiał więc poczekać na poznanie tajemniczego poety i zapewne nie przeczuwał, jak wielka kariera czeka ich obu w przyszłości.

Tymczasem Wierzyński, nieświadom zabiegów Iwaszkiewicza, zarabiał na życie jako wychowawca w internacie, a przy okazji od czasu do czasu kwaterował tam emisariuszy Polskiej Organizacji Wojskowej. Jednym z nich był niejaki doktor Marjański, okulista z Paryża, który w Kijowie zatrzymał się na kilka tygodni. Był „wysokim i dorodnym mężczyzną” a Wierzyński zwrócił szczególną uwagę na jego „piękną, podłużną głowę, wspaniały nos, bujne włosy”.

„Doktor Marjański sypiał długo w dzień, wracał późno w nocy. Nie mogę zataić, że wracał często w tak zwanym różowym humorze. Pewnej nocy zagadnął mnie dość obcesowo: »Pan podobno pisze wiersze. Ja pisuję od czasu do czasu też«. Tak się zaczęło. Tej nocy dowiedziałem się od Marjańskiego, że moim gościem jest Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Rozmawialiśmy odtąd inaczej. O Bobowej, skąd pochodził, o Lwowie, gdzie brał udział w wyścigach jako namiętny cyklista, o Paryżu, z którego przywiózł faktycznie tytuł doktorski i tysiące anegdot, o Leśmianie, z którym się przyjaźnił, o wojnie, o Legionach i o Piłsudskim, o Piłsudskim bez końca<sup>10</sup>.

Przyjaźń między nimi miała przetrwać wiele lat. Natomiast

trudno sobie wyobrazić, aby te kijowskie „nocne Polaków rozmowy” odbywały się bez alkoholu. Tym bardziej że obaj nigdy go nie unikali. Ale w tej kwestii poeta pozostał jednak dyskretny.

## BRUDERSZAFT Z LEOPOLDEM STAFFEM

W sierpniu 1918 roku Wierzyński przyjechał do Warszawy. Udało mu się zatrudnić w charakterze korektora w „Gazecie Warszawskiej”, co jednak nie przynosiło dochodów pozwalających na utrzymanie. Zwłaszcza że młody poeta lubił zakrapiane dyskusje w lokalach i nie przeszkadzał mu w tym fakt, iż jego stały towarzysz, pisarz Waław Filochowski, nie brał kropli alkoholu do ust.

W efekcie Wierzyńskiemu nie starczało na wyżywienie, chociaż miał za sobą dobry „trening głodowy” w Rosji. Okazał się on jednak całkowicie nieprzydatny nad Wisłą, albowiem w stolicy „chciało się jeść tak samo, a może nawet więcej”.

Wierzyński wkrótce uległ sugestiom przyjaciela, malarza Władysława Porankiewicza, który raz w tygodniu był zapraszany na kluski z twarogiem do powieściopisarki Bronisławy Włodkówny. Młody poeta udał się tam kiedyś razem z kolegą i od tej pory obaj byli stałymi gośćmi pisarki.

„Powieści jej nie poruszały z posad ziemi - tłumaczył Wierzyński - choć wydawał je potężny Gebethner i choć miały swoich licznych czytelników, a raczej czytelniczki. Omawialiśmy te dzieła z szacunkiem, który wzrastał proporcjonalnie do zaspakajanego apetytu”<sup>11</sup>.

Wierzyński pisał coraz więcej, nie był jednak pewien poziomu swoich wierszy. Postanowił więc zweryfikować ich wartość, prosząc o opinię Leopolda Staffa. Pojawił się u poety bez zapowiedzi, wprost z ulicy, przynosząc bruliony swoich utworów. Ten ze zrozumieniem odniósł się do jego prośby i polecił Wierzyńskiemu, by zjawił się za tydzień. Gdy w umówionym terminie okazało się, że Staff nie znalazł jeszcze czasu na zapoznanie się z twórczością młodszego kolegi,

Wierzyński nie chciał go już więcej nachodzić. Ale los czuwał nad polską poezją.

„Pewnego wieczoru - opowiadał Kazimierz padał wtedy mokry śnieg i dał zimny wiatr - szedłem z Filochowskim ulicą Bracką ku Widokowi. Na skrzyżowaniu tych ulic ktoś chwycił mnie za rękę. »Co się z panem dzieje?« - usłyszałem i przez zaśnieżone binokle poznałem Staffa. [...] Szukał mnie przez kilka tygodni.

Przeczytał moje wiersze. Trzeba złożyć z nich tom, gotów był polecić mnie swojemu wydawcy Mortkowiczowi. I tak dalej - najważniejsze rzeczy w życiu. Nie mogliśmy rozmawiać na zimnym wietrze. Poszliśmy do baru »Express« w Alejach Jerozolimskich. Dobroczynny alkohol zadziałał. Wypiłem brudersaft z bóstwem. Losy moje były przesądzone”<sup>12</sup>.

Staff z reguły miał pozytywny stosunek do młodych twórców i szybko przechodził z nimi na „ty”. Nie zwracał uwagi na różnicę wieku, jego nowi koledzy musieli tylko pijać alkohol i rzeczywiście mieć talent.

W restauracji Karpowicza w Zakopanem taki sam zaszczyt spotkał rysownika Zdzisława Czermańskiego. I podobnie jak w przypadku Wierzyńskiego, brudersaft ze słynnym poetą zrobił na nim wielkie wrażenie.

„On miał wtedy 47 lat - wspominał Czermański - a ja niecałe 24. Dlaczego ten o tyle starszy ode mnie, bardzo poważny i sławny pan, ledwo mnie poznawszy, kazał mi już przy trzeciej kolejce wódki mówić do siebie na »ty«, niełatwo zrozumieć. Ale nie myliłem się chyba w domyśle, że Staff przepijając do mnie, przepijał do młodości”<sup>13</sup>.

Inne podejście do tych spraw miał natomiast Kornel Makuszyński, z którym Czermański wypił brudersaft kilka minut później. Znakomity pisarz zgłaszał bowiem pewne wymagania w sprawie swojego zamówionego portretu.

„Kornel z lekkim uśmiechem, mającym pokryć -jak się za chwilę okazało - nieskromność, zrobił okrągły ruch ręką naokoło swojej głowy.

Nie zrozumiałem. Kółko nad głową on ma na myśli? Chyba nie aureolę? A może chciałby mieć na portrecie łysinę pokrytą włosami? Nie, to niemożliwe! Z jego poczuciem śmieszności na

pewno by sobie tego nie życzył”<sup>14</sup>.

Sprawę wyjaśnił Staff, dając do zrozumienia, że Makuszyński myślał o wieńcu na głowie.

„Wypilem i zrozumiałem - opowiadał Czermański. - Idzie o wieniec. Uśmiechnąłem się do Makuszyńskiego.

-Wieniec z róż czy wieniec laurowy?

- Raczej laurowy - odpowiedział Kornel.

- Rozumiesz: przy mojej czerwonej gębie róże by blado wypadły”<sup>15</sup>.

## DEBIUT

„Nie było grupy »skamandrytów« w znaczeniu kierunku literackiego - zawsze powtarzał Wierzyński.

- Połączyła nas poezja i młoda przyjaźń, ale później każdy z nas poszedł własną drogą”<sup>16</sup>.

Kazimierz trafił przypadkowo na premierowy wieczór kabaretu Pod Picadorem, dostał od znajomego zaproszenie, a o młodych poetach wspominał mu wcześniej Leopold Staff. Na Nowym Świecie pojawił się razem z Wilamem Horzycą, w przyszłości znakomitym reżyserem teatralnym.

„Wnętrze robiło wrażenie z lekka nieprzytomne. Salę pomalowali w sposób pełen nieposkromionej fantazji i humoru Aleksander Świdwiński i Kamil Witkowski [ten od ekscesów w Zakopanem - S.K.], uchodzący wówczas za futurystów. Trzeba było dłuższej chwili, aby oswoić się z oszalamiającym chaosem ich dzieła. W tych »futurystycznych« ramach poruszały się kelnerki ubrane, jeśli nie w kostiumy, to w każdym razie w czapki bretońskie. Stolików ustawiono tyle, że trudno się było przecisnąć”<sup>17</sup>.

Wystrój sali musiał oszalamiać, gdyż plastycy spędzili tam wcześniej kilka kolejnych nocy uzbrojeni wyłącznie w farby, pędzle i pokaźne zapasy wysokoprocentowych alkoholi. Wierzyńskiego jednak bardziej upoiła płynąca ze sceny poezja, toteż po kilku dniach udał się do Tuwima. Młodzieńcy błyskawicznie przypadli sobie do serca.

„Rozmowa potoczyła się tak, jak gdybyśmy od wieków na siebie czekali - wspominał Kazimierz. - Tuwim słyszał o mnie od Staffa i od razu zagadnął mnie o wiersze. Recytowaliśmy je sobie jeden po drugim. Gdy powiedziałem wiersz *Szumi w mej głowie*, zapisał sobie pierwszą strofę w notatniku. Po 5 minutach wiedziałem o nim więcej, niż kiedy indziej mógłbym dowiedzieć się w ciągu lat. [...] Przed ósmą poszliśmy do »Picadora«, tam poznałem całą kompanię z wieczoru inauguracyjnego. Tuwim wyjął notatnik i odczytał moją strofę. Prezentacja została zakończona. Ledwo się opamiętałem, wypchnięto mnie na estradę”<sup>18</sup>.

Niebawem do ekipy dołączył jeszcze Iwaszkiewicz i skamandryci byli już w komplecie. Pięciu młodych, utalentowanych twórców, którzy błyskawicznie stali się idolami stolicy. A warszawskie dziewczęta podzieliły się na dwie grupy: pierwsza z nich zachwycała się Tuwimem, natomiast do drugiej należały wielbicielki Wierzyńskiego.

Zapanowała moda na poezję - tomiki wierszy wydawano w nakładach sięgających pięciu-sześciu tysięcy egzemplarzy. Każdy nowy utwór pojawiający się w prasie był wydarzeniem komentowanym przy kawiarnianych stolikach. Pikadorczycy dotarli nawet do mieszczańskiej publiczności, a to już oznaczało bezprecedensowy i dość osobliwy sukces. Młodzi zapaleńcy mieli przecież walczyć z mieszczaństwem, filistrami i tandetą, a tymczasem stali się obiektem adoracji dla swoich przeciwników.

Nie zapominali również o swoich patriotycznych obowiązkach - trwała przecież wojna z bolszewikami, wobec czego Wierzyński i Iwaszkiewicz na ochotnika zgłosili się do armii. Kazimierz służył w stopniu podporucznika w Biurze Prasowym Naczelnego Dowództwa, gdzie jego szefem był Juliusz Kaden-Bandrowski. Zawarł tam nowe, ważne znajomości, o co nie było trudno, ponieważ Biuro „szumiało czasami jak ludna kawiarnia”. Szczególnie chętnie odwiedzał go Wieniawa-Długoszowski (adiutant Piłsudskiego), który nie zapomniał tygodni wspólnie spędzonych w Kijowie. Przedstawił go nawet Piłsudskiemu, co na poecie zrobiło duże wrażenie.



Kariera militarna Kazimierza nie ograniczała się wyłącznie do służby w Warszawie. Z armią polską dotarł nawet do Kijowa, choć trzeba przyznać, że dość szybko musiał go opuścić. Zaprzyjaźnił się wówczas z innym wpływowym piłsudczykiem, Ignacym Matuszewskim. Panowie znali się jeszcze z czasów pierwszego pobytu nad Dnieprem, a ich przyjaźń miała przetrwać aż do śmierci Matuszewskiego.

Służba wojskowa nie przeszkadzała Wierzyńskiemu „chodzić koło swojego literackiego gospodarstwa”. Na rok przed wyprawą kijowską ukazał się jego debiutancki tomik (*Wiosna i wino*). Staff dotrzymał słowa i zaprotegował młodego poetę u Jakuba Mortkowicza, który miał zresztą osobiste powody, by promować Wierzyńskiego.

„Tragedią Mortkowicza - tłumaczyła Irena Krzywicka - było to, że był Żydem, więc starał się być arcypolski, ultrapolski, superpolski. [...] Po szalonym sukcesie *Czyhania na Boga* [tomik Tuwima - S.K.] powiedział do mnie (i zapewne do innych): »Teraz wydam prawdziwie polskiego poetę«. Poetą tym był (nie odbieram mu, broń Boże, polskości) Wierzyński, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Wirstlein, był bowiem pochodzenia niemieckiego. Ale Mortkowicz rad był, że znalazł nareszcie dużego, dorodnego goja”<sup>19</sup>.

Wydawca wychodził bowiem z założenia, że „Żyd nie może mieć zdolności twórczych”, a ogromne powodzenie poezji Tuwima i Słonimskiego było dla niego dużym zaskoczeniem. Zadbął zatem o odpowiednią reklamę debiutu Wierzyńskiego, w efekcie czego dwa kolejne wydania pojawiły się w ciągu następujących dwóch lat, a czwarte w 1929 roku.

## POEZJA I ALKOHOL

Po zakończeniu wojny dla skamandrytów nadeszły szalone czasy. Alkohol lał się strumieniami, a ich znajomi z kręgów inteligencji i biznesu raczej nie narzekali na brak fantazji.

„[...] kiedyś w apoteozie warszawskiej bohemy - wspominał Jan Lechoń - w pierwszych latach niepodległości - towarzystwo

dobrze już przyrządzone podrzucało na wiwat któregoś z Pfeifferów [rodzina warszawskich przemysłowców - S.K.] - nie pamiętam już Józefa czy Bolesława. W rezultacie gość uderzył nogą o kant trotuaru i złamał goleń. W strasznych mękach - zabrano go dorożką do domu, dokąd wezwano chirurga, aby włożył nogę w gips. Władek Pfeiffer, król cyganerii burżujskiej, zażądał jednak, aby zabrać z sobą również sławny kwartet Różewicza. Co też uczyniono i podczas kiedy wyjącemu z bólu pacjentowi reperowano to złamanie - w przyległym pokoju Jaś Różewicz rznął rzekomo dla ulżenia jego cierpień »A ta przepióreczka!«<sup>20</sup>.

Tadeusz Boy-Żeleński powiedział kiedyś, że „nigdzie nie pije się tak cudownie jak we Lwowie”, toteż nad Pełtwią nie mogło zabraknąć skamandrytów. Większą grupą wybrali się tam w 1924 roku (bez Iwaszkiewicza) i oczywiście osiągnęli niebywały sukces.

„Mówili wiersze - wspominał Marian Hemar - Tuwim znakomicie, czystym pięknym głosem, śliczną dykcją, naturalnie i prosto, Lechoń okropnie, pod nosem, Słonimski śpiewnym dźwięcznym barytonem, miał taki specjalny uroczy głos do mówienia wierszy, Wierzyński najgorzej, bo mrucał, jękał się i mylił, skrypt trzymał przy oczach i zasłaniał sobie twarz i usta, oczywiście wtedy jeszcze nie było mowy o żadnych mikrofonach, ale to nic nie szkodziło, on miał powodzenie największe, taki był piękny, oczy rwał. Najstarszy z nich wszystkich, wyglądał najmłodziej. Był pokazowym skamandrytą, mówił swoje wierszyki pół wesołe, pół studenckie, z *Wróbla na dachu* i z *Wiosny i wina*, wszystkie pensjonarki od Strzałkowskiej i Olgi Kamerling, i od »Królowej Jadwigi« zakochały się w nim na zabój. Oni właściwie byli czterema »beatlesami« nowej polskiej poezji”<sup>21</sup>.

O lwowski program rozrywkowy dbali miejscowi animatorzy kultury, a szczególnie wyróżniał się w tym wydawca Alfred Altenberg.

„Pociąg przychodził rano - opowiadał Wierzyński - i już od wczesnej godziny wpadało się w nurt lwowskiej zabawy. Nie było czasu na żadne odwiedziny, na żadne spotkania, nawet

znalezienie hoteli. Fredzio Altenberg porywał nas z miejsca w swój wir zaproszeń, umówionych z góry śniadań, obiadów, kolacji, dyskusji o nowych wydawnictwach, rozmów o nowych pisarzach, aż wreszcie śpiewów, tańców i długich spacerów po nocnym mieście”<sup>22</sup>.

Altenberg był typowym produktem miasta nad Pełtwią. Miał „niewyczerpane poczucie humoru, lubił mieć ludzi wokół siebie, grał okropnie na fortepianie, śpiewał lwowskie piosenki”. Bo Lwów zawsze był wesołym miastem i nie bez powodu miejscowy poeta Henryk Zbierzchowski twierdził, że „cztery wódki Baczewskiego tworzą najlepszy czterowersz na świecie”.

I w jego opinii znacznie przewyższają wszelkie osiągnięcia Słowackiego...

Ale nie tylko we Lwowie można było dobrze się zabawić - w tyle nie pozostawała nawet stateczna Wielkopolska. Przebywający kiedyś w Poznaniu Wierzyński miał okazję wziąć udział w przyjęciu zorganizowanym na powitanie mocno już wówczas podstarzałego (i niepijącego) Przybyszewskiego.

„Odbył się w pracowni Szmaja. Wzdłuż jednej ściany stała tam potężna bateria butelek, która mogłaby położyć cały pułk. Przybyszewski zjawił się z żoną Jadwigą. Wydawał się starszy nad swój wiek, mówił zachrypniętym szeptem. Gdy wzniesiono pierwszy toast (wódką Kantorowicza), pani Jadwiga odpła mężowi pół kieliszka i na tym miało się skończyć. Mój Boże, który nie znasz poznańczyków! W rezultacie skończyło się na największym pijaństwie, jakie w życiu widziałem. Wyszliśmy od Szmaja nad ranem i ruszyliśmy pochodem przez miasto, wiwatując na cześć Przybyszewskiego, który już wówczas zupełnie zaniemówił. Chodziłem wtedy z grubą laską, prezentem od Tuwima. W pewnej chwili laskę wyrwał mi Adam Bederski, przedwcześnie umilkły poeta, awangardzista ekspresjonistyczny [...]. Zanim zdążyłem zorientować się, co się dzieje, Bederski rozbił laską jakieś okno wystawowe, które rozsypało się z dzikim hałasem. Jak spod ziemi wyrosła władza. Zostaliśmy otoczeni przez patrol żandarmerii. Powitalnej imprezie groziło, że okryje się hańbą. Ale nagle władza

wyprężyła się na baczość przed oficerem, który też wyrósł jak spod ziemi. Był nim porucznik żandarmerii i również poeta, Zenon Kosidowski. Uratował on honor uroczystości, literatury i władzy. Pochód został rozwiązany, państwo Przybyszewscy odstawieni do domu, uczestnicy się rozeszli”<sup>23</sup>.

W stolicy Wierzyński również brał udział w ekscesach alkoholowych, chociaż na szczęście obywatel się bez rozbijania wystaw sklepowych:

„Na przyjęciach zdarzały się przedziwne rzeczy. Raz, gdy Stanisław Wasylewski, zapalony gawędziarz, a także i gaduła, nie mógł się należycie wysłowić i wciąż to samo powtarzał, zawińliśmy go w dywan i odstawili na wypoczynek pod fortepian, gdzie przespał się nieszkodliwie do następnego dnia, zapomniany przez wszystkich”<sup>24</sup>.

Warszawa, Lwów i Poznań były znakomitymi miejscami do organizowania mocno zakrapianych imprez, ale na plan pierwszy wysuwała się stolica polskich Tatr. Pod Giewontem nie mogło więc zabraknąć Wierzyńskiego, który brał tam nawet swój pierwszy ślub. A w zakopiańskiej atmosferze abstynencja była raczej niemożliwa.

„Pamiętam sam siebie - wspominał po latach jak stoję w południe przy bufecie U Karpowicza, zjadam ówczesną specjalność tzw. maczanekę, ale każdy kęs jej przełykam z trudem. Jestem początkującym poetą, stoję tam z niskim i krępy tubylcem, nie - tubylcem, który chodzi po mieście w serdaku i bez kapelusza, ma napoleoński kosmyk włosów na czole i twardą wymowę, jakby rozgryzał kamienie, Jan Kasproicz. Pijemy wódka powódce [...].

U Trzaski - brydż. Przy stoliku Makuszyński, Rettinger, Tadeusz Koniewicz, gospodarz klubu i kto czwarty? Nie wiem, nie pamiętam, nie gram w karty, nie odróżniam waleta od pika. U Jędrusia węgierska śliwowica, Rafał Malczewski, Chwistek, Witkacy, kilka kobiet [...] W Morskim Oku wieczór futurystów, Stern, Wat i awantura z publicznością”<sup>25</sup>.

Poeci starszego pokolenia nie pozostawiali w tyle za młodymi artystami. Kasproicz regularnie spożywał alkohol, ale prawdziwym zaskoczeniem była odporność na działanie

trunków, jaką przejawiał Bolesław Leśmian. Ten drobny mężczyzna (miał zaledwie 155 centymetrów wzrostu) znakomicie przyswajał alkohol, inna sprawa, że zjadał przy tym ogromne ilości zakąsek. Kiedy wpadł w depresję, postanowił się zastrzelić, Stanisław Przybyszewski zachęcał go wówczas do samobójstwa i podarował mu nawet rewolwer. Spotkał go jednak zawód, bo Leśmian się nie zabił, rewolwer sprzedał, a uzyskane pieniądze niezwłocznie przepił z przyjaciółmi...

## POEZJA I PRZYJAŹŃ

„W grupie pikadorczyków - wspominał Iwaszkiewicz - było to przyjemne, że zawiść nie odgrywała żadnej roli. Przypuszczam, że w duchu każdy z nas pięciu uważał się za najlepszego poetę grupy i wobec tego nie zazdrościł laurów swym towarzyszom. Zżyliśmy się bardzo prędko i choć odmienne nasze temperamenty nie pozwalały na powstanie wspólnego, bardziej określonego programu, jednak znając się doskonale, lubiliśmy się bardzo i nie działając na siebie, nie mając nawet wpływu na indywidualnie powstające prace - tworzyliśmy jednak pewną całość”<sup>26</sup>.

Problemem pozostawał zbyt rozbudowany skład grupy. Pięciu poetów to jednak trochę zbyt dużo jak na jeden zgrany zespół. Przyjaźnić można się we dwóch, ponieważ przy trójce znajomych zawsze jeden pozostaje z boku. A w przypadku pięciu indywidualności?

„Tak się złożyło, że ze wszystkich skamandrytów najmniej znałem Kazimierza Wierzyńskiego - przyznawał Iwaszkiewicz. - O ile z innymi członkami tej grupy łączyła mnie prawdziwa przyjaźń, niekiedy, jak w wypadku Jana Lechonia, przyjaźń stojąca na granicy nieprzyjaźni i bardzo burzliwa - o tyle Wierzyński pozostawał ze mną zawsze w stosunkach poprawnych, ale zasadniczo chłodnych. Nie pamiętam, na przykład, aby był kiedyś gościem w moim domu, podczas gdy inni przyjaciele poeci nie tylko bywali, ale nawet przebywali w Podkowie Leśnej, w »Aidzie«, po kilka dni”<sup>27</sup>.

I choć Wierzyński rzeczywiście spotykał się z Iwaszkiewiczem wyłącznie podczas „zajęć grupowych”, to jednak gościł na jego ślubie z Anną Lilpopówną we wrześniu 1922 roku.

Najbliższe relacje utrzymywał z Lechoniem i Tuwimem. Z przyjemnością obserwował, jak Tuwim „entuzjazmował się łatwo i szczerze” twórczością innych. Początkujący poeci zawsze mieli w Julianie swojego mentora i przyjaciela. Nie był człowiekiem zarozumiałym, a w rzadkich chwilach megalomanii „wystarczało jedno mrugnięcie Słonimskiego albo słówko: »uspokój się, Juleczku«”, aby wszystko wróciło do normy. Jednakże Tuwim bardzo cierpiał z powodu antysemityzmu - niektóre opracowania krytyczne nie zaliczały jego twórczości do literatury polskiej! Czasami wpadał z tego powodu w depresję, a po dużej dawce alkoholu wykrzykiwał, że nie jest Żydem, tylko Hiszpanem.

Wielokrotnie zwierzał się ze swoich fobii Wierzyńskiemu, który był w tym czasie jego najbliższym powiernikiem.

„Przegadaliśmy pół młodości na ten temat - wspominał Wierzyński. - Jeszcze stał sobór na ówczesnym placu Saskim, gdy raz zimą, wracając nocą z »Picadora«, jak zwykle dłuższą drogą, siedliśmy na zaśnieżonych stopniach i tam Tuwim przede mną się rozplakał. Pamiętam, mówiłem mu, że jest jak polski Heine, że jego poezja nie przeminie, że doda Żydom nowego znaczenia w Polsce i pomoże zasklepić się różnicom. Wiele rzeczy zaszło potem między nami i rozdzieliło nas na zawsze, choć gdyby świat nie oszalał, stać się to nie powinno. Mało kiedy w życiu dotarłem tak głęboko do drugiego człowieka, jak na tych zaśnieżonych stopniach soboru”<sup>28</sup>.

Inny charakter miała przyjaźń Wierzyńskiego z Lechoniem. „Leszek” był typem prawdziwego „cygana” żyjącego na koszt przyjaciół (szczególnie Słonimskiego). Często spędzał zwierzyńskim zakrapiane wieczory i noce (oczywiście na jego koszt), po czym wzajemnie odprowadzali się do domów. I trzeba przyznać, że robili to w bardzo specyficzny sposób.

„Nie chodziło o to, aby tam zajść, chodziło o to, aby chodzić i odprowadzać się wzajemnie - tłumaczył Wierzyński. - Takim fanatycznym piechurem był Lechoń. Z ulicy Mokotowskiej,

gdzie ja mieszkałem, odprowadzałem go na Przyrynek, gdzie on mieszkał, potem z Przyryнку odprowadzał mnie na Mokotowską on i tak aż do upadłego”<sup>29</sup>.

Wierzyński bywał na bankietach, które Lechoń organizował w swoim domu. A ten słyszał z tego, że nie mając pieniędzy, urządzał je za pożyczone środki, przy czym nigdy nie zapraszał fundatorów. Sponsorów trudno było bowiem nazwać pożyczkodawcami, skoro pan Leszek nie miał zwyczaju oddawać pożyczonych sum. Wierzyński był wprawdzie bez grosza, ale przyjaciel i tak go zapraszał, jako jedyne go ze skamandrytów. Pan Leszek bywał również mistrzem ceremonii na cieszących się wielką sławą imprezach u warszawskiego wydawcy Ludwika Fiszera.

„Nie byłem do nich dopuszczany - skarżył się Iwaszkiewicz - tak samo jak do słynnych »łabardanów« u Ferdynanda Goetla [literackich imprez alkoholowych - S.K.]. Wiedziałem o zbliżaniu się takiego przyjęcia dzięki temu, że Lechoń i Wierzyński zajmowali osobny stolik w »Astorii« i w niekończących się koncyliabulach [...] spisywali listy gości. Na listach tych nigdy nie widniały nazwiska Słonimskiego i Iwaszkiewicza. Lechoń się trochę nas wstydził i nie uważał za *salonfähig*”<sup>30</sup>.

Przyjęcia u Goetla (prezesa polskiej sekcji PEN Clubu) faktycznie miały niecodzienny charakter. Gości zapraszano na godzinę ósmą wieczorem, a zakończenie przewidywano już godzinę (!) później.

Pito wyłącznie najlepsze francuskie koniaki - notował zgorzony pianista Roman Jasiński - i to tak szybko, jak gdyby przyjęcie odbywało się w czasie postoju pociągu na dworcu kolejowym. O żadnej normalnej konwersacji nie było nawet mowy, co przecież nie oznacza, by pito i zakąszano w milczeniu. Panowała atmosfera jakiegoś rejwachu, z każdą minutą rosnącego i przybierającego coraz gwałtowniejszą formę. Po godzinie wszyscy byli już mocno zalani, tak, że następne pół godziny poświęcono [...] na szukanie palt, kapeluszy, picie »strzemiennego«, pożegnalne śpiewy, zwykle pijackie ryki”<sup>31</sup>.

## ŚLUBY I ROZWODY

W listopadzie 1923 roku Wierzyński zmienił stan cywilny. W Zakopanem poślubił aktorkę Bronisławę Koyałowicz, a po uroczystości państwo młodzi mieszkali pod Giewontem przez kilka następnych miesięcy. Wierzyński próbował tam zarabiać na życie jako dziennikarz.

„[...] pisywałem do »Ilustrowanego Kuriera Codziennego« - wspominał po latach - drobne wiadomości miejscowe, coś w rodzaju kroniki zakopiańskiej. Honoraria wypłacał mi na Krupówkach wprost z portfela wydawca »Kuriera«, Marian Dąbrowski. Nie warto było wracać z nimi do domu. Ówczesna marka polska spadała z dnia na dzień, zarobione pieniądze należało wydać czym prędzej. Honoraria zostawały więc na Krupówkach”<sup>32</sup>.

Wierzyński ożenił się jako trzeci ze skamandrytów, wcześniej bowiem stan cywilny zmienili Iwaszkiewicz i Tuwim. Małżeństwa zmieniły sytuację wewnątrz zgranej grupy przyjaciół i dla trzech z nich skończyły się wspólne nocne eskapady i długie, szczerze rozmowy.

„Pikadorczycy czy grupa Skamandra, czy później »Wiadomości Literackich« - wyjaśniał Słonimski - spotykaliśmy się niemal codziennie w »Małej Ziemiańskiej«. Tuwim, Wierzyński, Iwaszkiewicz czy Boy wracali do swoich żon, do domu. W tym bractwie ja i Lechoń tylko byliśmy wtedy kawalerami i po »Ziemiańskiej«, po obiedzie u Simona czy Langnera, po różnych wizytach, kinach czy teatrach tłukliśmy się noc całą do drugiej czy trzeciej nad ranem”<sup>33</sup>.

Na ślubie Wierzyńskiego nie pojawił się żaden ze skamandrytów, a po jego powrocie do Warszawy nie zorganizowano dla niego specjalnego przyjęcia. Była to nowość w tym gronie, gdy bowiem cztery lata wcześniej w Łodzi zenił się Tuwim, to po jego przybyciu do stolicy odbyło się spotkanie „przy zrazach nelsonskich i wódce”. Cała grupa brała również udział w ślubie Iwaszkiewicza w Brwinowie.



Natomiast w przypadku Wierzyńskiego przyjaciele ograniczyli się do wystosowania (dwa tygodnie po ślubie!) zbiorowego listu z gratulacjami. Czy był to przypadek, czy też jeden z symptomów rozpadu „cudownej piątki”?

Małżeństwo Wierzyńskiego nie okazało się udanym związkiem i w lipcu 1933 roku Bronisława wyszła ponownie za mąż, tym razem za przemysłowca i senatora Aleksandra Heimana-Jareckiego. Nic bliższego jednak nie wiadomo na temat formy rozwiązania małżeństwa Wierzyńskich, a biografowie ograniczają się wyłącznie do informacji, że w lutym 1933 roku poeta „rozstał się ze swoją pierwszą żoną”. W czasach II Rzeczypospolitej nie było to jednak takie proste, nie istniały śluby i rozwody cywilne. Małżeństwa rozwiązywano przez kościelne unieważnienie związku (co było bardzo kosztowne) lub przez zmianę wyznania. Popularniejsza była ta druga opcja, jednak nowy mąż Bronisławy był człowiekiem bardzo zamożnym (jego majątek obliczano na trzydzieści milionów złotych), zatem pokrycie kosztów unieważnienia małżeństwa nie stanowiłoby dla niego problemu.

W swoich pamiętnikach poeta był bardzo dyskretny w kwestii spraw osobistych, ale o jego problemach uczuciowych napisała Irena Krzywicka. I dzięki temu wiemy, że pan Kazimierz wszedł w konflikt z innym ze skamandrytów, Antonim Słonimskim. Wierzyński zakochał się bowiem w jego późniejszej żonie, Janinie Konarskiej.

„Pielęgnowała w poważnej chorobie - opisywała Krzywicka - swoją przyjaciółkę, aktorkę (średnią) Bronisławę Koyalłowiczównę, pierwszą żonę Wierzyńskiego. No i tak się stało, że Wierzyński się w Jance zakochał. Nie był on jej również obojętny, piękny, atrakcyjny - ale Janka była zbyt dobra, zbyt szlachetna, aby rozwalić małżeństwo przyjaciółki. Postanowiła więc z tą sprawą skończyć i wyjść za mąż. Wybór jej padł na Antoniego, co świadczyło o jej dobrym guście...”<sup>34</sup>

Podobno Wierzyński nie potrafił odpowiednio się zachować i „latał po wszystkich znajomych, opowiadając, że Janka zrobiła mu świństwo”. Prosił nawet „by przestano ją przyjmować” i „w wielu przypadkach mu się to udało”.

Irena Krzywicka przeżyła wszystkich sobie współczesnych i spisując u schyłku życia wspomnienia pozwoliła sobie na niedyskrecje, które po latach trudno zweryfikować. Nie znamy bowiem relacji ze strony Wierzyńskiego i nie wiemy, jak daleko zaszyły sprawy pomiędzy nim a Konarską. Może faktycznie byli już po słowie (choć poeta miał przecież żonę) i dziewczyna nagle się wycofała? I właśnie tak całą sprawę przedstawił Wacław Zbyszewski, który przyjaźnił się zarówno z Konarską, jak i z Wierzyńskim.

„[...] bodajże w styczniu 1934 roku, w czasie zamieci śnieżnej, natknąłem się łeb w łeb z Wierzyńskim, który złapał mnie za guzik i zawołał: »Czy pan wie, co się stało?«. »Nie wiem« - odparłem mocno zaniepokojony, bo jako urodzony pesymista zawsze oczekuję, że każda niespodziewana wiadomość jest katastrofalna. »Janeczka wyszła dzisiaj za mąż za Antoniego« (to znaczy Słonimskiego) - zawołał Wierzyński. Trochę mnie to zdziwiło, bo mówiono, że Wierzyński i Janeczka mieli się wreszcie pobrać, ale ostatecznie było mi wszystko jedno, którego z nich wybierze”<sup>35</sup>.

Zbyszewski zadzwonił do Konarskiej z gratulacjami, a niebawem poznał szczegóły całej sprawy. I jak sam przyznał, postępowanie panny Konarskiej nie było do końca uczciwe.

„Żona Wierzyńskiego nie chciała dać mężowi rozwodu, więc Janeczka wpadła na pomysł namówienia swojego wuja, milionera i senatora Heimana-Jareckiego, by poślubił właśnie Brysię Koyałowicz-Wierzyńską. I, o dziwo, Heiman-Jarecki, zatwardziały stary kawaler [w rzeczywistości był wdowcem - S.K.], zgodził się i nagle ożenił się z żoną Wierzyńskiego, ale tymczasem Janeczka zmieniła zdanie i odtrąciwszy Wierzyńskiego, wyszła za Słonimskiego”<sup>36</sup>.

Zbyszewski miał zresztą okazję zaobserwować, jak ułożyły się wzajemne stosunki pomiędzy eks- małżonkami. Zapraszano go bowiem na ekskluzywne przyjęcia organizowane w mieszkaniu Heiman-Jareckich, gdzie regularnie bywał też Wierzyński. Co więcej, poeta na tych imprezach czynił honory pana domu u boku swojej „wybrylantowanej i wygadanej bardziej niż kiedykolwiek” byłej żony. Natomiast Heiman-Jarecki siadywał

„na drugim końcu stołu”, przez cały wieczór „milczał jak mumia”, ale „naprawdę wyglądał na zakochanego i szczęśliwego”.

Na pewno jednak Wierzyński cierpiał z powodu Konarskiej, co przyznaje nawet Krzywicka. Ostatecznie ożenił się po raz drugi w grudniu 1938 roku z Haliną Pfeffer i to małżeństwo przetrwało do śmierci poety. Lechoń uważał ich związek za wzorowy, pisząc, że „jest to Mickiewicz, który ożenił się z Marylą, Słowacki ożeniony z Ludwiką Śniadecką i Krasiński, połączony legalnym węzłem z Delfiną Potocką”. A przy okazji nowa pani Wierzyńska była dowodem na to, że muza poety „może znakomicie pisać na maszynie, robić poszukiwania w bibliotekach, gotować wspaniałe bigos”.

Tragiczny los spotkał natomiast pierwszą żonę Wierzyńskiego. Bronisława Koyałłowiczówna podczas wojny znalazła się we Francji, gdzie jako Żydówka została aresztowana, a następnie zamordowana w Oświęcimiu.

## POEZJA I FINANSE

Skamandrytów podzieliły również sprawy finansowe. Wprawdzie żaden z nich nie mógł utrzymać się wyłącznie z poezji, ale stosunkowo najlepiej radził sobie Tuwim. Związał się ze stołeczną sceną kabaretową, doskonale zarabiał, a jego nazwisko stało się synonimem sukcesu. Pisał wprawdzie pod pseudonimami, wstydząc się tego rodzaju twórczości i nie chcąc swoimi dochodami drażnić kolegów po piórze. Już w połowie 1919 roku był najbardziej pożądanym autorem w stolicy, a dyrekcja Qui pro Quo zawarła z nim umowę na wyłączność, dzięki czemu zarabiał nawet wtedy, gdy nie pisał. Jego miesięczne dochody szacowano (już po reformie walutowej) na cztery tysiące złotych, a pisał wszystko: szmoncesowe dialogi, liryczne piosenki, skecze. Potrafił zaglądać do teatrzyku kilka razy dziennie, za każdym razem przynosząc nowy pomysł.

Doskonale prosperował również Słonimski. Jego teksty

(również pisane pod pseudonimem) wykorzystywały Czarny Kot, Qui pro Quo, Stańczyk, Perskie Oko, Banda, Ali Baba, Cyrulik Warszawski i Tip-Top. Był stałym współpracownikiem „Wiadomości Literackich”, a jego wspaniałe *Kroniki Tygodniowe* należały do najmocniejszych akcentów pisma. Wysoko ceniono jego recenzje teatralne, pisywał powieści, a jego komedie z powodzeniem wystawiano na scenach warszawskich.

I właściwie tylko on, obok Tuwima, mógł powiedzieć, że utrzymywał się ze swojego talentu.

Inaczej było z Wierzyńskim, który skoncentrował się na karierze dziennikarskiej. Początkowo pracował w „Kurierze Czerwonym”, warszawskiej popołudniówce z charakterystyczną, czerwoną winietą.

„Było to pismo sensacyjne - przyznawał Wierzyński - na pierwszej stronie musiała być tak zwana krew lub kryminał, to znaczy jakieś morderstwo albo potężne włamanie, wszystkie tytuły - atrakcyjne, wszystkie wiadomości krótkie. Tytuły te robiłem ja”<sup>37</sup>.

Pomimo nie najlepszej kondycji finansowej Wierzyńskim udało się kupić mieszkanie w Warszawie. Koszt całej operacji wyniósł osiem tysięcy złotych, ale poecie sprzyjało szczęście, gdyż jego wielbicielem okazał się Kazimierz Grossman, dyrektor jednego ze stołecznych banków. Wierzyński dostał na dogodnych warunkach kredyt i stał się posiadaczem trzypokojowego mieszkania. Wprawdzie lokal mieścił się na czwartym piętrze kamienicy bez windy, ale w zamian był „widny, ciepły i co najważniejsze słoneczny”. Poza tym był wyposażony w telefon, co również miało znaczenie.

Prawdziwy przełom w pracy dziennikarskiej przyniósł lipiec 1926 roku, kiedy to poeta został redaktorem naczelnym podupadającego krakowskiego tygodnika o tytule „Przegląd Sportowy”.

## LAUR OLIMPIJSKI

Wierzyński był zagorzałym miłośnikiem sportu, a jego fascynacja sięgała czasów szkolnych w Galicji. W wieku piętnastu lat rozpoczął treningi w Pogoni Stryj, gdzie uprawiał lekkoatletykę i piłkę nożną. Wielkich sukcesów nie osiągnął, kwalifikował się bowiem tylko do trzeciego składu drużyny piłkarskiej, ale miał też swój wielki dzień.

„Szczytem mojej kariery piłkarskiej był występ w pierwszej drużynie, w której zabrakło - nie pamiętam z jakiego powodu - bramkarza na mecz z »Lechią« we Lwowie. Z wielką treścią stanąłem na boisku »Sokoła Lwowskiego«, robiłem, co mogłem, ale okazało się, że to nie dosyć, aby mecz wygrać. Zeszliśmy z pola pokonani I-O”<sup>38</sup>.

Kibicem był jednak przez całe życie i gdy dowiedział się, że „Przeglądowi Sportowemu” grozi upadek, namówił właścicieli „Kuriera Czerwonego” do zakupu tego tytułu. Sam oczywiście został redaktorem naczelnym pisma.

„[...] nadałem mu format gazety, powiększyłem objętość i przekonałem wydawców, aby zaryzykować nakład pięciu tysięcy egzemplarzy Chwyciło z miejsca. Dziennikarzy sportowych wówczas właściwie nie było. Ze starej redakcji przeszedł do nowej tylko Marian Strzelecki, resztę tak zdolnych i barwnych piór jak Jerzy Grabowski, Stanisław Rothert, Jan Erdman wychowałem sobie sam. Dalsze dzieje pisma przeszły wszelkie oczekiwania. Wychodziło kilka razy na tydzień, nakład osiągnęło przeszło dwadzieścia tysięcy egzemplarzy”<sup>39</sup>.

Wierzyński okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Miał doskonałe wyczucie stylu, wiedział, że informacja musi być odpowiednio podana i napisana dobrym językiem. I tego właśnie uczył młodych dziennikarzy.

„Pamiętam, jak oddałem Wierzyńskiemu [...] pierwszy artykuł, jaki napisałem w życiu - wspominał Wojciech Trojanowski. - On to przeczytał, poklepał mnie po ramieniu i powiedział: »Panie Wojciechu, w roku Pańskim 1863 byłyby pan gwiazdą dziennikarstwa. A teraz niech pan skróci to do połowy«. Poszedłem rozgoryczony, skróciłem swój elaborat do

połowy i ze zdumieniem spostrzegłem, że ten artykuł był nie tylko dwa razy krótszy, ale i dwa razy lepszy..”<sup>40</sup>.

Inna sprawa, że czasami sam redaktor naczelny nie mógł służyć za wzór profesjonalizmu. Gdy wybrał się jako reporter na mistrzostwa świata w hokeju na lodzie, zapomniał o roli sprawozdawcy. Zrozpaczeni podwładni przygotowywali relacje na podstawie informacji radiowych i depesz agencyjnych, informując oczywiście, że artykuły pochodzą od „własnego korespondenta”. A gdy Wierzyńskiemu udało się wreszcie oderwać od suto zakrapianych przyjęć, impreza dobiegła już końca.

„[...] mistrzostwa się skończyły - opisywał Trojanowski - i kiedy o całej sprawie zaczęliśmy zapominać, kiedy już wszyscy wiedzieli, że Kanada wygrała mistrzostwa - przychodzi depesza od Wierzyńskiego.

Treść była krótka: »Pierwsza - Kanada, druga Ameryka, trzecia - Czechosłowacja«. Nas oczywiście ogarnęła szewska pasja i wysłaliśmy do niego ironiczną depeszę z zapytaniem: »Dlaczego Czechosłowacja trzecia?«.

W dzień potem Wierzyński odpowiedział telegramem o długości półtora metra. Wszystko wyjaśnił, ale to wszystko było już nieważne, więc depeszę oprawiliśmy w ramki, wieszając ją na ścianie”<sup>41</sup>.

Trzeba jednak przyznać, że organizatorzy mistrzostw mieli powody do fetowania poety. W 1928 roku otrzymał on bowiem złoty medal na igrzyskach w Amsterdamie za tomik wierszy *Laur olimpijski*. Był to zresztą pierwszy złoty medal olimpijski zdobyty dla Polski, bo poeta wyprzedził nawet Halinę Konopacką. Wyniki Konkursu Sztuki i Literatury ogłaszano bowiem jeszcze przed rozpoczęciem igrzysk.

„Jedną z najpiękniejszych konkurencji sportowych wydaje mi się skok o tyczce - opowiadał Wierzyński o swoich fascynacjach. - Pamiętam, kiedy najwyższa granica tego skoku sięgała trzech metrów, co stanowiło rekord Polski. [...] Dziś skaczą bez tyczki przeszło dwa metry, a z tyczką ponad pięć metrów. Ale nie chodzi o samą wysokość. Cały skok ma w sobie przejmującą dramatyczność. Akcja dochodzi do momentu

kulminacyjnego, gdy skoczek podpływa w locie do poprzeczki i ma się przez nią przerzucić na drugą stronę. Zwykle dokonuje tego, leżąc w powietrzu, w takiej pozycji, jak poprzeczka. Setki oczu chciałoby wesprzeć go z dołu, podciągnąć, pomóc mu, ułatwić ten poziomy piruet. Co za ulga, gdy mu się skok uda i gdy szczęśliwie przejdzie poprzeczkę”<sup>42</sup>.

Wierzyński pozostał miłośnikiem sportu do końca życia, czym zadziwiał wielu znajomych. Dla większości intelektualistów zmagania na bieżniach i stadionach były bowiem czystą abstrakcją.

„Próbował zarazić nas entuzjazmem do przyglądania się rozgrywkom - skarżył się Aleksander Janta-Polczyński - a także wyjaśniać ich subtelności każdemu, kto się nawinie. Nawijałem się wprawdzie nie raz, ale zawsze w stanowczym oporze wobec pokus wtajemniczenia mnie w reguły gry, której bohaterowie w postaci dobrze odżywionych jegomościów w długich gaciach nigdy nie potrafili poruszyć mnie ani pociągnąć. Więc sam wybuchiał okrzykami entuzjazmu dla jakiegoś rzucenia piłką czy uderzenia kijem, ubolewając, że jesteśmy nieczuli i niedostępni jego zachwytem”<sup>43</sup>.

Przygoda poety z „Przeglądem” zakończyła się w 1931 roku, ale czasami jeszcze wyjeżdżał w charakterze korespondenta sportowego. W tym czasie próbował jednak znaleźć inny sposób na życie i założył tygodnik „Kultura”. Pismo ukazywało się przez kilka miesięcy. Po jego upadku Wierzyński związał się z „Gazetą Polską”. Na jej łamach publikował recenzje teatralne, reportaże i wiersze. Sanacyjny profil pisma był mu bliski, ale Wierzyński nie zapominał o kolegach po piórze, nawet jeśli prezentowali zupełnie odmienne poglądy polityczne.

„Były takie opowieści niedialektyczne - wspominał Zbigniew Herbert - o tym, jak to pan Kazimierz telefonuje rano do Bolka (generała Wieniawy-Długoszowskiego, pupila Marszałka) w sprawie Władka (Broniewskiego, znakomitego poety rewolucyjnego), który był także sekretarzem mieszczańskich »Wiadomości Literackich«, domagając się wypuszczenia tego ostatniego z aresztu. Władka wypuszczają. Kazio, Bolek i Władek idą razem do »Adrii« [...] uczcić zwycięstwo

(chwilowe) ludzkiej solidarności”<sup>44</sup>.

U schyłku II Rzeczypospolitej Wierzyński mógł się uważać za człowieka spełnionego. Miał u boku ukochaną kobietę, regularnie wydawał tomiki poetyckie (do wybuchu wojny łącznie ukazało się ich dziewięć), publikował w prasie, podróżował po świecie. Uhonorowano go Złotym Wawrzynem Akademickim Polskiej Akademii Literatury, ale znacznie ważniejsze (ze względów finansowych) było członkostwo tej instytucji. Przyjęto go w jej poczet w 1938 roku (na miejsce zmarłego Leśmiana), a warto pamiętać, że dieta za posiedzenie wynosiła dwieście złotych. Była to znacząca kwota w budżecie każdego literata.

## DOLE I NIEDOLE WIESZCZA EMIGRACJI

Ten świat zawalił się pierwszego września 1939 roku. Wierzyńscy zostali ewakuowani z Warszawy wraz z zespołem „Gazety Polskiej”, a następnie przekroczyli granicę rumuńską razem z Marianem Hemarem, Stefanem Norblinek i Leną Żelichowską.

Dotarli do Paryża, gdzie osiedli wraz z pozostałymi skamandrytami (w kraju pozostał tylko Iwaszkiewicz). Dużą pomoc okazał im zadomowiony nad Sekwaną Lechoń, w Paryżu spędzili też ostatnią wspólną Wigilię.

Po upadku Francji Wierzyńscy (wraz z Lechonem i Tuwimami) dotarli do Brazylii, skąd po kilku miesiącach udało się im przedostać do Stanów Zjednoczonych. Przyjazd do USA umożliwiła zbiórka pieniędzy wśród Polonii amerykańskiej, skamandryci zostali bowiem bez środków do życia. Dopiero po kilku miesiącach sprawy się ułożyły i literaci zaczęli otrzymywać stypendia z Funduszu Kultury Narodowej. Niestety, koniec wojny oznaczał również kres subsydiowania artystów przez polskie władze emigracyjne.

Tuwim powrócił do kraju i włączył się w nurt budowy „przodującego ustroju”. Porozumienie z komunistami zawarł również Iwaszkiewicz, a z czasem nad Wisłę powrócił także



Słonimski. Na emigracji zostali tylko dwaj nieprzejednani: Lechoń i Wierzyński.

Pan Kazimierz wiedział, że z poezji nie będzie w stanie utrzymać rodziny i poszedł za radą zaprzyjaźnionego dyrygenta Artura Rodzińskiego. Rozpoczął pracę nad biografią Chopina, licząc, że książka zainteresuje również miejscowych czytelników, gdyż sprzedaż wyłącznie wśród polskiej emigracji nie mogła zapewnić większych dochodów.

„[Z grona skamandrytów] tylko jeden był uzdolniony muzycznie - uważał Marian Hemar - czytał nuty, ładnie i biegle grał na fortepianie, był autorem libretta operowego, do którego muzykę napisał jego przyjaciel, Karol Szymanowski. Był to Jarosław Iwaszkiewicz. Tuwim, samorodnie i po dyletancku bardzo muzykalny, uchem chwycił w lot melodie i rytmy, dzięki temu pisywał znakomite teksty piosenek, ale już harmonii w muzyce nie słyszał. Legenda o wyjątkowej muzykalności Lechonia była bardzo przesadzona. On sam umiał ją zręcznie wmawiać wielu łatwowiernym. Słonimski był na muzykę głuchy jak pień, z melodii odróżniał tylko jedną, *Jeszcze Polska nie zginęła*, ale tylko kiedy słyszał ją wraz z tekstem. Wierzyński - jeszcze gorzej, był na muzykę obojętny. Nie pamiętam, bym go kiedy widział na koncercie, bym go kiedy słyszał rozmawiającego na tematy muzyczne”<sup>45</sup>.

Jednak to właśnie Wierzyński napisał najlepszą biografię Chopina, jaka kiedykolwiek powstała. Pracował nad nią dwa lata, w tym czasie zaszył się wraz z żoną na wynajętej farmie w Stockbridge w stanie Massachusetts.

Ogromną pomocą była dla niego Halina, która „często przyjeżdżała do Nowego Jorku, by robić poszukiwania w bibliotekach”, dzięki czemu Wierzyński w „idealnej ciszy i spokoju pracował nad książką”.

Przedmowę napisał Artur Rubinstein uważany za najlepszego na świecie interpretatora muzyki Chopina i biografia od razu zyskała dużą popularność. Przetłumaczono ją na kilkanaście języków, w tym na japoński, hebrajski i łacinę klasyczną (!), miała również dwa niezależne przekłady angielskie (dla USA i Wielkiej Brytanii).

„Czytam książkę Wierzyńskiego o Chopinie - notował w swoim dzienniku Jan Lechoń - z podziwem dla jego pracy, dyskrecji, sumiennosci, prostoty i elegancji stylu. Wątpię, czy po tej stronie może być napisana jeszcze inna biografia Chopina. Wszystkie polskie rzeczy podano bez polskiej rozlewności, z taktem, który by na pewno sam Chopin pochwalił”<sup>46</sup>.

Sukces książki na pewien czas oddalił od Wierzyńskich widmo ubóstwa, jednak problem po kilku latach powrócił. Pomimo bowiem regularnej współpracy z londyńskimi „Wiadomościami” (Grydzewski) i paryską „Kulturą” (Giedroyc) poeta nie zarabiał dostatecznie dużo, by zapewnić byt rodzinie. Ponadto w tym czasie poważnie zachorował na nerki.

Popularną metodą doraźnej pomocy dla artystów emigracyjnych było urządzenie jubileuszowych obchodów. W marcu 1954 roku zorganizowano taką uroczystość na cześć Wierzyńskiego, który chyba zbyt poważnie potraktował całą sprawę.

„Wierzyński, jak się okazuje - dziwił się Lechoń - wziął cały swój jubileusz dosłownie tak, jakby wszyscy, którzy wtedy przemawiali czy przysłali mu depesze, naprawdę myśleli i czuli to, co było trzeba powiedzieć. I teraz jubilat piekli się, że nie traktują go w każdej chwili jak jubilata - że Olechnowski i Tadeusz Nowakowski coś mu nie dogodzili, że po prostu nie czci się go w każdej chwili. Mogę się na to złościć, bo sam mu powiedziałem parę lat temu na mojej fecie, co myślę o jubilatach. Czasami trzeba korzystać z jubileuszów. Ale człowiek rozsądny nie może w to wierzyć”<sup>47</sup>.

Niestety, Lechoń sam nie potrafił dać sobie rady ze swoimi problemami i dwa lata później popełnił samobójstwo, wyskakując z dwunastego piętra nowojorskiego hotelu Henry Hudson...

Śmierć przyjaciela była dla Wierzyńskiego poważnym ciosem, tym bardziej że wpisała się w cały cykl tragedii. W lipcu 1942 roku również w Nowym Jorku samobójstwo popełnił Wieniawa-Długoszowski, rok później w Oświęcimiu zginęła pierwsza żona poety, a na Majdanku zamęczono jego starszego

brata. W marcu 1944 roku zmarła matka Kazimierza, a podczas powstania w Warszawie zginęli kolejny brat Bronisław oraz bratanek i bratanica. W grudniu 1944 roku natomiast odszedł ojciec artysty Andrzej Wierzyński. Na domiar złego w grudniu 1953 roku z Zakopanego przyszła wiadomość o śmierci Tuwima. A chociaż drogi przyjaciół już wcześniej się rozeszły (emigranci nie mogli darować Tuwimowi współpracy z komunistami), to jednak śmierć człowieka, z którym wiązały się najlepsze wspomnienia młodości, zrobiła na Kazimierzu przynębiające wrażenie.

W maju 1955 roku Wierzyński rozpoczął współpracę z Rozgłośnią Polską Radia Wolna Europa. Było to konieczne z powodów finansowych, poeta „nie mógł wyżyć za 160 dolarów miesięcznie”. Na antenie brał udział w dyskusjach literackich, pisał felietony (*Listy z Ameryki*), był też autorem cyklu audycji zatytułowanych *Pamiętnik poety*. Po latach programy te miały się doczekać swojej edycji książkowej.

W 1957 roku Wierzyński przeszedł zawał serca, wpływ na jego pogarszający się stan zdrowia miały zapewne problemy związane z wydaniem tomu *Poezje zebrane*. Edycję oparto bowiem na subskrypcji, a cała akcja wywołała duży skandal.

„Czy nie byłoby lepiej, gdyby poeci pisali wiersze, a nie zajmowali się biznesem? - pytała retorycznie działaczka emigracyjna Aniela Mieczysławska.

- Czy Halusia [żona Wierzyńskiego - S.K.] nie zrobiłaby tego lepiej? Ha, ha, ha [...]. Nie wydaje mi się, żeby można [było] uzyskać większe ilości subskrypcji przez telefonowanie dam, bo przecież tak będzie, że do jednej i tej samej osoby parę z nas zadzwoni, a do innych nikt. Poza tym osobiście uważam, że namawiać i prosić nie należy, a tylko zawiadamiać. Może te panie, które nic nie robią i na nic floty nie zbierają, tego się podejmą [...]. Nie tylko trzeba by rozwiązać kwadraturę koła w znalezieniu czasu na wszystko, ale by ludzie nie ciskali słuchawki, jak się odzywam”<sup>48</sup>.

Subskrypcja przyniosła dość umiarkowane rezultaty, większości przedstawicieli „starej” emigracji nie było stać na wydanie pięciu dolarów na książkę, a młodym, niemówiącym

po polsku ten tom nie był potrzebny. Nie na wiele się zdała również akcja Grydzewskiego, który chwycił się nawet tak absurdalnych pomysłów, jak reklama poprzez hasła w krzyżówkach! Ostatecznie zebrano niewiele ponad półtora tysiąca przedpłat, a wydanie opóźniło się z powodu choroby poety. Wybuchł skandal, Wierzyńskiemu grożono zbiorowym pozwem sądowym i w efekcie zniesmaczony pan Kazimierz wraz z żoną wyjechał na dwa lata do Europy.

Cała sprawa mocno zaszkodziła wizerunkowi artysty i to w chwili, gdy pojawiło się zainteresowanie jego twórczością wśród zagranicznych odbiorców. Przy okazji afera zadecydowała o braku odpowiedniego poparcia organizacji emigracyjnych dla starań o przyznanie poecie literackiej Nagrody Nobla. Wielka to szkoda, gdyż jego kandydatura miała realne szanse, a Akademia Szwedzka sondowała już środowiska polskie w tej sprawie.

Fatalny wpływ na stan zdrowia Wierzyńskiego miał również jego tryb życia. Poeta zawsze za dużo palił i przez całe życie nie unikał alkoholu. Wprawdzie nie były to już libacje jak z czasów Skamandra, ale we wspomnieniach znajomych cały czas pojawia się alkohol. Była to wódka, koniak, whisky, grappa, a także lżejsze trunki.

„Pijemy bursztynowe wino - wspominał Jan Fryling wizytę w domu Wierzyńskich w Sag Harbor - i niepewnymi już krokami chodzimy po wąskiej przełęczy, odgradzającej dziś od wczoraj. Ale raz po raz Dionizos płącze nam nogi i poślizgujemy się na wczorajszą stronę. [...] Kłody strzelają na kominku, jesteśmy daleko, bardzo daleko, dawne sprawy przed nami, wykute w czarnym bazalcie, a posrebrzane głosem pani Halusi”<sup>49</sup>.

Wierzyński właściwie nigdy nie przystosował się do życia w Ameryce. Mieszkał tam, pisał, ale zawsze czuł się obco. Ciągnęło go do Europy, tam był ten świat, w którym wyrósł i do którego był przyzwyczajony.

„[...] nie mógł sobie znaleźć miejsca na emigracji - tłumaczyła felietonistka »Wiadomości« Stefania Kossowska. - Po długich latach Ameryki zdecydował się wrócić do Europy i przenosił się z kraju do kraju – Paryż, Rzym, w końcu Londyn. I nareszcie

poczuł się u siebie. Nie obchodziło go angielskie miasto, jego ludzie i sprawy, tylko małe w nim polskie życie. - No, pomyślcie - wołał rozradowany, podniecony, jak to on, spotkawszy nas na ulicy parę dni po przyjeździe - ledwo co wyjdę z domu, sami znajomi”<sup>50</sup>.

Bardzo jednak pragnął przyjechać do kraju, choćby na krótko. Chciał być na pogrzebie Marii Dąbrowskiej, ale władze PRL nie udzieliły mu zgody. Jego przeznaczeniem było spędzenie reszty życia na obczyźnie.

Po przeprowadzce do Europy wydał jeszcze cztery tomiki poetyckie. Był jedynym ze skamandrytów, który do końca życia utrzymał poziom artystyczny sprzed lat i słusznie nazywano go „wieszczem emigracji”.

To jednak wcale nie oznaczało, że miał odpowiednie dla swojej pozycji dochody. Kiedy szykował się do przenosin na Stary Kontynent, ogłoszona w związku z tym zbiórka pieniężna przyniosła osiem i pół tysiąca dolarów. Była to wprawdzie kwota zapewniająca mu dwa lata spokojnej pracy, jednak zastanawiać mogą bardzo skromne wpłaty od instytucji mających z założenia promować polską kulturę. Radio Wolna Europa ofiarowało bowiem zaledwie dwadzieścia pięć dolarów, a paryska „Kultura” - dziesięć! Czy w tej sytuacji można się dziwić polskim emigrantom, którzy w codziennej walce o utrzymanie się w obcym im świecie tak mało interesowali się poezją?

„Społeczeństwo polskie poza krajem - pisał z goryczą Aleksander Janta-Pończyński - chętnie przez swoich rzeczników i przedstawicieli różnego autoramentu szczytując się wysoką pozycją kultury polskiej i jej osiągnięć, traktuje współczesnych, żyjących wśród niego pisarzy w najlepszym razie jak odświętny luksus, a czyta ich od biedy na szpaltach dwóch czasopism, które dla okrętu emigracji są jak żagle, dające jakiś podniecający myśl łopot i dyskusyjny albo koncepcyjny napęd w szarzyźnie codziennego zarobkowania”<sup>51</sup>.

Rankiem 13 lutego 1969 roku Wierzyński zrobił jeszcze ostatnią korektę swojego nowego tomiku zatytułowanego *Sen mara*. Wieczorem doznał kolejnego ataku serca, którego tym

razem już nie przeżył. Pochowano go na londyńskim cmentarzu w Hampstead, a dziewięć lat później jego ciało przeniesiono do Alei Zasłużonych na Starych Powązkach. Po dwóch latach do poety dołączyła jego żona.

Siedem lat po śmierci Wierzyńskiego zmarł Antoni Słonimski, a w 1980 roku odszedł Jarosław Iwaszkiewicz. I w ten oto sposób skamandryci razem ze swoim światem przeszli do historii, by na zawsze zająć w niej wyjątkowe miejsce.

## **Rozdział 5.** **Dekadencja na wesoło**

KONSTANTY ILDEFONS

Nie można było, obcując z Konstantym - twierdził publicysta Władysław Bieńkowski – nie dostrzec w jego oczach jarzącego się wiecznie radosnego ognia stwarzania nowych światów, widzenia tego samego, co wszyscy w innym wymiarze, jakiegoś uśmiechniętego chochlika, który na przekór ustalonym normom i nawykom widział inaczej. Bawił się światem, jaki widział, jaki odkrywał i tworzył, świadomie przyjmował rolę błazna i szarlatana”<sup>1</sup>.

Do tego obrazu należy jeszcze dodać solidną dawkę procentów towarzyszących Gałczyńskiemu niemal przez całe życie. Poeta był bowiem jednym z najbardziej konsekwentnych alkoholików w dziejach polskiej kultury - człowiekiem, który nie wyobrażał sobie życia bez trunków.

Kira Gałczyńska, córka i kronikarka życia ojca, tłumaczyła jego skłonność do alkoholu chorobą. Przyznawała wprawdzie, że bez wódki poeta nie potrafił żyć, jednak jej nadużywanie miało być spowodowane procesami niezależnymi od jego woli. Gałczyński miał bowiem cierpieć na cyklotymię.

„[Lekarze] twierdzą, że nie ma na nią lekarstwa - tłumaczyła Kira - że zawsze przebiega podobnie - pojawia się nagle po okresie nadmiernego wysiłku twórczego, wielkich wzruszeń, inspiracji, stanowiąc rodzaj bariery ochronnej przed totalnym psychicznym zniszczeniem, czy krócej mówiąc przed obłędem. Nagle zaczynał dużo spać, nieraz do południa, podczas gdy normalnie jego dzień pracy zaczynał się zawsze o 6 rano. Pisanie traktował z obrzydzeniem, podobnie jak lektury, muzykę, kawę. Bezmyślnie przerzucał gazety, godzinami chodząc z kąta w kąt. Po kilku dniach zaczynał pić”<sup>2</sup>.

Cyklotymię opisano wprawdzie już w XIX stuleciu, ale brakuje

relacji lekarzy, którzy rozpoznali tę chorobę u Gałczyńskiego. Zresztą do prawidłowego rozpoznania schorzenia potrzebny jest dłuższy okres obserwacji (minimum dwa lata). Wątpliwe zatem, by poeta został właściwie zdiagnozowany. Niewykluczone nawet, że jego choroby nigdy nie rozpoznał żaden lekarz. Opisanie przez córkę poety wahania nastrojów są charakterystyczne dla ludzi uzależnionych od alkoholu i wcale nie muszą być symptomami cyklotymii. Pamiętajmy też, że alkoholizm również jest chorobą.

Matka artysty, Wanda Gałczyńska, wyrażała obawy, że syn odziedziczy po swoim ojcu skłonność do trunków. Cyklotymia bywa wprawdzie dziedziczna, ale nic nie wiemy na temat stanu umysłu Konstantego seniora. Współcześni uważali go bowiem za zwykłego alkoholika, nie wdając się w szczegółową analizę jego zdrowia psychicznego. Prawdy zapewne nie poznamy nigdy i pozostaje nam tylko konstatacja, że bez alkoholu Konstanty Ildefons byłby zupełnie innym człowiekiem.

## W RODZINIE GAŁCZYŃSKICH

Przyszły poeta urodził się 23 stycznia 1905 roku. Małżeństwo jego rodziców trudno zaliczyć do udanych, zresztą już od samego początku związku partnerzy mieli odmienne oczekiwania. Wanda Gałczyńska, która była córką zamożnych właścicieli popularnej restauracji U Wróbla, wyszła za mąż z miłości. Natomiast możemy powątpiewać w uczucia jej małżonka - dla Konstantego Gałczyńskiego seniora, z zawodu technika kolejowego, ślub z posażną panną był raczej sposobem na ułożenie sobie życia. Nie miał też najłatwiejszego charakteru.

„Pracował w warsztatach kolejowych jako ślusarz czy mechanik - wspominał Aleksander Maliszewski - zarabiał nieźle. Był ponoć bardzo przystojny, grał na skrzypcach i śpiewał piosenki własnej kompozycji. Neurastenik i fantasta, bystry w żarcie i nie panujący nad sobą w gniewie, łatwo i szybko poddający się skrajnym uczuciom przyjaźni i



nienawiści”<sup>3</sup>.

Gdy po śmierci teścia rodzina żony podpadła finansowo, w małżeństwie Gałczyńskich zaczęły się problemy. Zmieniali mieszkania, w domu często wybuchały awantury, Konstanty senior zaglądał do kieliszka, regularnie znikał na kilka dni z domu, a po jego powrocie dochodziło do kolejnych scysji. W efekcie wyprowadził się z domu.

„Ojciec jego [Konstantego Ildefonsa] już w tym czasie nie mieszkał w domu - kontynuował Maliszewski - ale jeszcze, jak się zdaje, niezupełnie zrezygnował z praw najwyższej instancji i z roli wychowawcy. O swoich prawach i obowiązkach przypominał sobie, niestety, dopiero w chwilach poważniejszego zamroczenia alkoholem, stąd uroczystości odwiedzin by wały głośnie i pozostawiały wstrząs nerwowy u matki i syna”<sup>4</sup>.

Wanda Gałczyńska nadal kochała męża i bez względu na stan, w jakim się znajdował, oczekiwała jego odwiedzin. I gdy czasami zapowiadał swoją wizytę, pełna niepokoju stała na balkonie, a gdy nie przychodził, „zanosiła się spazmatycznym płaczem”. I twierdziła, że jeżeli syn „będzie podobny do ojca, to ona się zabije”.

„Ilekcio Konstanty mówił o ojcu - zauważył Maliszewski - czuło się kpinę, gniew, urazę, ale wszystko to było jakby w otocze uśmiechu, podziwu, utajonej miłości. Nikt z nas tego gwoźdźca nie poruszał. Przeczuwaliśmy, że w sercu Kostka ćmiła tęsknota do »dziwnego« ojca, który był i którego równocześnie nie było”<sup>5</sup>.

Ojciec poety zmarł w 1926 roku, a cztery lata później matka ponownie wyszła za mąż. Tym razem jej wybrankiem był Czech, Józef Berger, z którym wyjechała na stałe do Czechosłowacji.

## NA ULICY TOWAROWEJ

Ostatnim miejscem zamieszkania Gałczyńskich była czynszowa kamienica przy ulicy Towarowej 54 w Warszawie.

Okolica nie uchodziła za specjalnie wykwintną, niemal pod sam dom podchodziły tory i bocznice kolejowe, niedaleko było stąd również do słynnego Kercelaka.

„Dom pod numerem 54 - opisywała budynek sąsiadka Danuta Maciejewska - mieścił się na rogu Towarowej i Grzybowskiej. Liczył 5 pięter. [...] Wejście do domu znajdowało się od ulicy Towarowej; była to duża brama. Z jej prawej strony mieścił się sklep spożywczy, a na samym rogu była jatka końska z krwawym szyldem przedstawiającym głowę konia i dwa skrzyżowane topory”<sup>5</sup>.

Ulica Towarowa była najkrótszą drogą dla podmiejskich producentów warzyw i owoców, którzy już nad ranem ciągnęli na Kercelak. Wozy konne z kołami na drewnianych obręczach stukotały na kocich łbach, a dodatkowy hałas powodowały tramwaje.

Budynek nie był skanalizowany, ze śmietnika z reguły wszystko się wysypywało, początkowo kamienica nie miała również elektryczności. Jednak Gałczyńscy nie byli tak ubodzy, jak zdaje się głosić obiegowa opinia. Poeta wspominał bowiem, że w koncentracji podczas nocnego pisania pomagało mu dobiegające z kuchni chrapanie służącej. Wprawdzie w inteligentnych rodzinach obecność pomocy domowej uważano wówczas za standard, jednak nie wszyscy mogli sobie na to pozwolić.

Mieszkanie na Towarowej Gałczyńscy opuścili podczas pierwszej wojny światowej, gdy ojciec jako kolejarz został ewakuowany w głąb Rosji. Powrócili tam w 1918 roku, a pan Gałczyński niebawem opuścił rodzinę na stałe.

## NAUKAI ALKOHOL

Konstanty nigdy nie był dobrym uczniem, zupełnie bowiem nie pasował do zinstytucjonalizowanej edukacji. Na żądanie ojca początkowo uczęszczał do Szkoły Technicznej Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, a w Rosji trafił do szkoły przy Komitecie Polskim.

„Dwunastoletni Kostek zawsze był »nie z tej ziemi« - uważał jego szkolny kolega Jan Hoppe. - Przez wszystkich lubiany, ale w gruncie rzeczy sam. Sam dlatego, że zupełnie inny. Nasze zainteresowania i rozrywki nudziły go. Nie biegał z nami na wycieczki. Nawet narty nie porywały go. Na piłkę, w którą grywaliśmy na kremlowskim placu, patrzył obojętnie. Rzadko chodził z nami nad rzekę”<sup>7</sup>.

Wprawdzie poeta po latach wspominał, że więcej czasu spędzał pod moskiewskimi mostami niż w szkole, to jednak pedagodzy musieli doceniać jego intelekt. Po przeniesieniu szkoły do Polski (jako gimnazjum Giżyckiego) bez większych problemów zdał W“niej maturę. Rozpoczął studia na filologii angielskiej i klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie jego nieprzystosowanie do edukacyjnych reguł stało się już w pełni widoczne. Każde studia wymagają bowiem minimum samokontroli i dyscypliny, które Gałczyńskiemu były zupełnie obce.

„Konstanty uczył się bardzo dużo - przyznawał Aleksander Maliszewski - ale zawsze jakoś nie tego, co było potrzebne do egzaminu. Zainteresowania jego sięgały na pewno szerzej, niż wymagał tego program studiów. Wiedzieli o tym profesorowie, okazywali wiele wyrozumiałości, niejednokrotnie usiłowali mu pomóc - cóż, kiedy Konstanty po prostu nie przychodził na egzamin. Bywał jednak na wykładach, brał udział w pracach seminaryjnych, napisał nawet bardzo piękną pracę o angielskim poecie Johnie Keats, ilustrowaną własnymi przekładami - i na tym koniec”<sup>8</sup>.

Genialni artyści rzadko pozwalają się zaszufłakować, a Gałczyński nie byłby sobą, gdyby na uczelni nie pokazał swoich możliwości. O jego wyczynach przez całe lata krążyły po Warszawie legendy, były to bowiem prawdziwe pokazy intelektu i tupetu.

„Napisał on podobno pracę o poecie szkockim z XV wieku - twierdził Jerzy Zaruba. - Była to doskonała, szczegółowa biografia, z cytowaniem szeregu ballad tego poety, analizą elementów twórczych, uwzględnieniem tła epoki etc. Zdał na piątkę i wszystko byłoby dobrze, gdyby po paru miesiącach nie

wykryło się, że poeta ów, Morris Gordon Cheats w ogóle nie istniał, a jego życiorys i dzieła cytowane spłodził sam Gałczyński. Cheat po angielsku znaczy: oszukać, okpić. Już sam ten kawał pasował go w moich oczach na satyryka wysokiej rangi”<sup>9</sup>.

Nie wiadomo, kiedy Konstanty zaczął nadużywać alkoholu, ale podczas studiów spożywał go już w dużych ilościach. Wprawdzie nigdy nie miał pieniędzy, lecz nie stanowiło to większej przeszkody. Motyw nocnych pijackich wędrówek po stolicy pojawia się praktycznie w każdej relacji na jego temat, choć trzeba przyznać, że wspomnienia te nie odbiegają specjalnie od przeciętnych opisów studenckiego życia. W podobny sposób zachowywali się uczniowie szkół wyższych bez względu na epokę.

Gałczyńskiemu zdarzały się jednak zachowania wskazujące na całkowitą utratę kontroli pod wpływem procentów. Bywały chwile, gdy zupełnie tracił instynkt samozachowawczy, a świadkiem jednego z takich wydarzeń był Aleksander Maliszewski.

Zdarzyło się, że Gałczyński, Maliszewski i Marian Markowski wracali nocą z libacji. Ustalili wówczas, że ten ostatni ma w domu jeszcze jakieś papierosy. Cała trójka udała się zatem do jego mieszkania na piątym piętrze kamienicy przy ulicy Zielnej.

„Wdrapaliśmy się po schodach - opowiadał Maliszewski - przesunęliśmy się przez długą, ciemną kiszkę sieni - i Marek [Markowski - S.K.] otworzył drzwi.

Na wprost drzwi - okno. Za oknem - niebo i ogromna tarcza księżyca. Konstanty szarpnął się i skoczył. Dziś, kiedy opisuję tę scenę, nie potrafię uszeregować jej szczegółów, kiedy jednak zacisnę dłoń, mogę przywołać z pamięci tamto rozpaczliwe uczucie, gdy zaciskałem palce na bucie zwisającego za oknem Konstantego i czułem, jak jego noga powoli się z buta wysuwa.

Jakoś daliśmy sobie z nim radę. Marek miał zranione odłamkiem rozbitej szyby czoło, ja rozdartą o blachę parapetu skórę na rękę”<sup>10</sup>.

Gałczyński nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Po tym jak został wciągnięty do pokoju, „wyglądał jak wyrwany z ciężkiego snu”, zaraz zresztą położył się na łóżku i zasnął.

„Nazajutrz, gdy otworzyłem oczy - kontynuował Maliszewski - Kostek siedział ubrany przy stole i pisał. Marek chrapał na sofie z owiniętą ręcznikiem głową. Podniosłem się i odnawiając wczorajsze przeżycie, wyjrzałem przez okno w dół, w studzienkę podwórka.

-Wysoko... - mruknąłem.

-Wysoko - odpowiedział Konstanty i uzbrajając się w swój najbezzradniejszy uśmiech, wyjaśnił: - Dlatego w międzyczasie na pewno nauczyłbym się fruwać. Tegoście na pewno nie wzięli pod uwagę...”<sup>11</sup>.

## KWADRYGA

„Spotykaliśmy się w »Kresach« - wspominał Tadeusz Zajączkowski - w małej i dziwnej kawiarence na rogu Nowego Świata i Wareckiej, gdzie na środku niewielkiego podwórka, zwanego ogródkiem, rosła samotnie cherlawa grusza. Pod gruszą przy pół czarnej siadywało towarzystwo liczne i bujne, z tym nieodmiennie trzonem: Staś Saliński, Olek Maliszewski i Kocio Gałczyński. Zawsze też musiała być Maryla Weppo, malarka i kompan znakomity. I Olaf. Grający na fortepianie i śpiewający Olaf [Jakub Feldman - S.K.]. Czasy były młode, bujne, zielone, bogate w różne niewymierne dobra fantazji i pomysowości. Ach, pomysłów nam nie brakło nigdy, tylko gotówki brakowało zawsze”<sup>12</sup>.

Kresy, popularnie zwane też Kresową, słynęły ze znakomitych przysmaków ze wschodnich rejonów Rzeczypospolitej. Lokal był doskonale usytuowany i chętnie odwiedzali go początkujący pisarze, plastycy, muzycy. Tutejsza atmosfera znacznie odbiegała od sztywnej Ziemiańskiej, a właścicielom zdarzało się udzielać studentom kredytu. W efekcie Kresowa stała się bazą poetów ugrupowania Kwadryga, a młodzi zapaleńcy przesiadywali tam godzinami.

„Czasem wracało się piechotą - opowiadał Stanisław Saliński - »pachodkoj szatkoj«, czasem jechało się dorożką z pokrzykującym Konstantym na Towarową. Był jeden dorożkarz, który

miał swój stały nocny postój na rogu Ordynackiej i Nowego Światu i o ile trafiliśmy na niego, nawet nie pytał, dokąd ma odwieźć, gdyż adres znał. A znał z tego powodu, że pewnego razu pojechał na Towarową na kredyt i nazajutrz w południe odebrał należność w Kresach, więc pasażerów zapamiętał”<sup>13</sup>.

Jeżeli w dyskusji brała udział większa liczba osób, to opłata za przejazd dorożką pozostawała poza zasięgiem uczestników. Rozwieszenie wszystkich oznaczało bowiem kurs po całym Śródmieściu, wobec czego wybierano wspólny spacer będący naturalnym przedłużeniem kawiarnianych debat.

„[Szliśmy] takim długim, powolnym spacerem - kontynuował Saliński - przez długie, zacichające ulice, odprowadzając na przykład Roykiewicza na Dobrą, potem Słobodnika na Leszno 60, Adę na Chłodną 26 albo Marię Weppo na Konarskiego 8. Wówczas wracaliśmy z Konstantym Okopową, niekończącą się Okopową i Okopową, wzdłuż muru cmentarnego, kirkutu i śpiących zmęczonym snem kamienic, aż do rogu Grzybowskiej i Towarowej, Towarowa 54”<sup>14</sup>.

Grupa z Kresowej należała do drugiego pokolenia poetów wolnej Polski. Pozostawała w opozycji do skamandrytów, którzy zdążyli już stać się członkami ówczesnego establishmentu. Natomiast „młodzi gniewni” buntowali się przeciwko otaczającej ich rzeczywistości i negowali osiągnięcia poprzedników. Oprócz zwykłego konfliktu pokoleń wpływ miało na to również niezadowolenie z sytuacji politycznej i gospodarczej kraju, którą na swój sposób firmowali skamandryci. Ta wyśniona i utęskniona przez wszystkich Polska nie spełniała bowiem oczekiwań młodego pokolenia.

Naturalnym celem każdej grupy artystycznej jest posiadanie własnego pisma umożliwiającego jej głoszenie swoich poglądów. Dlatego w 1927 roku powstała „Kwadryga”, od której grupa wzięła swoją nazwę.

„Inicjatywa założenia pisma [...] zrodziła się jeszcze w 1926 roku - wspominał jego współtwórca Stanisław Dobrowolski - w okresie wzrastającej prężności demokracji polskiej, ale jednocześnie i w okresie najpoważniejszych nieporozumień, w czasie, kiedy na tle pewnych pochopnych złudzeń rodziły się

[...] »jak robak w kwiecie« przyszło najpoważniejsze dla losów tej demokracji niebezpieczeństwa, nie przeczuwane przez bardziej wytrawnych od młodocianych poetów znawców zagadnień społeczno-politycznych”<sup>15</sup>.

Członkowie Kwadrygi dotychczas drukowali w efemerycznych periodykach („Twórczość Młodej Polski”, „Smok”), których wspólną cechą było niepłacenie autorom honorariów. Gałczyńskiemu wprawdzie udało się zamieścić wiersz i opowiadanie w „Rzeczpospolitej”, ale był to tylko wyjątek potwierdzający regułę. W podobnej sytuacji byli również jego koledzy z Kresowej, nic zatem dziwnego, że z nienawiścią odnosili się do uznanych autorytetów poetyckich.

Doświadczył tego osobiście Iwaszkiewicz, który - jak większość skamandrytów - usiłował kokietować młodych kolegów po piórze. Zaprosił ich do siebie na poważną rozmowę o poezji i szybko tego pożałował.

„Jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast zapowiadanych paru poetów z grupy zjawiała się cała Kwadryga *ingremio* (bez Gałczyńskiego), zatarasowując mój ówczesny mały pokoiczek, w którym mogłem rozmawiać z gośćmi! Grupa zaczęła się zachowywać prowokująco, wymyślać mi po prostu od snobów i atakować niespołeczną postawę mojej poezji. Darmo próbowałem bronić moich pozycji - powołując się na rozmaite autorytety - wyszczekana szczeniakieria nie bardzo mi dawała dojść do słowa. Moment podania herbaty z ciastkami pogorszył sprawę - rzucono się w demonstracyjnie »niecywilizowany« sposób na ciastka, żartami zgaszono palące się w pokoju świece itd. Odznaczał się w atakach na mnie szczególnie »przedsiębiorca od Kwadrygi«, dzisiejszy dziennikarz Mieczysław Bobrowski, ale także i prawdziwi poeci, jak Maliszewski czy Dobrowolski, dopiekli mi porządnie. [...] Przyznam się, że byłem bardzo zmartwiony sytuacją, jaka się wytworzyła. Miałem nadzieję porozumienia się z młodymi poetami - tymczasem mowy o tym nie było, przede wszystkim dlatego, że lekceważyli i moją twórczość, i moją osobę”<sup>16</sup>.

Iwaszkiewicz nie przypuszczał, że dla swoich gości może być już „starym piernikiem”, ponieważ uważał się za wiecznie

młodego i nie dostrzegał upływu czasu. Tymczasem dla młodego pokolenia skamandryci stali się już symbolem znienawidzonej Warszawki. Atmosfera artystyczna stolicy miała być bowiem zatruta „przez ryt, rytm, ład i Skamandra”. I pomyśleć, że kilkanaście lat wcześniej Tuwim i spółka uchodzili za profanów i burzycieli starego ładu artystycznego, a teraz uważano ich za przedstawicieli „warszawskiego epigonizmu”!

Gałczyński nie pojawił się u Iwaszkiewicza, ponieważ zawsze lubił chadzać własnymi ścieżkami. Nie znosił żadnej formy kontroli i nie chciał, by na dłuższą metę identyfikowano go z grupą. I mimo że z jej członkami łączyła go szczerza przyjaźń, już w tamtym czasie tworzył, nie zwracając uwagi na manifesty programowe.

„Dzisiaj, w ćwierć wieku po likwidacji »Kwadrygi« - pisał w 1961 roku Stanisław Dobrowolski - zastanawia mnie nieraz, co właściwie łączyło Gałczyńskiego z »Kwadrygą«, co w ogóle mogło nas wszystkich łączyć. Na pewno nie wspólna postawa ideowo-artystyczna. To już jest od dawna bezsporne. Sądzę, że u podstaw naszych wzajemnych stosunków spoczywały dwa kamienie węgielne: wspólne wielkie umiłowanie poezji i wielka, młodzieńcza przyjaźń, której nie zdołały zmącić żadne burze ani odmienne perypetie losów, nie potrafiły potargać, zniszczyć na zawsze nawet ostre spory i zasadnicze często różnice”<sup>17</sup>.

Gałczyński nie ograniczał się zresztą wyłącznie do grona Kwadrygi. Nie byłby sobą, gdyby nie towarzyszyły mu różne podejrzane postacie, które wzbudzały zainteresowanie nawet w gronie poetów z Kresowej. Jedną z nich był niejaki Mączyński - student filologii, a zarazem osobnik znacznie wyprzedzający swoją epokę, gdyż już w roku 1923 „wyglądał jak chuligan i bikiniarz”. Człowiek ten specjalizował się w „kradzieżach łyżek i widelców po barach warszawskich”, co Gałczyńskiego zawsze niezmiernie bawiło. Podobnie jak jego umiejętność znikania z lokali bez uregulowania rachunku.

Konstanty zawsze potrafił zaskoczyć przyjaciół z Kresowej, gdyż jego upodobania znacznie odbiegały od zainteresowań pozostałych członków grupy.



„Zawsze wprowadzały go w zachwyt sztuki iluzjonistów - zauważał ze zdziwieniem Aleksander Maliszewski. - Przepadał za cyrkiem. Bardzo interesował się tzw. »wiedzą tajemną«. Znał osobiście wszystkich warszawskich magów. I oni go znali. Kiedy raz wyśmiewałem jego zamiłowanie do szarlatanerii, oświadczył: »Marzę, aby zostać szarlatanem«<sup>18</sup>.

Okultyzm i wiedza tajemna były wówczas w modzie, a w 1923 roku na Uniwersytecie Warszawskim zorganizowano nawet konferencję naukową na ten temat. Gałczyński nie byłby jednak sobą, gdyby do tematu nie próbował podejść indywidualnie. Tak długo nawiedzał pokazy warszawskich „magów” (oczywiście bez biletów wstępu), że wrócił kiedyś poturbowany, a matka musiała zszywać rozdarty rękaw marynarki.

Konstanty nie identyfikował się z Kwadrygą z jeszcze jednego powodu. Musiał opuścić Warszawę, ponieważ jego przygoda na uniwersytecie skończyła się tak, jak musiała się skończyć. Został skreślony z listy studentów i jesienią 1926 roku powołano go do wojska.

## PRZYGODY DOBREGO WOJAKA ILDEFONSA

„Był to najautentyczniejszy »cygan«, jakich podówczas można było jeszcze spotkać w warszawskich knajpach i kawiarniach artystów - wspominał Stanisław Dobrowolski - ale »cygan« z tak niecodziennym, tak nie fałszowanym polotem, tak na wskroś oryginalny, że podobnego doń drugiego nie sposób byłoby złowić w całej artystowskiej bażanciarni »Kresów« czy »Ziemiańskiej«<sup>19</sup>.

Naturalnym środowiskiem Konstantego był lokal z wyszynkiem, a służba wojskowa wydawała się czystą abstrakcją. Człowiek, który nie potrafił przestrzegać terminarza studiów uniwersyteckich, miał teraz trafić do armii? W życiu zdarzają się jednak najbardziej zadziwiające scenariusze.

Gałczyńskiego początkowo wysłano do szkoły podchorążych kawalerii. Jej lokalizacja nie jest znana, a sam poeta miał w

przyszłości udzielać sprzecznych wypowiedzi na ten temat. Jesienią 1926 roku tego rodzaju jednostki funkcjonowały w Ostrołęce i Suwałkach, a bardziej prawdopodobna wydaje się ta pierwsza lokalizacja. Tam też miała się przydarzyć katastrofa.

„Na jedynej karcie pocztowej, jaką w ciągu tego czasu od niego otrzymałem - wspominał Aleksander Maliszewski - pisał z melancholią: »Ciągłe siedzę w pace, bo nie możemy się wzajemnie zrozumieć«.

Do »wzajemnego zrozumienia« nie doszło, bo nie mogli dojść, skoro elew na pytanie: »Co to jest karabin?«, odpowiadał: »Narzędzie szatana« - a mówił to z taką powagą, że nie miano wątpliwości, że mówi serio”<sup>20</sup>.

Zdarzały się zresztą inne problemy. Dla Konstantego pojęcie punktualnego powrotu do jednostki nie istniało, a urlop w stolicy stał się kolejnym powodem kłopotów.

„Przychodzę więc na umówione miejsce wspominał spotkanie z poetą Włodzimierz Słobodnik. W dziarskim kawalerzyście, z szablą u boku i żółtych butach z ciężkimi ostrogami, w których wyglądał jak rajtar szwedzki podczas potopu, trudno było poznać pasującego się z własnymi nastrojami i wizjami poetę. Konstanty zmęźniał i zrubasniał. Rozcałowaliśmy się.

- Wziąłem »polski« urlop - wytłumaczył mi się i wyciągnął z kieszeni rajtuzów pokaźną butelkę koniaku. - Musimy to wytrąbić”<sup>21</sup>.

Gałczyński starał się odnaleźć plusy służby wojskowej. Tłumaczył koledze, że wprawdzie musi „szorować i poić konie”, to jednak dostrzega urodę „tajemniczych nocy zimowych, spędzanych w stajni wśród koni”, gdy „księżyc oświetlający stajnię wplata się koniom w grzywy”. Uniesienia Gałczyńskiego zakończyło jednak przypadkowe spotkanie na ulicy oficera z jednostki, w której służył. Butelka została skonfiskowana, a poeta bez pasa i szabli trafił pod eskortą na dworzec kolejowy.

Wojsko nie należy do instytucji tolerujących poczucie humoru i po sześciu tygodniach Gałczyński został odesłany do jednostki liniowej piechoty. Jako zwykły poborowy trafił na Polesie, do osławionej później Berezki Kartuskiej. Pierwsze zderzenie z nową rzeczywistością nie należało do najprzyjemniejszych:

„[...] sierżant-szef taką do niego wygłosił przemowę: »Wojsko z każdego cepa robi człowieka, ale z was, szeregowiec Gałczyński, nic nie będzie, bo w was nie ma ducha. Nic z was nie wyrośnie, nie...»<sup>22</sup>.

Nie ma jednak ludzi bez słabości, a miewają je również zawodowi podoficerowie. Gałczyński pisał dla sierżanta „zawrotne listy miłosne”, dzięki którym „sława szefa rozniosła się po okolicy”. I ponownie mógł pojechać na urlop do Warszawy, a także po raz kolejny wylądować w pacy. W bliżej nieokreślonych okolicznościach trafił bowiem do aresztu w komendzie miasta na placu Saskim, skąd udało mu się przesłać kartkę do Mariana Markowskiego. Ten wraz z Maliszewskim podjął starania o widzenie z aresztowanym, ale podoficer dyżurny ograniczył się do przekazania im informacji, że „sprawa wygląda raczej niedobrze”, i wyrzucił ich z budynku.

„Wpadliśmy na pomysł, żeby zawiadomić o tym Tuwima - relacjonował Maliszewski. - Pomysł okazał się dobry. Tuwim, który zawsze odnosił się do nas z dużą życzliwością, uruchomił jakieś sprężyny i Konstanty, chociaż w towarzystwie jednoosobowej eskorty, ale już po kilku godzinach był między nami.

Eskorta okazała się kapralem Matusikiem czy Matusiakiem, młodzieńcem sympatycznym, wesołym, a co najważniejsze, czułym na uroki poezji. Uzbrojony był w karabin, który z powodu upału nieśli na zmianę - trochę konwojent, trochę konwojowany”<sup>23</sup>.

Kapral miał odstawić Gałczyńskiego do Berezy, co okazało się niełatwym zadaniem. Matusik był bowiem zupełnie nieodporny na sugestie szeregowca, a poza tym panował potworny upał i obu żołnierzom bardzo chciało się pić.

[...] na jednej ze stacyjek [...] rzucił się im w oczy (w tym celu zresztą namalowany) napis »Piwo«. Wskoczyli z wagonu. Wypili. Pociąg stał. Więc poprosili o drugie. Wiadomo, że drugie piwo pije się wolniej. Pociąg poszedł, ale nie było dramatu, bo wkrótce miał przybyć następny. Rzeczywiście przyszedł, ale jakoś za szybko i za krótko stał. Następny miał nadejść dopiero w nocy. Specjalnego dać nie chciano.

Rankiem następnego dnia do mieszkania Tuwima zapukali

dwaj żołnierze. Konstanty przyszedł błagać mistrza [o ratunek] dla kaprała Matusika”<sup>24</sup>.

Tuwim nie zawiódł, dołożył również starań, aby zwolnić Gałczyńskiego ze służby w armii. Zanim to jednak nastąpiło, poeta próbował ułożyć sobie życie w jednostce. Poznał tam lekarza, Jerzego Puchalskiego, którego namówił na zorganizowanie zabiegów chirurgicznych dla psów kadry oficerskiej. Bereza leżała przecież na granicy cywilizowanego świata i wizyty weterynarza były dość kosztowne. Konstanty miał dar przekonywania i już niebawem asystował Puchalskiemu przy skracaniu psich ogonów. I to nie tylko szczeniakom, lecz także dorosłym osobnikom. Opracował nawet osobiście rodzaj kaftana bezpieczeństwa, który zakładano nieszczęsnym ofiarom jego „poetyckiej” inwencji. ..

Poza tym pisał wiersze i piosenki na zamówienie przełożonych, założył nawet żołnierski teatr, dla którego dostarczał repertuar. Rysował (również na zamówienie) karykatury i przekonał się, że w wojsku obowiązuje zasada: „Mało pracy, wszystko cacy”. To jednak w niczym nie zmieniło jego sytuacji - nadal tkwił na Polesiu z dala od tego, co go naprawdę interesowało. I wreszcie znalazł rozwiązanie, choć trzeba przyznać, że zabiegi Tuwima bardzo ułatwiły jego sytuację.

Podczas pewnego sprawdzianu wiedzy wojskowej (w obecności oficerów z zewnątrz) zaczął udzielać odpowiedzi sugerujących kompletny brak orientacji przestrzennej. Udowodnił, że dla niego nie ma różnicy pomiędzy metrem a kilometrem, po czym spokojnie oświadczył, że wieża Eiffla ma wysokość „trzysta trzydzieści siedem metrów i trzydzieści centymetrów”. I dał do zrozumienia, że może przeliczać wszelkie odległości nie na metry i kilometry, tylko na wieże. W efekcie niebawem został zwolniony do cywila.

### „CYRULIK WARSZAWSKI”

Warszawa nie zapomniała o nim, a poeta udowodnił, że podczas pobytu w armii wcale się nie zmienił. Nadal nie miał

pieniędzy, lubił alkohol i knajpy, a pod wpływem procentów przejawiał nieograniczoną inwencję.

„Pewnego dnia przyszedł do mnie pijany i rozrzuwniony - wspominał Włodzimierz Słobodnik. - Pogadaliśmy, napiliśmy się herbaty. [...] Było to żydowskie święto »kuczek«, na podwórzu domu, w którym mieszkałem, stały budki sklecone z desek i wałęsało się po nim pełno dzieci żydowskich.

Kiedy Konstanty zataczając się, wyszedł na podwórze, rzucił dzieciom garść miedziaków, wołając:

- Żydzi! Żabotyński jestem! Zaprowadzę was do Palestyny!

Dzieci żydowskie łapały miedziaki. Na podwórzu powstał straszny rozgardiasz. Konstanty skierował się w stronę bramy wyjściowej oblepiony wprost dzieciakami”<sup>25</sup>.

Przyjaciele z Kwadrygi doskonale znali jego słabości, ale traktowali je jako coś całkiem naturalnego. Wybryki Konstantego relacjonowano sobie wzajemnie, a każdą kolejną wersję wzbogacali dodatkowe szczegóły.

„Była późna noc - opowiadała Maryla Weppo. - Kocio znalazł się przed bardzo wysokim domem. W takich sytuacjach ludzie ulegają swoim słabostkom. Kocio przecież też człowiek. Po otwarciu bramy wszedł do kamienicy z całą ufnością, która nie opuściła go nawet wówczas, kiedy dzwonił do jakichś drzwi na szóstym piętrze i prosił zdziwionego gospodarza o gościnę.

Wyobraź sobie, że trafił na kogoś, kto go znał z widzenia, no i dali mu się przespać w salonie”<sup>26</sup>.

Zachowanie Gałczyńskiego idealnie wpisywało się w środowisko Kresowej. To nie był elegancki i sztywny świat Ziemiańskiej - na Nowym Świecie spotykali się twórcy startujący dopiero do kariery lub też artyści, którzy utracili uznanie i popularność. Stałymi bywalcami lokalu byli również ludzie wygnani z rodzinnych stron przez wojnę i zmiany granic.

„W »Ziemiańskiej« »kawowała« i »ciastkowała« elegancko ubrana publiczność - tłumaczył Słobodnik - dla której grzechem ponad grzechy, ba! niemal zbrodnią był źle zawiązany krawat albo zdarty, krzywy obcas. Goście składali się z zamożnego mieszczaństwa albo ze zmieszczaniałej szlachty. [...] Bywalcami »Kresowej« [byli] ludzie, którzy znaleźli się pod

pędzącymi kołami: podupadli ziemianie i starzy, niegdyś sławni artyści, schorzali, wynędzniali i osamotnieni, jak na przykład Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Poza tym bywalcami byli też ludzie młodzi, zupełnie jeszcze nieznanymi malarze, poeci i muzycy, którzy mieli świat do zdobycia”<sup>27</sup>.

Nieuleczalnie chory na kiłę Przerwa-Tetmajer zawsze prosił w Kresowej o wymianę kawy, obawiał się bowiem, że ta jest zatruta...

Przygody Gałczyńskiego bywały niewątpliwie barwne, ale poeta musiał znaleźć środki na utrzymanie. Pisanie przynosiło dochody niewielkie i nieregularne, a matka otrzymywała niewysoką rentę. Na szczęście wznowił zapoczątkowaną jeszcze przed służbą wojskową współpracę z „Cyrulikiem Warszawskim”, a jego utwory pojawiały się również na łamach innych czasopism. Dwa wiersze wydrukowała nawet „Polska Zbrojna” - Gałczyński nie był specjalnie wybredny w poszukiwaniu wydawców. Drukował tam, gdzie go chcieli, a zatem w „Bluszczu”, „Drodze”, a nawet w „Dziecku i Matce”. Duże nadzieje pokładał w założonym wspólnie ze Słobodnikiem „Czerwonym Lwie”, piśmie „pamfletu i poezji, wściekłych polemik, humoru i szyderstwa”. Tytuł powstał jednak na kredyt, zysków nie przyniósł i upadł jeszcze przed wydaniem dziesiątego numeru. W tej sytuacji względnie regularne dochody przynosiły tylko korepetycje, gdyż umiejętności lingwistyczne Gałczyńskiego zawsze wzbudzały uznanie. Poeta nie byłby jednak sobą, gdyby prozaicznego zajęcia nie przekształcił w prawdziwe misterium. Włodzimierz Słobodnik był kiedyś świadkiem, jak Konstanty wybierał się do pewnej studentki, aby poprawiać jej angielską wymowę:

„[...] miał na sobie czarną pelerynę z epoki cyganerii krakowskiej i »Zielonego Balonika«, oczy przesłaniały mu niebieskie okulary, a w zębach tkwiło gumowe cygaro. Kapelusz »artystyczny« i z fantazją zawiązany zielony krawat godnie uzupełniały jego strój”<sup>28</sup>.

Oślupiałemu koledze wyjaśnił, że zawsze odwiedza studentkę w takim stroju. Na lekcję poszli razem i wspólnie z uczennicą pili koniak z kałamarzy, dziewczyna nie miała bowiem

własnych kieliszków. A Słobodnik nie przypuszczał, że właśnie poznał swoją późniejszą żonę...

„Cyrulik Warszawski” był pismem humorystycznym reprezentującym prorządowy kierunek. Jego redakcja była związana ze skamandrytami, a przez pewien czas jej naczelnym był Jan Lechoń. Gałczyński mógł nie lubić skamandrytów, ale w „Cyruliku” drukował, wychodząc z założenia, że będzie to znakomita promocja jego twórczości. Nie ograniczał się zresztą do wierszy, na łamach pisma pojawiały się również jego felietony i opowiadania. A najważniejsze, że „Cyrulik” regularnie i dobrze płacił, więc Gałczyński mógł już bez wstępu odwiedzać Ziemiańską.

„Stolik w »Ziemiańskiej« - opisywała Kira Gałczyńska - którą ojciec dźwięcznie nazywał »jaskinią Habakuka«. Siedzą Dobrowolski i Gałczyński. Gałczyński śpiewa jakąś modną wówczas piosenkę. Ostatnie słowo refrenu zastępuje czteroliterowym słówkiem, często używanym przez Piłsudskiego.

Policjanci przy sąsiednim stoliku po pewnym czasie postanawiają przerwać te popisy wokalne. Jeden z nich podchodzi do śpiewającego i tłumaczy mu niestosowność zachowania. Strofowany ze śmiertelną powagą wysłuchuje policjanta. Ale po chwili zrywa się i waląc pięścią w stół, woła na całą salę:

- Pan wie, kim ja jestem?

Policjant baranieje.

- Ja tu... reprezentuję... humor rządowy!”<sup>29</sup>.

## POLSKIE TOWARZYSTWO EMIGRACYJNE

Publikacje prasowe i korepetycje nie załatwiały jednak problemów finansowych. Pisanie wierszy bywa zresztą deficytową profesją, a już szczególnie dla debiutantów. Dlatego jesienią 1928 roku Gałczyński podjął stałą pracę zarobkową, zatrudniając się w Polskim Towarzystwie Emigracyjnym.

„[Była to] instytucja społeczna założona przez grono lewicowych i lewicujących działaczy - wspominał Stanisław

Knauff. - Miała ona na celu sprawowanie opieki nad opuszczającymi kraj i znajdującymi się na obczyźnie emigrantami. [PTE było] instytucją, jak większość instytucji społecznych, dość niechlujnie i chaotycznie prowadzoną. Werbowaniem emigrantów zajmowały się, i to skutecznie, korzystające z koncesji zagraniczne linie okrętowe, umiejące zabiegać o swoje interesy”<sup>30</sup>.

Gałczyński prowadził referat emigracji europejskiej. Początkowo przychodził nawet punktualnie do biura, praca była jednak nudna i poeta częściej pisał wiersze niż wypełniał formularze. A jak już coś służbowo napisał, to raczej nie kwalifikowało się to do oficjalnego obiegu dokumentów.

„Kierowniczką biura, pani Wiera, kobieta niebywalej tuszy - tłumaczył Knauff - z Ukrainy rodem, miała do Gałczyńskiego słabość. A ponieważ była ona persona w naszej instytucji w całym tego słowa znaczeniu »grata«, więc w jej rozłożystym cieniu Ildefons mógł przynajmniej na razie egzystować spokojnie”<sup>31</sup>.

Gałczyński wiedział, jak zaskarbić sobie łaski szefowej, zawsze też potrafił złagodzić jej gniew. Czy zresztą można było porównywać kryształowy wazon podarowany jej na imieniny przez pracowników z wierszem ofiarowanym z tej okazji przez poetę? To przecież zupełnie inna bajka.

Konstantego lubiły też dziewczęta z biura, które pieśczośliwie nazywał „małpami”. Na Gałczyńskiego trudno było się gniewać i koleżanki uznały, że w jego ustach określenie to brzmi jak wyjątkowej jakości komplement.

„Jedynie starszy woźny, pan Marusiak, srogi purytanin, nieraz pomstował na poetę. Za to, że od czasu do czasu zjawiał się w biurze w godzinach wieczornych nieco podgazowany. Sypiał wówczas w sali konferencyjnej na pokrytym zielonym suknem stole lub na rozstawionych krzesłach. Szło o profanację właśnie tego stołu i w ogóle. Ale ponieważ większość członków zarządu również nie lubiła wylewać za kołnierz i podobnie z tej racji była prześladowana przez pana Marusiaka, więc nie przywiązywano do tych całkiem marginalnych wydarzeń większej wagi”<sup>32</sup>.



W PTE Gałczyński wytrzymał tylko kilka miesięcy, instytucja zresztą powoli chyliła się ku upadkowi. Niebawem w życiu poety miała nastąpić prawdziwa rewolucja, w maju 1929 roku poznał bowiem Natalię Awałow.

## NATALIA

„Gdzieś chyba na początku 1930 roku - relacjonował Stanisław Dobrowolski - gruchnęła wśród kwadrygantów żalobna wieść pogrążająca kilku z nas w nieutulonym smutku: Kostek się żeni!

Rzecz wydawała się nieprawdopodobna. Kto jak kto, ale on?! Wzruszaliśmy początkowo ramionami z cynicznym niedowierzaniem. Przyznaję, że wtedy uważałem Gałę za najbardziej fantastycznego kandydata na męża”<sup>33</sup>.

A jednak była to prawda, zresztą przyjaciele szybko skojarzyli fakty. W ostatnich miesiącach Gałczyński raczej mało udzielał się towarzysko, rzadko bywał w kawiarniach i nie uczestniczył w nocnych włóczęgach. Bywały wręcz okresy, gdy zniknął jak kamfora, co sugerowało „jawną zdradę”.

„Niebawem zdybaliśmy go jakoś. Przyznał się do wszystkiego. Dumnie oświadczył nam, że jest zakochany... w pewnej księżniczce gruzińskiej. Trochę nas to [...] uspokoiło”<sup>34</sup>.

Natalia Awałow faktycznie była pochodzenia gruzińskiego, na świat przyszła jednak w Kaliszu. Była córką rosyjskiego oficera Konstantego Awałowa (Awaliszwili). Po wybuchu wojny jej ojciec został przeniesiony do Petersburga, a następnie dostał się do niewoli tureckiej i ślad po nim zaginął. W Kaliszu pozostała żona z dwojgiem dzieci, która po wybuchu rewolucji bolszewickiej nie myślała już o powrocie do Rosji. Mieszkała w Polsce, pracowała w banku, a jej córka rozpoczęła studia romanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Natalia poznała Gałczyńskiego w Ziemiańskiej i tak rozpoczęła się miłość od pierwszego wejrzenia.

„Zobaczyłam rozczochrane włosy i oczy - opowiadała Natalia po latach - bardzo duże, zielone, mrużące się jak u kota. I

Gałczyński, zamiast ceregieli pierwszej rozmowy, zapytał mnie: »Co słyhać na Kaukazie, panno Nato?«. Zdziwiłam się, skąd wie, że moi najbliżsi pochodzili właśnie stamtąd? A zaraz potem zacytował mi Jesienina: »W zielonyj wieczier pod oknom twoim na rukawie powieszus...«<sup>35</sup>.

Problemy zaczęły się, gdy Gałczyński przedstawił dziewczynę matce. Jak można było przypuszczać, Natalia nie przypadła pani Wandzie do gustu.

„Matka Kota patrzyła na mnie z wyraźną niechęcią. Niemal na wstępie powiedziała mi, że na pewno nie znam się na gospodarstwie. A ona sama, ze swej wdowiej emerytury i niewielkich, dorywczych zarobków Kota, potrafi sobie świetnie radzić.

Wydała mi się osobą ponurą i niesympatyczną: twarz miała nalaną, tęgą. Była na pewno dzielnym i dobrym człowiekiem, ale nigdy jej nie polubiłam, podobnie jak ona mnie<sup>36</sup>.

Teściowie z reguły nie lubią synowych i na to dziewczyna była przygotowana. Natomiast najbardziej poruszył ją koszmarny brak gustu pani Gałczyńskiej, toteż długo nie mogła zapomnieć swojej pierwszej wizyty na Towarowej.

„Nie mogłam, nie chciałam uwierzyć, że Kota może otaczać taka szpetota: wiszące na ścianach reprodukcje Czachórskiego, Böcklina. I Wernyhora. I makatki z wyhaftowanymi muchomorami. I masa fotografii wąsatych panów i wygorsetowanych pań... I nagle olśnienie: mały pokój Kota, prawie pusty. Tylko tapczan, sosnowy stół, półki z książkami, a nad tapczanem jedyny obraz - głowa anioła z obrazu Rembrandta »Anioł walczy z Jakubem«.. ,”<sup>37</sup>.

Poeta miał wobec Natalii poważne zamiary i w związku z tym postanowił nawet ponownie znaleźć stałe zatrudnienie. Ale chyba sam nie wierzył w powodzenie swoich zabiegów, gdyż na spotkaniach kwalifikacyjnych „albo jego nie chcieli, albo on uważał, że już w chwili rozmowy cała sprawa nudzi go śmiertelnie”.

Natalia była prawosławnego wyznania, więc ślub odbył się w cerkwi na warszawskiej Pradze. Świadkami ze strony Konstantego byli Dobrowolski i Saliński, im też przypadł w

udziale obowiązek trzymania korony nad głową pana młodego.

„Ceremonia wyglądała, jakby wymyślił ją autor *Porfiriona Osielka* - opisywał Dobrowolski. - Bizantyjski ceremoniał w tym wypadku jest o wiele efektowniejszy od rzymskokatolickiego. Rzecz trwała około godziny. Grzmiały chóry, unosiły się dymy kadzideł. Ręka mi drętwiała od trzymania korony nad głową szczęśliwego nowożeńca. Wciąż powtarzało się na przemian »Bohu pomolimsja!« i »Hospodi pomiluj!«. Zdało mi się, że końca nie będzie tej hecy. Szczęściem ktoś z uczestników ceremoniału, dostrzegłszy, jak dygoce mi ramię, podtrzymał mi łokieć. I tak wytrzymałem do szczęśliwego końca”<sup>38</sup>.

To nie był jednak koniec niespodzianek, Gałczyński nie byłby bowiem sobą, gdyby uroczystość miała się zakończyć konwencjonalnym weselem. W efekcie świadków i gości po wyjściu z cerkwi czekało duże zaskoczenie.

„Czekając wytrwale końca ślubnej uroczystości - skarżył się Dobrowolski - łudziliśmy się obaj ze Stanisławem Marią, że po trudach części oficjalnej aktu nastąpi gastronomiczna, zwana popularnie weselem. Aleśmy się zawiedli. Nowożeńcy przyjąwszy życzenia od uczestniczących w ślubnych obrzędach, nie żegnając się, wsiedli do dorożki i odjechali, pozostawiając nas jak głupich przed cerkwią. Niebawem pozostali kandydaci na gości weselnych też się rozeszli. Smętnie powlekliśmy się na Mazowiecką w nadziei, że znajdziemy tam kogoś, z kim będzie można zalać robaka, jaki jął wiercić się niespokojnie we wnętrzach nas obu”<sup>39</sup>.

Nowożeńcy mieli jednak własny scenariusz przebiegu uroczystości. Prosto z cerkwi pojechali do lunaparku, gdzie „jeździli kolejką napowietrzną i strzelali do Chaplina z tektury”. To było ich święto i spędzili je tak, jak najbardziej lubili...

## BERLIN

Początki małżeństwa wyglądały szczęśliwie, teściowa przeniosła się bowiem do Czechosłowacji i Gałczyński mieli do dyspozycji mieszkanie na Towarowej. Niezwłocznie wpro-

wadzili tam własne porządki.

„Zaraz po wyjeździe matki - opowiadała Natalia - spaliliśmy w kuchennym piecu wąsate fotografie, makatki, »Wernyhorę« i »Wyspę umarłych«. Kot mówił, że nawet darować to komukolwiek to zbrodnia. Okropne meble kupił jakiś handlarz za ogromną sumę 150 złotych. Kupiliśmy drewniane zydle, kwaciaste zasłony, czerwony kilim. Ściany zostały pomalowane każda w inny kolor, a drzwi na zielono. W mieszkaniu zrobiło się jasno, barwnie, przestrzennie. Nadmiar kolorów wynagradzał brak mebli. Z sufitu zwieszała się śliczna gdańska latarnia z kolorowymi szybkami”<sup>40</sup>.

Niebawem jednak Natalia miała okazję poznać inne oblicze męża, gorsze. Gałczyński nie potrafił żyć bez wódki i wkrótce po ślubie jego choroba alkoholowa dała o sobie znać.

„Krażył od knajpy do knajpy - opisywała córka - znikał z domu na parę dni nawet, odwiedzał znajomych w nocy, rozrabiał, telefonował. Po alkoholu wstawał jeszcze bardziej zgnębiony, błąkał się po domu bez słowa jak zagubiony, zmarznięty cień, unikał jakichkolwiek rozmów z żoną, znów uciekał z domu... Trwało to całe tygodnie i stopniowo mijało, powoli wracał do normalnego życia - do lektur, do pisania wreszcie...”<sup>41</sup>.

Nie zapomniał jednak o obowiązkach wobec żony i wreszcie znalazł stałe zatrudnienie. Nie miał zresztą wyboru, ignorowały go bowiem kształtujące gust czytelników „Wiadomości Literackie”, a na dodatek skończyły się dobre układy z „Cyrulikiem Warszawskim”. Lechoń wyjechał na placówkę do Paryża, a jego następcą, Wierzyński, nie znosił Gałczyńskiego.

Jednak Konstancy ponownie zaskoczył wszystkich - otrzymał posadę cenzora w warszawskim Komisariacie Rządu. I chociaż jego córka twierdziła, że został stamtąd wyrzucony z hukem po kilku tygodniach, to kwestia zwolnienia Gałczyńskiego wzbudza poważne wątpliwości.

Dziwnym trafem nie zachowała się bowiem żadna anegdota z okresu jego pracy jako cenzora, a zderzenie jego rozwichrzonej osobowości z państwowym urzędem powinno przynieść wiele ciekawych historii. Tym bardziej, jeśli został zwolniony dyscyplinarnie, co sugeruje, że niejedno miał na sumieniu. Poza tym

w czerwcu 1931 roku Gałczyński został referentem ds. kultury w polskim Konsulacie Generalnym w Berlinie. A przecież nikt nie zatrudniłby tam człowieka, którego usunięto z innego urzędu państwowego. I do tego w ważnej stolicy europejskiej, na stanowisku wymagającym kontaktów personalnych. Można zatem podejrzewać, że Gałczyński sprawdził się na posadzie cenzora, co nie powinno jednak specjalnie dziwić. Miał bowiem na utrzymaniu żonę, a nie było już renty matki. Oboje z Natalią myśleli zresztą o powiększeniu rodziny.

W czerwcu 1931 roku Gałczyńscy przenieśli się do Berlina i po raz pierwszy skończyły się problemy finansowe poety. Na kilka miesięcy w ogóle zarzucił pisanie, wspólnie z żoną zwiedzali muzea, a święta Bożego Narodzenia spędzili w Kopenhadze.

Stare polskie przysłowie powiada jednak, że ciągnie wilka do lasu - i podobnie stało się z Konstantym. Pierwsze poważne ostrzeżenie co do jego natury nastąpiło z okazji Święta Niepodległości w listopadzie 1932 roku. Gałczyński miał wygłosić oficjalny odczyt, a relacja Edmunda Osmańczyka z tego wydarzenia jest na tyle interesująca, że warto ją przytoczyć w dłuższym fragmencie:

„»Mistrz« rozejrzał się po sali uciszającym, władcym spojrzeniem, po czym wydobył z kieszeni »Mały Rocznik Statystyczny« i monotonicznie donośnym głosem rozpoczął:

W roku 1921 produkcja mydła w Polsce wynosiła...

W roku 1931 produkcja mydła w Polsce wynosiła...

W roku 1921 produkcja sody kaustycznej w Polsce wynosiła...

W roku 1931 produkcja sody kaustycznej w Polsce wynosiła...

I tak jedną pozycję za drugą odczytywał w zdumieniu coraz większym piętrowej się ciszy. Przerzucał kartkę za kartką, w klątkach porównawczych liczb przed słuchaczami rósł łubin Rzeczypospolitej, soja i mak, rzepak i len, lucerna i bobik, seradela i marchew pastewna, owies, jęczmień, pszenica, żyto, ziemniaki, ołów i kadm, cynk surowy i elektrolityczny, żelazo kształtowe i fasonowe, prętowe pełne i uniwersalne, lokomotywy normalnotorowe i wąskotorowe, wagony, rowery,

silniki elektryczne, żarówki, kable, przewody gołe i nawojowe, sól kamienna i warzona, cement i szkło okienne, węgiel kamienny i brunatny, koks i półkoks, owce i trzoda chlewna, bydło i konie, żniwiarki, młockarki, cepy, kosy, brony, pługi, siewniki, kopaczki, sieczkarnie, śrutowniki, waga jajeczek użytych do hodowli jedwabników i produkcja oprzędów [...]

Po półgodzinie czytania Konstany złożył starannie książeczkę i wsunął ją z powrotem do kieszeni smokinga. Wśród grobowej ciszy, podkreślanej skwierczeniem nie przyciętych knotów łojowych świec, Konstany chrząknął i rozejrzał się ze zdumieniem po sali.

- Czy wymowa tych cyfr nie wystarczy? - zapytał z wyrzutem, a po chwili dodał: - Wobec wymowy liczb milkną słowa poety.

I skłonił się zebrany. Wstydlive oklaski pokryły zmieszanie słuchaczy. Chudy sekretarz, aby zatrzeć złe wrażenie, zaintonował fałszywie »Jeszcze Polska nie zginęła«. Wszyscy powstali. Akademia została zakończona<sup>742</sup>.

Niebawem jednak zdarzył się znacznie gorszy wypadek. Konstany wziął „polski” urlop i na tydzień zniknął wraz z żoną. Zwiedzali Belgię i Holandię, a po powrocie do Berlina Gałczyński dowiedział się, że nie jest już potrzebny w konsulacie. Razem z Natalią powrócił zatem do Polski, gdzie złożył podanie o zwolnienie z pracy.

Wydaje się jednak, że również w tym przypadku podawany przez biografów przebieg wydarzeń jest mało realny. Gałczyński był wprawdzie zdolny do podobnego zachowania, ale Natalia raczej nie. Żona poety musiała dobrze zdawać sobie sprawę z tego, że tygodniowy wyjazd bez zgody przełożonych oznacza automatyczną dymisję. Wątpliwe zatem, by towarzyszyła mężowi i wspólnie z nim zwiedzała kraje Beneluxu. Bardziej prawdopodobny wydaje się natomiast inny scenariusz - Gałczyńskiemu najwyczejajniej w świecie zdarzył się kolejny odjazd alkoholowy. Jednak biorąc pod uwagę, że miało to miejsce dopiero po dwóch latach pracy w Berlinie, to i tak można mieć dla niego dużo uznania...

## WILNO

Po powrocie do Warszawy Gałczyńscy znaleźli się w trudnej sytuacji. Nie mieli praktycznie żadnych dochodów, a na domiar złego pani Wanda pod ich nieobecność zlikwidowała mieszkanie na Towarowej. A to w przypadku artysty, który miał zamiar utrzymywać się wyłącznie z pióra, stanowiło poważny problem.

Gałczyński nie zwykł się jednak załamywać i postanowił przeprowadzić się na prowincję. Jego wybór padł na Wilno, gdzie miał nadzieję znaleźć dla siebie przychylną atmosferę. Ostro sprzeciwiła się temu Natalia, niemająca ochoty na rozpoczynanie życia od początku. Jednak poeta potrafił być uparty i postawił na swoim, a żona obiecała, że dołączy do niego, gdy tylko Gałczyński znajdzie mieszkanie i stałe dochody.

Konstanty trafił we właściwe miejsce, Wilno było bowiem miastem, gdzie życie toczyło się leniwie, a przybysze z zewnątrz mieli wrażenie, że czas zatrzymał się tam w epoce Mickiewicza.

„Na czym polega urok Wilna - pytał retorycznie Stanisław Cat-Mackiewicz - dlaczego warto jest do Wilna przyjechać nie tylko z Warszawy czy Łodzi, lecz także z Paryża, także z Rzymu, a nawet z Grenady? Nawet nie na naszych kościołach barokowych. Na tym, że to miasto, czasem przez biedę, czasem przez opieszałość, czasem przez niechlujstwo zostało tym, czym było w 1820 roku. Anachronizm wyglądu nie ogranicza się tutaj do naw kościelnych, lecz ten wygląd sprzed stu lat mają ulice, zaułki, chodniki. Odbierzcie ulicy Zamkowej smrodliwe »arbony«, zdmuchnijcie ze Skopówki, Świętomichalskiego, Literackiego, Bernardyńskiego rzadko przejeżdżające kłopoty chevroleta, zapełnijcie w swej wyobraźni koczami i bryczkami, a będziecie mieli życie sprzed stu laty. Duch sprzed stu laty unosi się nad tym miastem. »Miasto pięknych kościołów« - powiedzieli Niemcy. »Wilno, babuniu ty wielka!« - deklamuje poeta żydowski. »Śpiąca królowo, która zasnęłaś sto lat temu« - powiedzmy serdecznie”<sup>43</sup>.

Mackiewicz kochał Wilno, a podobne uczucia przejawiał

również Czesław Miłosz. Miasto było bowiem czymś niespotykanym w ówczesnej Europie - żywą pozostałością epoki, która już dawno minęła:

„[...] cud kontynentalnej egzotyki, a stale tam wiszący w powietrzu dźwięk kilkudziesięciu kościołów [...] katolikowi swojski. Wąskie ulice wybrukowane kocimi łebkami i szaleństwo baroku. Prawie miasto jezuickie gdzieś w środku Ameryki Łacińskiej. Porównanie nie bez podstaw, bo jezuita kiedyś mieli tu jeden ze swoich najpotężniejszych ośrodków w tej części Europy”<sup>44</sup>.

Sytuacja gospodarcza mieszkańców Wilna była jednak nie do pozazdroszczenia. Miasto wysunięte na północny wschód kraju, odcięte od wymiany handlowej z Sowiecami i Litwą oraz całkowicie uzależnione od rynku lokalnego nie miało przed sobą perspektyw ekonomicznych. Ponadto Wileńszczyzna nie uchodziła za specjalnie bogatą krainę, a miejscowa gospodarka opierała się na rolnictwie i leśnictwie.

Pomimo to w mieście kwitło bogate życie kulturalne. Na kilka lat zainstalowała się tam Reduta Juliusza Osterwy, działała grupa literacka Żagary. Na miejscowym uniwersytecie chętnie przyjmowano naukowców z innych stron kraju, oferując im dobre warunki pracy i szybką ścieżkę kariery zawodowej.

Galczyński nad Wilią był w swoim żywiole, a dla miejscowych animatorów kultury jego przyjazd stanowił wydarzenie. Obawiano się jednak, że przybysz ze stolicy będzie prezentował poglądy, które w Wilnie nie cieszyły się popularnością.

„Dla miejscowej publiczności był postacią nową - wspominał Tadeusz Łopalewski. - Nieliczni tylko znali rozrzucone po warszawskich czasopismach jego wiersze oraz książeczkę o Porfirionie Osiełku. Większość mogła się spodziewać, że ten niedawno osiadły w Wilnie przybysz z Warszawy (a wilnianie z góry byli uprzedzeni do wszystkich »przybyszów«) zajmie w dyskusji stanowisko jeśli nie zupełnie »contra« kultowi Mickiewicza, to zapewne sceptyczne. W Warszawie od paru już lat Boy-Żeleński toczył walkę z brązownikami, natomiast w Wilnie przy każdej okazji z namaszczeniem celebrowano nabożeństwa do Wieszcza. Tradycje filomackie i



mickiewiczowskie występowały tu widomie na każdym niemal kroku<sup>45</sup>.

Gałczyński wprawdzie nie przepadał za filomatami i ich ideałami (mleko, bułki z masłem, trzeźwość i cnota), to jednak w Wilnie pojawił się zrażony do Warszawy i jej specjalistów od kultury. A już wyjątkową niechęcią darzył „Wiadomości Literackie”, z którymi związany był Boy-Żeleński. Nic zatem dziwnego, że swoje pierwsze publiczne wystąpienie w Wilnie rozpoczął od słów, iż dla niego „Mickiewicz jest świątynią...”.

Szybko znalazł regularne dochody - przyjął propozycję stałego felietonu dla wileńskiej rozgłośni Polskiego Radia (*Kwadrans dla ponurych*). Brał również udział w cyklicznym, finansowanym przez rozgłośnię programie artystycznym kabaretu Smorgonia, z Teodorem Bujnickim przygotowywał *Kukulkę wileńską*, miał także własne słuchowiska. Popularność radiowa przyniosła zainteresowanie prasy i Gałczyński zaczął publikować w miejscowych pismach. Żonę zaprosił do Wilna już po dwóch miesiącach.

„Natalia przyjechała w połowie marca - opowiadała Kira Gałczyńska. - W Warszawie już kwitły drzewa, a w Wilnie leżał metr śniegu... Zdziwił ją kozuch męża; wsiedli do sań w milczeniu i dopiero po jakimś czasie on, jakby własnym oczom nie wierząc, krzyknął na cały głos: »Przyjechałaś!« i rzucił się na kolana. Dorożkarz obejrzał się z nieopisanym zdziwieniem, zatrzymał sanie. Na chodniku zaczął zbierać się tłum gapiów, a on nie zwracając na nikogo uwagi, całował swoją odzyskaną żonę po rękach, twarzy, włosach...”<sup>46</sup>.

Dla Natalii, przyzwyczajonej już do Warszawy, przyjazd do Wilna stanowił źródło dużego zaskoczenia. Miasto było zaniedbane, większość budynków mocno podniszczona, do tego jeszcze dochodził klimat odmienny od atmosfery stolicy czy też jej rodzinnego Kalisza.

„W zimie miasto przybierało wygląd polarny - wspominał Miłosz. - Jako środek komunikacji służyły saneczki, nad którymi górował woźnica w futrzanej czapie, podobny do centaury. Przez zwały śniegu pracowicie przebijały się też miejskie autobusy. Środkiem pochyłych ulic zjeżdżały dzieci na

saneczkach, najczęściej leżąc na brzuchu i sterując nogą, albo narciarze. Z wiosną woźnice zaprzęgali dorożki. Począwszy gdzieś od 1930 roku, nie chcąc pozostawać w tyle za postępem, zaczęli wprowadzać innowacje, na koła zakładali samochodowe opony<sup>47</sup>.

Na szczęście Konstanty znalazł przyjemne mieszkanie na Zarzeczcu przy ulicy Młynowej. Pani Gałczyńska widziała też, że mąż jest zafascynowany Wilnem. A to dobrze wróżyło zarówno jego poezji, jak i życiu rodzinnemu.

„Ojca urzekło bez reszty to miasto - tłumaczyła Kira. - Cudowna architektura, zgodnie ze sobą sąsiadujące - mur romański, rozłożony barok, kopulaste Bizancjum. Mosteczki na Wilence [Wilejce - S.K.], duże mosty na Wilii. Późnogotycki kościółek Świętej Anny tak piękny, że niemożność przeniesienia go na dłoni do Francji wywołała wielki żal Napoleona, masyw kościoła Bernardynów pod górą Bekieszą, Góra Trzykrzyska, Antokol. Wycieczki nad Zielone Jeziora, pływanie stateczkami do Werek, jazda taratajką nad Narocz, sjezdy w kawiarni Rudnickiego, którą ojciec nazywał *Café de la Rotonde*. Zwierzyniec z domkami jak rosyjskie dache - tylko siadać na zielonych werandach, nastawiać samowar i pić herbatę, Krzywe Koło pnące się w górę i stojący dalej dworek zwany Puszkiniowem, bo należał do synowej poety... Na placu targowym snuli się brodaci chłopci, zimą - w wielkich kozuchach. Patrząc na wszystko ojciec mówił: - Za chwilę zjedzie rewizor...

I ta piękna melodia języka - rozwlekła, leniwa. I niezwykłość składni [...]. I te dziwne nazwy wąskich uliczek, placów, dzielnic - Sznipiszki, Łukiszki, Bakszta...<sup>48</sup>.

Podczas pobytu w Wilnie Gałczyński ostatecznie uwierzył w siebie i zrozumiał, że może wymagać rozsądnych pieniędzy za swoje utwory. Wiedział, że jego nazwisko przyciągało czytelników, i umiał się targować o honorarium do upadłego. Dostarczał przecież towar znakomitej jakości, a rodzina miała swoje potrzeby. Przekonał się o tym osobiście Tadeusz Łopalewski, redaktor naczelny kwartalnika „Środy Literackie”. Pismo wprawdzie z zasady nie płaciło autorom, ale dla Gał-

czyńskiego postanowiono zrobić wyjątek. Łopalewski wiedział bowiem doskonale, że w innym przypadku poeta nie zgodzi się na druk swoich wierszy. Pan redaktor przeżył jednak ciężkie chwile:

„Podobno jednak płacicie?

-W drodze wyjątku. Tylko panu.

-Ile?

- Dwa wiersze po pięć złotych za sztukę. Razem dziesięć złotych.

- Piętnaście.

- Wykluczone. Niech pan pokwituje i nikomu nie opowiada, że dostał pan honorarium.

- Piętnaście.

- Kiedy nie mogę, słowo honoru. I tak będę się musiał tłumaczyć przed komisją rewizyjną, dlaczego złamałem zasadę niepłacenia. Mam już tutaj, o proszę, utwory Bujnickiego, Putramenta, Miłosza, Hulewicza, Zagórskiego, Rymkiewicza - wszystko darmo! Naprawdę nie mamy pieniędzy. Ledwie starcza na papier i druk.

- Piętnaście!

I tak „cyferkę swą powtarzając konsekwentnie”, postawił bodajże na swoim! »Mój Boże! - powie ktoś nieświadom rzeczy - piętnaście złotych za takie wiersze!” A jednak, proszę państwa, było to piętnaście kilo cukru, rzecz w spizarni młodego małżeństwa poważna!”<sup>49</sup>.

Pobył w Wilnie to jednak nie tylko okres sukcesów artystycznych Gałczyńskiego. Poważne zmiany zaszły również w życiu osobistym poety, bowiem w kwietniu 1936 roku Natalia urodziła córkę, Kirę...

## KULMINACJA

Pod względem marketingowym wyjazd do Wilna był znakomitym posunięciem. Gałczyński dostał prestiżowe stypendium Funduszu Kultury, a wiersze drukowane w miejscowej prasie (szczególnie w „Słowie”) znajdowały swoich

odbiorców na terenie całego kraju. Niebawem ze swoimi propozycjami pojawili się redaktorzy słynnego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” i jego satyrycznej mutacji - „Wróble na Dachy”. Na poetę zwróciła również uwagę największa gwiazda polskiej piosenki, Hanka Ordonówna. Artystka zapraszała Gałczyńskich do majątku męża w Ornianach, poeta napisał też dla niej kilka tekstów piosenek. A to w świecie kultury II Rzeczypospolitej oznaczało poważną nobilitację.

Niestety, wówczas też ujawniła się w pełni choroba alkoholowa Gałczyńskiego. Czesław Miłosz, który wówczas mieszkał w Wilnie, często go widywał i przekazał wstrząsające relacje na temat objawów choroby. W swoim *Z niewolonym umyśle* opisał Gałczyńskiego jako Deltę.

„Delta był nałogowym alkoholikiem. Alkoholizm (zwykle były to cykle trwające po kilka dni) wprowadzał go w stan halucynacji, które wyrażały się działaniami, jakie nie zdarzają się innym pijakom. Wchodził do biura podróży i żądał szklanki piwa. Jechał dorożką [...], zatrzymywał dorożkę, zdejmował palto, rzucał je na jezdnię i w obliczu zdumionego tłumu sikał flegmatycznie na palto; był to akt zupełnie irracjonalny, trudno byłoby wysledzić powody poza skłonnością do ekshibicjonizmu. Do swoich znajomych przychodził i uskarżał się, że trudno mu było znaleźć adres, bo jak mówił »jego ludzie«, których porozstawiał na ulicach i którzy mieli mu pokazywać drogę, tak się przebrali, że nie mógł ich rozpoznać”<sup>50</sup>.

Gałczyński usiłował poddać się leczeniu, ale podejmowane próby nie przynosiły efektu. Kolejne pobyty w specjalistycznych zakładach nie dawały rezultatu, w czym było dużo osobistej winy pacjenta. Gałczyński miał bowiem niezwykle dar przekonywania i podobno nawet „w jednym sanatorium - jak wieść niosła - zwycięstwo jego było tak całkowite, że lekarze i pacjenci, na równi pijani, urządzili na rowerach wyścigi po korytarzach”<sup>51</sup>. Zachowywał przy tym niezwykle inwencję twórczą, można było wręcz odnieść wrażenie, że alkohol jest katalizatorem jego talentu. Poza tym miał nieprawdopodobne poczucie humoru, co czytelnicy uwielbiali.

„Delta publikował wiele wierszy humorystycznych - kontynuował Miłosz - podpisywanych najrozmaitszymi pseudonimami. Jego inwencja w wynajdywaniu tematów zdawała się niewyczerpana. Między innymi napisał cykl zatytułowany *Piosenki naczelnika wydziału grobownictwa*. Na tomikach lubił umieszczać spis fikcyjnych swoich dzieł; przypominam sobie taki tytuł: *Wstęp do ludożerstwa - skrypt z wykładów, wyczerpane*. Ponieważ podobał się czytelnikom, miał wiele propozycji z redakcji i z radia. Pióro było jedynym źródłem jego utrzymania, potrzebował pieniędzy i nigdy ich nie miał, bo honoraria natychmiast przepijał”<sup>52</sup>.

Miłosz potwierdza niezwykle upór Gałczyńskiego podczas negocjacji finansowych. Poeta nigdy nie ustępował z ceny, ale jego nałóg bywał kłopotliwy dla wydawców prasy. Z czasem jednak wypracowano konsensus zadawalający obie strony, chociaż negocjacje nigdy nie były łatwe.

„Małomówny, ponury, patrzył spode łba. Ożywał się tylko na widok pieniędzy. W targach był nieubłagany. Wymieniał sumę i żadne argumenty nie mogły go skłonić do ustępstw. Co więcej, żądał wypłaty natychmiast, czym doprowadzał redaktorów do ciężkiej walki wewnętrznej: chcieli mieć wiersz Delty, ale dać mu pieniądze znaczyło narazić się na ryzyko, że Delta zacznie swój cykl pijaństwa i zapomni o zobowiązaniu. Niektórzy znajdowali na to sposób: dawali pieniądze i nie opuszczali Delty ani na krok, zanim nie oddał rękopisu. Takie transakcje odbywały się nieraz w kawiarni. Banknot leżał na stoliku pomiędzy partnerami. Delta, po daremnych próbach zmiękczenia przeciwnika, wyjmował pióro, pisał wiersz (który, stosownie do jego nastroju, mógł być znakomity albo słaby) i zgarnąwszy banknot, szedł pić”<sup>53</sup>.

Wielu znajomych Gałczyńskiego twierdziło, że przyczyną jego problemów była niska tolerancja organizmu na alkohol. Nie wydaje się to jednak prawdą, nawet jeśli zdarzało się, że zaledwie dwa-trzy kieliszki wprowadzały Konstantego w stan upojenia. Tak mogło się zdarzać. Z czasem organizm alkoholika potrzebuje coraz mniejszych dawek, szczególnie pod koniec pijackiego ciągu. Zresztą z upływem lat problem narasta i ogólna

tolerancja na alkohol maleje. Gałczyński był uzależniony i dobrze o tym wiedział, można zresztą odnieść wrażenie, że nigdy nie chciał porzucić nałogu. Na swój sposób czuł się z nim dobrze, alkohol wzbogacał jego poezję i otwierał przed nim nowe horyzonty. Plastyki z Witkacym na czele używali do tego narkotyków, a Gałczyńskiemu wystarczała wódka. To był naprawdę genialny artysta.

### „PROSTO Z MOSTU”

Jednakże nawet najgenialniejsi artyści nie są pozbawieni ambicji twórczych. Gałczyński mógł odnosić sukcesy w Wilnie, była to jednak prowincja, a prawdziwe życie literackie toczyło się w Warszawie. Toteż kiedy pojawiły się poważne propozycje ze stolicy, nie wahał się ani chwili.

Oferta przyszła z nieoczekiwanej strony, złożył ją bowiem poecie Stanisław Piasecki, redaktor naczelny prawicowego tygodnika „Prosto z Mostu”.

„Delta nigdy nie wykazywał skłonności politycznych - uważał Czesław Miłosz. - Swoje kpiny rozdzielał na równi pomiędzy zwalczające się ugrupowania. Dlatego z pewnym zdumieniem przyjęto nawrócenie się Delty - stało się to bodaj w roku 1937 [pierwszy wiersz Gałczyńskiego pojawił się na łamach »Prosto z Mostu« w 1935 roku - S.K.] - na skrajnie prawicowy nacjonalizm. Redaktor wielkiego prawicowego tygodnika długo zabiegał o pozyskanie Delty. Wreszcie mu się to udało i wiersze Delty zaczęły ukazywać się na łamach pisma, które niejako kupiło go na wyłączną własność”<sup>54</sup>.

Kira Gałczyńska potwierdziła, że ojciec kompletnie nie interesował się polityką, ale nieco przesadziła w obronie jego wizerunku. Twierdziła bowiem, że „Prosto z Mostu” początkowo „nie demonstrowało swego skrajnie radykalnego charakteru”.

„Było atrakcyjnie redagowane, ze sporym wycuciem aktualiów i wtedy to pozyskało młodych, ale już wyróżniających się pisarzy: obok K.I.G. - Jerzego Andrzejewskiego, który został

kierownikiem działu literackiego, czy Bolesława Micińskiego opiekującego się działem krytyki. Do pisma przystali także: Zofia Kossak-Szatkowska, Karol Irzykowski, Teodor Parnicki, Kazimiera Iłakowiczówna, Artur Maria Swinarski<sup>55</sup>.

Nie wdając się w polemikę na ten temat, warto jednak zauważyć, że „Wiadomości Literackie” nadal ignorowały Gałczyńskiego, a dobre kontakty z Tuwimem czy Lechoniem nie przekładały się na stosunek Grydzewskiego do poety. W efekcie oferta Piaseckiego stała się wybawieniem, bo Gałczyński znalazł wreszcie pismo, w którym mógł dużo i regularnie drukować. Trzeba przyznać, że na łamach „Prosto z Mostu” pojawiały się również jego utwory o skrajnie nacjonalistycznym charakterze.

„Pismo to miało kierunek antysemicki - tłumaczył Miłosz. - Jego duży nakład był wynikiem szerzenia się nastrojów nacjonalistycznych w naszym kraju, »ruchu« znajdującego zwolenników szczególnie wśród młodzieży. Podobne »ruchy« pojawiały się wtedy we wszystkich krajach Europy, przykład Włoch i Niemiec był zaraźliwy. Liberalna publiczność z niedowierzaniem przyjmowała nową fazę wybryków Delty: wielbił maszerujące kolumny »falangi«, prorokował w wierszach i artykułach »noc długich noży« - nową noc św. Bartłomieja dla Żydów, liberałów i lewicy. A jednak fakt był oczywisty - takie utwory pojawiały się, były podpisane nazwiskiem Delty i nosiły wszelkie znamiona jego talentu<sup>56</sup>.

To wszystko jednak nie było takie proste. Zdarzało się bowiem, że tego samego dnia, gdy ukazywał się antysemicki wiersz, poeta odwiedzał swoich przyjaciół żydowskiego pochodzenia i „padając przed nimi na kolana”, wyznawał im swoją wielką miłość i prosił o wybaczenie. Oczywiście z reguły bywał wówczas pijany.

„[Delta] był zwolennikiem entuzjazmu - kontynuował Miłosz. - Tłum maszerował. Tłum wywijał laskami: zdrowie, siła, pierwotność, wielka zabawa ludowa. Gdzie idą moi czytelnicy, tam idę ja, czego chcą moi czytelnicy, to im daję - stwierdzał Delta każdym swoim wierszem. Ponieważ »ruch« nacjonalistyczny zaczynał przybierać masowe rozmiary, Delta chciał

kroczyć razem z masą. Z dumą opowiadał o tysiącach młodych ludzi, którzy umieją na pamięć jego wiersze”<sup>57</sup>.

Piasecki sprawował dyskretny nadzór nad poczynaniami Konstantego. Walczył z jego alkoholizmem, zmuszał go do pisania i, co najważniejsze, dobrze i regularnie płacił.

Latem 1936 roku Gałczyńscy przenieśli się do podwarszawskiego Anina. Początkowo zamieszkali przy ulicy Legionów, by następnie osiąść przy Leśnej 18. Ich sąsiadem był karykaturzysta, Jerzy Zaruba, który wywarł pewien wpływ na decyzję Gałczyńskich.

„Zaprosiłem ich kiedyś do siebie do Anina - wspominał Zaruba. - Przypadek zrządził, że trafili do mnie akurat na jakieś większe przyjęcie »na cześć jesieni«. Na przyjęciu tym, pamiętam, były tłumy Minkiewiczów, którzy spędzali wakacje w starym dworku w pobliskiej Miłosnej. [...] Otóż w ów pamiętny wieczór, kiedy uczta na chwiejącej się z lekka werandzie mego locum dosięgła szczytowego punktu, ujrzałem nagle w migocącym świetle świec zdumione, jakby dziecinne oczy Gałczyńskiego i uroczą, acz nieco zaniepokojoną twarzyczkę Natalii. Nie wiem, czy wino »Kaberne Abrau« było przyczyną, że przedstawiłem Gałczyńskiego kuzynkom Minia jako sławnego portrecistę Zamoyskiego (też beret i nieco podobieństwa). Po paru kieliszkach wspomnianego wina Konstanty Ildefons tak wszedł w swoją rolę artysty malarza, że zaczął proponować malowanie portretów, przebąkując też coś nie coś o aktach. Kiedy późnym wieczorem Minkiewiczowie odpłynęli do Miłosnej, myśmy jeszcze długo gawędzili w ten ciepły, jesienny wieczór aniński. Zdaje się, że zapachy leśne i głęboka cisza, jaka otula przed nocą osiedla podmiejskie, wywarły pewien wpływ na decyzję Gałczyńskich przeniesienia się [...] do Anina”<sup>58</sup>.

Piasecki nie miał wyłączności na druk utworów Gałczyńskiego, a poeta w tym czasie nie narzekał na brak zamówień. Jego wiersze pojawiały się na łamach „Pionu”, „Kuriera Porannego”, „Kuriera Warszawskiego”, „Słowa”, „Tęczy”. Szczególne znaczenie miała jednak współpraca ze „Szpilkami”, w których drukował przez długie lata. Negocjując



warunki współpracy z tą redakcją, zdecydowanie sprecyzował swoje oczekiwania finansowe, ale zaraz dodał, że zrezygnuje z honorarium, jeżeli „Szpilki” zmienią nazwę na „Morska Świnka”...

Innym czasopismem regularnie publikującym teksty Gałczyńskiego był tygodnik spółdzielczy „Społem”, dla którego pisał powieść w odcinkach.

„Warunek był tylko jeden - tłumaczył Zaruba - miała być pisana językiem prostym, zrozumiałym dla masowego odbiorcy. Powieść tę ja miałem ilustrować. Były to szczęśliwe czasy, kiedy zaliczkę brało się do ręki”<sup>59</sup>.

Bohaterem powieści był niejaki Wojciech Wolak, a jej kolejne odcinki ukazywały się bardzo nieregularnie. Gałczyński i Zaruba przypominali sobie bowiem o „Społem” dopiero wtedy, gdy nagle potrzebowali gotówki. I wówczas pracowali bardzo efektywnie.

„Gałczyński wpadał do mnie z konspektem odcinka powieści - wspominał Zaruba - i podawał tematy do ilustracji. Ja rysowałem, Gałczyński pocił się nad »zrozumiałym, prostym językiem dla masowego odbiorcy« i nazajutrz udawaliśmy się na ulicę Grażyny, by po złożeniu odcinka podjąć nową zaliczkę i tak »dookoła Wojtek«. Rzecz stara jak świat. Poeta przyparty do muru przez widmo głodu pisze na zamówienie, na sprzedaż. Wiadomo czym staje się sztuka, kiedy ma się nóż na gardle. Konstancy często buntował się. Strajkował. Toteż niektóre ustępy »Wolaka« pisane były czasami przez żonę, a czasem przez osobę trzecią”<sup>60</sup>.

Gałczyński miał prawo nie przepadać za pisaniem dla „Społem”, w tym czasie pociągały go poważniejsze tematy. Tworzył słuchowiska dla Polskiego Radia, a państwowe instytucje z reguły terminowo płacą niezłe honoraria. Współpraca z radiem stała się zresztą tematem jednej z improwizowanych scen, jakie poeta miał zwyczaj odgrywać w tym okresie przed przypadkowymi widzami. Iym razem pod wpływem procentów trafił na dancing do ekskluzywnej Adrii.

„Orkiestra gra najmodniejsze tańce - relacjonował Jerzy Zagórski. - Nagle ktoś przerywa muzykę. Na podeście ukazuje

się wyrazista postać czarnowłosego poety, który zwraca się do publiczności z propozycją, że pokaże, jak się wydobywa pieniądze z Polskiego Radia. Następuje cała pantomima zabiegów z odpowiednim komentarzem. Gałczyński pokazuje, jak odtrącony przez państwowe czynniki poeta udaje się do biskupa, klęka przed nim i mówi tylko jedno słowo: »Ojcze!«. Biskup już wszystko wie. Woła: »Synu, nie dajmy tym łobuzom ciebie skrzywdzić!« - »I rzeczywiście - mówi Gałczyński do publiczności - w parę dni potem dostałem od Góreckiego, dyrektora radia, zaliczkę na słuchowisko. Nigdy go nie napiszę!«<sup>61</sup>.

Nie wszystkie jednak wybryki alkoholowe Gałczyńskiego były równie niewinne. Zdarzyło się bowiem, że przez dwie doby oddawał się nałogowi wraz z pewnym psychoanalitykiem z Berlina. Problemem było miejsce libacji, panowie bowiem zalegli w grobowcu jednego z cadyków na cmentarzu żydowskim. Biesiadnicy na zmianę chodzili po wódkę, głośno śpiewali (najczęściej finał IX symfonii Beethovena), akompaniując sobie na grzebieniu. Nie reagowali na prośby obsługi cmentarza i dopiero interwencja znajomych skłoniła ich do opuszczenia nekropolii.

## STALAG XI A

Strzelec Konstanty Ildefons Gałczyński został zmobilizowany pod koniec sierpnia 1939 roku i trafił do jednostki Korpusu Ochrony Pogranicza. Po agresji sowieckiej dostał się do niewoli, po czym przekazano go Niemcom. Ostatecznie wyładował w stalagu XIA w Altengrabow.

Nie było to miejsce sprzyjające natchnieniu, toteż przez cały okres wojny poeta napisał zaledwie kilka wierszy. Ale jeden z nich, powstały jeszcze 16 września 1939 roku, miał mu zapewnić nieśmiertelną sławę (*Pieśń o żołnierzach z Westerplatte*). Natomiast okres pobytu Gałczyńskiego w niewoli do dzisiaj wzbudza liczne kontrowersje, a relacje świadków wzajemnie się wykluczają.

W oficjalnych biografiach poety podkreśla się jego patriotyczną postawę, zadawałając się jednak samymi ogólnikami. Podobno organizował protest przeciwko przymusowej pracy jeńców, był sanitariuszem i tłumaczem, zaskarbił sobie szacunek współwięźniów... Z tym że trudno potwierdzić to w faktach.

Stalag XI A był wielkim, międzynarodowym obozem. Gałczyński nie potrafił się porozumieć z większością rodaków, a jego próba zorganizowania swoich wieczorów poetyckich zakończyła się klęską.

„Gdy poeta czytał swoje wiersze - wspominał lekarz Tadeusz Widmański - podchorążowie wybuchali śmiechem. Na co Gałczyński: »Kiedy się śmiejecie, już mówić nie będę. Dajcie jednego łyka«. O ile kieliszek rozcieńczonej salicyłówki można było wypić bez większego wstępu, o tyle spirytusu kamforowego nikt z nas nawet naparstka wypić nie mógł - z wyjątkiem K.I. Gałczyńskiego. Poeta potrafił spokojnie powoli wlać w siebie pięćdziesięciogramową szklankę spirytusu kamforowego”<sup>62</sup>.

Według oficjalnej biografii poetę umieszczono w kompanii karnej za odmowę pracy u niemieckiego bauera i podburzanie innych jeńców. Konstanty faktycznie wylądował w tej kompanii, ale z zupełnie innych powodów.

„Kiedy na początku wiosny niemiecki lekarz - wyjaśniał Widmański - zamiast przy pracy w biurze szpitala, zastał Gałczyńskiego spokojnie śpiącego w pokoju podchorążych, rozkazał w trybie doraźnym przenieść poetę do obozu głównego. W obozie tym Gałczyński znalazł się pod bezpośrednimi rozkazami męża zaufania Hoffmanna, którego nie interesował poeta, tylko karnie przeniesiony do Hauptlagu jeniec”<sup>63</sup>.

W kompanii karnej trzymał się z grafikiem i malarzem Juliuszem Macewiczem. Plastyka przeniesiono jednak do obozu specjalnego Heeresbekleidungsamt w Hasserode w Górach Harzu (zgrupowano tam polskich intelektualistów i artystów), a Gałczyński został na miejscu. Obozowy wachman Roman Kaufmann (Polak z Pomorza) uważał, że poeta był

zadowolony, gdyż w stalagu miał „łatwy i nieograniczony dostęp do papierosów, alkoholu, benzedryny [...] i innych farmakologicznych środków odurzających”<sup>64</sup>.

Niewykluczone, że wpływ na zadowolenie Gałczyńskiego z pozostania na miejscu miała również bliska znajomość z pielęgniarką z obozowego lazaretu. Czy była nią Maria Stobiecka, z którą związał się w późniejszym okresie? Nie wiadomo.

W Altengradow Gałczyński przebywał najczęściej w towarzystwie Francuzów (biegle znał ich język). Podobno zbliżały ich wspólne dyskusje o literaturze, ale taką informację można raczej uznać za kolejną konfabulację.

„Pewnego razu Kaufmann dostał rozkaz, by odprowadzić Gałczyńskiego z kilkoma Francuzami, którzy podpadli, do bauera i dopilnować ich do końca pracy. Na pytanie: dlaczego, otrzymał odpowiedź, że to dziwna grupka wyjątkowych leni, obiboków i dodał, przymrużając oko, że to są smakosze cejlońskiej mocnej herbaty [...]. Spotykał się z jeńcami francuskimi na terenie obozu i po ich stronie. Francuzi częstowali go dziwną herbatą. Po wygotowaniu cejlonki lub kolumbijki i po wypiciu gęstego syropu przez dwa dni chodzili przymuleni i bladzi”<sup>65</sup>.

Cierpiący na alkoholizm Gałczyński całą energię życiową skierował na zdobywanie alkoholu i środków odurzających. Nałóg po raz kolejny zwyciężał, a poeta chciał przeżyć. Czy można go jednak za to potępiać? Na pewno nie, ale też nie ma powodów, by przeinaczać fakty i tworzyć patriotyczną legendę.

Tym bardziej że w niemal wszystkich wspomnieniach z obozów jenieckich zwraca uwagę dbałość więźniów o polskie mundury i symbole. Gałczyńskiemu było to obce - często chodził w rozchełstanej francuskiej bluzie i berecie.

„Wygląd zewnętrzny również różnił Gałczyńskiego od otoczenia - potwierdzał Widmański.

- Podchorążowie i sanitariusze przybyli mnie przywitać w dobrze skrojonych, czystych mundurach, spodniach w kant starannie zaprasowanych. Inaczej Gałczyński. Mundur na nim workowaty, od góry do dołu rozpięty, wygnieciony i brudny.

Pod szyją czarny fontaż. Spodnie poskręcane jak harmonijka, a na nogach trepy”<sup>66</sup>.

Do wyjaśnienia pozostaje jeszcze jedna sprawa. W wielu relacjach można spotkać informację, że Konstanty przebywał często w obozowym lazarecie. Na pewno miał tam lepsze warunki niż w barakach, ale czy tylko to o tym decydowało? Zapewne również romans z pielęgniarką oraz łatwiejszy dostęp do środków odurzających. Roman Kaufmann w rozmowie z Bogdanem Kruszoną twierdził jednak, że najważniejsza była inna sprawa.

„Niemcy wszystkich chorych polskich jeńców na gruźlicę oraz choroby obyczajowe (weneryczne: rzeżączkę i kiłę) kierowali do lazaretu »T«. Choroby obyczajowe były leczone wówczas sulfonamidami (prontosilem) [...]. Sulfonamidy w zderzeniu z alkoholem nie powodowały całkowitego wyleczenia z »francy«. Tak tę powszechną chorobę nazywali polscy jeńcy. Nawroty choroby następowały w przypadku pacjentów nadużywających alkoholu”<sup>67</sup>.

## KONTROWERSJI CIĄG DALSZY

Legenda poety tworzona przez jego córkę i przyjaciół nie ogranicza się wyłącznie do obozowego „patriotyzmu” Gałczyńskiego. Podobno Konstanty w stalagu wszystkie myśli miał poświęcać żonie i córce, czego dowodem miały być jego korespondencja i wiersze. Faktycznie zachowało się kilka listów do Natalii, przysyłał jej też swoje utwory. Ale w tym czasie w jego życiu były również inne kobiety.

Polscy jeńcy nie czuli się „zbytnio osamotnieni. Zawsze potrafili znaleźć drogę na urządzone imprezy”, często również wybuchały kłótnie o „przyjaciółki, robotnice z sąsiadującej ze stalagiem fabryki”. W lazaretach pracowały polskie pielęgniarki, nie można zatem powiedzieć, by więźniowie zostali całkowicie pozbawieni damskiego towarzystwa.

„Srebrna Natalia” straciła wyłączność na uczucia poety. Wprawdzie czasami otrzymywała od niego czułe słowa na

obozowych blankietach, ale wówczas miał on romans z nieznaną z imienia pielęgniarką z lazaretu. Nieco później przyszedł czas na poważniejsze związki.

W życiu Konstantego pojawiła się bowiem Maria Stobiecka, którą poznał w szpitalu w Gross Lübars.

„Pisała wiersze - twierdziła Kira Gałczyńska - do których poeta, jak do wszystkich innych na świecie, miał zawsze jednakowo pobożny stosunek. Zbliżyła ich poezja, pomiędzy dwojgiem samotnych i nieszczęśliwych ludzi zrodziło się coś na kształt uczucia”<sup>68</sup>.

U schyłku wojny zostali rozdzieleni - Konstanty trafił do obozu przejściowego w Höxter w Westfalii, natomiast Maria Stobiecka do Meppen. Podtrzymywali jednak korespondencję.

„W listach Gałczyński nazywał ją raz siostrą - pisała Kira - raz wspominał o małżeństwie, kiedy indziej wyjaśniał, że tak naprawdę kocha tylko Natalię. Że bez względu na wszystko, będzie do niej wracał”<sup>69</sup>.

Nie wiadomo jednak, skąd Kira zaczerpnęła informacje na temat korespondencji ojca, wątpliwe bowiem, aby kiedykolwiek miała w ręku chociaż fragment listu Gałczyńskiego do Marii. Warto również pamiętać, że córka poety u schyłku wojny miała zaledwie dziewięć lat, a spisując po latach wspomnienia, często opierała się na opowieściach matki. Kolorytu całej sytuacji dodaje fakt, że jeden z listów Gałczyńskiego do żony z grudnia 1945 roku pisany był w Meppen...

Stobiecka nie była jedyną kobietą, z którą Gałczyński utrzymywał intymne kontakty w tym czasie. Kira przyznała, że wiosną 1945 roku ojciec poznał w Höxter Lucynę Wolanowską, z którą połączył go romans. Wydaje się jednak, że ich znajomość zaczęła się jeszcze w Altengrabow. Potwierdza to Zbigniew Szydelski, żołnierz AK, który po Powstaniu Warszawskim trafił do stalagu. Miał tam okazję poznać Gałczyńskiego, ale sam nigdy nie dotarł do Höxter, ponieważ zachorował i ewakuowano go do Polski.

„Był zdrowy, ale przebywał w szpitalu - mówił Szydelski o Gałczyńskim. - Myślę, że chcieli mu zapewnić lepsze warunki

[...]. Ta rozpacz i samotność dręczyły go również w niewoli i kazały szukać jakiejś bliskiej duszy. Stała się nią towarzyszka niedoli Lucyna Wolanowska<sup>70</sup>.

Nowa miłość poety pochodziła ze Lwowa i miała za sobą pobyt w hitlerowskich obozach. Zapewne nigdy nie poznamy rzeczywistego przebiegu jej znajomości z Gałczyńskim, wygląda jednak na to, że poeta wyjątkowo skomplikował sobie życie. W Polsce były Natalia z Kirą, niedaleko Maria, a w Höxter (Gałczyński ostatecznie tam dotarł) Lucyna. Trzy kobiety i jeden mężczyzna. A jakby tego było mało, w styczniu 1946 roku Lucyna urodziła syna, któremu poeta nadał swoje imiona.

Kira stwierdziła, że jej przyrodni brat dostał „metrykę urodzenia opatrzoną hitlerowską »gapą«”, co wydaje się nieprawdopodobne. W niemal rok po zakończeniu wojny w brytyjskiej strefie okupacyjnej? Denazyfikacja trwała przecież w najlepsze i na pewno nie używano już hitlerowskich symboli.

Kiedy czyta się wspomnienia Kiry Gałczyńskiej, trudno oprzeć się wrażeniu, że różne fakty pomieszały się w jej pamięci. Poza tym dzieci nie są najlepszymi biografami własnych rodziców. Posiadają wprawdzie wiedzę niedostępną dla innych badaczy, ale często dokonują cenzury informacji. I czasami robią to nieświadomie, po prostu emocje biorą górę. Kira wprawdzie nie zachowywała się jak Władysław Mickiewicz w stosunku do swojego słynnego ojca, ale podawane przez nią informacje należy traktować z dużą rezerwą.

„Kiedy znalazł się na Zachodzie, zastanawiał się, co ma robić - opisywał dylematy Gałczyńskiego Jerzy Giedroyc. - Namawialiśmy go, by został. Wtedy pojechał do Drugiego Korpusu, gdzie był legendą, gdyż było tam mnóstwo młodych poetów - Olechnowski, Międzyrzecki - którzy byli jego wielkimi wielbicielami. Nawet jedna bateria nosiła imię Gałczyńskiego. Nie zdecydował się wtedy na emigrację, może, jak to u niego, pod wpływem kobiety. Zakochał się, zdradził Natalię i wrócił do Polski ze swą nową konkietą, którą Natalia, ma się rozumieć, przegoniła<sup>71</sup>.”

Wydaje się jednak, że to wszystko było o wiele bardziej skomplikowane. Gałczyński nie spieszył się z powrotem do

kraju z powodów natury osobistej oraz politycznej. Przed wybuchem wojny był przecież współpracownikiem prawnicowego „Prosto z Mostu” i faktycznie mógł się obawiać komunistów. Z drugiej jednak strony chyba sam nie wiedział, jak rozwiązać problemy osobiste. Córka uważała, że ostatecznie zdecydował się na powrót ze względu na Natalię.

„W podróży do Polski, do żony, poecie towarzyszyła Maria Stobiecka. Na co liczyła? Nie wiem. Nie interesuje mnie roztrząsanie tego tematu. W życiu często tak bywa, że dwoje ludzi spotyka się, później często rozstają się. I choć są tacy, którzy o zakończenie romansu poetki z poetą winią Natalię Gałczyńską, to znając sprawę -jak ja ją znam - mogę powiedzieć z całą pewnością: Konstanty Ildefons Gałczyński wrócił do swojej żony, bo chciał tego. I tak naprawdę kochał tylko ją. Mówią tym wiersze”<sup>72</sup>.

Poezja jest raczej mało wiarygodnym źródłem historycznym, poeci mają bowiem zwyczaj dowolnie przekształcać rzeczywistość. Poza tym według relacji osób trzecich (Jerzy Waldorff) Gałczyński pojawił się w kraju wyłącznie po to, aby ostatecznie rozmówić się z żoną i rozpocząć nowe życie. Niektórzy badacze (Bogdan Kruszona) uważają nawet, że Gałczyński w Niemczech ożenił się, popełniając tym samym bigamię. Tylko z kim? Z Marią? Z Lucyną?

Kira w swoich wspomnieniach pominęła fakt, że była bezpośrednim świadkiem rozmowy rodziców, w której oprócz niej brali udział jeszcze jej babcia (matka Natalii) oraz wezwany przez żonę poety Jerzy Waldorff. Podobno Gałczyński całą winę za zaistniałą sytuację zrzucił na Adolfa Hitlera (!), a Maria nie odzywała się w ogóle.

„Potem zjawili się Zagórcy i Maryna - wspominał Waldorff - która gotowa przeciwstawić się wszystkim nieprawdopodobieństwom świata zorganizowała coś na kształt wczesnej kolacji, do której po obu stronach Kota usiadły Natalia i ta ze świata przywieziona Maria, ale potem Marię w dresie wzięli Zagórcy do siebie, zaś po dniach kilku ongiś też publikujący w »Prosto z Mostu« Jan Dobraczyński wywiózł ją do Warszawy i ulokował w jednym z klasztorów pod opieką sióstr



zakonnych”<sup>73</sup>.

Natomiast Lucyna kilka lat później wyjechała wraz z synem do Australii, gdzie ponownie (?) wyszła za mąż. I nigdy nie powiedziała złego słowa na swojego niewiernego partnera. Jej syna (a swojego przyrodniego brata) Kira poznała dopiero w 1990 roku, wcześniej bowiem w ogóle nie wiedziała o jego istnieniu...

## KRAKÓW

Natalia z Kirą przetrwały wojnę w Warszawie, a następnie przez Kalisz trafiły do Krakowa. Początkowo zamieszkały przy ulicy Basztowej, a po powrocie Gałczyńskiego rodzina przeniosła się do słynnego Domu Literatów na ulicę Krupniczą.

„Mieszkania wszystkich trzech czteropiętrowych kamienic - wspominała Kira - były szczelnie wypełnione przez znakomitości polskiej literatury: przybyli z popowstańczej Warszawy, z obozów, stalagów, oflagów i łagrów, z formacji wojskowych na Wschodzie i Zachodzie, z innych miast powojennej Polski. Wszyscy jednak szczęśliwi, że przeżyli, że przetrwali, że uratowali się z pożogi. Jaka szkoda, że tyłu nie wróciło...”<sup>74</sup>.

Gałczyński nazwał dom na Krupniczej Domem Czterdziestu Wieszców i miał zupełną rację. Kogo tam bowiem nie było! Brandysowie, Andrzejewscy, Brezowie, Dygatowie, Wilhelm Mach, Artur Maria Swinarski, Adam Polewka, Hanna Mortkowicz-Olczakowa, Jerzy Zawieyski, Marian Promiński, Jalu Kurek, Julian Przyboś, Stefan Kisielewski, Tadeusz Kwiatkowski. Wszyscy cieszyli się, że przetrwali wojnę, a spotkania w stołówce „ciągnęły się do późna w noc”. Takie zgromadzenie indywidualności w jednym miejscu miało jednak również złe strony.

„Na Krupniczej było gęsto jak w kurniku - wspominał Wojciech Żukrowski. - Puszyły się sławy, a krytycy je usadzali okolicznościowo na różnych szczeblach doskonałości. Pełno tam było intryg, zawiści i kwasów. Mieszkając na kupie,

zaglądaliśmy sobie wzajemnie do kieszeni i do garnka. Raz po raz popadał ktoś w ową absolutną niemożność, wtedy stukanie na maszynie za drzwiami sąsiada musiało przerażać jak uderzenia niepodkutych kopyt Pegaza, którego inny dosiadał. A tak łatwo było wywołać nawiedzzonego i koleżka, jak każdy uczciwy pisarz, gniewnie, ale i z ulgą witał intruzów. Już nie musiał pracować. Bufet na dole kusił. Nie trzeba nawet wychodzić, wszystko jak w domu”<sup>75</sup>.

Gałczyński szybko zaadaptował się do nowych warunków. Jego pokój na Krupniczej, „wydzielony z reszty mieszkania, robił wrażenie celi”. Poeta nigdy nie był specjalnie wymagający i wystarczały mu „obdrapane biurko”, „żelazne łóżko, siennik, bury kocyk”. Pod łóżkiem trzymał „zerwany w nocnej wyprawie szyld »Akuszerka«”, a pod sufitem „kołysał się krokodyl z masy papierowej”.

„Konstanty lubił wypić - twierdził Żukrowski. - Kto przeżył bodaj jedną jesień i rozkiszłą zimę w Krakowie, nie będzie się mu dziwił. Grube, ociekające mury z ciosowego kamienia, czarne prety kasztanów na Plantach, coraz to w innym kościele wydzwaniane podzwonne, dorożki, fiakry krakowskie. I ta Wisielka, bura, swarliwa... I hejnał, urwany w połowie jak czkawka”<sup>76</sup>.

Gałczyński często uciekał z Krupniczej, bo towarzystwo pijących literatów jednak mu nie wystarczało. Najczęściej „w rozpiętym płaszczu żeglował od knajpy do knajpy”, gdzie znajdował słuchaczy „w kręgu dorożkarzy, rzemieślników i domokrażców”. Recytował im poezję i wlewał w siebie duże ilości alkoholu, co jednak nie przeszkadzało mu w pisaniu.

Miał już zresztą swoich stałych odbiorców. Związał się bowiem z „Przekrojem”, który pod kierownictwem Mariana Eilego miał duże, ogólnopolskie ambicje. I uzyskał praktycznie to samo, co przed wojną od Piaseckiego, czyli całkowitą swobodę twórczą. W praktyce mógł drukować wszystko to, co napisał. A specyficzna atmosfera redakcji bardzo mu odpowiadała. Tym bardziej że Eile nie zamierzał się ograniczać do tygodnika i stworzył w Krakowie kabaret literacki, którego głównym autorem został Gałczyński.

„Pierwszy program z zapalem i tremą przygotowaliśmy w Śledziejowicach - wspominał Jerzy Waldorff- ślicznym starym dworze, jaki udało się nam wynająć od jeszcze nie usuniętych starych właścicieli na coś, co później zwano domem pracy twórczej i wypoczynku »Przekroju«. Eile gnębił nas jeszcze bardziej niż w redakcji, niezadowolony, odrzucający tekst za tekstem z nadsyłanych przez autorów, którzy szybko zwęszyli nowe źródło zdobywania pieniędzy i chwały. Zresztą brakowało wszystkiego! Poczynając od nazwy: jakże ten nasz kabaret, u diabła, ochrzcić?! Za namową Konstantego, czy może Natalii Gałczyńskiej, zdecydowaliśmy się na »Zieloną Gęś«”<sup>77</sup>.

Ostatecznie scena zadebiutowała pod nazwą Siedem Kotów. Sukces był ogromny. Kabaret wylansował nieznaną wcześniej Irenę Kwiatkowską, a Gałczyński stał się gwiazdą pierwszej wielkości. Niestety przygoda z kabaretem zakończyła się po jednym sezonie, „aktorzy się rozjechali”, ale na szczęście „długów los oszczędził”.

Gałczyński nie zapomniał jednak o Zielonej Gęsi, a Eile oddał mu do dyspozycji ostatnią stronę „Przekroju”. Tam Konstanty stworzył „najmniejszy teatrzyk świata”, a nad kolejnymi wydaniem pracował z reguły w Śledziejowicach. Jak przystało na wrażliwego artystę, posługiwał się tam specyficznym warsztatem pracy.

„Sąsiadowałam z Gałczyńskim przez ścianę - opowiadała Jadwiga Cierniak - i nieraz słyszałam, jak śmiał się sam do siebie, gdy mu jakiś kapitalny pomysł zawitał do głowy, jak radośnie powtarzał jakieś słowo lub coś wyśpiewywał. Pomysły swoje niejednokrotnie wypisywał na śledziejowickim kafłowym piecu, dołączał do nich jakieś rysunki i cały ten osobliwy zielonogęsi świat rozpoczął tam swoje życie. Pamiętam, jak bardzo zmartwił się, gdy służąca, robiąc generalne porządki, umyła piec...”<sup>78</sup>.

„Najmniejszy teatrzyk świata” zdobył wręcz nieprawdopodobną popularność i niemal wszyscy czytelnicy „Przekroju” zaczęli lekturę od ostatniej strony. A Gałczyński znów był w swoim żywiole, drukował w „Dziś i Jutro”, „Tygodniku Powszechnym”, „Szpilkach”, „Odrodzeniu”, „Expressie

Wieczornym”. Podróżował po kraju z wieczorami autorskimi, przyjmowano go z entuzjazmem, chociaż zdarzały się także skargi „aktywu robotniczego” na zbyt trudne wiersze...

„Był to czas, kiedy Borejsza chciał z niego zrobić barda Związku Walki Młodych - wspominał Wojciech Żukrowski. - Sala Romy nabita po brzegi, dobra reżyseria, szturmówki, oklaski jak salwy honorowe i Konstanty recytujący *Sylwestra Marosza*. Konstanty czuł organiczną potrzebę związku z masami, współczesność była jego żywiołem, ale nie znosił musztry, szeregów, stąpających kohort... Masy - to była wypoczywająca rzesza, koczowisko w Lasku Bielańskim, proste radości, flaszka ostudzona wiślaną falą, kanapki w gazecie, przemowa o wieczności z nadgryzionym ogórkiem w ręku, przerwana olśnieniem na widok spłowiałej flagi na »Bajce« czy »Kościszce«”<sup>79</sup>.

Gałczyński nie był już Gałczyńskim z czasów „Prosto z Mostu” - nie chciał kolejnego totalitaryzmu, ale żył przecież w epoce stalinowskiej, co musiało się źle skończyć. Zielona Gęś drażniła bowiem kolegów po piórze, a jednym z jej wrogów okazał się Stefan Kisielewski. Nawet najwybitniejsze umysły miewają czasem chwile zaćmienia.

„Bełkot pisanych dla pieniędzy »Zielonych Gęsi« i »Listów z fiołkiem« - grzmiał Kisiel - na które otrząsa się cała myśląca i artystycznie wrażliwa Polska, bełkot poety wytraconego ze swej linii, zdetronizowanego, zagubionego w powojennej zawierusze, biorącego rozbite ułamki nawyków myślowych i słownych, donikąd skierowane pchnięcie satyryczne, resztki starych nastrojów i nastroików za coś, z czym można stanąć przed surową, wymagającą, trzeźwą i nauczoną wielkości epoką powojenną. [...] Gałczyński tonie w bełkocie - może nawet komicznym, ale bełkocie, wylewa z siebie potoki słów nic nie znaczących i niczemu nie służących, nurza się w o pomstę do nieba wołającej łatwiznie...”<sup>80</sup>.

Poeta zresztą sam prosił się o kłopoty. Gdy pojechał z delegacją do Moskwy, przysyłał stamtąd tak entuzjastyczne reportaże, że podejrzewano go o kpinę z obowiązkowych zachwyty nad Krajem Rad. I doczekał się wreszcie

zorganizowanego ataku na swoją twórczość.

W czerwcu 1950 roku na zjeździe Związku Literatów Polskich wszechwładny Adam Ważyk uznał, że poezja Gałczyńskiego ma korzenie burżuazyjne i drobnomieszczańskie, a następnie zażądał, by poeta „ukręcił łeb temu rozwydrzonemu kanarkowi, który zagnieździł się w jego wierszach”.

Replika pogorszyła tylko sytuację, Konstanty bowiem odparł, że wprawdzie „kanarkowi łeb można ukręcić, ale wtedy wszyscy zobaczą klatkę”. I zapytał retorycznie: „Co zrobić z klatką, koledzy?”.

Klatka pozostała, a Gałczyńskiego objęto zakazem publikacji. Wpadł w depresję, pił jeszcze więcej, powtarzając, że „nie przeszedł do następnej klasy”. Nie pomogła mu nawet publiczna samokrytyka na łamach „Odrodzenia”.

„[...] wstydę się tego - spowiadał się poeta - że razem z Broniewskim czy Wygodzkim nie łamałem się chlebem więziennym w Polsce faszystowskiej, wstydę się tego, że kręte dróżki sanacyjnej nocy doprowadziły mnie do tygodnika pod nazwą »Prosto z Mostu«. [...] Całkowicie zgadzam się z kolegą Bocheńskim, że mój wiersz z »Przekroju« pt. *Rozmowa z przechodniem* jest pomyłką świadczącą o mojej ideologicznej niedojrzałości”<sup>81</sup>.

Anatema wydawnicza miała trwać kilkanaście miesięcy, ale pozostawiła niezatarty ślad na życiu Gałczyńskiego. I chyba to właśnie ona obok alkoholu najbardziej przyczyniła się do jego przedwczesnej śmierci w wieku zaledwie 48 lat.

## ALEJA RÓŻ

Dwa lata przed czerwcowym zjazdem Gałczyńscy przenieśli się do Szczecina. Nikt właściwie nie potrafił zrozumieć ich decyzji, a tłumaczenia Konstantego, że „czegoś równie pięknego jak kwitnące magnolie nie ma na świecie”, uznano za kolejną ekstrawagancję artysty.

Niewykлучzone bowiem, że poeta chciał zerwać z krakowskim środowiskiem literackim, gdzie nie mógł uniknąć alkoholu. W

Szczecinie praktycznie nie znał nikogo (sprowadzili się tam tylko Andrzejewscy), co dawało mu szansę na nowe życie. Nie bez znaczenia były również warunki mieszkaniowe, miejscowy wojewoda przeznaczył bowiem dla Gałczyńskich domek w parkowej dzielnicy Pogodno.

Niestety, Konstany niebawem doznał zawału serca, a lekarze orzekli, że klimat miasta szkodzi jego zdrowiu. Problem rozwiązał wszechwładny premier Józef Cyrankiewicz, dla którego załatwienie mieszkania w warszawskiej Alei Róż było przecież drobnostką. Nie jest pewne, czy Cyrankiewicz pozował na sponsora kultury, czy też naprawdę lubił pomagać artystom.

Aleja Róż była ulicą elity - Gałczyński pod numerem szóstym sąsiadował przez ścianę z Broniewskim, mieszkanie na parterze zajął później Antoni Słonimski, a na górze mieszkał Leon Kruczkowski. Nie mogło zabraknąć Borejszy, Sokorskiego i Stefana Żółkiewskiego. Ulica była cicha i spokojna, w pobliżu były Belweder, KC i Urząd Rady Ministrów, a nieodległa Dolina Szwajcarska zapewniała dobre miejsce do spacerów.

Czasami jednak obecność bohemy literackiej miała dla polityków swoje złe strony. Podobno pewnego dnia do drzwi apartamentu Cyrankiewiczów (Aleja Róż 8) zapukał Konstany, przedstawił się i zapytał, gdzie jest łazienka. Nina Andrycz wskazała mu właściwy kierunek, a wówczas poeta rozebrał się i z całym spokojem wszedł do wanny. Wychodząc, powiedział do przerażonej aktorki, że zawsze chciał się wykąpać w wannie premiera...

Podobno Broniewski z Gałczyńskim mieli zwyczaj siadywać w wannach (każdy w swoim mieszkaniu) i wspólnie śpiewać rewolucyjne pieśni. Grube, przedwojenne mury dobrze izolowały, zatem panowie musieli nie żałować gardeł.

W okresie niełaski wydawniczej Gałczyński odkrył leśniczówkę w Praniu. Po raz pierwszy pojawił się nad Jeziorem Nidzkim w lipcu 1950 i od tej pory każdego roku spędzał tam wiele miesięcy. Na Mazurach znalazł doskonałe warunki do pracy, a brak kolegów od pióra i kieliszka specjalnie mu nie przeszkadzał. Nie bez powodu właśnie w Praniu powstały jego większe formy poetyckie: *Niobe* (1951),

*Wit Stwosz i Kronika Olsztyńska (1952).*

W stolicy jednak Gałczyński nie zmieniał trybu życia i w maju 1952 roku miał kolejny zawał.

„Determinacja i wiedza lekarzy robią swoje - wspominała Kira - poecie ratują życie, ale kiedy w maju może już opuścić szpital, przestrzegają, że serce ma w fatalnym stanie i że musi na nie uważać. Koniec z papierosami, z mocną kawą, alkoholem...”<sup>82</sup>.

Konstanty nie przestrzegał jednak zaleceń i do końca pozostał sobą. Zachowała się ciekawa relacja ze spotkania towarzyskiego, które miało miejsce rok po drugim zawał. Gałczyński nadal zachowywał się jak młodzieniaszek.

„Usiedliśmy przy stoliku - opowiadał Włodzimierz Słobodnik. - Konstanty stalował kieliszek za kieliszkiem. »Wyliczona gotówka« moja wkrótce się wyczerpała i zastanawiałem się, u kogo pożyczyć pieniędzy na pobyt w Warszawie i powrotną podróż do Łodzi. Po chwili do Fukiera wpadli Anna i Jan Śpiewakowie. Posiedzieliśmy z nimi, pogadaliśmy, wypiliśmy jeszcze kilka lampek wina i poszliśmy do nich na obiad.

Po obiedzie Konstanty zaczął szaleć: przemawiał po angielsku, ze Stanisławem Jerzym Lecem, który również brał udział w tym obiedzie, rozmawiał po niemiecku, pohukiwał po rosyjsku i o mały włos nie stłukł telefonu dziecięcego - zabawki synów gospodarzy - ciskając nim o ziemię.

Potem podniósł telefon z podłogi, postawił na stole i zaczął »telefonować«.

- Proszę natychmiast aresztować Włodzimierza Słobodnika. Z jakiego powodu? Z wiadomego! Co? Proszę również zmontować dla niego szubienicę.

Odsapnąwszy, Konstanty odłożył »tubę«, po czym powiedział:

- Wiesz Wołodia, żal mi cię. Zaraz wszystko odwołam.

I znów »zatelefonował«:

- Proszę o ulaskawienie Słobodnika. Co? Koszty za zmontowaną szubienicę? Pokryję z własnych funduszków...

Nie wiedziałem wtedy, że była to ostatnia, pożegnalna uczta z Konstantym...<sup>83</sup>.

Konstanty Ildefons Gałczyński zmarł 6 grudnia 1953 roku, a bezpośrednią przyczyną śmierci było pęknięcie aorty.

Pochowany został na warszawskich Powązkach Wojskowych, gdzie 23 lata później dołączyła do niego Natalia.

„Niech Pan Bóg przebaczy tym wszystkim przyjaciołom Gałczyńskiego - napisał Jerzy Waldorff - co pijali z nim wódkę lub też bawili się widokiem pijanego i potem w wielu opisach miał ich kopy! Zostawiali go jak schlanego błazna, który wyczyniał brewerie”<sup>84</sup>.

Faktycznie, dla poety nie może być nic gorszego niż „kumple od kieliszka”. Doświadczył tego osobiście Konstanty Ildefons - jedna z najbardziej tragicznych postaci naszej kultury w całych jej długich dziejach...



## **Rozdział 6.**

### **Demony Stefana Jaracza**

#### MELPOMENA NA RAUSZU

Jaraczowe światy; nieznanne, zaskakujące prostotą i pięknem - pisała Teodozja Lisiewicz. - Składały się na nie cztery elementy: świadoma dobroć, wstrząs świętej odrazy przed ohydą, rzetelność każdego poczynania i - poezja. Ciągły jej głód, bezustanna pogoń za nią i umiejętność dostrzeżenia jej nawet tam, gdzie przeciętność przechodzi obojętna”<sup>1</sup>.

W rzeczywistości życie jednego z największych polskich aktorów nie było aż tak subtelne. Nie odmawiając Stefanowi Jaraczowi subtelności, trzeba od razu zauważyć, że przez całe życie zmagał się z uzależnieniem od alkoholu i walkę tę przegrał. Pił nawet u schyłku wojny, gdy był już ciężko chory na gruźlicę. Inna sprawa, że dobrze wiedział, iż abstynencja w niczym mu już nie pomoże, a nie miał siły na dokonywanie poważnych zmian w swoim życiu.

Alkoholizm znacznie skomplikował jego karierę aktorską, choć nigdy jej nie zniszczył. Wywarł jednak fatalny wpływ na psychikę aktora i wiązał się ściśle z jego konfliktowym charakterem. Jaracz bowiem przez całe życie walczył ze Związkiem Artystów Scen Polskich, z kolejnymi dyrektorami teatrów, z reżyserami. Bez alkoholu zapewne również wchodziłby w spory i konflikty, ale uzależnienie powodowało, że był człowiekiem niezwykle drażliwym. Sam zaś uważał, że jego problemy alkoholowe są spowodowane plebejskim pochodzeniem i trudnościami, z jakimi się spotykał w początkach swojej kariery

„[...] kiedy się upił - wspominała Irena Krzywicka - dostawał manii wielkości i mówił: »Ja - orzeł - nad - wami, wy - karły - pode - mną«. Ale miał rację. Kiedyś, już nieco podchmielony,

zaczął tłumaczyć, skąd się bierze to pijaństwo, które zresztą nie przeszkadzało w jego wspaniałej artystycznej działalności: »Wam, inteligentom, to łatwo. Na was pracowali ojcowie, a często i dziadowie. No i coś wam tam w mózгах załatwili, co wam ułatwia pracę zawodową czy twórczą. Ja jestem pierwsze pokolenie i całą wiedzę, pożał się Boże, o świecie, o ludziach, o kulturze, musiałem zdobyć sam. Myślicie, że to łatwo? To trzeba zębami i pazurami. Wielu moich kolegów i znajomych, którzy chcieli zostać prawdziwymi inteligentami, nie dało rady i albo rozpiłi się na śmierć, albo w ogóle poszli na dno. Tak że wy nie znacie waszego szczęścia, wam jest łatwo, bo za was pracowali inni«<sup>2</sup>.

Początki jego problemów z alkoholem sięgają czasów studenckich w Krakowie. Pochodził z ubogiej rodziny, żył w kręgach cyganerii artystycznej. Alkohol był metodą ucieczki, a często również jedyną możliwością uczczenia sukcesu. Pili zresztą wszyscy, a młody Jaracz nie odbiegał specjalnie od normy. Poważniejsze kłopoty pojawiły się jednak w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy został przymusowo ewakuowany do Rosji. Tam też miały miejsce pierwsze w jego życiu, spowodowane alkoholem przypadki absencji w pracy. A w pierwszych latach odrodzonej Polski problem wystąpił już z całą ostrością.

Początkowo nic nie zapowiadało kłopotów, bo Jaracz wprawdzie nadużywał trunków w towarzystwie znajomych, ale nie odwiedzał jeszcze najgorszych spelunek. Jego zamięrowanie do alkoholu wyglądało na artystyczną ekstrawagancję, podobnie zresztą zachowywali się jego koledzy po fachu.

Zdarzyło się kiedyś, że gromadka aktorów (z Jaraczem i Leonem Schillerem na czele) zawędrowała nad Wisłę w okolicy Łomianek. Przeprawili się łodzią na drugi brzeg i tam, na praskiej stronie, trafili do karczmy odwiedzanej przez konsumentów o zdecydowanie proletariackim rodowodzie.

„Jaraczowsko-Schillerowska kompania wkroczyła do drewnianej budy - opisywał Henryk Szletyński. - Za długim stołem siedzieli nocni pracusie ze swoimi bogdankami, a przed każdym z nich stacjonował duży kielich (»sztagan«)

napełniony siwuchą. Przybyłych państwa powitały zdumienie i chmurne spojrzenia nie wróżące nic dobrego. Jaracz rześko zbliżył się do stołu naprzeciw obywatela, w którym wyczuł przywódcę, bo kamraci zerkali w jego stronę. Kielich przed nim stojący ujął wprawnym ruchem i oświadczył:

- Jestem Stefan Jaracz, artysta Teatru Polskiego. Piję twoje zdrowie!

Wypił. Błyskawiczna zmiana. Biesiadnicy porwali się z miejsc i rzuciwszy czapki z głów omietli nimi ławy, prosząc siadać. I kiedy artystki reprezentacyjnego teatru uznały za trafne folgować sobie w nieprzystojnościach »apaszowskiego« języka, apasze zachowywali się z wyteżoną wytwornością, niczym przysłowiowi lordowie. Czas płynął urokliwie, a nieoszacowany Leon Schiller rozdzwięknął opary izby, intonując piosneczki. Gdy przyszło się żegnać, gospodarze odprowadzili niespodziewanych gości do łodzi, w której oczekiwał przewoźnik, i długo potem powiewali czapkami i chusteczkami, kiedy na wiślanej fali połyskiwały promyki wschodzącego słońca”<sup>3</sup>.

Pan Stefan był wówczas członkiem zespołu Teatru Polskiego, którego szef Arnold Szyfman nie tolerował nawet cienia niesubordynacji. 21 kwietnia 1921 roku miała się odbyć premiera *Kupca weneckiego* i miasto zostało już oklejone afiszami. Jaracz grający rolę Shylocka pojawił się nietrzeźwy na próbie generalnej i premierę odwołano. W zamian wystawiono *Białą rękawiczkę* Żeromskiego. Niestety nie był to jednorazowy wybryk aktora.

„Pan Jaracz był widocznie niedysponowany - pisano w jednej z recenzji - a kreacja Shylocka wymaga tak wszechstronnego opanowania środków technicznych, że dzisiaj trudno jeszcze zdać sobie sprawę z tego, co zaważyło na szali, że postać Shylocka nie stała na wysokości wielkiego talentu pana Jaracza”<sup>4</sup>.

Konflikt pomiędzy aktorem i dyrektorem narastał, Szyfman był człowiekiem trudnym we współpracy i nie bez powodu w jego zespole trwała ciągła rotacja kadr.

„[...] Szyfman miał ambicje władzy - tłumaczył Jaracz. - A

niestety, ambicje te były tylko handlowe. Nie zapomnę mojej z nim rozmowy, prowadzonej zdaje się w roku 1921. Kiedy wskazywałem na zmiany w psychice człowieka powojennego, które powinny odbić się na formie teatru, jeśli teatr ma być »piętnem swego wieku« wedle wskazania Szekspira, Szyfman odpowiedział: »Pan się myli. Nic się nie zmieniło. Jest tylko przewrót walutowy«<sup>5</sup>.

W tym czasie regularnie widywano pijanego Jaracza w lokalach warszawskich, gdzie znajdujący się „pod wpływem” aktor rozprawiał o „jarzmie przedsiębiorstwa”. Pomimo to podpisał z Szyfmanem kolejny kontrakt, obaj bowiem wiedzieli, że dalsza współpraca będzie korzystna dla obu stron. Jednakże następna niedyspozycja aktora zdecydowała o tym, że pan Stefan przeszedł do Reduty Juliusza Osterwy.

## MIŁOŚĆ I ALKOHOL

Okresowe pijaństwo nie przeszkadzało Jaraczowi pojawiać się na stołecznych wieczorach poetyckich. Szczególnie bliskie więzy łączyły go ze skamandrytami, co zresztą łatwo można wytłumaczyć. Skamandryci również nie wylewali za kołnierz, choć oczywiście nie tylko to przyciągało aktora do ich środowiska.

„Lubił przestawać w towarzystwie literatów, malarzy i dziennikarzy - tłumaczył Jan Kreczmar. - Od czasu powrotu z Rosji otaczał Jaracza życzliwy klimat młodego środowiska literacko-artystycznego. Nie tylko wódka była organizatorem tych sympozjów. Nowe prądy w malarstwie, w literaturze, w filozofii. Z innymi skojarzeniami przychodzi się wtedy do teatru. Z innymi niż większość kolegów”<sup>6</sup>.

Osterwa i Jaracz przyjaźnili się od dawna - przed laty wspólnie cierpieli biedę, mieszkając razem w Krakowie. Pan Juliusz znał ogromne możliwości przyjaciela, ale doskonale orientował się również w jego słabościach. A Jaraczowi właśnie przydarzyła się kolejna publiczna kompromitacja. Miało to miejsce na scenie Teatru im. Bogusławskiego podczas

uroczystej akademii z okazji rocznicy wybuchu powstania listopadowego.

„[...] nastrój podniosły sali przerwało pojawienie się na estradzie pana Jaracza - opisywał reporter »Polski Zbrojnej«. - Publiczność z zaniepokojeniem słuchała, jak pan Jaracz mozolił się z odczytaniem *Reduty Ordona*. Deklamator atoli wyplątał się szczęśliwie do końca i dopiero w chwili zejścia ze sceny poruszony do żywego duch Mickiewicza zaplątał niedysponowanego artystę w fałdy kotary, co publiczność przyjęła żywym aplauzem”<sup>7</sup>.

Osterwa otoczył przyjaciela dyskretną opieką, co w „języku redutowym nazywało się dyżurem przy Stefanie”. Tym niemniej lata spędzone w zespole Reduty to pierwszy tak długi kryzys alkoholowy w życiu aktora. Odplącał się wprawdzie znakomitą grą w chwilach trzeźwości, ale problem narastał. Tym bardziej że los nie szczędził mu ciosów - pod koniec grudnia 1923 roku popełnił samobójstwo jego młodszy brat. Józef Jaracz (występował pod pseudonimem Poremba) był członkiem zespołu Reduty i uchodził za zdolnego aktora oraz fanatyka metod Osterwy. Ze względów finansowych pojawiał się również na scenie teatru Rozmaitości, ale to było już ponad jego siły. Wpadł w depresję i zakończył życie skokiem z okna swojego mieszkania.

Wydaje się, że Stefan Jaracz w zespole Reduty nigdy nie czuł się dobrze. Był zbyt doświadczonym aktorem, by na poważnie przyjmować wszelkiego rodzaju tutejsze udziwnienia. Osterwę cenił wysoko, ale jego współpracownika Mieczysława Limanowskiego (z wykształcenia geologa) już nie za bardzo.

„Limanowski uchodził w kręgach teatralnych za stuprocentowego dyletanta - uważał Leon Schiller - na mentalność jego złożyły się wpływy lektury egzotycznej. Stąd i zowąd połapane wiadomości z religiologii i etnografii oraz swoiście naciągane teorie polskich mesjanistów”<sup>8</sup>.

Słynne czytane próby Reduty - jeden z symboli teatru pod kierunkiem Limanowskiego - przybierały czasem karykaturalną postać. Objasnienia i komentarze byłego geologa mogły czasem zbulwersować nawet jego największych

wielbicieli. Antoni Słonimski był kiedyś świadkiem, jak Limanowski objaśniał zespołowi znaczenie wyrazu „krowa”:

„»No cóż, krowa to znaczy mleko - mleko to znaczy matka - matka to znaczy ziemia«. Sekretarka zwróciła uwagę, że to błąd przy przepisywaniu i że ma być nie »krowa«, ale »królowa«. Limanowski ciągnął spokojnie dalej: »No cóż, królowa to znaczy matka, matka to znaczy mleko, mleko to znaczy ziemia«”<sup>9</sup>.

W styczniu 1922 roku Jaracz wystąpił na deskach Reduty w karnawałowej inscenizacji sztuki Benedykta Hertza *Czupurek, czyli Renesans podwórka*. Problemem okazały się stroje zaprojektowane przez artystę malarza Henryka Grusa (znanego nam już kompana Kamila Witkowskiego i męża Mai Berezowskiej). Co prawda Grus „z prawdziwie genialną intuicją przeinaczał formę człowieka na formę ptaka”, a jego kostiumy podkreślały zgodność „psychologiczną ludzką z psychologią danego ptaka”, to jednak te wspaniałe kreacje okazały się potwornie niewygodne.

„Uciążliwy był zwłaszcza kostium Koguta - wspominała Hanna Małkowska. - Wspaniały, kolorowy ogon rozpięty na drucianym rusztowaniu był w taki sposób przymocowany do kostiumu, że biedny Jaracz musiał przez czas trwania przedstawienia stać, bo konstrukcja kostiumu nie pozwalała na to, by usiadł. To oczywiście sprowadzało na usta Jaracza tyleż gorzkie, co soczyste wyrzuty pod adresem Grusa. Że jednak byli ze sobą w dobrych stosunkach, łagodzili te sprawy po przyjacielsku w »Astorii«. I to nieraz z takim rozmachem, że pobladli kelnerzy nie wpuszczali gości do salki na pierwszym piętrze, mówiąc z przestrochą w oczach: »Tam artyści się bawią«”<sup>10</sup>.

Czy w imprezach tych uczestniczył wierny druh Grusa Kamil Witkowski ze swoją indyczką, tego niestety nie wiadomo...

Prawdopodobnie najważniejszą kreacją Jaracza w tym czasie była tytułowa rola w *Judaszu* Kazimierza Przerwy-Tetmajera. A że pan Stefan miał zwyczaj odwiedzać również podrzędne knajpy, to kiedyś, by udowodnić mocno już pijanej klienteli jakiegoś obskurnego lokalu, że jest aktorem, brawurowo

wygłosił tam monolog Judasza. Bywalcy mordowni bili brawo jak szaleni. Podobno z tak gorącym aplauzem Jaracz nie spotkał się w całej swojej karierze...

Sprawy zaczęły przybierać zdecydowanie zły obrót, gdy zaczął grać również w Teatrze Narodowym (Osterwa objął tam równoległe dyrekcję). Jaracz dostał rolę Smugonia w *Uciekła mi przepióreczka* Żeromskiego, a chociaż autor był gorącym wielbicielem jego talentu, to nie ukrywał swoich obaw. I trzeba przyznać, że były one uzasadnione, bo podczas pierwszych kilku przedstawień aktor grał w stanie upojenia alkoholowego, mimo że zawsze przed rozpoczęciem spektaklu był zupełnie trzeźwy. Tajemnicę tych przeobrażeń wyjaśnił wreszcie Paweł Owerłło:

„Któregoś wieczoru podczas przedstawienia *Przepióreczki* Osterwa mówi do mnie: »Pawełku, Jaracz znowu dzisiaj nietrzeźwy, Żeromski był u mnie i uważał się na niego«. Odpowiedziałem, że zbadałem już tę sprawę i mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy. Z chwilą gdy Jaracz przychodził do garderoby, wpadałem do niego i sprawdzałem, czy kto ze znajomych nie przynosi mu wódki. W rozmowie był zupełnie normalny. Uprzedzeni krawcy co wieczór obszukiwali jego ubranie, czy nie ma gdzie ukrytej butelki z wódką”<sup>11</sup>.

Jaracz potrafił jednak przechytryć wszystkich, a wyjaśnienie okazało się całkiem proste.

„Otóż po skończonym pierwszym akcie - kontynuował Owerłło - wszyscy artyści szli zwykle do garderób, a maszyniści rozbierali dekoracje. Jaracz najspokojniej wychodził przez drzwi łączące zaplecze z foyer, a ponieważ do tej sztuki nie charakteryzował się, tylko przylepiał małe wąsiki, nie zwracał swoją osobą uwagi przeciętnego widza. Schodził razem z publicznością do restauracji Millera, która mieściła się na dole gmachu teatru, tam wypijał parę wódek i w drugim akcie wchodził na scenę już pod dobrą datą. Musiał w tym okresie coś przeżywać, bo wtedy zapijał się tak, że musieliśmy go umieścić na jakiś czas w domu zdrowia”<sup>12</sup>.

To prawda, że Jaracz miał wówczas problemy - do samobójczej śmierci młodszego brata doszło jeszcze

wiarołość ukochanej kobiety. Wprawdzie aktor był żonaty i miał córkę, lecz od wielu lat łączył go romans z piękną koleżanką ze sceny Marią Brydzińską. Najwyraźniej jednak nie chciał się rozwieść, więc urodziwa Maria, która uchodziła za osobę o mocnym charakterze, postanowiła inaczej ułożyć sobie życie.

„Marysia Brydzińską - wspominał Stanisław Wasylewski - świetnie rozwijająca się heroina scen warszawskich w epoce międzywojennej, nie była na najlepszej stopie ze sztuką pisania-czytania; dużymi literami musiały być pisane arkusze ról, by ją zadowolić. Wampir za to tkwił w niej drapieżny. Połamała za to na długie lata swego męża, znakomitego artystę Wojciecha Brydzińskiego, nie dał się jej szponom mocny Stefan Jaracz, wpadł bez ratunku na jakieś trzy lata Lunio Fiszer”<sup>13</sup>.

Wybrankiem Brydzińskiej został ostatecznie jeden z Jaraczowych kompanów od kieliszka, hrabia Maurycy Potocki. Wprawdzie w chwili, gdy arystokrata poznał aktorkę, był zupełnie bez grosza, ale niebawem miało się to zmienić. Na razie jednak to Jaracz płacił za niego rachunki.

„Świat aktorski zbierał się wówczas w godzinach południowych w cukierni Loursea - komentował aktor Henryk Cudnowski - na obiadach zaś i kolacjach spotykano się w restauracji »Astoria« na Nowym Świecie. Po teatrze zastawałem nieraz Stefana w towarzystwie doskonałej aktorki Marii Brydzińskiej. Raz, a może dwa razy przysiadł się do naszego stolika hrabia Maurycy Potocki. Nietrudno było zauważyć, że pani Marysia odnosiła się do niego całkiem niegrzecznie. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć, a dopiero później dowiedziałem się, że matka jego odsunęła go zupełnie od zarządzania dobrami Jabłonna z przyległościami, wskutek czego jego wielkopańska kieszeń cierpiała na galopujące suchoty. Jaracz dość często pożyczał mu pieniądze na zapłacenie rachunku w restauracji. Stan taki trwał przez czas jakiś, aż nagle obiegała Warszawę sensacyjna wieść, iż matka hrabiego Morysia umarła, w następstwie czego został panem wielomilionowej fortuny, a tym samym - ordynatem na dobrach Jabłonna z przyległościami. W dalszej konsekwencji



pani Marysia zmieniła front i tenże dotychczas ledwie tolerowany kandydat do miłości awansował na oficjalnego narzeczonego, po czym nastąpił ich ślub”<sup>14</sup>.

Jaracz miał wprawdzie mocną psychikę, ale tym razem całkiem się załamał. Ukochana kobieta zostawiła go dla hrabiego „z gębą rzeźnika”, którego największą pasją były samochody. Przygnębiony aktor wyjechał do Paryża i tam, w małym hotelu, usiłował popełnić samobójstwo.

„Znakomity artysta dramatyczny Teatru Narodowego Stefan Jaracz bawiący tu na wywczasach targnął się na swoje życie - donosił »Kurier Czerwony«. - Zamachu samobójczego dokonał w pokoju hotelowym, przecinając sobie arterie nożem od żyletki, po czym wypił dwa flakony jodyny. Służba hotelowa znalazła artystę leżącego bez przytomności na łóżku, zbroczonego krwią. Zawezwany natychmiast lekarz stwierdził objawy zatrucia, zarządził przepłukanie żołądka i dzięki energicznym zabiegom uprzędził tragiczne skutki desperackiego porywu. Stan znakomitego artysty nie budzi obaw. Przyczyna zamachu nie jest znana. Artysta odmówił wszelkich wyjaśnień i ujawnienia powodów rozpaczliwego kroku”<sup>15</sup>.

## STUDIUM ALKOHOLIZMU

Jaracz nigdy publicznie nie zabrał głosu na temat swojego nałogu. Słyszał jednak różne, wygłaszane za jego plecami uwagi, widział też, jak jego „poważni” koledzy z Teatru Narodowego, obawiając się kompromitacji, przechodzili na drugą stronę ulicy, gdy przypadkowo spotkali go na mieście. Był jednak człowiekiem zbyt dumnym, by reagować na podobne zachowania. Byli to przecież ludzie znacznie mniej od niego utalentowani, a on sam uważał ich za wyrobników Melpomeny, a nie za artystów. Nie traktował ich jak partnerów.

Nie zmienia to jednak faktu, że po powrocie z Paryża aktor znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Wszyscy słyszeli o nieudanej próbie samobójczej, a przy okazji przypominano jego wcześniejsze ekscesy. Niebawem zresztą wydarzyła się

kolejna katastrofa.

„Gościnny występ Jaracza we Lwowie - opowiadał Zdzisław Czermański. - Radość i podniecenie wśród aktorów. Święto w teatrze. Siódma wieczorem - Jaracza nie ma. Minęły dwie, trzy godziny, reszta nocy. Jaracz nie zjawił się w hotelu. Gdzie był? Mój Boże, w rowie poza miastem! Utyłany błotem, zjawił się w mieście nazajutrz pod wieczór, pod eskortą policjanta”<sup>16</sup>.

Czermański znalazł tę historię od sekretarza Jaracza i w rzeczywistości dotarła do niego wersja ocenzonej. Prawda była bowiem o wiele bardziej drastyczna, a Jaracz zniknął aż na kilka dni.

„W niedzielę ubiegłą - pisał reporter »Expres- su Porannego« - Jaracz przyszedł na czas do garderoby teatralnej i przebrał się w ubranie sceniczne. Miało to być jego przedstawienie pożegnalne. Na pół godziny przed przedstawieniem Jaracz zażądał piwa. Gdy zamiast piwa podano mu czarną kawę, obraził się, zdjął perukę, po czym wyszedł bez palta i kapelusza”<sup>17</sup>.

Przedstawienie ostatecznie odbyło się, a pana Stefana zastąpił dubler. Zaniepokojenie natomiast wzbudził fakt, że niedługo potem do teatru przyszedł posłaniec z dwoma listami i pierścieniem. Pierwszy list przeznaczony był dla jednej z aktorek, którą Jaracz prosił o przekazanie pierścienia córce. Drugi adresowany był bezpośrednio do Anny Jaraczówny, a ojciec zalecał w nim dziewczynie, aby pierścień ten zawsze nosiła na palcu jako pamiątkę po nim.

„Według obliczeń sekretarza teatrów miejskich, pana Kalinowskiego, Jaracz mógł mieć przy sobie około 600 złotych - kontynuował dziennikarz »Expressu Porannego«. - Z kasy teatru należało mu się jeszcze 800 złotych. Dodać należy, że w ciągu dwu tygodni swych występów we Lwowie pan Jaracz dwukrotnie zniknął i zrywał przedstawienia. Raz odnaleziono go w najbliższej restauracji okradzionego z zegarka. Drugi raz natknięto się na pana Jaracza na jednym z przedmieść. Tym razem pan Jaracz był okradziony z większej sumy gotówki”<sup>18</sup>.

Policja poszukiwała aktora w hotelach i knajpach, na komisariaty zgłaszali się ludzie twierdzący, że gdzieś go

widzieli, a po mieście krążyły pogłoski o samobójstwie aktora. Przypominano los jego brata i praktycznie szukano już tylko zwłok. I gdy pogodzono się z jego śmiercią, po tygodniu od chwili zaginięcia aktor odnalazł się w jednej z lwowskich restauracji. Był cały i zdrowy, aczkolwiek znajdował się „w stanie najwyższego podniecenia”. Trafił na oddział psychiatryczny jednego ze szpitali, gdzie stwierdzono konieczność dalszego leczenia.

„Jaracz uparcie milczy o przyczynach swego tajemniczego zniknięcia - donosił wysłannik »Kuriera Czerwonego« - skarży się tylko na przemęczenie i mówi o konieczności przerwania pracy zawodowej celem poddania się kuracji w jednym z sanatoriów krakowskich”<sup>19</sup>.

Jaracz próbował się leczyć, przebywał w sanatorium za granicą, kilka tygodni bawił również w Zakopanem. Bez specjalnych efektów, bo nie potrafił dojść do ładu ze swoją psychiką.

„O Jaraczu podczas jego występów we Lwowie krążyły dziwne wieści - tłumaczyła Teodozja Lisiewicz - szeptano o powtarzających się kryzysach, podczas których jego wyzwalająca się druga osobowość nakazywała mu zniknąć na kilka dni, kilkanaście, z teatru czy z domu; i jak to nigdy nie można było tego przewidzieć, gdzie i w jakim otoczeniu się odnajdzie, kto będzie jego kompanem w przygodzie, przed kim odsłoni tajniki kłębiących się w nim nieustannie zagadnień, które nigdy nie dawały mu spokoju”<sup>20</sup>.

Stefan Jaracz był genialnym aktorem, ale dyrektorzy teatrów uważali, że współpraca z nim obarczona jest bardzo dużym ryzykiem. Tym większym, że nie mógł zapomnieć o tym, iż w maju 1927 roku Brydzińską wyszła za mąż za hrabiego Potockiego.

„Od tego czasu Jaracz, który i tak za kołnierz nie wylewał - twierdził Henryk Cudnowski - zaczął pić coraz częściej, wskutek czego zdarzało się, że nie przychodził do teatru na swój występ. Gdy po jakimś czasie znów nie pojawił się w teatrze i znowu musiano odwołać przedstawienie, dyrekcja Teatru Narodowego udzieliła mu dymisji, a w dalszej

konsekwencji Jaracz został skreślony z listy członków ZASP-u. Był to straszny cios dla Stefana, który został pozbawiony jakichkolwiek dochodów. W owym czasie spotkałem go w dużej »Ziemiańskiej« stosunkowo trzeźwego i z rozmowy naszej okazało się, że nie ma nawet gdzie spać, albowiem od dłuższego czasu nie żył ze swoją żoną. Zaproponowałem mu wówczas wspólne zamieszkanie w Hotelu Wiedeńskim, gdzie - będąc sam bez mieszkania - upatrzyłem sobie bardzo tani pokój dwuosobowy<sup>21</sup>.

Wspólne mieszkanie z alkoholikiem bywa jednak kłopotliwe, o czym niebawem miał się Cudnowski przekonać. Pan Stefan regularnie wprowadzał się w stan upojenia, a co gorsza zdarzały mu się ataki psychozy, które mogły zakończyć się tragicznie.

„Spałem w najlepsze - wspominał Cudnowski - aż tu w nocy zbudził mnie niesamowity chrapliwy krzyk. Gdy się podniosłem, spostrzegłem Stefana odwróconego do mnie plecami i klęczącego na łóżku: »Zamknij to oko! Zamknij to oko, zamknij, ty kurwo! Takie straszne oko, nie zamkniesz?«. W jednej chwili wyskoczył z łóżka, dopadł krzesła stojącego przy oknie... stanął jedną nogą na parapecie. Ja w okamgnieniu skoczyłem ku niemu i właśnie, gdy ze słowami »Ja ci to oko wydrę« był gotów do skoku, chwyciłem go za tył dużej i z mocnego materiału uszytej koszuli, ściągając go tym sposobem w swoje objęcia. Stefan rozplakał się rzewnie<sup>22</sup>.

Jaracz pobierał się jednak. Nie chciano go w stolicy? Trudno, da sobie radę gdzie indziej. Zebrał grupę bezrobotnych aktorów, pożyczył tysiąc złotych, załatwił koncesję i ruszył z serią występów na prowincję. I osiągnął niebywały sukces.

„Cały ten rok spędziłem przy pracy, wędrując od jednego miasta do drugiego - relacjonował kilkanaście miesięcy później na łamach dziennika „ABC”.

- Zebrałem zespół zawierający 9 nazwisk, w Warszawie prawie nie znanych, zaś repertuar zawierał tylko dwie sztuki: *Szczęście Frania* oraz *Samson i Dalila*. W przeciągu roku zdążyłem zwiedzić 90 miast, nie wyłączając Wolnego Miasta Gdańska<sup>23</sup>.

I chociaż Jaracz przez większość *tournée* powstrzymywał się

od alkoholu, to jednak w Jarosławiu na wystawnym bankiecie złamał przyrzeczenie. Mocno zmęczony trunkami zespół zapadł w sen w wagonie stojącym na boczniczy kolejowej we Lwowie, co pan Stefan skrzątnie wykorzystał. Nad ranem w kalesonach (!) udał się do toalety i uciekł przez okno. A kiedy koledzy zorientowali się w sytuacji, było już za późno.

Odwołano trzy przedstawienia w Przemyśle, zagrożone zostały również wieczory we Lwowie. Zdesperowany Cudnowski poprosił o pomoc szefa miejscowej policji, Reinlendera. Funkcjonariusz obiecał pomoc, a przy okazji z uwagą wysłuchał opisu zachowania pijanego Jaracza.

„[...] głos w wysokim stopniu chrapliwy - tłumaczył Cudnowski - żywa gestykulacja oraz ulubiony jego zwrot »Kurrko wodna, jebał twoją duszę pies« i co najbardziej rzuca się w oczy, że tuż po każdej wódce (najwyżej 50 gramów) [...] z błyskawiczną szybkością wypija małe piwo. Rzadko pije sam, zwykle w towarzystwie jakiegoś przygodnego, świeżo poznanego człowieka, najczęściej ze sfery proletariackiej. Charakterystyczne, że lokuje się zwykle przy bufecie. Nigdy nie zatacza się”<sup>24</sup>.

Dzięki informacjom uzyskanym od Cudnowskiego policja nie miała problemów ze znalezieniem Jaracza. Aktor przebywał w „podłym szynku za rogatką Zamarstynowską”, ale mocno pijany nie chciał opuścić lokalu. Ostatecznie przewieziono go do szpitala, gdzie doszedł do siebie. Odwołano tylko jedno z zapowiadanych przedstawień we Lwowie.

Pan Stefan powtórzył *tournée* w następnym roku, niebawem też rozpoczął gościnne występy bez zespołu. Pojawił się także na scenach warszawskich, a wówczas okazało się, że widzowie byli spragnieni jego aktorstwa. Publiczność tłumnie odwiedzała Teatr Narodowy, aby zobaczyć Jaracza, podczas gdy na innych przedstawieniach widownia świeciła pustkami. A on po raz kolejny udowadniał swoją klasę.

„Przedstawienie robiło wrażenie popisu trupy prowincjonalnej w małym miasteczku, które zaszczylił przyjazdem jeden aktor ze stolicy - twierdził Antoni Słonimski. - Występ świetnego artysty, Stefana Jaracza, okazał raz jeszcze

niewiarygodnie niską klasę Teatru Narodowego, który nie potrafił nawet stworzyć przyzwoitych ram dla swego gościa. Zespół przeszkadzał śledzić kapitalną grę Jaracza. Zasługą tego aktora jest, iż mimo tych przeciwności potrafił trzymać widownię w napięciu i nie wypuszczał nas ani na chwilę spod sugestywności swej sztuki aktorskiej”<sup>25</sup>.

Aktor miał wyrobione zdanie na temat dyrekcji tego teatru, więc gdy zaproponowano mu kontrakt, odmówił. Doskonale pamiętał, jak wcześniej go potraktowano, i nie zamierzał puścić tego w niepamięć. Na brak propozycji zresztą nie narzekał, a o pomoc poprosił go sam Arnold Szyfman. W Teatrze Polskim w inscenizacji sztuki *Artyści* Wattersa i Hopkinsa przygotowano dla niego rolę aktora alkoholika, Skida. Jaracz miał właściwie zagrać samego siebie, czyli pijącego człowieka po przejściach, którego ukochana Bonny odeszła od niego z bogatym hodowcą koni... W rolę znienawidzonego rywala wcielił się osobiście Szyfman. Sztuka stała się przebojem stolicy, grano ją ponad sto razy.

„W każdym z widzów na *Artystach* jest coś z sadyzmu dziecka nabijającego żywą muchę na szpilkę i przypatrującego się jej męczarniom, bo przecież na tym przedstawieniu setki szpilek oczu widzów wbijają się w zbolałą duszę Jaracza - pisał Stanisław Piasecki na łamach »ABC«. - I znam wielu takich, którzy to robią z góry powziętą świadomością, którzy chodzą do teatru, bo ktoś im powiedział, że to nie tylko Jaracz tworzy postać sceniczną Skida, ale że w tym Skidzie jest więcej tragedii Jaracza niż papierowego Skida”<sup>26</sup>.

Następne inscenizacje były kolejnymi triumfami. Wydawało się, że pan Stefan jest w życiowej formie, na każdym kroku udowadniał, że jest najlepszym aktorem w Polsce.

„[...] widziałem Jaracza w Teatrze Polskim w *Trzech pokoleniach*, grającego w pierwszym akcie 20-letniego młodzieńca, w drugim - 50-letniego mężczyznę, a w trzecim - 75-letniego starca - wspominał Ludwik Sempoliński. - Było to niezapomniane dla mnie wrażenie!”<sup>27</sup>.

Kolejnym jego sukcesem w Teatrze Polskim okazały się *Przygody dobrego wojaka Szwajjka*. Opinie krytyków były

wprawdzie podzielone, ale publiczność dopisywała. Niestety, niebawem demony Jaracza ponownie dały o sobie znać.

„Onegdajsze przedstawienie *Szwejka* [2 IX] w Teatrze Polskim zostało odwołane z powodu »nagłej niedyspozycji pana Jaracza«, jak głosiło wyjaśnienie dyrekcji. Okazuje się, że znakomity artysta krytycznego dnia około godziny 9-ej opuścił swoje mieszkanie i udał się w niewiadomym kierunku. Koło godziny 15-ej zjawił się w teatrze i tu, zamknąwszy się w garderobie, przebywał aż do zmroku. W tym czasie wyszedł z teatru i dotychczas żadnej wieści o nim nie ma. Energiczne poszukiwania, wszczęte przez grono przyjaciół pana Jaracza, nie dały pozytywnych wyników. Możliwe, że artysta wyjechał z Warszawy, aby wypocząć po wyczerpanej pracy. Wczorajsze przedstawienie *Szwejka* odbyło się oczywiście bez pana Jaracza, którego rolę objął artysta, pan Czarnowski, specjalnie przez dyrekcję teatru sprowadzony z Lwowa”<sup>28</sup>.

Pod nieobecność Jaracza inscenizacja była zaledwie poprawnym spektaklem. Genialny alkoholik miał bowiem talent jak nikt inny w kraju.

„Szwejk Jaracza budził sympatię - tłumaczył Wiktor Brumer - Szwejk Czarnowskiego był zupełnie obojętny i - nudny. Jaracz wystrzegł się monotonii podczas długich opowiadań Szwejka, mówił szybko, przeciwnie Czarnowski: rozwlekał do niemożliwości kwestie, przez co przedstawienie niepomiernie się dłużyło, mimo iż opuszczono aż cztery odsłony, w tym dwie bardzo charakterystyczne. [...] Skonfrontowanie interpretacji Jaracza i Czarnowskiego jest wielce pouczające. Dowodzi ono, jaka przepaść dzieli artyzm od rutyny”<sup>29</sup>.

Z Szyfmanem nie było jednak żartów. Oddał sprawę do sądu, oskarżając Jaracza o straty finansowe, a sprawa ciągnęła się bardzo długo. Ostatecznie aktor ją przegrał i musiał zapłacić 3800 złotych odszkodowania. I nigdy tego Szyfmanowi nie wybaczył - obaj panowie odczuwali do siebie głęboką niechęć już do końca życia.

## NIE TYLKO JARACZ

Problemy alkoholowe pana Stefana nie były w środowisku aktorskim wyjątkiem. Nawet Witkacy, przyznając się do jednej tylko „pięciodniówki” w życiu, tłumaczył, że było to spowodowane „pewną premierą teatralną”, co uważał za okoliczność „wysocę łagodzącą”. W kręgach teatralnych piło się bowiem chętnie, często i dużo. I nawet legendarna abstynencja Eugeniusza Bodo miała początek w tragedii. Słynny aktor spowodował wypadek, w którym zginął jego przyjaciel Witold Roland, a kilka osób zostało rannych. Wszyscy byli pod wpływem alkoholu, a policja znalazła w przewróconym samochodzie puste butelki. Bodo skazany został na karę więzienia w zawieszeniu i już nigdy więcej nie tknął alkoholu.

„Warszawskie nocne życie po spektaklu - wspominał Jan Ciecierski - zaczynało się zwykle dla aktorów-wędrowników (do których należał Władysław Grabowski) od małego danka w hotelu »Europejskim« i kieliszka lub dwóch wódki czystej z wermutem. Potem szło się pod »Złotą kaczkę« (lubilem ten lokal) lub do »Adrii« (której nie lubilem), a kończyło się nad ranem u »Joska« na Gnojnej lub na dworcu. Nieraz słyszałem jak Grabowski dzwonił do Damiana (Dobiesława Damięckiego), przybierając najrozmaitsze tytuły - »Kapitan gwardii« melduje się po odbytej służbie albo »Kamerjunker« lub najczęściej »Karniet Grabowski zapytuje, gdzie zająć stanowisko«. Odpowiedź bywała krótka: Europa, Trębacka lub pod filarami”<sup>30</sup>.

Grabowski, wracając kiedyś rano z pewnej mocno zakrapianej imprezy, wdał się w dyskusję ze szklarzem niosącym na plecach ramę z szybami. Szklarz żalił się na brak zamówień, wobec czego Grabowski postanowił mu pomóc. Rozbił łaską najbliższą szybę wystawową, po czym zniknął w bramie swojego domu.

„Opowiadał mi jeden z kolegów - kontynuował Ciecierski - że poszli razem z Grabowskim w środku nocy do »Adrii«. Weszli na salę i musieli przejść koło dużego stołu, gdzie siedziało dość duże towarzystwo wojskowych wyższych stopni i cywilów z kół rządzących. Była tam również między innymi żonami,



generałowa X, o obfitych kształtach i jeszcze dość ładna. Grabowski, przechodząc koło niej, zaszczał: »Wspaniała kobieta! Chętnie bym z panią...« - i westchnął nader wymownie. »Nikt tego nie słyszał, tylko ja - ciągnął mój rozmówca - no, i ta pani generałowa uniosła się z miejsca i oburzona. - Co pan? Co pan? Jak pan może...? Przeszliśmy szybko i zajęliśmy stolik. Po kilku kieliszkach nadeszło znajome towarzystwo. Władzio się gdzieś zawieruszył. Ponieważ noc stawała się coraz bardziej szampańska, zacząłem się o niego niepokoić. Dobrnąłem wreszcie do portiera. »Ach, pan Grabowski? Może kwadrans temu wsiadł do dorożki z... z panią generałową« - odpowiedział, szelmowsko mrużąc oko<sup>31</sup>.

Alkohol zniszczył wspaniałą karierę Józefa Węgrzyna, o którym mawiano, że pijał trunki znacznie gorszego gatunku niż nosił nazwisko. Faktycznie pił wszystko, co zawierało alkohol, nie gardził również bimbrem degustowanym w towarzystwie warszawskich dorożkarzy.

„[...] w Węgrzynie nie raz i nie dwa nakładały się na siebie całkiem sprzeczne skłonności - pisał jego biograf, Kazimierz Biernacki. - Bohater na koturnach staczał boje z wesółkiem-kawalarzem, aktor potykał się z alkoholikiem [...] papista ze schizmatykiem, czciciel tradycji z wagabundą, atrakcja towarzystwa z »bratem-łata«, domator z knajpiarzem<sup>32</sup>.

Alkohol fatalnie wpływał na psychikę Węgrzyna, który tracił kontrolę nad swoim postępowaniem. Poczul się prawdziwym królem życia, przestał nawet chodzić do fryzjera, bo codziennie około południa pojawiał się u niego pan Apolinary z Pałacu Sztuki Fryzjerskiej, aby ogolić mistrza. Wreszcie stracił głowę dla młodszej o ponad dwadzieścia lat koleżanki ze sceny, Zofii Lindorfówny. Porzucił żonę i przeszedł na prawosławie, by móc poślubić Zofię. Jednak po piętnastu latach i to małżeństwo się rozpadło, a przyczyną był alkoholizm aktora.

Podczas okupacji w Auschwitz zginął jego ukochany syn Mieczysław. To ostatecznie zniszczyło psychikę aktora, który po wojnie właściwie nie zaistniał już na scenie. Prowadził budkę z wódką, a potem trafił do szpitala psychiatrycznego w Kościanie, gdzie zmarł w zapomnieniu w 1952 roku.

Na szczęście nie wszystkie alkoholowe historie miały podobnie tragiczny koniec. Trunkami chętnie raczyli się też początkujący aktorzy, co można uznać za przywilej młodości. Alkohol często towarzyszył im podczas objazdowych imprez organizowanych dla poratowania budżetu. Zdarzyło się kiedyś, że gotowa już do wyjazdu trupa stanęła przed poważnym problemem - aktor przeznaczony do jednej z ról spuchł w wyniku bólu zęba. Ale od czego pomysliwość młodych zapaleńców? Namówiono do wyjazdu jego kolegę, studenta farmacji i miłośnika teatru. Miał się nauczyć swojej niedużej roli w pociągu i wypowiedzieć na scenie kilka nieskomplikowanych kwestii. Niestety, przed rozpoczęciem przedstawienia zdążył przeczytać jedynie pierwsze dwa akty (a na scenie pojawiał się w trzecim) i wiedział tylko tyle, że miał mówić o jakimś zabłąkanym, małym psie. Zresztą zżerała go potworna trema, więc kiedy wreszcie wypchnięto go przed publiczność, zdał sobie sprawę z tego, że nic nie powie.

„Działać zaczął sufler: »Nie zabłąkał się tu mały«... Na kilkakrotne powtarzanie nasz adept reagował jeszcze większą trema. Podpowiadać zaczęli bliżej stojący koledzy, ale trema nie dawała mu dojść do słowa. Zresztą nic nie słyszał. Pustka w mózgu. Widownia zlewała się w jakieś niesamowite panoptikum. Nagle do jego świadomości dotarło słowo »piesek«. Była to zasługa reżysera. Szczeknął więc raz - głos mu jakoś dopisał. Szczeknął drugi. Koledzy spojrzeli w popłochu po sobie... To go pobudziło do dalszego działania. Podbiegł do nich i znów zaszczekał. A potem już tylko biegał i szczekał.

Szczekanie zresztą wychodziło mu całkiem dobrze. Wskoczył na stół i zawył. Publiczność na widowni szalała ze śmiechu. Ludzie ryczeli, tupali, bili brawo, stawali na ławkach, gwizdali. Nareszcie kurtyna zapadła. Nie silę się opisać tego, co działo się potem za kulisami. A nasz bohater był bohaterem do końca. Wstąpił na studia aktorskie”<sup>33</sup>.

Czy trzeba dodawać, że taki sukces należało wyjątkowo hucznie uczcić?

## SZEWSKIE DNI MAJSTRA

„A Jaracz? Ten miał wszystko przeciwko sobie - wspominała Irena Krzywicka. - Mały, krępy, o pospolitej twarzy i chrapliwym głosie. Jeżeli można mówić o aktorskim geniuszu, to Jaracz był genialny. Mógł grać wszystko, z wyjątkiem amantów. Ponury, śmieszny, wzruszający, bezradny, groźny. Niepowtarzalny Kali- ban, chamski, przerażający, ale pełen mocy Szela, żaloszny Franio w *Szczęściu Frania*, nieporównanie komiczny w *Chorym z urojenia* albo w *Mieszczaninie szlachcicem*, intelektualny albo prostacki, kiedy trzeba. Nie umywają się do niego aktorzy z Comédie Française. To smutny luksus polski, że aktor tej miary, z którym nie mógł się nawet porównać ani Wegener, anijannings, ani Jouvet, ani Raimu, był ograniczony tylko do własnego kraju, na marginesie kultury europejskiej”<sup>34</sup>.

Niestety, Jaracz nie potrafił poradzić sobie ze swoją chorobą alkoholową nawet wtedy, gdy stanął na czele własnego teatru. A przecież dokonał czegoś niebywałego - jego scena pozbawiona dotacji miejskich i utrzymująca się wyłącznie z wpływów za bilety prezentowała ambitny repertuar, ciesząc się uznaniem krytyki i publiczności. Ateneum uznawano za pierwszy teatr Warszawy i była to opinia w pełni uzasadniona.

A pan Stefan nic nie tracił ze swojej formy (pod warunkiem, że był trzeźwy). Dziennikarz Tadeusz Gładych obserwował próbę generalną sztuki *Kapitan z Koepenick* Zuckmayera:

„Daniłowicz wrzasnął: - Pan Jaracz do sceny napadu! - Podniosłem głowę. W zdumieniu cofnąłem się. Człowiek siedzący obok mnie nie był już Jaraczem. Powoli podnosił się z krzesła, wyraz twarzy miał nonszalancki, złośliwy. Ręce oparł na biodrach. Kapitańskim twardym krokiem poszedł w stronę sceny”<sup>35</sup>.

Najgorszym jednak wrogiem szefa Ateneum była jego własna psychika. Wciąż pojawiały się ciągi alkoholowe, a bez Jaracza przedstawienia na Powiślu nie miały sensu.

„Wczorajsze przedstawienie w Ateneum zostało nagle odwołane z powodu zniknięcia wykonawcy roli głównej, p.

Jaracza - donosiła prasa. - Odwołanie to było bardzo przykre dla tych, którzy z powodu strajku tramwajowego pieszo przyszli do tak daleko położonego teatru”<sup>36</sup>.

Ateneum stało się jednak modne i do teatru ciągnęły prawdziwe pielgrzymki widzów spragnionych sztuki na najwyższym poziomie. Niestety, wszystko to waliło się, gdy pan Stefan zniknął.

„Zdarzały się jednak dni, kiedy fotel Jaracza był pusty - pisał biograf aktora, Edward Krasiński. - Padało wówczas w teatrze twarde zdanie: Majster ma swój okres. Nie było go już na próbach *Ulicy*, drugiej premiery, zrywał dalej przedstawienia, popadał w depresje na występach gościnnych w Łodzi i we Lwowie. Niedyspozycje mistrza czy incydenty alkoholowe w zespole niosły teraz treści szczególnie bolesne i następstwa bardziej dramatyczne. Libacje Majstra deprymowały zespół. Naruszanie dyscypliny przyjmował Jaracz jak policzek. Ateneńczycy dobrze znali, nawet przeczuwali Jaraczowe kryzysy... Majster stawał się niecierpliwy, przygaszony, zamknięty. Napady lęku, daremne próby opanowania niepokoju kończyły się ucieczką »w Polskę«. Auto, dorożka, tramwaj, każdy przygodny środek lokomocji - byle dalej, »za miasto«, do jakiejś obskurnej knajpy żydowskiej, by przepijać w najdziwniejszym towarzystwie. [...] Jeżeli zniknął z teatru nie zauważony, czekano niecierpliwie na sygnał z miasta: w którym jest barze, w jakim stanie, w jaki sposób najszybciej dowieźć go do teatru. Jaracz stawiał opór, nie przebierał w gestach i słowach, półprzytomny, brudny, wymięty albo śmiertelnie bezwładny”<sup>37</sup>.

Majstra doprowadzano do porządku i wszystko na pewien czas wracało do normy. Aż do następnego ataku choroby i kolejnej ucieczki...

Aktorzy dochowywali mu jednak wierności, a nawet jeśli odchodzili, to z reguły wracali. Wiedzieli bowiem, że żaden inny teatr w Polsce nie będzie dla nich tak dobrą szkołą zawodu, jak placówka z Powiśla. Tym bardziej że Jaracz przejął dużo od Osterwy i podczas pracy nad *Senatem szaleńców* Janusza Korczaka wraz z zespołem odwiedził zakład

psychiatryczny w Tworkach. Podobnych wrażeń nie mógł zapewnić aktorom Szyfman ze swoim teatralnym koncertem...

„Że Stefan Jaracz jest olbrzymem polskiego teatru, o tym wie każdy - pisano na łamach »Expressu Porannego«. - Ale Stefan Jaracz jest czymś więcej: artystą pełnym twórczego niepokoju, nigdy nie zadowolonym z siebie poszukiwaczem nowych, doskonalszych form interpretacji, wrogiem rutyny, głęboko zaprzątniętym problemami sztuki aktorskiej. Niezadowolenie z siebie to warunek postępu i rękojmnia uczciwości; toteż rozwój Jaracza jest linią nieprzerwanie dążącą wzwyż, a zdanie jego - głosem sumienia całego świata aktorskiego”<sup>38</sup>.

Pomimo regularnego odwoływania przedstawień Jaracz nie stracił sympatii publiczności. Widzowie przyzwyczaili się, że trzeba go odbierać takim, jakim jest. Wielcy ludzie mają również swoje słabości, a pan Stefan nie był wyjątkiem. Był człowiekiem, który przez niemal całe życie walczył ze swoimi demonami i czasami im ulegał. A przecież wszyscy doskonale wiedzieli, że gdy „nie był pijany w kamień, grał, jakby wulkan buchnął”.

## DO KOŃCA WIERNY SOBIE

Po wybuchu wojny Stefan Jaracz, podobnie jak większość polskich aktorów, został bez środków do życia. W pierwszych tygodniach niemieckiej okupacji uważał jednak, że niebawem powróci do zawodu.

„Z początku przeważał sąd - pisał w 1945 roku - że należy się rejestrować, wykonywanie bowiem swego zawodu w ramach nie kolidujących z nakazami sumienia narodowego nie może być przez nikogo kwestionowane. Przekonanie to wydawało się słuszne zaraz po wejściu Niemców, najlepszy dowód, że nikt nie robił zarzutów teatrowi krakowskiemu, kiedy przygotowywał się do otwarcia teatru, ani nie miał pretensji do teatru lubelskiego, który już w październiku zaczął grać. W tym przekonaniu w listopadzie 1939 roku złożyliśmy, Adwentowicz i ja, a może jeszcze ktoś (Schiller), podania do okupantów o

pozwolenie otwarcia swoich teatrów, rozumując, że - chociaż w ciężkich warunkach okupacyjnych - należy swój obowiązek wypełniać<sup>39</sup>.

Gdy jednak ZASP ogłosił bojkot scen koncesjonowanych przez Niemców, Jaracz podporządkował się bez zastrzeżeń. Znalazł się w ciężkiej sytuacji materialnej, mimo to nie przyjął oferty pracy kelnera w kawiarni aktorskiej przy Foksal (dawna Café-Bodo). Przez pewien czas wraz z żoną i córką żył tylko z niewielkiego zasiłku wypłacanego przez ZASP.

„Wrócił postarzały, posiwiały i wyszczuplony do Warszawy - opowiadał Juliusz Osterwa - i w rozmowie ze mną oświadczył, że nie bierze do ust alkoholu, aby zupełnie trzeźwo patrzeć na wypadki. Zwierzył mi się również ze swoich wielkich przemian wewnętrznych - nawrócił się. Z tego, co mówił, była prawda<sup>40</sup>.

Przez długie miesiące zachowywał abstynencję i nawet podczas aktorskiej wigilii w Café-Clubie u zbiegu Alej Jerozolimskich i Nowego Świata odmówił spożycia alkoholu. Tłumaczył, że zamierza dotrzymać przyrzeczenia i nie pić do końca wojny. Nie przypuszczał jednak, że okupacja niemiecka potrwa aż pięć lat, a on sam nie pożyje o wiele dłużej.

„Wieczór wigilijny w »Café-Clubie« - wspominała Aniela Kowalska. - Około 50 osób ze świata artystycznego - oprócz zaproszonych gości. Prawie cały zespół Jaracza [...], nastrój nierówny, maskowana śmiechem nerwowość, zdradzająca dokuczliwą świadomość klęski, o której się nie mówi, ale o której ani na chwilę naprawdę zapomnieć się nie da.

Wieczera wigilijna, nie bez wódki. Jaracz nie pije, komuś dziwiącemu się tłumaczy po prostu, że od pierwszego dnia okupacji poprzysiągł sobie, że nie weźmie wódki do ust, póki nie będzie końca temu wszystkiemu! Patrzę na Jaracza, który siedzi naprzeciwko mnie: twarz trochę tatarska, wschodnia, o ciemnych gorejących oczach, często wółprzymkniętych; szpakowate włosy dziwnie mało świadczą o wieku, głos głęboki, wnikliwy, naturalna serdeczność w odniesieniu do zespołu! Gdy się go słucha, pojmuję się, że jest nie tylko wielkim artystą, ale i mądrym, dojrzałym człowiekiem, który przemyślał wiele<sup>41</sup>.

W kwietniu 1940 roku w lokalu Café-Clubu powstała Café-Jaracz, w której pracowali dawni aktorzy z Ateneum. Sam Majster siadywał w końcu sali, rozmawiał z gośćmi, a czasami coś recytował. Lokal cieszył się dużą popularnością wśród mieszkańców stolicy.

Pan Stefan pojawiał się również w innych kawiarniach aktorskich, występował na spotkaniach prywatnych. Jednak gdy hitlerowcy zlikwidowali Café-Jaracz, znów znalazł się w trudnej sytuacji materialnej. Mimo to po ogłoszeniu przymusowej rejestracji artystów nawoływał do bojkotu zarządzenia okupantów. Razem z rodziną żył wyłącznie z emerytury swojego starego ojca, który kilka lat wcześniej przeniósł się do stolicy. Pozostał jednak nieugięty, uważając, że praca na koncesjonowanych scenach służy niemieckiej propagandzie. Niebawem zresztą miał osobiście poznać metody stosowane przez hitlerowców.

7 marca 1941 roku oddział egzekucyjny ZWZ zastrzelił kolaboranta, aktora Igo Syma. Okupanci natychmiast odpowiedzieli represjami, aresztowano ponad sto osób. 11 marca w Palmirach rozstrzelano dwudziestu jeden zakładników, zemsta dotknęła także aktorów. Aresztowano Leona Schillera, Stefana Jaracza, Elżbietę Barszczewską, Lidię Wysocką, Zbigniewa Sawana i wielu innych. Aktorzy przeszli Pawiak, więzienie przy ulicy Szucha, a następnie część z nich trafiła do Oświęcimia.

W obozie znalazł się również Jaracz (z Schillerem i Sawanem). W wyniku intensywnych zabiegów przyjaciół został zwolniony po sześciu tygodniach, ale pobyt w Auschwitz fatalnie odbił się na jego zdrowiu. Początkowo wydawał się w dobrej formie, dostrzegał nawet pewne pozytywne strony całej sytuacji (pogodził się z Schillerem). Niebawem jednak wystąpiły u niego symptomy gruźlicy, a w warunkach okupowanej Warszawy nie było możliwości skutecznej terapii. Umieszczono go w sanatorium w Otwocku pod Warszawą, ale to nie mogło uratować mu życia.

Utrzymywał się ze składek społecznych i zbiórek organizowanych w środowisku aktorskim - pomagali mu nawet artyści pracujący na koncesjonowanych scenach. A on, stojąc już u

progu śmierci, inaczej patrzył na okupacyjną rzeczywistość. Nikogo nie potępiał i nie atakował, bo wiedział, że aby przeżyć, trzeba w jakiś sposób zarabiać na utrzymanie najbliższych.

„Stefan najgłośniej kaszle - wspominał Edmund Wierciński - najgłośniej je, wyraz oczu i ust ma tragiczny, cerę ziemistą, wargi sinawe, czoło blade przeźroczystą bladością Otwocka”<sup>42</sup>.

Powrócił do alkoholu, bo wiedział, że to już nie mogło mu specjalnie zaszkodzić, a dawało przynajmniej chwilę zapomnienia. Odchodził z wielką klasą, w biedzie, wyniszczony chorobą, ale do końca wierny sobie.

„Jadzia [Jaraczowa, żona aktora - S.K.] mówiła potem, że 10 sierpnia Stefan obudziwszy się z rana, wypluł kawałek płuca. Przeraził się, odczuł nerwowy lęk. Począł modlić się gorączkowo.

Uspokojony ciepłem słów Jadzi, pogрузzył się w rozmyślaniach. Leciusieńko uśmiechnięty powiedział: »Umieram stylowo: na suchoty i w nędzy«<sup>43</sup>.

Zmarł nazajutrz, 11 sierpnia 1945 roku. W teatrach ogłoszono trzydniową żałobę, a w dniu pogrzebu w całym kraju flagi państwowe opuszczono do połowy masztu. Odszedł na zawsze niepokorny buntownik, marzyciel i chyba najwybitniejszy polski aktor XX stulecia, a jednocześnie człowiek, który nigdy nie potrafił się uporać ze swoimi demonami.



## **Rozdział 7.**

### **Przypadki Ireneusza I.**

#### ZŁY CHŁOPIEC PRL

Był bardzo szybko przekładany na obce języki - mówiła o Ireneuszu Ireedyńskim Joanna Siedlecka. - Na niemiecki, na angielski, jego sztuki były grane w świecie. On nie pracował, utrzymywał się z literatury, zarabiał duże pieniądze. [...] Miał piękny dom, miał daczę na Mazurach, miał zawsze zachodnie samochody, pieniądze na balangi, na panienki. Zazdrozczono mu”<sup>1</sup>.

Ireedyński był człowiekiem nieprzeciętnym i jako taki musiał znaleźć się pod inwigilacją służb PRL. Obserwowano go już od chwili debiutu literackiego w 1955 roku. A na zainteresowanie Służby Bezpieczeństwa pisarzem wpływało dodatkowo to, że jego utwory przedrukowywała paryska „Kultura”.

„W warszawskich kawiarniach i salonach literackich - donosili tajni współpracownicy SB - znany jest głównie ze swoich niemoralnych i chuligańskich wyczynów. Wybryki jego, mimo że chamskie i graniczące czasem z pospolitym przestępstwem, są tolerowane przez środowiska literackie. Ten pobłażliwy stosunek określany jest przekonaniem, że jest niezwykle utalentowanym pisarzem i dramaturgiem, oraz ze względu na treść i formę jego twórczości, w której dostrzegają niektórzy elementy protestu przeciwko tendencjom partii do ograniczania wolności twórców”<sup>2</sup>.

Ireneuszem Ireedyńskim interesował się osobiście Władysław Gomułka. Towarzysz „Wiesław” nigdy nie miał większego zrozumienia dla spraw kultury, a wszystkich artystów uważał za potencjalnych wrogów ustroju. Na temat Ireedyńskiego zabierał głos dwukrotnie (podczas XII Plenum KC PZPR i na wspólnym zebraniu redakcji „Przeglądu Kulturalnego” i

„Nowej Kultury”), za każdym razem ostro go atakując. A w praktyce oznaczało to wyrok na pisarza.

## KRAKOWSKI DEBIUT

Ireneusz Ireduński urodził się w roku wybuchu II wojny światowej w Stanisławowie. Jego ojciec, Andrzej, był urzędnikiem, natomiast matka, Aleksandra Ziółka, zajmowała się domem. Wiele nieporozumień narosło wokół właściwego nazwiska pisarza, twierdzono bowiem, że jeszcze po repatriacji nazywał się Kapusto, co jednak nie wydaje się prawdą. Zachował się bowiem akt ślubu rodziców Ireneusza z parafii w Hryniowcach koło Stanisławowa, w którym widnieje nazwisko „Andrzej Ireduński”. Jeżeli faktycznie ojciec pisarza zmienił nazwisko, musiało to nastąpić jeszcze przed jego ślubem.

Matka Ireneusza pochodziła z zasymilowanej rodziny żydowskiej. Podczas wojny porzuciła rodzinę i zniknęła. Według dość wiarygodnych informacji udało się jej przetrwać Holokaust, a następnie osiąść w Izraelu. Nigdy jednak nie interesowała się losami swojego dziecka.

Joanna Siedlecka twierdzi natomiast, że Andrzej Ireduński podczas niemieckiej okupacji wyrzucił żonę z domu, ponieważ stanowiła dla niego zagrożenie. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne, gdyż wiadomo, że ojciec Ireneusza służył w armii Andersa, nie mógł zatem przebywać w Stanisławowie po zajęciu miasta przez hitlerowców. Możliwe, że jako polski urzędnik został już wcześniej aresztowany przez NKWD i dopiero układ Sikorski-Majski wyzwolił go z łagru czy też więzienia. To elementarna wiedza historyczna na poziomie szkoły podstawowej i warto o tym pamiętać.

Po zakończeniu wojny mały Ireneusz został wraz babką i ciotką przesiedlony na zachód i zamieszkał w Bochni pod Krakowem. W 1948 roku dołączył do niego ojciec, co stało się powodem dużych problemów chłopca. Andrzej Ireduński okazał się sadystą kształtującym charakter dziecka za pomocą

kijów, pasów i rzemiennych dyscyplin. Przechowywał zresztą te narzędzia dość długo i pokazywał je znajomym, gdy Ireneusz był już dorosłym człowiekiem. Nic zatem dziwnego, że chłopak w wieku piętnastu lat uciekł z domu, aby więcej do niego nie powrócić. Nigdy nie zrobił matury, ale już w wieku szesnastu lat zaczął publikować w krakowskiej prasie.

„Zacząłem pisać wiersze przed dziesięciu laty - wspominał Iredeński na łamach »Współczesności« w 1964 roku - miałem wówczas lat piętnaście, mieszkałem w Krakowie, dość szybko zaczęła je drukować prasa krakowska. W wieku lat kilkunastu piękna, lecz nieco pryszczata choroba pisania wierszy towarzyszy jak cię prawie wszystkim chłopcom; to, że się wybiera zawód pisarski (co czyni znakomity procent z owej rzeszy rymopisów), jest najczęściej funkcją przypadku i umiłowania, sprzyjających okoliczności i uporu. Tak też było ze mną”<sup>3</sup>.

Niebawem został przyjęty do Związku Literatów Polskich, miał już wówczas na koncie powieść kryminalną (wydaną pod pseudonimem) oraz tomik wierszy. Był najmłodszym członkiem stowarzyszenia - miał zaledwie dwadzieścia lat.

## MŁODY GNIEWNY

„[Iredeński] pisze tylko dlatego, że jest to łatwy sposób zdobywania pieniędzy - raportował TW »Bruno Haller« - i ma nad tamtymi [innymi pisarzami - S.K.] tę przewagę, że książkę pisze w dwa tygodnie, scenariusz w dwa dni, a w dochodach z pióra umiejscawia się w pierwszej dziesiątce pisarzy”<sup>4</sup>.

Ireneusz rzeczywiście miał nieprawdopodobną łatwość pisania, czym wprawiał w osłupienie innych literatów. Wprawdzie nie pisał scenariusza w dwa dni, lecz w tydzień, ale dla innych i tak było to niemożliwe do osiągnięcia. Potrafił natomiast w ciągu jednej nocy napisać rozdział książki, w czym nie przeszkadzał mu rujnujący zdrowie tryb życia. Jednak gdy pisał, nigdy nie pił, i to odróżniało go od wielu kolegów po piórze.

Iredyńskiego uznawano za następcę Hłaski, a on umiejętnie kreował swój wizerunek. Przybrał pozę „demonia zła”, co w realiach Polski Ludowej oznaczało swobodne życie erotyczne, duże dawki alkoholu i ekscesy w knajpach. Opowiadano, że zgasił papierosa w uchu dziennikarza (i członka PZPR) Grzegorza Lasoty i że syfonem rozbił głowę niejakiemu Andrzejowi S. W tej sprawie milicja wszczęła nawet oficjalne dochodzenie, jednak poszkodowany nie zrobił obdukcji, a świadkowie nie potwierdzili zajścia. Inna sprawa, że organy ścigania usiłowały powiązać to zdarzenie z morderstwem pułkownika rezerwy Stanisława S., który faktycznie zginął od ciosu syfonem w głowę.

Zachowane raporty informatorów wskazują, że Iredyński na co dzień zadawał się z mocno szemranym towarzystwem, ignorując jednocześnie większość środowiska literackiego (z właściwym sobie wdziękiem nazywał ich „wicechujami”). Do jego najbliższych znajomych należeli: Jan Himilbach, Roman Śliwonik, Jerzy Falkowski, Stanisław Grochowiak, Edward Stachura i Marek Nowakowski. Utrzymywał jednocześnie kontakty z żigolakami, bananową młodzieżą, a nawet z arystokratami.

„Obraca się często w środowisku typu Zamoyskich [Adam Zamoyski, mąż Teresy Tuszyńskiej - S.K. - które chce imponować, że w swoim towarzystwie posiada bądź co bądź literata. A także w środowisku młodych ludzi, często bez określonych źródeł utrzymania. Niektórzy są na utrzymaniu kobiet, np. aktorek, inni mają bogatych rodziców”<sup>5</sup>.

Iredyński praktycznie nie mógł żyć bez alkoholu, którego obecność w organizmie stanowiła konieczny warunek jego normalnego funkcjonowania. Pił praktycznie zawsze i wszędzie.

„Jeżeli musiał wyjść - wspominała pasierbica pisarza Dorota Marczevska - to miał przy sobie taką siatkę szmacianą i tam miał butelkę. I po prostu co jakiś czas popijał łyżka i utrzymywał poziom alkoholu na stałym poziomie, przy czym uważał, że on się nigdy nie upija. To znaczy, on pije, natomiast jest trzeźwy”<sup>6</sup>.

Nietypowe pijackie obyczaje pisarza potwierdzał również Piotr Kofta, który jako dziecko przez pewien czas był jego sąsiadem:

„Mocno pił. Ale pił dziwnie - jakoś tak nie po polsku. Przyjmował alkohol niczym lekarstwo, regularnie i w określonych (dość sporych) dawkach. Ale po picciu zawsze się zbierał: czysty, świeżo ogolony, w jasnym ubraniu. Nigdy nie pisał po wódce”<sup>7</sup>.

Ireneusz, jak każdy rasowy alkoholik, był przekonany, że znalazł tę jedną jedyną receptę na spożycie alkoholu w dowolnych ilościach. Uważał, że inni popełniają błąd za błędem i nigdy nie potrafił zrozumieć upodobania Grochowiaka do koniaku:

„Te koniaki go zgubią, kulwa [Ireduński nie wymawiał »r«], tylko czysta i błoń Boże odstawiać. Taki zobacz, twóca, Kubiak [Tadeusz Kubiak - S.K.]. Powiedział, że przerzucą się na mleczko. I co? Długo pożył? Góla dwa tygodnie. Olganizm nie zniósł wstrząsu”<sup>8</sup>.

Inne zdanie na ten temat miała Jadwiga Staniszkis, przez pewien czas towarzyszka życia Ireduńskiego. Uważała, że pisarz i jego przyjaciele robili wszystko, aby świadomie zapisać się na śmierć.

„To środowisko, Irek, Grochowiak, wielu innych naokoło niego, praktycznie cały czas byli [pijani], Irek wypauzowywał, kiedy pracował, a pracował właściwie głównie dla pieniędzy, pisał słuchowiska. Ja wiedziałam, jak doprowadzić do tego wypauzowania, to było czysto techniczne. Po prostu większość czasu byli na gazie, świadomie. Grochowiak wiedział, że ma ciężko chorą wątrobę, po prostu nie chcieli żyć. [...] To było przede wszystkim uciekanie z nudów, bo tak strasznie było nudno wtedy z ich perspektywy”<sup>9</sup>.

Literaci z otoczenia Ireduńskiego odchodzili w stosunkowo młodym wieku. Pili na umór i niewielu z nich dożyło pięćdziesiątki. Zresztą nie tylko alkohol wpływał na stan ich zdrowia.

„[Ireduński jest] bez stałego miejsca zamieszkania - donosił TW »Literat«. - Prowadzi hulawczy tryb życia. Jego sąsiad

(obaj mieszkali w sublokatorskich pokojach) opowiada, że Ireduński po przepiciu całego zapasu pieniędzy w ciągu dwóch dni całkowicie głodował, aż wreszcie poprosił gospodynię o kawałek chleba<sup>10</sup>.

Szczególnie blisko Ireneusz był ze Stachurą - spotykali się na prywatkach, wspólnie rozbijali się po knajpach, przez pewien czas razem nawet mieszkali u Witolda Migonia. Stachura zmarł w 1979 roku (trzy lata po Grochowiaku) - popełnił samobójstwo, wieszając się na jedwabnym sznurze.

Ireduński o jego śmierci dowiedział się przez telefon. I podobno wówczas, całkowicie zaskoczony i poruszony, bezmyślnie powtórzył na głos treść wiadomości, a po chwili zapytał: „A skąd ten skurwysyn wziął jedwabny sznur?”.

## SZTUM

„[...] kobiety, którymi [Irek] się interesował - opowiadała Jadwiga Staniszkis - na moment czuły się ważne. Bo rzeczywiście to było bardzo intensywne i przez pewien czas było wciągające. Ale potem większość tych osób, tych pań, z ulgą przyjmowały, że jakaś inna, na nowo zaczynająca ten proces wiary, że to się uda zmienić i tak dalej, przejmuje nad nim opiekę. [...] Ktoś, kto dużo pije, ktoś, kogo trzeba przywozić w środku nocy ze SPATiF-u i być przy nim, i pamiętać, żeby zawsze w lodówce była ćwiartka [...], to jest praca<sup>11</sup>.

Ireduński był dwukrotnie żonaty, miał również wiele romansów. Jego słabość do płci pięknej wykorzystwała Służba Bezpieczeństwa, organizując przeciwko niemu prowokację. Zgodnie bowiem z komunistyczną tradycją osoby niewygodne wplątywano w afery kryminalne, co miało skompromitować je w społeczeństwie. Natomiast pobyt w więzieniu miał łamać charakter osadzonych i przy okazji zastraszyć środowisko.

Główną rolę w całej aferze odegrała córka pułkownika Służby Bezpieczeństwa. „Przypadkowo” poznała Ireduńskiego popijającego w towarzystwie studenta reżyserii Edwarda

Żebrowskiego, po czym dała się zaprosić na kontynuację libacji. Przenieśli się w trójkę do mieszkania, którym Ireduński opiekował się podczas nieobecności gospodarzy.

„Było to tak, że ta osoba natychmiast po wejściu do mieszkania przeprosiła nas i powiedziała, że musi pójść do łazienki - wspominał Edward Żebrowski.

- Irek jej pokazał, gdzie jest łazienka [...] i zajęliśmy się sobą, czyli rozmową. I jej nie było pięć minut, dziesięć minut, piętnaście minut, i zaniepokoiiliśmy się, co się z nią dzieje, czy coś się jej nie stało. Zapukaliśmy, nikt nie odpowiadał, otworzyliśmy drzwi. A tam złożona na stołeczku leżała jej sukienka i jej bielizna. I były uchylone drzwi na klatkę schodową. W pięć minut później zjawiała się milicja”<sup>12</sup>.

Ireduńskiemu i Żebrowskiemu postawiono zarzut próby gwałtu. Nikt w warszawskim środowisku artystycznym w to nie wierzył, mówiono nawet ironicznie, że Ireduński został oskarżony o napad z chujem w rękę. Wiedzano bowiem, że w osobie pisarza partyjny establishment chciał ukarać literackich buntowników.

„Mimo że był to bunt marnej jakości - pisał Jan Kłossowicz - polegający na picciu, na ekscesach, na wybrykach. Bunt właściwie pozorny, na pewno nie stanowiący żadnego społecznego zagrożenia. Ale tak myślano. I skrupiło się na Ireduńskim [...]. Stał się wtedy niemalże symbolem moralnego zepsucia artystów, został wyklęty, a jego utworów nie publikowano. Czym innym jednak była ta sprawa i czym innym wymiar, jaki jej nadano. A przedstawiciele oficjalnej moralności, którzy tak surowo go osądzali, sami odeszli potem ze splamionymi rękami”<sup>13</sup>.

O rzekomej próbie gwałtu natychmiast poinformowała prasa. Pisano o „zwyrodnialcach”, których powinno się „w interesie społeczeństwa izolować” oraz o „pewnych bezkarności organizatorach pijanych ubawów”. Głos zabrał również jeden z ideologów PZPR, redaktor naczelny „Prawa i Życia” Kazimierz Kąkol. Nazywając oskarżonych „jaskiniowcami”, porównywał ich do sprawców zbiorowych gwałtów i okaleczeń (proces taki toczył się właśnie przed jednym z sądów). Stwierdził, że od

literata i reżysera powinno się wymagać więcej niż od zwykłego obywatela, zatem i kara powinna być bardziej surowa. Zaapelował do prokuratury o jak najwyższy wyrok i szybkie rozpatrzenie sprawy. Przy okazji warto przypomnieć, że kilka miesięcy wcześniej ten sam Kazimierz Kąkol usprawiedliwiał w prasie egzekucję Stanisława Wawrzeckiego skazanego w aferze mięsnej...

Iredyńskiego i Żebrowskiego sądzono w trybie doraźnym (!!!), a wyroki zapadły już kilka tygodni po rzekomym uśiłowaniu gwałtu. I chociaż podczas procesu wyszły na światło dzienne sprawy niewygodne dla prokuratury (udowodniono, że ofiara sama się rozebrała, a przynajmniej zdjęła kozaczki), to oskarżeni zostali skazani na trzy lata więzienia. W środowisku literackim Warszawy wyrok uznano za skandal.

Edwarda Żebrowskiego zwolniono po ośmiu miesiącach, natomiast Iredyński odsiedział wyrok w całości. Przetrzymano go w ciężkim więzieniu w Sztumie, razem z najgroźniejszymi kryminalistami. Ale pisarz nie zamierzał prosić o łaskę.

„Ja byłem u niego w więzieniu, w Sztumie - wspominał Stefan Kisielewski - i on mi dał list do Starewicza [Artur Starewicz, sekretarz KC PZPR - S.K.]. Ja ten list mu dałem, nie czytając... No i Starewicz do mnie mówi: »Proszę pana, gdyby on błagał o łaskę, to mógłbym coś zrobić, ale on napisał, że prokurator jest łajdakiem, oskarżenie kłamliwe - ja nie mogę nic zrobić«. No i przesiedział trzy lata”<sup>14</sup>.

## JADWIGA STANISZKIS

„Spotkałam go kiedyś na ulicy - wspominała jedna z przyjaciółek Ireneusza. - Powiedział, że idzie popływać na »Legii«. - Popilnujesz więc mojej córki - ucieszyłam się - jest tam z koleżankami. Irkowi ze śmiechu nabiegły do oczu łzy. Opanował się wreszcie: »Żeby opiekę nad nastolatką powierzyć takiej kreaturze?!«. Po południu odprowadził córkę do domu. Miły chłopak”<sup>15</sup>.



Jedną z cech charakteru Ireedyńskiego była jego nieprzewidywalność. Potrafił być brutalny, lubił prowokować, ale zdarzało się również, że zachowywał się z wielką klasą, a nawet ze staroświecką galanterią.

„Potrafił być delikatny i czuły, nawet gdy co drugie słowo wplatał najpowszechniejszy wulgaryzm. Mógł przyjść do nas na obiad w poprzecieranej na łokciach marynarce, ale nie zapominałby o kwiatach dla córki, którą po prostu lubił”<sup>16</sup>.

Wiele osób, z którymi spotykał się na co dzień, zachowało o nim ciepłe wspomnienie. Należał również do nielicznych alkoholików pamiętających o swoich długach i zawsze oddawał pożyczone pieniądze. A to rzadkość.

„To była ciężka postać - wspominał Bronisław Tumiłowicz. - Facet okropnie pijący upijający się, wywołujący piekielne awantury. [...] Często spotykaliśmy się w restauracji rybnej *vis-à-vis* Komitetu Centralnego PZPR. Ten lokal dla literatów wynalazł Grochowiak. I tam też Ireedyński przy mnie bardzo się pilnował. A kiedy przychodziłem z żoną, to pilnował mojej żony. Raz w Bristolu jakiś uczestnik imienin, znany aktor dramatyczny, zaczął dość nachalnie przystawiać się do mojej żony i wtedy Ireedyński złapał go za krawat.

- Uduśzę, jak się nie odczepisz - powiedział, i poskutkowało. Pisał dla mnie słuchowiska, przychodził po pieniądze do Radia, czasami nawet trochę pożyczał. Ale tylko on i Himilbach nigdy mnie nie zawiedli. Pożyczali, ale zawsze oddawali. Co do grosza”<sup>17</sup>.

Nie wszyscy jednak zachowali o pisarzu tak pozytywne wspomnienia. Nie znosił go Jerzy Urban i miał swoje powody, pan Ireneusz cieszył się bowiem wielką popularnością wśród płci pięknej i kiedyś uświadomił to Urbanowi w charakterystyczny dla siebie sposób.

„Pewnego dnia wróciłem w nocy z terenu i żony, chodzi o [moją] pierwszą żonę, nie było w domu - opowiadał Urban. - Poszedłem do Bristolu, zastałem ją tam z Ireedyńskim. Dołączyłem do towarzystwa. Kiedy zabierałem żonę do domu, Ireedyński zapytał, czy może do nas wpaść i zabrać swoją szczoneczkę do zębów. Od razu zniechęciłem jego i po trosze

żonę”<sup>18</sup>.

Inna sprawa, że gdyby pisarz faktycznie miał romanse z wszystkimi paniami, które się do tego po latach przyznawały, to zapewne w ogóle nie miałby czasu i sił na pisanie. I na alkoholowe imprezy również. Był wprawdzie kochliwy, ale też i modny - niejedna kobieta chciała zostać jego muzą i wiele pań rzeczywiście uległo fascynacji jego mroczną osobowością. Ale jak to w takich wypadkach często bywa, po pierwszym zachwycie przychodziła szara rzeczywistość. Partnerki, początkowo tolerujące jego alkoholizm, z czasem usiłowały go zmienić. Oczywiście bez skutku.

Tak było z jedną z redaktorek „Czytelnika”, która wcześniej wyrażała zachwyt, gdy przychodził do redakcji i pił wódkę „z gwinta”. Ale już niebawem pisarz zaczął się żalić, że partnerka „chce go oswoić” i „kulwa, zabrania pić”. Wreszcie nie wytrzymał, pewnej nocy wyszedł z Bristolu, znalazł taksówkę bagażową i zabrał z jej mieszkania swoją lodówkę. A to oznaczało absolutny koniec związku.

Iredyński był przy tym doskonałym obserwatorem, który zachował trzeźwe spojrzenie na stosunki męsko-damskie. Nie bez powodu w powieści *Ryba płynie za mordercą* pokazał, w jaki sposób kobieta może podporządkować sobie mężczyznę. I do tego zrobić to tak umiejętnie, że partner będzie z tego w pełni zadowolony...

Pod koniec 1970 roku pisarz poznał Jadwigę Staniszkis. Była młodsza od niego o trzy lata, rozwiedziona, miała córkę. Właśnie szykowała się do obrony doktoratu, gdy w restauracji Szanghaj spotkała Iredyńskiego. Pisarz zachował się jak rasowy uwodziciel.

„Siedzę tam przy stoliku z Jerzym Niecikowskim - wspominała Staniszkis - takim filozofem z UW, a przy sąsiednim stoliku Irek. Znał Niecikowskiego, więc go pogonił”<sup>19</sup>.

Pani Jadwiga nie oponowała, pisarz bowiem pociągał ją od pierwszej chwili. Uznała, że jest interesujący, czytała zresztą wcześniej jego wiersze, wiedziała również o pobycie w więzieniu. Domyślała się, że proces o usiłowanie gwałtu był

ukartowany przez SB, bo przecież sama miała okazję poznać metody pracy tej instytucji, kiedy za działalność opozycyjną spędziła siedem miesięcy w areszcie.

Zamieszkali razem, a dokładniej to Ireduński wprowadził się do Jadwigi. Ich dom zaczęły odwiedzać indywidua z otoczenia pisarza. Część z nich wzbudzała dużą sympatię Jadwigi. I początkowo nie przeszkadzało jej specjalnie, że towarzystwo to piło na umór.

„W otoczeniu Ireduńskiego było jeszcze paru interesujących ludzi. Grochowiak pisał piękne wiersze, wcale nie te turpistyczne, ale takie o trzcinach, postwhitmanowskie. A z drugiej strony był człowiekiem, który niszczył bliskich, żonę i dzieci... Swoje dzieci przehandlował bratu, ciągle je gdzieś wysyłał. Całkiem fajny był Krzysztof Karasek. [...] Dzięki Irkowi poznałam również Henryka Krzeczковского...”<sup>20</sup>.

Podpite towarzystwo przyjeżdżało z knajpy i kontynuowało libację w mieszkaniu Jadwigi. Pani domu siedziała w tym czasie w kuchni, gdzie pracowała nad swoimi tekstami. I jednocześnie przysłuchiwała się rozmowom pijanych literatów.

„Irek przyjeżdżał ze SPATiF-u w nocy razem z nimi i następował cały rytuał przedstawiania mnie: »to jest właśnie moja pielęgniarzka«. On mnie na przykład Holoubkowi w ten sposób przedstawił. [...] Czasami któryś z nich przyjeżdżał i prosił, żebym zabrała Irka z knajpy, bo on już nie był w stanie wrócić do domu”<sup>21</sup>.

Wydaje się dziwne, że ten toksyczny związek przetrwał aż trzy lata. Ireduński ciągle wlewał w siebie wódkę, a po nocach kręciło się po domu wiecznie pijane towarzystwo. Na domiar złego czasami brutalnie traktował swoją partnerkę. A jednak nadal byli razem, co pozwala przypuszczać, że pisarz oprócz poważnych wad miał również fascynującą osobowość.

„Byłam wyczerpana psychicznie - tłumaczyła Jadwiga Staniszkis. - Ireduński należał do grona bardzo zdolnych twórców, którzy na początku lat 70. postanowili, że zapiją się na śmierć. Mieli obrzydzenie do otaczającej ich komunistycznej rzeczywistości. Nic ich nie cieszyło. Utracili jakąkolwiek wolę życia. Trudno jest mieszkać z kimś, kto nie chce żyć. Miałam

małą córkę i nie byłam zrozpaczona komunizmem. Choć dopiero co wyszłam z więzienia po wydarzeniach marcowych i nie mogłam znaleźć posady na uniwersytecie - przez pośrednika dostałam pracę magazynierki - to komunizm mnie pasjonował. To był system totalny, niebezpieczny, ale ciekawy. Tylko że bardzo osłabiał mężczyzn. A słabi mężczyźni sięgają po przemoc”<sup>22</sup>.

Jadwiga Staniszkis po latach uważa, że ich związek był rodzajem gry psychologicznej, ale tak właściwie to co ma na ten temat powiedzieć? Przyznać, że dała się kompletnie zdominować alkoholikowi? Nawet jeżeli był utalentowanym twórcą i czasami czarującym mężczyzną?

„Pamiętam, była jakaś premiera, Irek uważał już, że go zdradziłam, i nie zabiera mnie na premierę. Potem wszyscy oni idą na bankiet, z którego Irek przysyła do mnie takiego człowieka, który był kiedyś pierwszym piosenkarzem rockowym w Polsce, nazywał się Marek Tarnowski czy Tarniewski [...]. W każdym razie siedzą w Bristolu i brakuje im pieniędzy, więc Irek wysyła tego przydupasa, który wcześniej był u nas [...]. Ten Tarnowski jest tak pijany, że nie trafia i wraca do Irka, do tego Bristolu, ale żeby nie mieć awantury, bo oni się Irka boją, zmyśla, że pukał, że nie otworzyłam, było słycać śmiechy, jakiś męski głos, i że grało radio. Wymyśla całą historię pod Irka, zdając sobie sprawę z tego, jakie mogą być konsekwencje. Przychodzi Irek i mówi: »wyznacz sobie karę«. Mówię dla świętego spokoju: »uderz mnie trzy razy smyczą... czy coś takiego [...]. On już wcześniej mnie tak smyczą czy pękiem kluczy »karał«, mnie nawet jakieś blizny po tym zostały, ale to była taka gra między nami...”<sup>23</sup>.

Ireduński nie ograniczał się zresztą do przemocy fizycznej, dręczył ją również psychicznie. Gdy pojechał do Berlina Zachodniego (Jadwiga odprowadziła go aż do stolicy NRD), to regularnie do niej wydzwaniał. I wcale nie po to, by powiedzieć, że bardzo tęskni.

„Irek do mnie dzwonił co wieczór, podawał mi jakieś panie do telefonu, które do siebie zapraszał, po prostu dziwki, bo on się z nimi często nie mógł dogadać, nie znał żadnego języka, więc

ja miałam z nimi negocjować... Strasznie się wtedy nawzajem dręczyliśmy”<sup>24</sup>.

Trzy lata piekła to dostatecznie dużo, by uświadomić sobie, że związek ten nie ma przyszłości. Staniszkis zaczęła marzyć, żeby Ireduński zrobił coś takiego, co zmusiłoby ją do odejścia. Najwyraźniej sama nie znajdowała w sobie siły, by odejść. A przecież miała córkę, wówczas 11-12-letnią, która patrzyła na to wszystko.

„Właściwie to ona go bardzo polubiła - tłumaczyła Staniszkis - aleja byłam już śmiertelnie zmęczona, fizycznie, bo pracuję, gotuję, zarywam noce, a do tego wszystkiego albo go przywożę z tego SPATiF-u, albo biegam po melinach szukać pół litra dla niego i jego kompanów. Po nocy chodzę od Brackiej aż do Wiodok, żeby jakąś butelkę znaleźć”<sup>25</sup>.

Wszystko ma jednak swój kres i gdy Ireduński dostał od władz przydział na niewielką kawalerkę, czyli „pracownię twórczą”, to Jadwiga go spakowała. Nie oponował specjalnie i wyprowadził się, chociaż miał ją jeszcze długi czas dręczyć nocnymi telefonami. Oczywiście będąc w stanie nietrzeźwym.

## WŁASNĄ DROGĄ

Ireduński osiągał już wówczas znaczne dochody. Dobrze zarabiał na słuchowiskach, a prawdziwe pieniądze przyniosły mu przekłady oraz inscenizacje jego utworów na Zachodzie. Pozostał jednak sobą i gdy w marcu 1972 roku wyjechał do Zurychu, pisał, że tam „sklepów monopolowych sporo, natomiast sklepów z zegarkami jeszcze nie widział”.

Ireduński mógł być agresywny wobec ludzi, ale gdy zachodziła potrzeba, natychmiast zamieniał się w przemiłego rozmówcę. Gdy przypadkowo trafił na imprezę ślubną Marii Czubaszek i Wojciecha Karolaka w SPATiF-ie, to z miejsca oczarował matkę panny młodej.

„Była wynajęta sala - wspominała Czubaszek - byli goście, głównie zresztą koledzy Wojtka - Andrzej Trzaskowski, Andrzej Dąbrowski, Jan Ptaszyn Wróblewski... Chociaż sala była

zarezerwowana, wchodził, kto chciał. Na przykład Irek Ireduński [...] przyszedł do SPATiF-u, zobaczył, że coś się dzieje, więc wszedł. Przyjaźniliśmy się (Wojtek też go znał i lubił), więc się ucieszyliśmy. Ale kiedy usiadł koło mojej mamy, trochę się wystraszyłam. Bo ona, wychowanka lwowskich urszulanek, nie tolerowała wulgaryzmów. A Irek (którego mama знаła tylko jako świetnego autora) nagminnie używał (ze swoistym zresztą wdziękiem, z francuskim »r«) słowa »kułwa«. Bałam się, że mama zwróci mu uwagę i porobi się niesympatycznie. Tymczasem mama, zachwycona towarzystwem znanego pisarza (jakie to szczęście dla bibliotekarki!), w ogóle nie zwracała uwagi na te jego »kułwy«. U mnie nie tolerowała »cholery« i »dupy«, a gdyby przyjęcie potrwało trochę dłużej, Ireduński przekonałby ją do »kułwy« i wódki. Niewykluczone, że nauczyłby ją, jak zamrozić kota. Bo krążyły plotki, że kiedyś to zrobił. I poczęstował nim gości. Wiem, że tego nie zrobił. Przynajmniej na naszym weselu”<sup>26</sup>.

Opowieść o kocie była zapewne zmyślona, Ireduński lubił zwierzęta. Piotr Kofta uważa, że pod tym względem przypominał wręcz tytułowego bohatera filmu *Leon zawodowiec*, gdyż zawsze mówił, że rośliny i zwierzęta są bardziej wartościowe od ludzi. A już specjalnym uczuciem darzył swojego psa, wyżła o imieniu Ibis. Włączył się z nim po knajpach, pod stołem karmił kaszanką i kielbasą. A gdy Ibis zdechł, wystawił mu nagrobek.

Ale zawsze i wszędzie pozostawał sobą:

„[...] spacerowałem sobie pewnego razu po Krakowskim Przedmieściu z [...] Ireduńskim - wspominał Tadeusz Kwiatkowski-Cugow - i gdy mijaliśmy pałac Potockich, nieboszczyk Ireduński powiedział: chodź, pokażę ci, do czego służy Ministerstwo Kultury i Sztuki. Zaintrygowany wszedłem za nim do środka, przemierzyliśmy kilka korytarzy i na jednym z nich Ireduński ku memu zdumieniu wciągnął mnie do toalety, starannie zamknął drzwi kabiny, wyjął półlitrowkę, odbił, przepił do mnie i rzekł: masz, Tadiusi i wypij, bo tylko do tego poetom służy Ministerstwo Kultury i Sztuki”<sup>27</sup>.

Na początku lat 80. pisarz czuł się wypalony i czekał na

śmierć. Choć przekroczył dopiero czterdziestkę, nie chciał już żyć. Jego twórczość wciąż była popularna, ale on sam wiedział, że pisze coraz gorzej. I wybrał specyficzną metodę samobójstwa - powolne zapijanie się na śmierć.

„Irek przyjął go w ciemnym pokoju - opisywał Marek Nowakowski wizytę u Ireduńskiego pewnego młodego poety - leżał na tapczanie, obok butelka - jego wierny, życiodajny eliksir. Pił metodycznie. Wyznał młodemu pielgrzymowi, że nic go już nie interesuje, wszystko odeszło. Pije i czeka. Piciem przyspiesza męczący cykl oczekiwania. Uznałem to wyznanie za kreację. Sugestywną kreację dla prostodusznego poety z Gdańska. Irek, odkąd go pamiętam, grał dla ludzi długą sztukę, ciągnącą się w nieskończonej ilości aktów, pełną prowokacji, skandali, dekadencjnych akcentów i błazeńskich min”<sup>28</sup>.

Ale tym razem Ireduński rzeczywiście był zmęczony. Uważał, że jego życie dobiega końca i niebawem dołączy do Grochowiaka i Stachury. I kiedy nie oczekiwał już niczego więcej, nagle zaświtała iskierka nadziei.

## OSTATNI AZYL

„[...] ja się już niczego nie boję - mówił pisarz w jednym z wywiadów. - Bo ja już gram tylko ze śmiercią. Ja mam zwapniałą trzustkę. [...] Ja wiem, ile jest przede mną. Byłem operowany dwa lata temu, tak, że gram prosto. Każdy na przykład litr wypitej wódki to jest krok, to jest gra do jednej bramki”<sup>29</sup>.

Na kilka lat przed śmiercią podjął jednak jeszcze jedną próbę ułożenia sobie życia. Związał się z Teresą Polkowską, która podobno wręcz oszalała dla niego i rozwiodła się ze znakomitym plakacistą, Waldemarem Świerzym. Para zdecydowała się zalegalizować związek, chociaż Teresa dobrze wiedziała, przed jak trudnym staje zadaniem.

„Nie miałam wobec niego żadnych złudzeń - mówiła w rozmowie z Joanną Siedlecką. - Nie udawał nigdy nikogo innego, nie oszukiwał. Poznałam go i pokochałam takiego, jaki

był. Spotkaliśmy się po raz pierwszy na przyjęciu u Jonasza Kofty, gdzie zjawił się na rauszu”<sup>30</sup>.

Teresa chodziła dla niego po wódkę, aby sam nie musiał wychodzić z domu, była świadkiem jego pijackich ekscesów. Jednak w swoich wspomnieniach starała się zminimalizować problem. Jak wiadomo, pamięć ludzka bywa ułomna, niekiedy wolimy pamiętać tylko wybrane wydarzenia. A czas bywa najlepszym cenzorem i chyba z czymś takim mamy do czynienia w przypadku wspomnień Teresy Ireduńskiej.

Nikt nie zaprzecza, że byli udaną parą. Mieszkali w domu Ireduńskiego na warszawskim osiedlu Groty, mieli daczę na Mazurach. Ireduński znakomicie zarabiał i chciał, aby jego żona zajmowała się tylko nim i domem. Był jednak alkoholikiem i nawet Teresa, starając się wybielić swego męża, nie mogła pominąć problemu jego uzależnienia. Ale starała się to zmarginalizować i w rozmowie z Siedlecką pomijała niewygodne fakty.

„Próbował się przecież leczyć - tłumaczyła - między innymi nawet u słynnej doktor Luby Szawdyn, ostatnio u rozsądnego lekarza ze szpitala na Płockiej, który wyprowadzał go z alkoholu coraz mniejszymi dawkami. Po każdym dłuższym picu był na odtruciu. I tylko esperalu nigdy nie dał sobie wszyć, uważał, że to upokarzające”<sup>31</sup>.

Wątpliwe jednak, by pisarz odmówił wszycia esperalu wyłącznie ze względów ambicjonalnych. Być może po prostu nie chciał całkowicie zrezygnować z alkoholu i dążył tylko do panowania nad nałogiem. Ale to, oczywiście, mu się nie udało, chociaż żona twierdziła, że więcej miał okresów abstynencji niż pijaństwa.

„Irek tymczasem - przynajmniej za moich czasów - pił trzy, cztery miesiące, potem jednak źle się z tym czuł. Miał dość nie tylko on, ale i jego organizm. Aplikował więc sobie odtrucie i pauzował. Zwykle aż osiem miesięcy, w sumie więc proporcja nie najgorsza.

Przez te trzy, cztery miesiące w roku nie miałam oczywiście lekko. Cóż, byłam po prostu żoną alkoholika. Człowieka chorego, któremu próbowałam jakoś pomóc. Nie spałam,



siedziałam obok, słuchałam, uspokajałam, dręczyły go bowiem koszmary, lęki.

I choć niektórzy bardzo mnie za to potępiali, pilnowałam też, żeby miał pod ręką trochę alkoholu, w przeciwnym wypadku zaczynało się najgorsze, czyli nocne wędrówki po melinach i groźba delirium. Staralam się, jak mogłam, jakoś te miesiące przetrwać, przeczekać. Wiedziałam, że prędzej czy później zawsze jednak przestanie”<sup>32</sup>.

Iredyński wynagradzał żonie wszystko w chwilach trzeźwości, kiedy był „spokojny, zwyczajny, normalny”. I wciąż dużo pracował, jak zwykle bez alkoholu. Dziwna wydaje się jednak opinia pani Teresy, że w ogóle nie myślał o śmierci, uważając, że ma „końskie zdrowie” i że „jest z żelaza”. Podobno podczas ostatniego letniego pobytu na Mazurach przepływał całe jezioro i czuł się znakomicie. Relacja ta daleko odbiega od cytowanej wypowiedzi pisarza o zwapniałej trzustce i oczekiwaniu na śmierć...

„Myślę, że oboje byli szczęśliwi - wspominała Dorota Marczevska. - Mama była na pewno bardzo ważna, dlatego że dała mu ten dom - dom. Już nie był to dom, miejsce balang, pijaństw, gdzie się przetaczali ludzie. To był zaciszny dom, tam naprawdę bywało niewiele osób, wbrew temu, co można byłoby sądzić. To był dom taki ciepły. Irek gotował, mama gotowała, psy, koty. I w tym sensie on sam nawet przed sobą dopiero się przyznał, że coś takiego było mu potrzebne”<sup>33</sup>.

Losu nie można jednak oszukać, a może stabilizacja przysła dla pisarza po prostu zbyt późno. Wydaje się zresztą, że czasami szwankowała już jego psychika, zachowały się bowiem informacje, że uciekał z Mazur do Warszawy. A wypowiedzi pani Teresy nie są spójne.

„Nasze dobre miesiące miały, niestety, swój kres. Nie potrafił bowiem zupełnie przestać pić, był uzależniony. Wiedziałam zawsze, kiedy to się zaczyna, bo wyraźnie się zmieniał - był nerwowo i niespokojny. [...]

Podczas swojego ostatniego lata dużo pracował, i nie pił, skończył we wrześniu *Seans*, pojechałam wobec tego do Warszawy oddać tekst maszynistce. Jeszcze tego samego

wieczoru poszedł na imieniny Stefana, tutejszego znajomego leśniczego. Był przekonany, że wypije najwyżej kilka kieliszków. Jak zwykle jednak to się nie udało, pił już do końca, do śmierci<sup>34</sup>.

W innych relacjach (m.in. Stefana Kisielewskiego) zgon Ireduńskiego został uznany za świadome zapicie się na śmierć. Podobno miał jeszcze pić wódkę w karetce pogotowia czy też żądać jej od sanitariuszy. Pani Teresa przedstawiła własną wersję wypadków.

„Wprawdzie wtedy pił, nie więcej jednak i nie dłużej niż zazwyczaj. Po prostu nagle zasłabł, więc choć nie chciał, wezwałam pogotowie, które zabrało go do szpitala. Lekarze również niczego się nie spodziewali, kazali mi wracać do domu - po co mam przy nim tkwić, skoro wszystko będzie w porządku? Jutro też jest dzień, mówili. Pomimo nocy pojechałam do domu i gdy zadzwoniłam następnego dnia o siódmej rano, zapytać, jak się czuje, dowiedziałam się, że nie żyje - wysiadło niespodziewanie serce. Reanimowano go, robiono wszystko, co tylko możliwe, ale bezskutecznie<sup>35</sup>.”

Imieniny Stefana wypadają 28 listopada, a Ireduński zmarł 9 grudnia. Jeżeli relacja wdowy jest wiarygodna, to oznacza, że pił bez przerwy przez dziesięć dni. I tym razem zniszczony organizm już tego nie wytrzymał.

Pisarz kilkakrotnie wyraził życzenie, aby po śmierci spopielono jego ciało. W 1985 roku w Polsce nie było to jednak łatwe, jedyne krematorium mieściło się w Poznaniu. Z zadaniem oddania pisarzowi ostatniej usługi wydelegowano tam dwóch jego przyjaciół.

„[...] odebrali urnę, a ponieważ do odjazdu pociągu było sporo czasu, udali się w wiadomym kierunku, by zmarłemu oddać należyty hołd. Po paru godzinach konieczna już była interwencja milicji w ich sprawie i cudem tylko uniknęli skutków zastosowania wobec nich przymusu bezpośredniego, kiedy upierali się pijacko, że w tym tajemniczym naczyniu jest ich przyjaciel<sup>36</sup>.”

Ireduńskiego pochowano w katakumbach na Starych Powązkach, a jego pogrzeb wyglądał tak, jakby zmarły

osobiście go reżyserował. Nie obyło się bez poufalego poklepywania urny przez żałobników, następnie zaś na samej górze katakumb (wchodzono po drabinie) zaklinował się niejaki „Bombowiec” (przezwisek zawdzięczał temu, że w każdej kieszeni płaszcza nosił butelkę żytniówki). Nieszczęśnik chciał pożegnać przyjaciela w miejscu jego spoczynku, ale utknął tam, nie mógł się uwolnić, toteż zaskoczeni żałobnicy przez dłuższy czas słuchali tylko zduszonych jęków „Bombowca” i oglądali podeszwy jego butów. Gdy wreszcie z powrotem pojawił się na drabinie, mniej odporni psychicznie żałobnicy odsunęli się ze zgrozą, gdyż był cały „utyłany w kurzu i wapnie” i „wyglądał jak człowiek, który naprawdę w ostatniej chwili umknął spod łopaty”.

„Wtedy do dzieła przystąpił fachowiec - opowiadał Anderman - który otwór na górze powinien zamurować. W jednej ręce trzymał kielnię, w drugiej kubek z zaprawą; dla niego wspinaczka bez trzymanki nie była żadnym problemem, bo widać było gołym okiem, że jest bliski osiągnięcia wyniku słynnego grabarza z Krakowa, który podczas pracy miał we krwi osiem promili. Po chwili był na ostatnim szczeblu i teraz właśnie brał zamach pełną kielnią. Ci na dole, którzy właśnie mieli okulary, byli wygrani, ale tylko na początku; fachowiec ani razu nie trafił kielnią we właściwe miejsce.

Pierwsi rzucili się do panicznej ucieczki najmniej odporni psychicznie lirycy, za nimi czmychnęły tłumaczki. Ja chciałem zostać do końca, ale widząc, że stoję w betonie, który już zaczyna się wiązać, zrozumiałem, że jeżeli nie oddalę się natychmiast, zostanę na Powązkach na zawsze”<sup>37</sup>.

Pogrzeb Ireneusza Ireduńskiego doskonale wpisał się w jego biografie - w życiorys jednego z „poetów przeklętych”, którzy swój wielki talent utopili w alkoholu. Z drugiej strony na zawsze pozostanie tajemnicą to, czy będąc abstynentami, stworzyliby coś bardziej wartościowego. Czy w ogóle można sobie wyobrazić Grochowiaka albo Stachurę bez alkoholu? Takie były czasy i takie były losy literatów tego pokolenia - ludzi, którzy świadomie dążyli do samozagłady...

# Przypisy

## PRZYPISY - OD AUTORA

<sup>1</sup>T. Żeleński (Boy), *Reflektorem w mrok*, Warszawa 1978, s. 462-463.

## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 1

1 *Latopisiec albo kroniczka Joachima Jerlicza*, Warszawa 1853,1.1, s. 64.

2 A.S. Radziwiłł, *Pamiętnik*, Warszawa 1980, s. 117.

3 Za: J. Kaczmarczyk, *Bohdan Chmielnicki*, Warszawa 2002, s. 165.

4 Za: T. Żeleński (Boy), *Marysieńka Sobieska*, Warszawa 1956, s. 296.

5 *Ibidem*, s. 296.

6 Za: A. Piroczkinas, *Litewskie lata Adama Mickiewicza*, Warszawa 1995, s. 173.

7 Za: *Ibidem*, s. 91.

8 <http://literat.ug.edu.pl/amwiersz/0003.htm> .

9 Za: A. Piroczkinas, op. cit., s. 106.

10 *Ibidem*.

11 [http://pbi.edu.pl/book\\_reader.php?p=8904&s=1](http://pbi.edu.pl/book_reader.php?p=8904&s=1).

12 A. Rubinstein, *Moje młode lata*, Kraków 1986, s. 200.

13 *Ibidem*, s. 233.

14 *Ibidem*, s. 275.

15 *Ibidem*, s. 430.

16 *Ibidem*, s. 431.

17 *Ibidem*.

- 18 Za: H. Sachs, Artur *Rubinstein*, Wrocław 1999, s. 238.  
19 A. Rubinstein, *Moje długie życie*, Kraków 1988,1.1, s. 122.  
20 S.I. Witkiewicz, *Dzieła wybrane*, Warszawa 1985, s. 554.  
21 Za: M. Sołtysik, *Piękni szaleńcy, czyli sztuka skandalem podszuła*, Warszawa 2006, s. 162-163.  
22 Za: *Ibidem*, s. 170.

## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 2

- 1 *Listy Gabrieli Zapolskiej*, Warszawa 1970,1.1, s. 528.  
2 T. Żeleński (Boy), *Reflektorem w mrok*, Warszawa 1978, s. 47.  
3 S. Przybyszewski, *Moi współcześni*, Warszawa 1959, s. 300-301.  
4 T. Żeleński (Boy), *op. cit.*, s. 75.  
5 S. Przybyszewski, *op. cit.*, s. 82.  
6 Za: <http://stachu-przybyszewski.pl/2-Biografia.html> .  
7 S. Przybyszewski, *op. cit.*, s. 286-287.  
8 S. Przybyszewski, *op. cit.*, s. 95.  
9 *Ibidem*, s. 96.  
10 Za: S. Helsztyński, *Przybyszewski*, Warszawa 1973, s. 101.  
11 S. Przybyszewski, *op. cit.*, s. 100.  
12 *Ibidem*, s. 138-139.  
13 Za: S. Helsztyński, *op. cit.*, s. 108.  
14 Za: *Ibidem*, s. 108.  
15 Za: *Ibidem*, s. 110.  
16 Za: *Ibidem*, s. 114.  
17 Za: *Ibidem*, s. 115.  
18 Za: *Ibidem*, s. 115-116.  
19 Za: Henryk Izidor Rogacki, *Żywot Przybyszewskiego*, Warszawa 1987, s. 52.  
20 Za: *Ibidem*, s. 56.  
21 Za: S. Helsztyński, *op. cit.*, s. 116.  
22 Za: H.I. Rogacki, *op. cit.*, s. 57.  
23 Za: *Ibidem*, s. 63.

- 24 Za: *Ibidem*, s. 60.
- 25 Za: *Ibidem*, s. 60-61.
- 26 Za: *Ibidem*, s. 68.
- 27 Za: *Ibidem*, s. 72.
- 28 T. Żeleński (Boy), *Ludzie żywi*, Warszawa 1956, s. 8.
- 29 A. Grzymała-Siedlecki, *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, Warszawa 1962, s. 43.
- 30 *Ibidem*, s. 52-53.
- 31<sup>T</sup> Żeleński (Boy), *Reflektorem...*, s. 90.
- 32 Za: A. Makowiecki, *Trzy legendy literackie. Przybyszewski, Witkacy, Gałczyński*, Warszawa 1980, s. 61.
- 33 T. Żeleński (Boy), *Reflektorem...*, s. 76-77.
- 34 A. Grzymała-Siedlecki, *Nie pożegnani*, Kraków 1972, s. 279.
- 35 T. Żeleński (Boy), *Reflektorem...*, s. 80.
- 36 *Ibidem*, s. 87.
- 37 A. Grzymała-Siedlecki, *Nie pożegnani*, s. 299-300.
- 38 Za: H.I. Rogacki, *op. cit.*, s. 101.
- 39 Za: *Ibidem*, s. 95.
- 40 Za: *Ibidem*, s. 168.
- 41<sup>T</sup> Filipowicz, *Moje wspomnienia*, Warszawa 1932, s. 178.
- 42 T. Żeleński (Boy), *O Krakowie*, Warszawa 1974, s. 164.
- 43 T. Żeleński (Boy), *Ludzie...*, s. 74.
- 44 Za: H.I. Rogacki, *op. cit.*, s. 120.
- 45 T. Żeleński (Boy), *Znasz-li ten kraj? Cyganeria krakowska*, Warszawa 1993, s. 64.
- 46 T. Żeleński (Boy), *Reflektorem...*, s. 149-150.
- 47 T. Żeleński (Boy), *Z nasz-li...*, s. 66-67.
- 48 Za: S. Helsztyński, *op. cit.*, s. 312.
- 49 Za: *Ibidem*, s. 327.
- 50 Za: H.I. Rogacki, *op. cit.*, s. 151.
- 51 Za: *Ibidem*, s. 153.
- 52 S. Przybyszewski, *op. cit.*, s. 209.
- 53 A. Grzymała-Siedlecki, *Rozmowy z samym sobą*, Kraków 1972, s. 221.

- 54 Za: S. Helsztyński, *op. cit.*, s. 320-321.  
55 Za: H.I. Rogacki, *op. cit.*, s. 149.  
56 Za: S. Helsztyński, *op. cit.*, s. 388.  
57 Za: H.I. Rogacki, *op. cit.*, s. 156.  
58 Za: *Ibidem*, s. 206.  
59 Za: *Ibidem*, s. 209.  
60 T. Żeleński (Boy), *Ludzie...*, s. 53.  
61 Za: *Ibidem*, s. 62.  
62 Za: S. Helsztyński, *op. cit.*, s. 362.  
63 Za: *Ibidem*, s. 373-374.  
64 Za: *Ibidem*, s. 391.  
65 Za: *Ibidem*, s. 392.  
66 Za: *Ibidem*, s. 397.  
67 Za: *Ibidem*, s. 409.  
68 Za: H.I. Rogacki, *op. cit.*, s. 317.  
69 Za: *Ibidem*, s. 333.  
70 T. Żeleński (Boy), *Ludzie...*, s. 73.  
71 *Ibidem*, s. 77.

### PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 3

- 1K. Wierzyński, *Pamiętnik poety*, Warszawa 1990, s. 309.  
2 R. Malczewski, *Pępek świata. Wspomnienia z Zakopanego*, Łomianki 2010, s. 12.  
3 *Ibidem*, s. 52.  
4 *Ibidem*, s. 33.  
5 M. Samozwaniec, *Maria i Magdalena*, Szczecin 1987, 1.1, s. 72.  
6 R. Malczewski, *op. cit.*, s. 73.  
7 Z. Czermański, *Kolorowi ludzie*, Londyn-Łomianki 2008, s. 167.  
8 *Ibidem*, s. 179.  
9 *Ibidem*, s. 180.  
10 *Ibidem*, s. 181.  
11 *Ibidem*, s. 180.  
12 R. Malczewski, *op. cit.*, s. 85-86.

- 13 *Ibidem*, s. 70.
- 14 *Ibidem*.
- 15 *Ibidem*, s. 80.
- 16 *Ibidem*, s. 65-66.
- 17 *Ibidem*, s. 82.
- 18 J. Iwaszkiewicz, *Aleja przyjaciół*, Warszawa 1988, s. 75.
- 19 R. Malczewski, *op. cit.*, s. 80-81.
- 20 J. Iwaszkiewicz, *op. cit.*, s. 75.
- 21 *Ibidem*, s. 78.
- 22 *Ibidem*, s. 79.
- 23 *Ibidem*, s. 81-82.
- 24 *Ibidem*, s. 84.
- 25 *Ibidem*.
- 26 R. Malczewską *op. cit.*, s. 83.
- 27 A. Iwaszkiewiczowa, *Dzienniki i wspomnienia*, Warszawa 2000, s. 23.
- 28 R. Malczewski, *op. cit.*, s. 30-31.
- 29 A. Iwaszkiewiczowa, *op. cit.*, s. 30.
- 30 J. Iwaszkiewicz, *Książka moich wspomnień*, Kraków 1968, s. 303.
- 31 *Ibidem*, s. 299-300.
- 32 R. Malczewski, *op. cit.*, s. 116.
331. Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 1992, s. 314-315.
- 34 M. Zimińska-Sygietyńska, *Nie żyłam samotnie*, Warszawa 1985, s. 107.
- 35 R. Malczewski, *op. cit.*, s. 119.
- 36 Z. Czermański, *op. cit.*, s. 164-165.
- 37 J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 300.
- 38 *Ibidem*.
- 39 K. Wierzyński, *Pamiętnik poety*, Warszawa 1990, s. 238.
- 40 J. Iwaszkiewicz, *Książka...*, s. 300.
- 41R. Malczewski, *op. cit.*, s. 145.
- 42 *Ibidem*, s. 143.
- 43 K. Wierzyński, *op. cit.*, s. 240.
- 44 M. Samozwaniec, *Maria i Magdalena*, Szczecin 1987, t. 2,



s. 107.

451. Krzywicka, *op. cit.*, s. 277-278.

46 R. Malczewski, *op. cit.*, s. 176.

47 A. Słonimski, *Alfabet wspomnień*, Warszawa 1975, s. 258-259.

48 R. Malczewski, *op. cit.*, s. 97.

49 Z. Czermański, *op. cit.*, s. 14-15.

50 Za: B. Winklowska, *Boyowie. Zofia i Tadeusz Żeleńscy*, s. 85-86.

51 R. Malczewski, *op. cit.*, s. 105.

52 A. Słonimski, *op. cit.*, s. 258.

53 Z. Czermański, *op. cit.*, s. 168.

54 S. I. Witkiewicz, *Dzieła wybrane*, Warszawa 1985, 1.1, s. 524-525.

55 R. Malczewski, *op. cit.*, s. 99.

56 *Ibidem*, s. 98.

57 S. I. Witkiewicz, *op. cit.*, s. 566.

58 R. Malczewski, *op. cit.*, s. 107.

#### PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 4

1 Z. Czermański, *Kolorowi ludzie*, Londyn-Łomianki, 2008, s. 8.

2 K. Koźniewski, *Historia co tydzień*, Warszawa 1976, s. 14.

3 K. Wierzyński, *Pamiętnik poety*, Warszawa 1990, s. 17-18.

4 *Wspomnienia o Kazimierzu Wierzyńskim*, red. P. Kądziała, Warszawa 2001, s. 64.

5 K. Wierzyński, *op. cit.*, s. 29-30.

6 *Ibidem*, s. 50.

7 *Ibidem*, s. 52.

8 *Ibidem*, s. 55.

9 *Wspomnienia o...*, s. 121.

10 K. Wierzyński, *op. cit.*, s. 62.

11 *Ibidem*, s. 80-81.

12 *Ibidem*, s. 82.

- 13 Z. Czermański, *op. cit.*, s. 154.
- 14 *Ibidem*, s. 155.
- 15 *Ibidem*, s. 156.
- 16 K. Wierzyński, *op. cit.*, s. 124.
- 17 *Ibidem*, s. 83.
- 18 *Ibidem*, s. 84-85.
19. Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 1992, s. 214.
- 20 J. Lechoń, *Dzienniki*, t. 2, Warszawa 1992-1993, s. 123.
- 21 *Wspomnienia o...*, s. 101.
- 22 Ki Wierzyński, *op. cit.*, s. 140.
- 23 *Ibidem*, s. 96.
- 24 *Ibidem*, s. 139.
- 25 *Ibidem*, s. 126.
- 26 J. Iwaszkiewicz, *Aleja przyjaciół*, Warszawa 1988, s. 45.
- 27 *Wspomnienia o...*, s. 122-123.
- 28 K. Wierzyński, *op. cit.*, s. 120.
- 29 *Ibidem*, s. 121-122.
- 30 Za: M. i J. Łozińscy, *W przedwojennej Polsce. Życie codzienne i niecodzienne*, Warszawa 2012, s. 127-128.
- 31 Za: M. Łozińska, *Smaki dwudziestolecia*, Warszawa 2011, s. 133-135.
- 32 K. Wierzyński, *op. cit.*, s. 189-190.
- 33 A. Słonimski, *Alfabet wspomnień*, Warszawa 1975, s. 117.
341. Krzywicka, *op. cit.*, s. 278.
- 35 *Wspomnienia o...*, s. 368.
- 36 *Ibidem*, s. 369.
- 37 K. Wierzyński, *op. cit.*, s. 191.
- 38 *Ibidem*, s. 197.
- 39 *Ibidem*, s. 199.
- 40 *Wspomnienia o...*, s. 329.
- 41 *Ibidem*, s. 329.
- 42 K. Wierzyński, *op. cit.*, s. 205.
- 43 *Wspomnienia o...*, s. 127.
- 44 *Ibidem*, s. 107.
- 45 *Ibidem*, s. 99.
- 46 J. Lechoń, *Dzienniki*, 1.1, Warszawa 1992-1993, s. 93.

47 *Ibidem*, t. 3. s. 351.

48 Za: B. Dorosz, *Kazimierz Wierzyński w kręgu Polskiego Instytutu Naukowego*, Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Rzeszowskiego, Historia Literatury 6, Zeszyt 70/2011, s. 60.

49 *Wspomnienia o...*, s. 77.

50 *Ibidem*, s. 153.

51 Za: B. Dorosz, *op. cit.*, s. 64.

## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 5

1 *Wspomnienia o K.I. Gałczyńskim*, red. A. Kamińska, J. Śpiewak, Warszawa 1961, s. 27.

2 K. Gałczyńska, *Gałczyński*, Wrocław 1998, s. 56-57.

3 *Wspomnienia o...*, s. 69.

4 *Ibidem*.

5 *Ibidem*, s. 71.

6 Za: K. Gałczyńska, *op. cit.*, s. 9.

7 *Ibidem*, s. 46.

8 *Wspomnienia o...*, s. 75-76.

9 *Ibidem*, s. 255-256.

10 *Ibidem*, s. 65.

11 *Ibidem*.

12 Za: A. Drawicz, *Konstanty Ildefons Gałczyński*, Warszawa 1972, s. 89.

13 Za: *Ibidem*, s. 91.

14 Za: *Ibidem*, s. 93.

15 S. Dobrowolski, *Po latach*, „Nowa Kwadryga” 1/1937.

16 J. Iwaszkiewicz, *Książka moich wspomnień*, Warszawa 1994, s. 260.

17 *Wspomnienia o...*, s. 147.

18 *Ibidem*, s. 62.

19 *Ibidem*, s. 145.

20 *Ibidem*, s. 76.

21 *Ibidem*, s. 177.

22 *Ibidem*, s. 76.

23 *Ibidem*, s. 77.

- 24 *Ibidem*.
- 25 *Ibidem*, s. 182.
- 26 *Ibidem*, s. 110.
- 27 *Ibidem*, s. 168.
- 28 *Ibidem*, s. 179.
- 29 K. Gałczyńska, *Konstanty, syn Konstantego*, Warszawa 1983, s. 28-29.
- 30 *Wspomnienia o...*, s. 201.
- 31 *Ibidem*, s. 202.
- 32 *Ibidem*, s. 203-204.
- 33 *Ibidem*, s. 148.
- 34 *Ibidem*.
- 35 Za: K. Gałczyńska, *Gałczyński*, s. 50.
- 36 Za: K. Gałczyńska, *Konstanty...*, s. 16-17.
- 37 Za: K. Gałczyńska, *Konstanty...*, s. 52.
- 38 Za: K. Gałczyńska, *Konstanty...*, s. 41.
- 39 Za: *Ibidem*, s. 40-41.
- 40 Za: K. Gałczyńska, *Konstanty...*, s. 38.
- 41 K. Gałczyńska, *Gałczyński*, s. 57.
- 42 *Wspomnienia o...*, s. 219-220.
- 43 S. Mackiewicz (Cat), *Kto mnie wołał, czego chciał...*, Warszawa 1972, s. 101-102.
- 44 C. Miłosz, *Rodzinną Europą*, Kraków 2001, s. 66.
- 45 *Wspomnienia o...*, s. 238.
- 46 K. Gałczyńska, *Gałczyński*, s. 73.
- 47 Cz. Miłosz, *op. cit.*, s. 70.
- 48 K. Gałczyńska, *Konstanty...*, s. 49.
- 49 *Wspomnienia o...*, s. 245.
- 50 C. Miłosz, *Zniewolony umysł*, Warszawa 1996, s. 192.
- 51 *Ibidem*, s. 194
- 52 *Ibidem*, s. 193.
- 53 *Ibidem*, s. 193-194.
- 54 *Ibidem*, s. 196.
- 55 K. Gałczyńska, *Gałczyński*, s. 82.
- 56 C. Miłosz, *Zniewolony...*, s. 196.
- 57 *Ibidem*, s. 197.
- 58 *Wspomnienia o...*, s. 256.

- 59 *Ibidem*, s. 258.  
60 *Ibidem*, s. 259.  
61 *Ibidem*, s. 235.  
62 Za: Wachman Stalagu XI A, oprac. B. Kruszona, Pelplin 2008, s. 101 [http://ankowi.dl.interia.pl/kruszona/wachman\\_ksiazka.pdf](http://ankowi.dl.interia.pl/kruszona/wachman_ksiazka.pdf).  
63 *Ibidem*, s. 102.  
64 Za: [http://kociewiacy.pl/main/index.php?option=com\\_content&task=view&id=1105&Itemid=78](http://kociewiacy.pl/main/index.php?option=com_content&task=view&id=1105&Itemid=78).  
65 *Wachman...*, s. 101.  
66 Za: *Wachman...*, s. 102-103.  
67 Za: [http://kociewiacy.pl/main/index.php?option=com\\_content&task=view&id=1105&Itemid=78](http://kociewiacy.pl/main/index.php?option=com_content&task=view&id=1105&Itemid=78).  
68 K. Gałczyńska, Gałczyński, s. 122.  
69 *Ibidem*, s. 123.  
70 Za: <http://www.kruszona.edu.pl/> .  
71 Za: K. Gałczyńska, *Gałczyński*, s. 128.  
72 *Ibidem*, s. 131.  
73 J. Waldorff, *Czarne owce dla Apolla*, Warszawa 1984, s. 81.  
74 *Ibidem*, s. 135.  
75 *Wspomnienia o...*, s. 309.  
76 *Ibidem*, s. 307.  
77 J. Waldorff, *Moje lampki oliwne*, Warszawa 1999, s. 29.  
78 *Wspomnienia o...*, s. 333.  
79 *Ibidem*, s. 313.  
80 Za: K. Gałczyńska, *Gałczyński*, s. 143.  
81 K. I. Gałczyński, *O sobie*, „Odrodzenie” 8/1950.  
82 K. Gałczyńska, *Gałczyński*, s. 192.  
83 *Wspomnienia o...*, s. 184-185.  
84 J. Waldorff, *Czarne...*, s. 84.

## PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 6

- 1 Za: E. Krasiński, *Stefan Jaracz*, Warszawa 1983, s. 260.  
2. Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 1996, s. 320-

321.

3 H. Szletyński, *Stefana Jaracza wzloty i zablądzenia*, Kraków 1984, s. 84.

4 Za: E. Krasieński, *op. cit.*, s. 182.

5 S. Jaracz, *Krzewienie kultury polskiej*, „Wiadomości Literackie”, 30/1934.

6 J. Kreczmar, *Trzy grosze do ogólnej puli*, „Teatr”, 15/1960.

7 Za: E. Krasieński, *op. cit.*, s. 189.

8 Za: S. Marczak-Oborski, *Teatr w Polsce 1918-1939. Wielkie ośrodki*, Warszawa 1984, s. 323.

9 A. Słonimski, *Alfabet wspomnień*, Warszawa 1975, s. 126.

10 Za: E. Krasieński, *op. cit.*, s. 192.

11 Za: *Ibidem*, s. 218.

12 Za: *Ibidem*.

13 Za: *Ibidem*, s. 245.

14 Za: *Ibidem*.

15 „Kurier Czerwony”, 10.02.1926.

16 Z. Czermański, *Kolorowi ludzie*, Londyn-Łomianki 2008,

17 „Express Poranny”, 25.06.1927.

18 *Ibidem*

19 „Kurier Czerwony”, 24.06.1927.

20 Za: E. Krasieński, *op. cit.*, s. 260.

21 H. Cudnowski, *Niedyskrecje teatralne*, Wrocław 1960, s. 223.

22 *Ibidem*, s. 226.

23 Za: E. Krasieński, *op. cit.*, s. 270.

24 H. Cudnowski, *op. cit.*, s. 259.

25 „Wiadomości Literackie”, 31/1928.

26 Za: E. Krasieński, *op. cit.*, s. 278.

27 L. Sempoliński, *Wielcy artyści małych scen*, Warszawa 1968, s. 176.

28 Za: E. Krasieński, *op. cit.*, s. 284.

29 Za: *Ibidem*.

30 J. Ciecierski, *Mistrzowie i koledzy*, Warszawa 1978, s. 91.

31 *Ibidem*, s. 91-92.

32 K. Biernacki, *Józef Węgrzyn*, Kraków 1969, s. 159.

33 J. Ciecierski, *Zwyczajne życie aktora*, Kraków 1989, s. 67.

- 34 I. Krzywicka, *op. cit.*, s. 320.  
35 Za: E. Krasiński, *op. cit.*, s. 341.  
36 „Ilustrowany Kurier Codzienny”, 22.11.1931.  
37 E. Krasiński, *op. cit.*, s. 295.  
38 *Aktor ma głos. Rewelacyjne wynurzenia St. Jaracza*, „Express Poranny”, 16.03.1934.  
39 Za: E. Krasiński, *op. cit.*, s. 464-465.  
40 S. Zawiszanka, *Juliusz Osterwa o Stefanie Jaraczu*, „Listy z Teatru”, 14/1947.  
41 A. Kowalska, *Jaracz o sobie i teatrze (Rozmowy z Jaraczem) 1939-1941*, „Nasza Scena”, 3/1960.  
42 Za: E. Krasiński, *op. cit.*, s. 478-479.  
43 H. Szletyński, *op. cit.*, s. 194.

#### PRZYPISY DO ROZDZIAŁU 7

- 1 *Errata do biografii. Ireneusz Iredyński*, Telewizja Polska SA, Program 1, 2007.  
2 *Ibidem*.  
3 <http://www.plezantropia.fora.pl/b-ocalic-od-zapomnienia-b,125/ireneusz-iredynski,3923.html>.  
4 Errata...  
5 Za: J. Siedlecka, *Obława*, Warszawa 2005, s. 383.  
6 Errata...  
7P. Kofta, Projekt: Iredyński, „Kultura”, dodatek do „Dziennika Gazety Prawnej”, 18.12.2009, <http://kultura.dziennik.pl/ksiazki/artykuly/105720,projekt-iredynski.html,2>.  
8 Za: J. Anderman, *Fotografie*, Kraków 2002, s. 11.  
9 Errata...  
10 Za: J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 383.  
11 Errata...  
12 *Ibidem*.  
13 Za: J. Siedlecka, *op. cit.*, s. 379.  
14 S. Kisielewski, *Abecadło Kisiela*, Warszawa 1990, s. 36.  
15 <http://www.plezantropia.fora.pl/b-ocalic-od-zapo> -

mnienia-b,125/ireneusz-iredynski,3923.html.

16 Ibidem.

17 B. Tumiłowicz, Literacki alfabet Włodzimierza Odojewskiego, „Przegląd”, 17-18/2008, <http://www.przegląd-tygodnik.pl/pl/artykul/literacki-alfabet-wlodzimierza-odojewskiego>.

18 J. Urban, M. Stremecka, Jerzy Urban, Warszawa 2013,

19 J. Staniszkis, Życie umysłowe i uczuciowe, Warszawa 2010, s. 110.

20 Ibidem, s. 112.

21 Ibidem, s. 114.

22 Za: Koniec damskich bokserów, S. Pinkwart w rozmowie z J. Staniszkis, „Pani”, 3/2012, [http://www.styl.pl/magazyn/w-swiecie-kobiet/news-koniec-damskich-bokserow,nld,593610?utm\\_source=paste&utm\\_medium=paste&utm\\_campaign=firefox](http://www.styl.pl/magazyn/w-swiecie-kobiet/news-koniec-damskich-bokserow,nld,593610?utm_source=paste&utm_medium=paste&utm_campaign=firefox).

23 J. Staniszkis, *op. cit.*, s. 117.

24 <http://ksiazki.wp.pl/tytul,Jadwiga-Staniszkis-jestem-silna-kobieta,wid,15742,wiadomosc.html?tid=1113f9>.

25 J. Staniszkis, *op. cit.*, s. 117.

26 M. Czubaszek, A. Andrus, Każdy szczyt ma swój Czubaszek, Warszawa 2011, s. 65.

27 Za: Alkohol jest wspaiałym generatorem natchnienia poetyckiego..., Kram Literacki i Artystyczny, [www.cugow.pl/gazeta,13,0.html](http://www.cugow.pl/gazeta,13,0.html).

28 J. Werpachowska, Oszust ukryty w słońcu, [www.swiatalkoholi.pl/site/?item=38&article\\_id=116&issue\\_id=62&SID=2caelo7cl43ddb277cba-eaf7a90803e7](http://www.swiatalkoholi.pl/site/?item=38&article_id=116&issue_id=62&SID=2caelo7cl43ddb277cba-eaf7a90803e7).

29 *Errata...*

30 Za: J. Siedlecka, *Wypominki*, Warszawa 2001, s. 317.

31 Za: *Ibidem*, s. 310.

32 Za: *Ibidem*, s. 312.

33 *Errata...*

34 Za: J. Siedlecka, *Wypominki*, s. 317.

35 Za: *ibidem*, s. 311.

36 J. Anderman, *op. cit.*, s. 114.

37 *Ibidem*, s. 116.



## Ważniejsza bibliografia

- Aktor ma głos. Rewelacyjne wynurzenia St. Jaracza*, „Express Poranny” 16.03.1934
- Alkohol jest ...*<http://www.cugow.pl/gazeta,13,0.html>
- Anderman J., *Fotografie*, Kraków 2002
- Biernacki K., *Józef Węgrzyn*, Kraków 1969
- Chylińska T., *Szymanowski i jego muzyka*, Warszawa 1971
- Ciecierski J., *Mistrzowie i koledzy*, Warszawa 1978
- Ciecierski J., *Zwyczajne życie aktora*, Kraków 1989
- Cudnowski H., *Niedyskrepcje teatralne*, Wrocław 1960
- Czermański Z., *Kolorowi ludzie*, Londyn-Łomianki 2008
- Dąbrowska K., *Karol z Atmy*, Warszawa 1977
- Degler J., *Witkacego portret wielokrotny*, Warszawa 2009
- Dobrowolski S., *Po latach*, „Nowa Kwadryga”, 1/1937
- Dorosz B., *Kazimierz Wierzyński w kręgu Polskiego Instytutu Naukowego*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Rzeszowskiego”, „Historia Literatury 6”, 70/2011
- Drawicz A., *Gałczyński na Mazurach*, Olsztyn 1971
- Drawicz A., *Konstanty Ildefons Gałczyński*, Warszawa 1972
- Errata do biografii. Ireneusz Iredeński*, Telewizja Polska SA, Program 1, 2007
- Estreicher K., *Leon Chwistek*, Kraków 1968
- Filipowicz T., *Moje wspomnienia*, Warszawa 1932
- Gabryś A., *Salony krakowskie*, Kraków 2006
- Gałczyńska K., *Gałczyński*, Wrocław 1998
- Gałczyńska K., *Konstanty, syn Konstantego*, Warszawa 1983
- Gałczyńska K., *Zielony Konstanty, czyli opowieść o życiu i poezji Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego*, Warszawa 2000
- Gałczyński K. I., *Osobie*, „Odrodzenie”, 8/1950
- Gibas-Krzak D., *Gwiazdy i ludzie*, „Mówią Wieki”, 5/2002
- Grodzieńska S., *Urodził go „Niebieskiptak”*, Warszawa 1988

- Groński M., *Jak w przedwojennym kabarecie. Kabaret warszawski 1918-1939*, Warszawa 1987
- Grzymała-Siedlecki A., *Ludzie i dzieła*, Kraków 1967
- Grzymała-Siedlecki A., *Nie pożegnani*, Kraków 1972
- Grzymała-Siedlecki A., *Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim*, Kraków 1974
- Grzymała-Siedlecki A., *Rozmowy z samym sobą*, Kraków 1972
- Helsztyński S., *Przybyszewski*, Warszawa 1973
- Hen J., *Błazen - wielki mąż*, Warszawa 1998
- Iwaszkiewicz J., *Aleja przyjaciół*, Warszawa 1984
- Iwaszkiewicz J., *Książka moich wspomnień*, Warszawa 1994
- Iwaszkiewicz J., *Wspomnienie o Karolu Szymanowskim*, Warszawa 1958
- Iwaszkiewiczowa A., *Dzienniki i wspomnienia*, Warszawa 2000
- Jaracz S., *Krzewienie kultury polskiej*, „Wiadomości Literackie”, 30/1934
- Jarecka D., *Zofia Strujeńska*, „Wysokie Obcasy”, 23.11.2008
- Jurandot J., *Dzieje śmiechu*, Warszawa 1965
- Kaczmarczyk J., *Bohdan Chmielnicki*, Warszawa 2002
- Kalicki W., *Wyrok nalgoSymie*, „Duży Format”, 7.03.2005.
- Kamiński Z., *Dzieje życia w pogoni za sztukę*, Warszawa 1975
- Kiec I., *W kabarecie*, Wrocław 2004
- Kisielewski S., *Abecadło Kisiela*, Warszawa 1990
- Kofta P., *Projekt: Iredyński*, „Kultura”, dodatek do „Dziennika Gazety Prawnej”, 18.12. 2009, <http://kultura.dziennik.pl/ksiazki/artty - kuly/105720,projekt-iredyński.html,2>
- Kolińska K., *Miłość, namiętność, zbrodnia*, Warszawa 2000
- Kolińska K., *Stachu Jego kobiety i jego dzieci*, Warszawa 1994
- Koniec damskich bokserów*, S. Pinkwart w rozmowie z J. Staniszkis, „Pani”, 3/2012, [http://www.styl.pl/magazyn/w-swiecie-kobiet/news--koniec-damskich-bokserow,nld,593610?utm\\_source=paste-&utm\\_medium=paste&utm\\_campaign=firefox](http://www.styl.pl/magazyn/w-swiecie-kobiet/news--koniec-damskich-bokserow,nld,593610?utm_source=paste-&utm_medium=paste&utm_campaign=firefox)
- Kowalska A., *Jaracz o sobie i teatrze (Rozmowy z Jaraczem)*

1939-1941, „Nasza Scena”, 3/1960

Koźniewski K., *Historia co tydzień*, Warszawa 1976

Kraśński E., *Gawędy o przedwojennej Warszawie*, Warszawa 1936

Kraśński E., *Stefan Jaracz*, Warszawa 1983

Kreczmar J., *Trzy grosze do ogólnej puli*, „Teatr”, 15/1960

Krukowski K., *Moja Warszawka*, Warszawa 1957

Krzywicka I., *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 1992

*Latopisiec albo kroniczka Joachima Jerlicza*, Warszawa 1853

Lechoń J., *Dzienniki*, Warszawa 1992-1993

Lechoń J., *Portrety ludzi i zdarzeń*, Warszawa 1999

*Listy Gabrieli Zapolskiej*, Warszawa 1970

Łopuszański J., *Leśmian*, Wrocław 2000

Łopuszański P., *Blaski i nędze życia Zofii Stryjeńskiej*, „Podkowieński Magazyn Kulturalny”, 44/2004

Łozińscy M. i J., *Bale i bankiety IIRzeczypospolitej*, Warszawa 1998

Łozińscy M. i J., *Życie codzienne i niecodzienne w przedwojennej Polsce*, Warszawa 1999

Łozińska M., *Smaki dwudziestolecia*, Warszawa 2011

Macieja D., *Tygodnie Słonimskiego*, Warszawa 2000

Mackiewicz S. (Cat), *Kto mnie wołał, czego chciał...*, Warszawa 1972

Makowiecki A., *Trzy legendy literackie. Przybyszewski, Witkacy, Gałczyński*, Warszawa 1980

Malczewski R., *Od cepra do wariata. Felietony zakopiańskie*, Warszawa 2000

Malczewski R., *Pępek świata. Wspomnienia zakopiańskie*, Warszawa 2000

Malinowski B., *Dziennik w ścisłym znaczeniu tego wyrazu*, Kraków 2002

Marczak-Oborski S., *Teatr w Polsce 1918-1939. Wielkie ośrodki*, Warszawa 1984

Micińska A., *Witkacy w Rosji*, „Twórczość”, 5/1985

Mieszkowska A., *Jestem Jdrosy! Zawsze ten sam*, Warszawa 2008

Miłosz C., *Rodzinna Europa*, Kraków 2001

- Miłosz C., *Zniewolony umysł*, Warszawa 1996
- Mortkowicz-Olczakowa H., *Bunt wspomnień*, Warszawa 1959
- Mortkowicz-Olczakowa H., *Pod znakiem kłosa*, Warszawa 1962
- Nałkowska Z., *Dzienniki 1918-1929*, Warszawa 1980
- Nałkowska Z., *Dzienniki 1930-1939*, Warszawa 1984
- Nałkowska Z., *Dzienniki czasów wojny*, Warszawa 1986
- O Karolu Szymanowskim, red. Z. Sierpiński Z., Warszawa 1983
- Olczak-Ronikier J., *W ogrodzie pamięci*, Kraków 2001
- Opacki I., *Lechoń i polskie mity*, Kielce 1993
- Pirotek A., *Litewskie lata Adama Mickiewicza*, Warszawa 1995
- Podgórska J., *Malinowe kochanki*, „Polityka”, 51/2006
- Przybyszewski S., *Moi współcześni*, Warszawa 1959
- Radziwiłł A.S., *Pamiętnik*, Warszawa 1980
- Rogacki H.I., *Żywoć Przybyszewskiego*, Warszawa 1987
- Rubinstein A., *Moje długie życie*, Warszawa 1988
- Rubinstein A., *Moje młode lata*, Warszawa 1986
- Rymkiewicz J., *Leśmian. Encyklopedia*, Warszawa 2001
- Rytard J.M., *Spotkania z Witkacym*, „Życie Literackie”, 16/1976
- Sachs H., *Artur Rubinstein*, Wrocław 1999
- Samozwaniec M., *Maria i Magdalena*, Szczecin 1987
- Samozwaniec M., *Zalotnica niebieska*, Szczecin 1988
- Sempoliński L., *Wielcy artyści małych scen*, Warszawa 1968
- Siedlecka J., *Mahatma Witkac*, Warszawa 1992
- Siedlecka J., *Oblawa*, Warszawa 2005
- Siedlecka J., *Wypominki*, Warszawa 1995
- Siedlecka J., *Wypominków ciąg dalszy*, Warszawa 1999
- Skotnicki *Przy sztalugach i biurku*, Warszawa 1957
- Słonimski A., *Alfabet wspomnień*, Warszawa 1975
- Sołtysik M., *Piękni szaleńcy, czyli sztuka skandalem podszycy*, Warszawa 2006
- Sosnowska J., *Sztuka polskich artystek 1880-1939*, Warszawa 2003
- Staniszki J., *Życie umysłowe i uczuciowe*, Warszawa 2010
- Stomma L., *Sławnych Polaków uczucia i śluby*, Poznań 2004

- Stradecki J., *W kręgu Skamandra*, Warszawa 1977
- Stryjeńska Z., *Chleb prawie powszedni*, Warszawa 1995
- Szalapin F., *Wspomnienia z mojego życia*, Warszawa 1986
- Szatkowska A., *Był dom*, Kraków 1996
- Szletyński H., *Stefana Jaracza wzloty i zabłądzenia*, Kraków 1984
- Szletyński H., *Sylwety i wspominki*, Kraków 1984
- Szymanowska Z., *Opowieść o naszym domu*, Kraków 1977
- Szymanowski K., *Dzieje przyjaźni. Korespondencja Karola Szymanowskiego z Pawłem i Zofią Kochańskimi*, Kraków 1971
- Szymanowski K., *Korespondencja*, Kraków 1994
- Tarasiewicz K., *Cały wiek w Warszawie*, Warszawa 2005
- Tarasiewicz K., *Przygody z kawą i herbatą. Anegdoty i wydarzenia*, Warszawa 2000
- Tumiłowicz B., Literacki alfabet Włodzimierza Odojewskiego, „Przegląd”, 17-18/2008, <http://www.przegląd-tygodnik.pl/pl/artykul/lite-racki-alfabet-wlodzimierza-odojewskiego>
- Urban J., Stremecka M., Jerzy Urban, Warszawa 2013
- Urbanek M., Tuwim, Wrocław 2004
- Wachman Stalagu XI A, oprac. B. Kruszona, Pelplin 2008
- Waldorff J., *Czarne owce dla Apolla*, Warszawa 1984
- Waldorff J., *Moje lampki oliwne*, Warszawa 1999
- Waldorff J., *Serce w płomieniach*, Poznań 1982
- Wat A., *Wspomnienia*, Warszawa 1977
- Werpachowska J., *Oszust ukryty w słońcu*, [http://www.swiat-alkoho-li.pl/site/?item=38&article\\_id=1168rissue\\_id=62&SID=2ca-elo7cl43ddb277cbaef7a90803e7](http://www.swiat-alkoho-li.pl/site/?item=38&article_id=1168rissue_id=62&SID=2ca-elo7cl43ddb277cbaef7a90803e7)
- Wierzyński K., *Pamiętnik poety*, Warszawa 1991
- Winklowska B., *Boyowie. Zofia i Tadeusz Żeleńscy*, Kraków 2001
- Winklowska B., *Nad Wisłą i nad Sekwaną*, Warszawa 1998
- Witkiewicz S.I., *Dzieła wybrane*, Warszawa 1985
- Witkiewicz S.I., *Listy do żony*, Warszawa 2004
- Witkiewicz S.I., *Narkotyki*, Warszawa 1979
- Wittlin T., *Pieśniarka Warszawy. Hanka Ordonówna i jej świat*, Warszawa 1990
- Wspomnienia o Julianie Tuwimie*, red. W. Jedlicka, M.

Toporowski, Warszawa 1963

*Wspomnienia o K.I. Gałczyńskim*, red. A. Kamińska, J. Śpiewak, Warszawa 1961

*Wspomnienia o Kazimierzu Wierzyńskim*, P. Kądziela, Warszawa 2001

*Wspomnienia o Leśmianie*, red. Z. Jastrzębski, Lublin 1966

Wysocki A., *Sprzed półwieku*, Kraków 1974

Zawiszanka S., *Juliusz Osterwa o Stefanie Jaraczu*, „Listy z Teatru”, 14/1947

Zbyszewski W., *Gawędy o ludziach i czasach przedwojennych*, Warszawa 2000

Zimińska-Sygietyńska M., *Nie żyłam samotnie*, Warszawa 1985

Ziółkowska M., *Wybitni ludzie też ludzie*, Kęty 2004

Żakiewicz A., *Witkacy*, Warszawa 2006

Żeleński T., *Listy*, Warszawa 1972

Żeleński T., *Ludzie żywi*, Warszawa 1956

Żeleński T., *Reflektorem w mrok*, Warszawa 1978

Żeleński T., *Znasz-li tej kraj? Cyganeria krakowska*, Warszawa 1993

Żeleński T., *Marysieńka Sobieska*, Warszawa 1956

Żeromska M., *Wspomnienia*, Warszawa 1993

Żeromska M., *Wspomnień ciąg dalszy*, Warszawa 1994

# Spis treści

Od autora

## Rozdział 1.

Zamiast wstępu  
Piwo, wino i okowita  
Alkohol, miłość i poezja  
Król życia  
Problemy noblisty

## Rozdział 2

W kręgu Przybyszewskiego  
Młoda Polska pod Wawelem  
Wągrowiec  
Tragediaw Berlinie  
Dagny Juel  
Skandynawia  
Zaproszenie z Krakowa  
Europa  
Kraków  
Uczniowie czarnoksiężnika  
Tadeusz Żeleński  
Aniela i Jadwiga  
*Śmierć w Tyflisie*  
Zielony Balonik  
Warszawa  
Dramat Anieli Pająkówny  
Na dnię  
Sprawa pewnego garnituru  
Ojciec i dzieci

### Rozdział 3.

Bachanalia pod Giewontem  
Amor pod Tatrami  
Plastycy i trunki  
Rzeźba, rower i trunki  
Harnasie  
Mąż swojej żony  
Demon Zakopanego

### Rozdział 4.

Procenty i Skamander  
Nowa epoka  
Wojna i poezja  
Wieniawa  
Bruderszaft z Leopoldem Staffem  
Debiut  
Poezja i alkohol  
Poezja i przyjaźń  
Śluby i rozwody  
Poezja i finanse  
Laur olimpijski (  
Dole i niedole wieszczą emigracji

### Rozdział 5.

Dekadencja na wesoło  
Konstanty Ildefons  
W rodzinie Gałczyńskich  
Na ulicy Towarowej  
Nauka i alkohol  
Kwadryga  
Przygody dobrego wojaka Ildefonsa  
„Cyrulik Warszawski”  
Polskie Towarzystwo Emigracyjne  
Natalia  
Berlin  
Wilno  
Kulminacja



„Prosto z Mostu”  
Stalag XIA  
Kontrowersji ciąg dalszy  
Kraków  
Aleja Róż

## Rozdział 6.

Demony Stefana Jaracza  
Melpomena na rauszu  
Miłość i alkohol  
Studium alkoholizmu  
Nie tylko Jaracz  
Szewskie dni Majstra  
Do końca wierny sobie

## Rozdział 7.

Przypadki Ireneusza I.  
Zły chłopiec PRL  
Krakowski debiut  
Młody gniewny  
Sztum  
Jadwiga Staniszkis  
Własną drogą  
Ostatni azyl

Przypisy

Bibliografia

Spis treści

Sławomir KOPER Historyk, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (1991). Autor wielu publikacji dotyczących dziejów obyczajowości (m.in. *Życie prywatne i erotyczne w starożytnej Grecji i Rzymie*, 2011). Uznanie przyniosły mu seria o elitach II Rzeczypospolitej oraz niekonwencjonalne przewodniki historyczne. W swoich książkach ukazuje przeszłość widzianą od strony codziennego życia, co dotychczas w polskiej literaturze fachowej skrzętnie pomijano.

Warszawiak z urodzenia, legionowianin z wyboru, miłośnik Krakowa.

W 2012 roku za książkę *Kobiety władzy PRL* nominowany do nagrody Bestseller Empiku.

Zdarzyło się, że przez  
dwie doby Gałczyński  
oddawał się nałogowi  
wraz z pewnym  
psychoanalitykiem  
z Berlina. Problemem  
było miejsce libacji, panowie  
bowiem zalegli w grobowcu  
jednego z cadyków  
na cmentarzu żydowskim.  
Biesiadnicy na zmianę  
chodzili po wódkę, głośno  
śpiewali – najczęściej  
finał IX symfonii  
Beethovena – akompaniując  
sobie na grzebieniu.

Sławomir KOPER

Historyk, absolwent Uniwersytetu  
Warszawskiego (1991). Autor wielu publikacji  
dotyczących dziejów obyczajowości  
(m.in. *Życie prywatne i erotyczne w starożytnej  
Grecji i Rzymie*, 2011). Uznanie przyniosły  
mu seria o elitach II Rzeczypospolitej  
oraz niekonwencjonalne przewodniki  
historyczne. W swoich książkach ukazuje  
przeszłość widzianą od strony codziennego  
życia, co dotychczas w polskiej literaturze  
fachowej skrzętnie pomijano.

Warszawiak z urodzenia, legionowianin  
z wyboru, miłośnik Krakowa.

W 2012 roku za książkę *Kobiety władzy PRL*  
nominowany do nagrody Bestseller Empik

Konstanty Ildefons GAŁCZYŃSKI  
Stanisław Ignacy WITKIEWICZ  
Tadeusz BOY-ŻELEŃSKI  
Jarosław IWASZKIEWICZ  
Julian TUWIM  
Artur RUBINSTEIN  
Ireneusz IREDYŃSKI  
Stanisław PRZYBYSZEWSKI

Wiele można powiedzieć o dziejach kultury polskiej,  
ale nie to, że były bezalkoholowe. Tym razem  
Sławomir Koper, autor bestsellerowych książek,  
pisze o nałogach, bez których twórczość artystów  
byłaby zapewne dużo uboższa.



Cena 39,90 zł  
(w tym 8% VAT)



wydawnictwo czerwone i czarne  
[www.czerwoneiczarne.pl](http://www.czerwoneiczarne.pl)

lesiojot